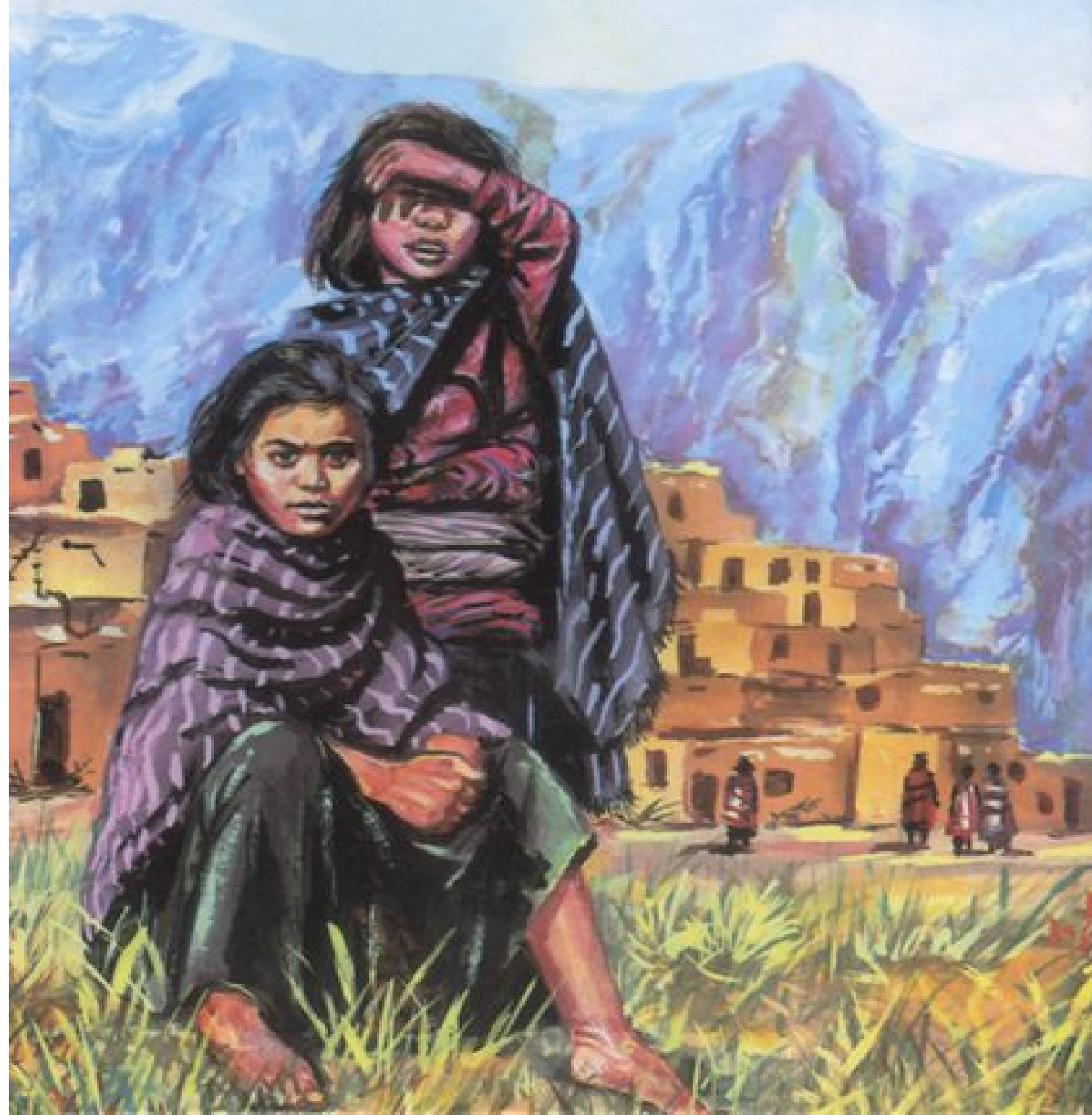


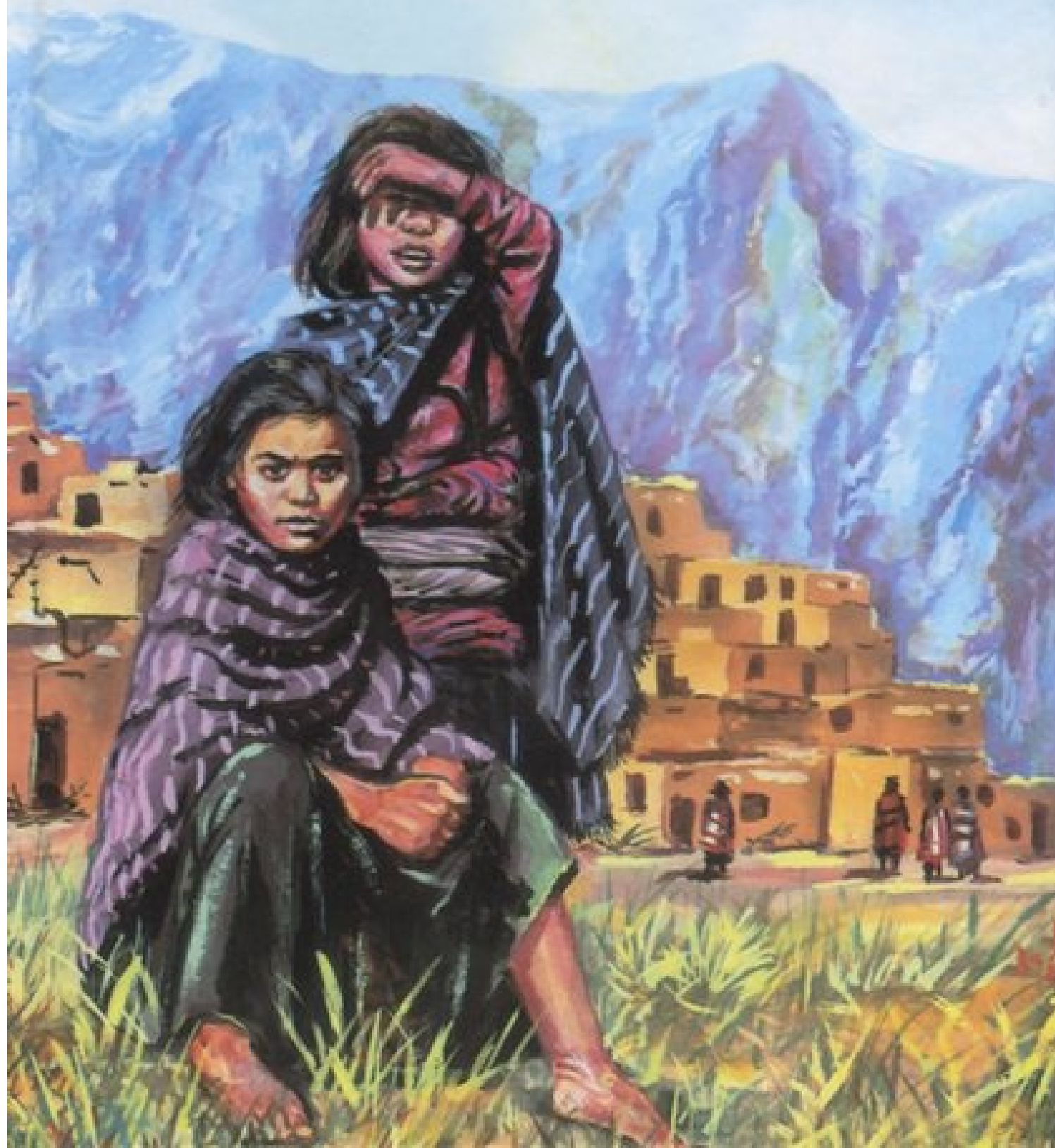
ALFRED SZKLARSKI

TOMEK W GRAN CHACO



ALFRED SZKLARSKI

TOMEK W GRAN CHACO



Alfred Szklarski

Tomek w Gran Chaco

Konwersja do formatu Epub:



OJCIEC I SYN

Lima, dnia 18 marca 1910 r.

Kochany Ojczy!

Przed wyruszeniem z Manaos na poszukiwanie zaginionego pana Smugi, wysłałem list, w którym informowałem Cię o zaistniałej niezwykle trudnej sytuacji. Wyprawa nasza, niestety, tylko połowicznie osiągnęła cel. Odnaleźliśmy pana Smugę, potem jednak już nam się nie poszczęściło. Wspaniały pan Smuga zapobiegł tragedii, lecz teraz nie tylko Jemu grozi śmiertelne niebezpieczeństwo, razem z nim jest bowiem Tadek Nowicki.

Obecnie przebywam z Sally, Natką i Zbyszkiem oraz z kilkoma indiańskimi przyjaciółmi w Limie w Peru i pośpiesznie organizujemy następną wyprawę ratunkową. Niełatwe zadanie, boję się, że pochopnie mógłbym popełnić jakiś błąd. Tak nam tu Ciebie brakowało, kochany Ojczy! I nagle olbrzymia niespodzianka!

Właśnie napisałem do dyrektora banku w Iquitos w sprawie przekazu pieniędzy dla Tadeka Nowickiego i w odpowiedzi powiadomiono mnie, że Ty, kochany Ojczy, znajdujesz się już w drodze z Manaos do Iquitos. Nawet nie potrafię wyrazić, jak olbrzymia radość ogarnęła nas na wieść, że wkrótce będziesz z nami w Limie. Byłem tak wzruszony, jak niegdyś w Trieście, gdy po latach tragicznej rozłąki znów Cię ujrzałem. Nie będę ukrywał - popłakaliśmy się wszyscy. Radość nasza jest tym większa, że Twoja wiedza i życiowe doświadczenie mogą uchronić nas przed jakimś nierozważnym krokiem. Przecież chodzi o ratowanie życia naszych najbliższych przyjaciół - Tadeka Nowickiego i pana Smugi!

Domyślam się, że Twój nieoczekiwany przyjazd do Ameryki Południowej mimo woli spowodował Tadek, który w tajemnicy przed nami wysłał Ci pełnomocnictwo na sprzedaż swego jachtu i prosił o jak najszybsze przekazanie pieniędzy do banku w Iquitos. Aż się dziwię, że właśnie Tadek, który zawsze najpierw uderza, a dopiero potem myśli, tym razem okazał się najbardziej z nas wszystkich przewidujący. Jeszcze w drodze do Brazylii, gdy markotno nam było, że nie mogłeś wyruszyć z nami, Kapitan pocieszał nas mówiąc: "Niezbyt to roztropnie wyrzucać za burtę od razu wszystkie koła ratunkowe." Miało to oznaczać, że skoro taki doświadczony podróżnik, jak pan Smuga, przepadł bez wieści, to i nam również może przydarzyć się coś złego, a wtedy z kolei Ty, Tatusiu, będziesz mógł pośpieszyć nam z pomocą. Przewidywania Tadeka sprawdziły się.

Pan Nixon w Manaos zapewne już poinformował Cię o naszych dotychczasowych poczynaniach, ponieważ za pośrednictwem banku w Iquitos powiadomiłem Go listownie o przebiegu wyprawy i miejscu obecnego naszego pobytu. Mimo to, dla pewności, że już w drodze do nas będziesz się orientował w sytuacji, jeszcze raz piszę o zaistniałych wypadkach.

Otóż po wielu perypetiach odnaleźliśmy pana Smugę, który podczas pościgu za mordercami nieszczęsnego Johna Nixona, bratanka właściciela Kompanii Nixon-Rio

Putumayo, został wzięty do niewoli przez Indian Kampa[1] w Gran Pajonalu. Kampowie traktują Go jako swego białego wodza-maskotkę, co podnosi ich znaczenie u okolicznych plemion. Zanim odnaleźliśmy pana Smugę, nie obyło się bez starcia z Kampami, którzy kryją się przed białymi w głuszy Andów, w pobliżu ruin starożytnego miasta Inków, i zazdrośnie strzegą swojej tajemnicy. Tylko dzięki mirowi, jaki posiada pan Smuga u Kampów, doprowadzono nas do niego żywych. Zostaliśmy również uwięzieni.

Na nasze nieszczęście w tym właśnie czasie pobliski wulkan wznowił działalność. Przesądni i zabobonni Kampowie sądzili, że wybuch wulkanu jest karą bogów, rozgniewanych wtargnięciem białych intruzów do tajnej siedziby wolnych Kampów. Szaman orzekł, że dla przebłagania bogów należy złożyć krwawą ofiarę 2 dwóch białych kobiet - Sally i Natki. Miały być strącone w przepaść. Uratował je pan Smuga, który odkrył pomysłowe urządzenie, sporządzone jeszcze przez inkaskich kapłanów, umożliwiające ocalenie piękniejszych kobiet poświęcanych na ofiarę Słońcu. Podczas dopełniania obrzędu przebiegły szaman odgadł podstęp i wtedy pan Smuga musiał go zabić, żeby nie mógł nas zdradzić.

Pan Smuga polecił mi wymknąć się z resztą członków wyprawy tajemnym podziemnym korytarzem, sam zaś postanowił nadal pozostać u Kampów, aby ułagodzić ich gniew i opóźnić pościg. Nie chciałem na to przystać. Kampowie mogli przecież srodze zemścić się na panu Smudze. Tadek jednak stanowczo poparł pana Smugę. Twierdził, że tylko ja potrafię odnaleźć właściwy kierunek w górskich bezdrożach. Cóż mogłem począć?! Trzeba było ratować kobiety. W ostatniej chwili Tadek z własnej woli pozostał z panem Smugą. Nie miałem mu tego za złe, ponieważ sam zamierzałem tak postąpić.

Udało się nam szczęśliwie dotrzeć do Limy, ale drżymy z niepokoju o naszych przyjaciół. Przed rozstaniem uzgodniłem z panem Smugą, że mniej więcej za dwa miesiące będę czekał na nich z nową wyprawą w pobliżu północnej granicy Boliwii. Pan Smuga oświadczył, że wkrótce po naszej ucieczce również umknie z Tadkiem i obydwaj stawią się w umówionym miejscu. Nie mam pojęcia jednak, w jaki sposób dokonają tego bez broni i ekwipunku! Sytuacja jest nadzwyczaj groźna. Pan Smuga jest pewny, że Kampowie przygotowują powstanie przeciwko białym w Montanii. Jeśli spóźnimy się z pomocą, cóż wtedy stanie się z naszymi przyjaciółmi?! Nawet nie chcę o tym myśleć! Tylko Sally podtrzymuje nas na duchu, twierdząc, że takich dwóch wspaniałych mężczyzn nie da sobie dmuchać w kaszę! Oby miała rację!

Nie warto tracić czasu na domysły. Musimy jak najprędzej wyruszyć z bronią i ekwipunkiem. Próbuję organizować wyprawę. Nie mamy jednak zbyt wiele pieniędzy. Kampowie wprawdzie nie przetrzasali nam kieszeni, ale to, co posiadamy, nie wystarczy. Dlatego skontaktowałem się z dyrektorem banku w Iquitos. Poinformował mnie, że Ty lada dzień masz być u niego, aby się dowiedzieć, gdzie jesteśmy. Dlatego list ten wysyłam na adres banku.

Mieszkamy w Hotel Pałace "Bolivar", a nasi wierni towarzysze z plemienia Cubeo korzystają z gościnności krewnych zmarłego przed rokiem pana inżyniera Habicha[2]. Indianie źle się czuli w warunkach hotelowych. Nasz Dingo, dla większej swobody,

przebywa razem z nimi.

Kochany Tatusiu! Nie rozpisuję się teraz więcej. Opowiemy wszystko dokładniej osobiście. Z utęsknieniem czekamy na Ciebie. Zastaniesz nas w hotelu. Pokój dla Ciebie już zarezerwowany.

Całujemy Cię i mocno ściskamy...

Tomasz Wilmowski skończył czytanie na głos listu, który dopiero co napisał do ojca. Wyczekująco spojrzął na żonę i kuzynostwo.

- Nie umiałabym napisać tak rozsądnego listu - pochwaliła Sally. - Nic dziwnego, że wszystkie moje przyjaciółki na pensji w Australii zawsze prosiły, żebym czytała im listy od ciebie!

Tomek uśmiechnął się do żony, po czym zapytał:

- Zbyszku, a twoje i Natki zdanie?

- Jasno i zwięźle przedstawiłeś sytuację. Jak słusznie napisałeś, wszystko opowiemy szczegółowo po przybyciu twego ojca. Nareszcie ciężar spadł mi z serca! Jestem pewny, że wujek potrafi znaleźć najlepsze wyjście z tych tarapatów. Dowodem na to, że pan Hagenbeck nie wyraził zgody na jego wyjazd z nami, a teraz, proszę, wujek już jest w drodze do Iquitos! Zaraz się zajmę wysłaniem listu.

- Chwileczkę, Zbyszku! - zaoponowała Sally. - Najpierw wszyscy go podpiszemy!

- Moi kochani, teraz i ja zaczynam nabierać nadziei - odezwała się Natasza. - Czy wy jednak naprawdę sądzicie, że szlachetny pan Smuga

i pan Nowicki zdołali się ocalić po naszej ucieczce?! Ani na chwilę nie mogę przestać o nich myśleć!

- Jeszcze zatańczymy na weselu Tadzia Nowickiego, zobaczysz! - zapewniła Sally.

Natasza smutno się uśmiechnęła i wyszeptała:

- Gdybym tak mogła zobaczyć, co się teraz z nimi dzieje...

OKO W OKO Z PUMĄ

Słońce chyliło się ku zachodowi, srebrząc czapy wiecznych śniegów i lodowców na szczytach bezkresnych gór. Na wyżej położonych stokach jeszcze jaśniał pełny dzień, ale w głębokim wąwozie już zaczynał słać się półmrok.

Wysoki, barczysty mężczyzna pewnie kroczył po urwistej górskiej ścieżynie. Na pierwszy rzut oka mógł uchodzić za Indianina. Bujne włosy nosił krótko, równo przycięte dookoła głowy, na twarzy nie miał zarostu, a miedzianobrazowy kolor skóry również upodabniał go do krajowców. Był to jednak biały człowiek, ponieważ w przeciwieństwie do Indian, chodzących w tych regionach prawie nago, miał na sobie koszulę, podniszczone spodnie i trzewiki z nieco dłuższymi cholewkami. Chód jego przypominał sposób chodzenia marynarzy. Bo też był to marynarz, kapitan Nowicki. Przyspieszał kroku; w oczach już mieniła mu się bujna zieleń porastająca płaskie dno wąwozu, która tak bardzo kontrastowała z nagimi, skalistymi i piarżystymi zboczami.

Nowicki nie lubił górskich wędrówek. Uważał, że jego herkulesowa budowa nie sprzyja naśladowaniu lam[3], które znajdowały przyjemność w karkołomnych wspinaczkach. Jednak przewrotny los często płatał mu złośliwe figle. Obecnie właśnie przebywał w dziczy peruwiańskiej na wschodniej stronie Andów, będących najdłuższą ciągłą barierą górską na Ziemi i wysokością ustępujących jedynie najwyższym górom świata, Himalajom.

Nowicki, już trochę zmęczony, przystanął przy głazie, a po chwili usiadł na nim, żeby wyrównać przyspieszony oddech. Spojrzał ku zachodowi. Zmrużył oczy. Promienie zachodzącego słońca, jak w olbrzymim lustrze, odbijały się od lśniących lodowców. Markotny odwrócił głowę w kierunku północnym. Tam piętrzyła się olbrzymia góra wulkaniczna. Nowicki westchnął i mruknął:

- A niech to wieloryb połknie! Tam oślepiający lodowiec, a tutaj dla odmiany wulkan! Gdzie spojrzysz, same górzyska, a co jedno to gorszy diabeł! Że też takiego morowego kumpla jak nasz Smuga zawsze musi nieść licho do jakichś zapadłych zakamarków świata! Sporo już mieliśmy z nim kłopotów... To w Afryce oberwał od Mulata zatrutym nożem, to przepadł na bezdrożach Tybetu, to zaciągnął nas do łowców głów, no, a teraz udaje, że rządzi czerwonoskórymi dzikusami, siedząc u nich w niewoli. Ba! Co gorsza, teraz i ja tkwię w tym cuchnącym bigosie razem z nim!

Nowicki utyskiwał na Smugę, ale w rzeczywistości zawsze był gotów wskoczyć dla niego nawet w ogień. Nie tylko szanował i podziwiał tego niezwykłego podróżnika, kochał go jak rodzonego brata. Toteż utyskując na niespokojnego ducha przyjaciela, wcale nie miał do niego żalu, że z jego powodu obaj wpadli w tarapaty. Nowicki wprost przepadał za niezwykłymi przygodami, przeżywając je czuł się jak ryba w wodzie. Wcale też nie kłopotał się o własne bezpieczeństwo. Poczciwy marynarz z warszawskiego Powiśla po prostu był zatroskany o swoich ulubieńców - Tomka Wilmowskiego i jego rezolutną, odważną żonę, Sally.

Od ucieczki Tomka z resztą uczestników wyprawy upłynęło parę dni. Smuga i Nowicki tymczasem nadal przebywali u Kampów, oczekując na sposobną okazję do wyrwania się z

niewoli. Nic jednak nie wróżyło, że taka chwila może wkrótce nadejść.

Kampowie niby to uwierzyli Smudze, iż zniknięcie przyjaciół oraz pozostanie Nowickiego należy przypisać niezbadanym poczynaniom bogów, ale jednocześnie wzmogli czujność. Jeńcy zaś z obawą obserwowali zbrojne oddziały Indian wyruszające w kierunku południowo-zachodnim i niecierpliwie oczekiwali ich powrotu. Dopiero po kilkunastu dniach, gdy Kampowie wrócili bez uciekinierów, odetchnęli z ulgą.

Minęły trzy tygodnie i czas zaczął naglić. Cóż bowiem uczyniłby Tomek nie mogąc się doczekać przyjaciół na granicy boliwijskiej? Na

pewno by powrócił do zagubionej w Andach kryjówki Indian. Smuga i No wieki nie mogli do tego dopuścić.

Nowicki, odpoczywając na górskim stoku, rozmyślał i ciężko wzdychał. Zdawał sobie sprawę, że nie chcąc narażać Tomka na ponowne dostanie się do niewoli, muszą ze Smugą jak najprędzej zaryzykować ucieczkę.

”A jeśli nam się nie powiedzie?” - pomyślał i jeszcze bardziej się zasepił. Po chwili mruknął:

- Żeby wściekły rekin połknął tych szalonych dzikusów! Przez nich napytaliśmy sobie biedy!

Nazwał Kampów dzikusami, ale w rzeczywistości wcale o nich źle nie myślał ani źle im nie życzył. Podczas pobytu z Tomkiem w Arizonie, na pograniczu Stanów Zjednoczonych i Meksyku, zetknął się z Indianami północnoamerykańskimi, a obecnie przebywał wśród Indian Ameryki Południowej. Miał więc okazję przekonać się, że Indianie byli tacy sami jak pozostali ludzie na świecie. Także wśród Indian znajdowali się szlachetni i podli, przyjaźni i źli. Nienawiść rdzennych mieszkańców Ameryki do białych spowodowali okrutni, zachłanni biali najeźdźcy z Europy.

Nowicki współczuł niedoli nieszczęsnych Indian. Przecież jego ukochana ojczyzna również już od przeszło stu lat była okupowana przez trzech znienawidzonych zaborców. Nowicki świadom był, że on i jego przyjaciele nieproszeni wtargnęli do kraju Kampów, którzy mieli prawo traktować ich jak intruzów. Mimo to Kampowie odnosili się z szacunkiem do Smugi jako do swego wodza-maskotki. Nowickiemu również nie czynili krzywdy. Podziwiali jego niezwykłą siłę i odwagę, a nawet polubili za przyjazne odnoszenie się do wszystkich. Kampowie bacznie śledzili każdy krok Smugi, ale Nowickiemu nie bronili samotnych wycieczek poza osadę. Zwrócili mu nawet jego nóż myśliwski, aby nie był całkowicie bezbronny. Widocznie byli przekonani, nie bez słuszności, że nie umknie bez Smugi.

Nowicki skwapliwie wykorzystywał swoją względną swobodę. Gdy tylko nadarzała się okazja, myszkował po górach w przeświadczeniu, że poznanie okolicy ułatwi zamierzoną ucieczkę. Obecnie także powracał z dłuższego wypadu na południowy wschód. Odpoczął przysiadłszy na głazie. Pierś jego już unosiła się w równym oddechu. Spojrzał ku zachodowi. Słońce niemal dotykało lśniących bielą szczytów górskich.

- Coś długo dzisiaj zamarudziłem... - szepnął.

Raźno powstał z głazu. Szybko zaczął schodzić na dno wąwozu. Do ruin starożytnego miasta było już niedaleko, ale na tej szerokości geograficznej noc zapadała prawie nie poprzedzana zmierzchem. Nowicki wkrótce znalazł się na występie skalnym. Nieco niżej bujnie zieleniły się drzewa i zarośla, między którymi widniała szeroko wydeptana ścieżka. Nowicki przykucnął chcąc zeskoczyć na nią, lecz nieoczekiwany widok przykuł go do miejsca.

Otóż na ścieżce znajdowała się Agua, najmłodsza żona szamana. Stała jak wrośnięta w ziemię, tylko jej wyciągnięte do przodu ręce lekko drżały. W oczach Indianki malowało się przerażenie.

Nowicki jednym rzutem oka ocenił grozę sytuacji. Nie opodał porażonej strachem kobiety mały chłopczyk, pochylony ku ziemi, przytrzymał wyrywające mu się z rąk szczenię pumy[4]. O kilka kroków za plecami malca czaiła się szarorudawa matka szczenięcia. Gniewnie marszczyła pysk i szczyrzyła kły. Ogon jej coraz szybciej uderzał o boki. Zapewne wyruszyła na wieczorne łowy, a szczenię samowolnie wyszło za nią z kryjówek i natknęło się na Indiankę z chłopczykiem. Nad nieświadomym grozy sytuacji dzieckiem zawisła nieuchronna zguba. Lwy amerykańskie, czyli pumy, rzadko napadają na ludzi, lecz w sytuacjach zagrażających życiu ich samych lub potomstwa zdobywają się na odwagę i zuchwale atakują. Obecnie szczenię znajdowało się w niebezpieczeństwie, a pumy są bardzo troskliwymi matkami...

”Zginą, kobieta i dziecko!” - przemknęło Nowickiemu przez myśl.

Nie wahał się ani przez chwilę. Pochylony do przodu, ostrożnie przekradał się w kierunku przeciwnego krańca występu skalnego. Niebawem znalazł się w połowie odległości pomiędzy dzieckiem i drapieżnikiem. Nie odrywając od niego wzroku, przesunął pochwę z nożem na prawy bok.

Puma jeszcze nie dostrzegła człowieka przyczajonego na zwisającym nad ziemią występie skalnym. Całą uwagę skupiła na popiskującym szczenięciu. Przymrużone skośne ślepia błyskały złowieszczo. Coraz bardziej obnażała kły. Naraz zaczęła jakby kulić swe cielsko... Rozbrzmiało głucho warczenie, po czym puma sprężystym długim skokiem rzuciła się do przodu. Zanim jednak dosięgła chłopczyka, Nowicki całym ciężarem ciała zwałił się na jej grzbiet, przytłoczył do ziemi. Szybkim jak mgnienie oka ruchem przesunął lewe ramię pod łbem i przycisnął go do swej piersi. Mocarny to musiał być uścisk. Z szeroko rozwartej paszczy zwierzęcia wyrwał się chrapliwy charkot. Lśniące cielsko błyskawicznie zwijało się i rozkurczało jak elastyczna sprężyna, ale Nowicki był zaprawiony do walki wręcz jak mało kto. Nogami, niby kleszczami, opasał szalejącą pumę, nie pozwalając zrzucić się z grzbietu. Wiedział, że gdyby udało jej się strząsnąć go z siebie, wtedy z łatwością dosięgłaby jego gardła.

Rozgorzała gwałtowna walka. Człowiek i zwierzę spleceni w jeden kłęb przetaczali się po ziemi tak szybko, że nawet nie można było dostrzec, które z nich znajdowało się na

wierzchu. Na rękach Nowickiego nabrzmiały żyły, duże krople potu zrosiły czoło. Naraz ostre pazury drapieżnika dosięgły jego lewego uda. Dramatyczna walka przybierała zły obrót, więc jednym ramieniem jeszcze mocniej nacisnął krtań zwierzęcia, drugim zaś sięgnął po nóż tkwiący za pasem. Raz za razem stalowe ostrze zagłębiało się w preżącym się cielsku. Zdawało się, że rozszalała puma zrzuci go teraz z siebie, ale jedno z pchnięć noża zapewne trafiło we właściwe miejsce, gdyż jej gwałtowność zaczęła słabnąć, aż wreszcie zwierzę znieruchomiało.

Nowicki jeszcze dłuższy czas leżał na ziemi przyciskając łeb pumy do swej piersi. Wreszcie całkowity bezwład zwierzęcia upewnił go, że to już naprawdę koniec zmagania. Zepchnął z siebie cielsko drapieżnika, po czym siadł na ziemi. Ciężko oddychając rozejrzał się za kobietą i dzieckiem. Młoda Indianka klęczała nie opodal na ścieżce, tuląc wystraszonego malca. Nowicki uśmiechnął się do nich i zawołał żargonem będącym mieszaniną języków arawakańskiego i keczuańskiego przeplatanych słowami hiszpańskimi[5]:

- Po strachu! Możecie wracać do domu!

Chciał się podnieść, lecz ostry ból w lewym udzie przypomniawszy mu

o zranieniu. Spojrzał na nogę. Spod rozszarpanych spodni wyzierała podłużna, krwawiąca rana.

- Do stu zdechłych wielorybów! - mruknął. - A to mnie zwierzak urządził! Trzeba zatrzymać upływ krwi...

Ściągnął koszulę, nożem odciął rękawy, z których zrobił bandaż, zsuniecie spodni i przewiązanie rany nie trwało zbyt długo. Teraz podniósł się z ziemi. Utykając podszedł do niedoszłych ofiar pumy. Wziął chłopczyka na ręce. Malec ufnie objął go rączkami za szyję

I przytulił się do niego.

- No, kochany brachu, nie bój się, już nic ci nie grozi - uspokajał go Nowicki. - Na szczęście nadszedłem w porę! Agua, zbieraj się, zaraz za padnie noc!

Kobieta wszakże dalej klęczała na ziemi i spoglądała na Nowickiego pełnym podziwu wzrokiem. Wszyscy Indianie zawsze bardzo wysoko cenili męstwo i siłę mężczyzn, ale w tym wypadku nie tylko niezwykła odwaga Nowickiego wprowadziła Indiankę w zdumienie. Oto prawie bezbronny biały jeniec zaryzykował własne życie dla uratowania wrogów od niechybnej śmierci.

Nowicki nie domyślał się nawet, co w tej chwili odczuwała młoda i ładna Indianka. Dla niego zawsze było rzeczą naturalną, że silniejszy powinien stawać w obronie słabszych, a szczególnie kobiet i dzieci. Spełnił więc swój obowiązek i nie widział w tym nic nadzwyczajnego. Zniecierpliwiony zachowaniem Indianki odezwał się gderliwie:

- Czemu tak oczy na mnie wytrzeszczasz?! Nigdy nic widziałas chłopca w podartych portkach?! Ha, może i nie widziałas! Sami paradujecie na golasa, to i portki mogą być dla ciebie rarytasem! Ale dość już tego dobrego! Chodźmy wreszcie, w brzuchu burczy mi z

głodu.

Po tych słowach zdumienie Indianki jeszcze wzrosło. Zrozumiała, że ten biały mężczyzna nie uważał swego czynu za rzecz niezwykłą. Pełna sprzecznych uczuć zwinnie powstała z ziemi.

- Puma cię zraniła, czy będziesz mógł dojść do osady o własnych siłach? - zapytała.

- Mogę czy nie mogę, muszę to zrobić jak najprędzej - odparł Nowicki. - Pazury zwierzaka brudne, trzeba opatrzyć ranę, żeby się nie paskudziła.

- Onari zna dobre leki. Na pewno zajmie się tobą - powiedziała Agua.

- Wiem, że twój szanowny mężulek warzy w chałupie zielska i trucizny niczym czarownica na Łysej Górze albo pigularz w aptece

- z humorem odpowiedział Nowicki. - Bierz chłopca, a ja poniosę szczeniaka pumy. Jeszcze za mały, żeby sam mógł dać sobie radę w puszczy. Zabiłem matkę, więc trzeba się nim zaopiekować.

- Daj, to moja puma, moja! - zawołał chłopczyk.

- Twoja będzie, brachu, twoja... - potaknął Nowicki. - Wiem przecież, że lubujecie się w trzymaniu różnych zwierzaków w swoich chałupach[6]. Będziesz jednak musiał pilnować, żeby mała puma wkrótce nie urządziła sobie wyżerki z twoich małąp i papug.

Mówiąc to odszukał popiskujące trwożliwie szczenię, schwytał je, po czym utykając ruszył w kierunku osady. Tymczasem ściemniało się coraz bardziej. Agua zaczęła przyspieszać kroku, ponieważ Indianie nie lubią nocnych wędrówek po puszczy. Nowicki, wiedząc o tym, z trudem za nią nadążał, gdyż zraniona noga dawała mu się coraz bardziej we znaki.

W miarę jak szli wąwozem, strome zbocza oddalały się od siebie, aż wreszcie ustąpiły miejsca rozległej, falistej dolinie okolonej pasmami gór. Z lewej strony na urwistym skalnym wzniesieniu bieliły się kamienne ruiny starożytnego miasta, za którymi pięła się ku niebu wulkaniczna góra o tępo ściętym wierzchołku. W dole, na prawo od niej leżały sadyby wojowniczych wolnych Kampów.

Osadę tworzyło około trzydziestu wielo- i jednorodzinnych chat, zwanych w języku Kampów pangotse. Były one typowe dla budownictwa Indian leśnych, które musiało się przeciwstawiać wilgoci ciągnącej od ziemi i podmywaniu przez powodzie podczas tropikalnych ulew oraz opierać się częstym na tych szerokościach geograficznych huraganom. Toteż podstawę każdego domu tworzyły grube słupy z twardego drewna głęboko wkopane w ziemię, obudowane na pewnej wysokości lżejszymi belkami i prętami powiązаныmi elastycznymi lianami, bądź też były to po prostu otwarte z boków nadziemne "werandy". Wielkie, owalne strzechy nakrywały domy wielorodzinne, chaty jednorodzinne natomiast posiadały spiczaste dachy kryte liśćmi palmowymi. Cienkie przegrody z prętów bambusowych dzieliły wnętrza większych chat na izby i werandy. [7]

Duże domy wielorodzinne stały w pewnej odległości od siebie. Mieszkało w nich po

kilka rodzin należących do tego samego rodu zarządzanego przez naczelnika. Nieco na uboczu mieściły się znacznie mniejsze chaty jednorodzinne. W nich to mieszkali ci, którym albo nie odpowiadały rządy naczelnika rodu, albo pragnęli się wyłączyć z gromadnego współżycia.

Szaman Onari zajmował oddzielną obszerną chatę, ponieważ nie chciał zdradzać swoim tajemnic swoich magicznych i lekarskich praktyk. Agua z dzieckiem na ręku pierwsza wkroczyła na werandę mężowskiej chaty. Powitał ją utyskujący, skrzekliwy głos starszej żony szamana, która gotowała strawę na płonącym na uboczu ognisku.

Agua odwróciła się do Nowickiego i rzekła:

- Poczekaj tutaj, niebawem wrócę po ciebie - po czym zniknęła w głębi chaty.

Nowicki ociężale przysiadł na wysokim progu werandy. Szczenie pумы, które wciąż trzymał pod pachą, zaczęło się wyrywać i tylnymi łapami dotknęło jego uda. Nowicki syknął z bólu, dłonią osłonił nogę. Prowizoryczny opatrunek przesiąknięty był ciepłą, lepłą krwią. Piekący ból wzrastał się z każdą chwilą.

Tymczasem z wnętrza chaty dochodziły odgłosy początkowo głośnej rozmowy mężczyzny i kobiet. Nowicki ciekawie nadstawiał ucha, ale naraz głosy przycichły i nie mógł uchwycić nawet pojedynczych słów. Wkrótce najstarsza z żon szamana wyszła z chaty.

- Chodź, potężny Onari zajmie się tobą! - zawołała.

Nowicki z trudem wspiął się na werandę. Widząc to, Indianka podparła go silnym ramieniem i poprowadziła do izby oddzielonej przegrodą od reszty domu.

Nowicki po raz pierwszy przekraczał próg chaty szamana, który odnosił się nieufnie do obydwóch białych jeńców, a nieraz nawet podburzał swoich przeciwko nim. Onari był następcą szamana zabitego przez Smugę podczas strącania dwóch białych kobiet w przepaść. Większość Kampów uwierzyła Smudze, który oskarżył szamana o zamiar przerywania obrzędu, Onari jednak nie ufał białemu wodzowi. Podejrzewał, że ten podstępnie zgładził jego poprzednika dla siebie tylko wiadomych celów i oszukał przesądnych, łatwowiernych Kampów. Obydwaj biali jeńcy doskonale wyczuwali wrogość domyślnego szamana i mieli się przed nim na baczności. Toteż Nowicki z pewnym niepokojem wchodził teraz do jego tajemniczej chaty. Od razu spostrzegł szamana - stał w głębi izby pochylony nad naczyniami wiszącymi na kiju przy tłym ognisku. Jak większość Kampów Amatsenge, Onari był nagi. Tylko mały fartuszek na sznurku z łyka opasującym biodra osłaniał podbrzusze. Brudne ciało i twarz szamana pokrywały namalowane magiczne znaki, które jakoby chroniły przed złymi duchami, urokami i ukąszeniami jadowitych węży. Na głowie miał przybraną barwnymi piórami papug strojną koronę, uplecioną z włókien palmowych, ze zwisającym z tyłu oryginalnym ogonem zdobionym pękami preparowanych kolibrów. Na przegubach rąk i kostkach u nóg nosił ręcznie plecione opaski.

Onari pochylony nad dymiącymi tyglami uniósł głowę i spojrzał na Nowickiego

trzymającego szczenię pumy. Potem powoli się wyprostował, obrzucił jeńca przenikliwym spojrzeniem. Klasnął w dłonie. Zza przepierzenia wyszła Agua.

- Zabierz pumę! - rozkazał nawet nie spoglądając na ulubioną żonę. Gdy zostali sami, Onari zbliżył się do Nowickiego. Przez chwilę

obydwaj mierzyli się badawczym wzrokiem, po czym Onari rzekł:

- Zdejmij spodnie i połóż się tutaj, wirakucze[8] - ręką wskazał wąską, płaską pryczę z trzcin powiązanych lianami.

Nowicki bez słowa wykonał polecenie. Onari, nie spiesząc się, podszedł do rusztowania z prętów, na którym stały większe i mniejsze kalebasy. Z jednej nalał jakiegoś gęstego płynu do drewnianego kubka, potem zbliżył się do Nowickiego.

- Wypij to, zanim obejrzę twoją ranę! - polecił.

- Ejże, czarowniku, chcesz mnie uśpić?! Cóż to za paskudztwo?

- podejrzliwie zapytał Nowicki. - Obejdzie się bez tego, wytrzymam!

- Dobrze wiem, że potrafisz spoglądać śmierci w oczy - odparł Onari.

- Każdy z nas jednak ma swoje tajemnice. Wypij więc!

Nowicki wahał się, spoglądał na szamana, którego twarz nie odzwierciedlała żadnych uczuć. Onari zapewne domyślił się obaw nurtujących jeńca, po chwili bowiem powiedział:

- Nienawidzę białych ludzi, wiesz o tym! Jednak uratowałeś od śmierci moją żonę i syna narażając własne życie. To nie trucizna, wypij!

- Dobra, niech będzie na twoim! - odparł Nowicki, uśmiechając się w odpowiedzi na domyślność czarownika. Wziął kubek z jego rąk i wypił miksturę.

Szaman znów podszedł do ogniska. Zaczął sporządzać leki, to szepcząc zaklęcia, to zawodząc monotonne pieśni.

Nowicki leżał bez ruchu, tylko jego wzrok leniwie błędził po szamańskiej chacie.

W kątach izby szwendało się kilka pstrokatych papug z podciętymi skrzydłami, aby nie mogły uciec. Niektórym brakowało w ogonach piór, powyrywanych na przystrajanie koron noszonych przez Kampów. Mała małpka uganiała się za ptakami. Popiskiwała z uciechy, gdy pociągane za ogony papugi skrzeczały umykając niezgrabnie i próbowały dosięgnąć ją swymi mocnymi, zakrzywionymi dziobami.

Wkrótce igraszki zwierząt przestały interesować Nowickiego. Już nie odczuwał bólu, myśli stawały się leniwsze. Jeszcze tylko przez chwilę spoglądał na zwisające z belek pod dachem pęki kaczanów kukurydzy, kiście dojrzewających bananów, zioła wydzielające oszałamiający aromat oraz wiązki długich trzcin na strzały do łuków.

Powieki ciążyły mu coraz bardziej. Pułap chaty kołysał się jak statek na wzburzonym morzu i rozpływał we mgle. Zdawało mu się, że słyszy głucho dudnienie bębna, brzęczenie grzechotki i niepokojący śpiew. Naraz ujrział pumę... Fosforyzujące ślepie wpatrywały się

w niego, kosmata łapa pazurami zrywała bandaż z jego rany. Czasem łeb drapieżnika przeistaczał się w głowę szamana przystrojoną koroną, aż w końcu Nowickiego ogarnął całkowity mrok.

NARADA PRZYJACIÓŁ

Nowicki głęboko westchnął, po czym wolno uniósł powieki. Trochę zdumiony stwierdził, że spoczywa na swojej pryczy w komnacie zajmowanej ze Smugą w kamiennej budowli starożytnego miasta. Jeszcze nieco zamroczony twardym, długim snem leniwie spoglądał w otwór, przez który przenikały palące promienie słoneczne. Nie mógł zebrać myśli, jakieś dziwne przywidzenia nadal nękały jego wyobraźnię. To pумы czały się wokół niego, a on, jak to nieraz czynił Tomek, poskramiał je siłą sugestywnego spojrzenia, to znów szaman przystrojony w wielką koronę podsuwał mu truciznę chichocząc szatańsko, podczas gdy za plecami starego męża młoda Agua robiła do niego oko. Nowicki zaniepokojony zalotami Indianki wreszcie otrząsnął się z resztek niemocy i pomyślał:

”Niech to wieloryb połknie! Cóż to za głupstwa śniły mi się tej nocy?!” Przez jakiś czas jeszcze leżał bez ruchu, stopniowo odzyskując świadomość. Wydarzenia poprzedniego dnia odżywały w jego pamięci... Walka z pumą, tajemniczy Onari opatrujący ranę... Aby się ostatecznie upewnić, czy to wszystko nie było tylko sennym majakiem, siadł na posłaniu. Energicznie odrzucił okrywającą go miękką skórę zwierzęcą. Szeroki bandaż z włókien kory spowijał lewe udo.

- Do stu beczek zjełczałego tranu! - mruknął półgłosem. - To naprawdę nie był sen!

W tej samej chwili za jego plecami rozbrzmiał dobrze mu znany głos:

- Dzień dobry, kapitanie! To nie był sen. Radzę nie wykonywać tak gwałtownych ruchów!

Nowicki natychmiast odwrócił głowę. Smuga siedział na pryczy w głębi komnaty. Teraz powstał, schował wygasłą fajkę do kieszeni kużmy i podszedł do przyjaciela.

- Dzień dobry, Janie! - niefrasobliwie powitał go Nowicki. - Jak widzę, słoneczko już mocno przygrzewa, a ja jeszcze się wyleguję

w betach. W jaki sposób znalazłem się tutaj? Nie mogę sobie przypomnieć. Indiański znachor uspił mnie w swojej chacie, a potem...

- A potem w nocy Kampowie przynieśli cię nieprzytomnego na noszach - wpadł mu w słowa Smuga. - No, niezłego napędziłeś mi stracha!

- Niepotrzebnie, Janku, przecież nic wielkiego się nie stało. Kocisko tylko drasnęło mnie pazurem!

- Ładne mi draśnięcie! - rzekł Smuga uśmiechając się do Nowickiego.

- Dobrze wiem, co zaszło! Onari wszystko mi opowiedział. Tutaj nie wolno lekceważyć takich ran. Oby tylko nie wdało się zakażenie!

- Przecież dobrze o tym wiem! Dlatego zaraz pukuśtykałem do szamana, chociaż nigdy mu nie dowierzaliśmy.

- Postąpiłeś bardzo rozsądnie - pochwalił Smuga. - Tutejsi szamani znają wiele ziół, roślin i korzeni skutecznie leczących różne choroby. Tej wiedzy mogliby im pozazdrościć

europiejscy lekarze, którzy uważają szamanów za szalbierzy i kuglarzy. Onari zapewnił, że twoja rana wkrótce się zagoi. Uspokoił mnie, bo wiem, że on naprawdę zna się na rzeczy.

- To aż chodziłeś do niego? - zdumiał się Nowicki.

- Nie musiałem. Przyniesiono cię tutaj pod jego dozorem. Potem w ciągu nocy sam przychodził dwukrotnie. Poił cię jakimiś wywarami, okadzał i nucił czarodziejskie "kołysanki" niczym niemowlęciu - z humorem wyjaśnił Smuga.

- Ha, skoro tak było, to muszę przyznać, że zachował się przyzwoicie mimo nienawiści do nas. Dziwni są ci Indiańcy!

- W rzeczywistości podczas pokoju są to dumni, nie znający kłamstwa, łagodni ludzie. Zjednałeś sobie ich uznanie, ponieważ postępujesz szlachetnie i, tak jak oni, nie znasz uczucia strachu.

Nowicki uśmiechnął się trochę zażenowany i jednocześnie zadowolony, ponieważ wielce cenił słowa Smugi, którego doświadczenie, opanowanie i odwagę zawsze podziwiał. Po chwili zaczął się rozglądać wokoło.

- Do licha, co to ma znaczyć? Nie widzę mojego ubrania! - rzekł.

- Gdy cię tutaj przynieśli, byłeś goły jak święty turecki, ale zostawili ci kuźmę - mówiąc to Smuga wskazał leżącą obok na ławie powłóczytą szatę, w jaką sam również był odziany.

- Ejże, przecież to za kuse na mnie! - oburzył się Nowicki.

- Wyglądałbym jak w ubraniu z młodszego brata albo jak japoński zapaśnik! Wolę już chodzić na golasa jak Kampowie.

- Jestem pewny, że to by im się spodobało - powiedział rozweselony Smuga. - Jednak nie wszyscy Kampowie chodzą nago, nawet tutaj. Kampowie Atiri i Antaniri noszą kuźmy, które przejęli między innymi od mieszkańców sąsiednich Andów Centralnych[9]. Tylko najprymitywniejsi Amatsenge nie noszą ubrań, gdyż w upalnej dżungli na wschodnich stokach Andów nie są im potrzebne. A w ogóle nie kłopot się teraz ubraniem. Musisz poleżeć kilka dni, żeby rana mogła się jak najprędzej zagoić.

- Ha, to prawda! - przyznał Nowicki. - Lada chwila będziemy musieli umykać. Trudno by mi było nadażyć za tobą. Tak, tak, czas nagli. Myśl o Tomku nie daje mi spokoju.

- Mnie również - przyznał Smuga. - Musimy się stąd wymknąć w ciągu najbliższych dni. Może teraz nadarzy się lepsza okazja?

- Naprawdę tak sądzisz? - zapytał Nowicki ożywiony nadzieją. Smuga przez chwilę rozmyślał, po czym rzekł:

- Śmiałym czynem zjednałeś sobie wielkie uznanie u Kampów. To w gruncie rzeczy dobrzy ludzie. Uważnie obserwowałem Onariego, który przecież dotąd najwięcej nam bruździł. Naprawdę gorliwie zajął się tobą.

- Czy to może mieć dla nas jakieś znaczenie?

- Może tak, a może nie. Jestem pewny, że bardzo zyskaliśmy w ich oczach. Nastroje u Indian szybko się jednak zmieniają. Zresztą w najbliższym czasie wyjaśni się nasza sytuacja.

Za matą osłaniającą wyjście na korytarz rozbrzmiały przyciszone głosy kobiece oraz charakterystyczne brzęczenie dzwoneczków zrobionych z nasion i przywiązanych do sznurka, którym Kampijki na tańce i w uroczystych chwilach opasują swe biodra.

Obydwaj przyjaciele zaintrygowani przerwali rozmowę. Do komnaty weszło kilka młodych kobiet na czele z Aguą. Jak większość mieszkanek lasów tropikalnych, ubrane były tylko w dwa zszyte razem kuse fartuszki z grubego brązowego samodiała, które zakrywały brzuchy i pośladki. Długie czarne, proste włosy opadały im na plecy, niemal

sięgając pasa. Każda z kobiet nosiła drewniany grzebyk zawieszony na szyi na kolorowym sznurku z włókien roślinnych.

Nowicki uśmiechnął się szeroko do Indianek. Na chwilę niemal zapomniał o wszelkich troskach na widok mis pełnych jedzenia. Od porannego posiłku poprzedniego dnia nie miał nic w ustach, ponieważ uśpiony przez szamana przespał cały wieczór i noc. Toteż smakowite zapachy gotowanych kur i ryb, pieczonych słodkich kartofli, ryżu, czerwonej fasoli, kukurydzy i świeżych bananów oraz duży dzban masato[10] wprowadziły go w doskonały humor.

- Ho, ho! Spójrz, Janie! - odezwał się po polsku. - Śniadanko niczym w "Bristolu" w Warszawie, a obsługa wystrojona jak na zabawę, trzeba przyznać, przyjemna dla oka!

- Masz rację, niczego sobie, niczego! - potwierdził Smuga. - Takie kelnerki na pewno by wzbudziły uznanie panów w "Bristolu".

Agua tymczasem przystanąła przed Nowickim, przyjrzała mu się bacznie, a potem powiedziała:

- Widzę, kumpo, że już czujesz się znacznie lepiej. Wczoraj byłeś bardzo głodny, ale Onari zapewnił mnie, że nieprędko się przebudzisz. Dlatego dopiero teraz przyniosliśmy jedzenie.

Zaledwie Agua się odezwała, Smuga i Nowicki nieznacznie wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Po raz pierwszy od uwięzienia ktoś z Kampów nazwał jednego z jeńców kumpą, czyli kumem, którym to przydomkiem obdarzali swoich krewnych lub przyjaciół. Toteż Nowicki pokrzepiony na duchu rzekł:

- Dzięki dobrym lekom twego mężulka rana prawie już mi nie dolega. Wkrótce na pewno wstanę i pohulam z wami, ślicznotki, bo widzę, że przystroiliście się jak na tańce.

Indianki ustawiały na ławie naczynia z pożywieniem, uśmiechały się i ciekawie zerkwały na białych mężczyzn, a dzwoneczki opasujące biodra pobrzękiwały w takt ich poruszeń. Agua zaś, wciąż stojąc przed Nowickim, mówiła:

- Onari jest pewny, że rana szybko się zablizni. Jego czary odeгнаły od ciebie uroki złego ducha, który mieszkał w pumie.

- Senor Smuga powiedział mi, że Onari czuwał nade mną - powtórzył Nowicki. - Podziękuję mu, gdy tylko będę mógł go odwiedzić.

- On przyjdzie do ciebie opatrzyć ranę.

- Doskonale, wtedy mu dziękuję. Czy możesz mi powiedzieć, gdzie jest moje ubranie? W kuźmie wyglądałbym dość kuso...

- Nie martw się tym, kumpa - odparła Indianka. - Starsze żony Onariego reperują spodnie. Nim słońce zajdzie, będziesz je miał.

- Skoro tak, to teraz posilę się z przyjacielem, bo naprawdę jestem tak głodny, że mógłbym zjeść nawet ciebie!

Kobiety parsknęły piskliwym śmiechem. Agua, również rozbawiona, powiedziała:

- Nie przestraszysz mnie, kumpa! Tylko Witotowie i Kaszybowie jedzą ludzkie mięso.

Indianki chichocząc i pobrzękując dzwoneczkami wybiegły z komnaty. Przyjaciele znów zostali sami.

- No i co teraz powiesz, kumpa Nowicki? - żartobliwie zagadnął Smuga.

- Ha, wygląda na to, że te wesołe dziełatki przyniosły nam niezłą nowinę - odparł Nowicki dobierając się do gotowanej kury. - Teraz jednak najpierw się posilmy, bo na głodnego żadna dobra myśl nie przyjdzie do głowy.

Przez dłuższy czas jedli w milczeniu. Smuga z niemym podziwem spoglądał na Nowickiego, który z nie słabnącym apetytem pochłaniał jedną potrawę po drugiej. Wreszcie jednak zaspokoił pierwszy głód i sięgnął po duży dzban.

- Napijmy się, Janie! Masato spożywane nie w nadmiarze wspaniale ułatwia trawienie - zaproponował.

Smuga westchnął biorąc kubek i rzekł:

- Zazdroszczę ci, Tadku! O wiele dłużej od ciebie przebywam wśród Indian, a mimo to wciąż jeszcze mierzi mnie ich ulubione masato i chicha.

- Boś zbyt wielki higienista! Tomek też obrzydzał mi chichę u Indian Cubeo. Cóż to wam szkodzi, że Indianki przeżuwają ziarna kukurydzy na zaczyn napitku? Widocznie taki przepis odziedziczyły po swoich mamusiach. Poza tym sam widziałem, że one płuczą usta po każdym jedzeniu.

- A czy nie zauważyłeś owrzodzonych ust u starszych kobiet nałogowo żujących kokę?!

- Nie wymagaj ode mnie, żebym zerkał na staruchy! - oburzył się Nowicki. - Poza tym powiem ci, że nie warto być zbyt dociekliwym. Widzisz, mój stryjek miał piekarnię na Powiślu. Byłem wtedy jeszcze smykiem, ale już lubiłem wszędzie wścibiać nos. Tak więc pewnego wieczoru w wakacje poszedłem do piekarni stryjka zobaczyć, jak to się robi chleb. Noc była parna. Nagrzewany do wypieku piec wprost zionął żarem. Nic więc dziwnego, że z półnagich piekarczyków, wygniatających rękami ciasto na chleb, pot

splywał niczym woda ze strażackiej sikawki. Trochę mi to poszło nie w smak. Toteż rankiem, podgrymaszając na pieczywo przy śniadaniu, opowiedziałem wszystko mojemu staruszkowi. A on trzepnął mnie w ucho i rzekł: "Na drugi raz nie zaglądaaj do kuchni, to i innym nie będziesz obrzydzał jedzenia!" No, teraz wreszcie wypijmy za naszą i naszych przyjaciół pomyślność!

Po spełnieniu toastu Nowicki mówił dalej:

- Przyznaję, że nawet przy najgorszym rumie, nie mówiąc już o jamajce, masato jest podłą lurą, ale na bezrybiu i rak ryba. Teraz możemy zakurzyć fajki i spokojnie pogadać. Pomyślniejszy wiatr zdaje się nareszcie dmuchać w nasze żagle. Powiedziałeś jednak, że nastroje u Indian szybko ulegają zmianom, więc teraz musimy jak najprędzej wykorzystać sytuację.

Smuga długo milczał pykając fajkę, zanim się odezwał:

- Od ucieczki naszych przyjaciół przemyślałem, jak moglibyśmy się sami oswobodzić. Umkniecie stąd nie powinno sprawić większych trudności. Kłopoty rozpoczną się dopiero później. Widzisz, nie możemy uciekać tym samym co Tomek, najkrótszym szlakiem. Kampowie wprawdzie nie zdołali schwytać uciekinierów, ale jestem pewny, że natrafili na kogoś, kto ich widział. Obecnie skrzętnie strzegą tego szlaku.

- Czyżbyś zamierzał wobec tego uciekać przez Gran Pajonal?! - niedowierzająco zapytał Nowicki. - Przecież tam właśnie schwytają nas jak amen w pacierzu!

- Zgadzam się z tobą, Gran Pajonal również nie wchodzi w rachubę.

- Więc co nam pozostaje?!

- Musimy iść wprost na wschód, przez dżungle i między wrogie białym plemiona.

- Na wschód, mówisz? To znaczy ku granicy brazylijskiej, a więc w przeciwnym kierunku od miejsca spotkania ustalonego z Tomkiem!

- Teraz trafiłeś w dziesiątkę! Czeka nas długa, ryzykowna droga, ale dzięki temu ominiemy Gran Pajonal, który tak samo jak południowy zachód jest pilnie strzeżony przez Kampów oraz ich sprzymierzeńców.

- Niby racja, ale nakładając drogi, możemy się spóźnić na spotkanie z Tomkiem! A cóż on by wtedy uczynił?! Jak amen w pacierzu próbowałby przedostać się do nas i wpadłby prosto w pułapkę. Musimy temu zapobiec za wszelką cenę!

- Jedyńm sposobem jest stawienie się w uzgodnionym miejscu jeszcze przed przybyciem Tomka - powiedział Smuga. - Toteż nie możemy dłużej zwlekać z ucieczką.

- Dobrze to wszystko przemyślałeś - przyznał zafrasowany Nowicki.

- Sęk tylko w tym, że nie mamy broni, ekwipunku i tragarzy. Na dobitkę ta dzierlatka szamana wspomniała o jakichś Witotach i Kaszybach. Czy oni naprawdę są ludożercami?

Smuga powtórnie nabił fajkę tytoniem, przypalił od tłącego się w kącie kaganka i dopiero wtedy odezwał się:

- Etnografią pasjonuję się od wielu lat. Obecnie też nie marnotrawiłem czasu w niewoli. Przy każdej okazji zbierałem informacje o plemionach w Montanii. Poznanie ich zwyczajów mogło przydać się również podczas ucieczki, o której nigdy nie przestawałem myśleć.

- Zawsze zdumiewają mnie twoje wiadomości o świecie i ludziach

- wtrącił Nowicki. - Ty, Tomek i jego szanowny ojciec to chodzące encyklopedie. Mów, mów, słucham!

- Nad górną Aguaitią[11] mieszkają wojowniczy Kaszybowie, nazywani przez Czamów "Ludem nietoperza". Nienawidzą białych oraz Indian z obcych plemion. Po rzece pływają na małych tratwach. Mężczyźni chodzą nago, a kobiety okrywają biodra krótką spódniczką. Zabitemu wrogowi odcinają głowę, ręce i nogi. Z wyrwanych zębów robią ozdoby, natomiast kończyny wygotowują aż do odpadnięcia mięśni. Potem z kości wyrabiają piszczalki i groty do strzał. Podczas gotowania makabrycznych trofeów wojennych niektórzy czasem skosztują tej osobliwej "zupy", chcąc w ten sposób przyswoić sobie odwagę lub siłę zabitego wroga. Z tego też zapewne powodu powstało mniemanie o ich ludożerstwie. Mówiono mi także, iż palą oni zwłoki zmarłych krewnych razem z osobistym dobytkiem, prochy natomiast zjadają, aby przejąć przymioty tych, którzy od nich odeszli.

- Wręcz nieprawdopodobne rzeczy opowiadasz! - zdumiał się Nowicki. - Czy o Witotach również udało ci się czegoś dowiedzieć?

- Witotowie są prawdziwymi ludożercami i łowcami ludzkich głów. Zjadają wrogów zabitych na wojennych wyprawach. Za szczególny przysmak uważają serce, wątrobę i szpik kostny. Zdobyte głowy wrogów pomniejszają do rozmiarów głowy noworodka. W plemieniu tym widoczne są wpływy afrykańskich Murzynów, niewolników zbiegłych z plantacji. Otóż Witotowie porozumiewają się za pomocą tam-tamów oraz grają na bambusowych fletach i bębnach. Niektórzy z nich mają także wełniste włosy. Tańce Witotów oparte są na wzorach indiańskich i afrykańskiej sambie.

- Dziwne mi się wydaje, że Witotowie będąc ludożercami nie pozjadali zbiegłych do nich niewolników murzyńskich! - zdumiał się Nowicki. - Ale z tam-tamami to prawda, już o tym słyszałem.

- Widocznie Indian i Murzynów jednoczyła nienawiść przeciwko białym - odpowiedział Smuga. - Wpływy murzyńskie są jeszcze widoczniejsze u Indian Kokama, żyjących w pobliżu Iquitos. Wielu z nich posiada indiańskie skośne oczy i murzyńskie grube wargi.

- A niech to wściekły wieloryb połknie! - mruknął Nowicki. - Miły to i wesoły kraik z tej Montanii!

- Masz rację, Tadku! - przytaknął Smuga. - Wszak Montania jest ojczyzną pokuny, czyli świstuły lub dmuchawki, jak ją niektórzy nazywają. Tych pokun używają Jivarowie i Yahuanie, także polujący na ludzkie głowy. To właśnie Yahuanie ucięli głowę nieszczęsnemu bratankowi Nixona.

- Pamiętam, pamiętam, opowiadałeś mi o tym strasznym wydarzeniu. Przecież z tego powodu wpadłeś w tarapaty. Jeszcze chciałem cię zapytać o Czamów, którzy uważają Kaszybów za ludojadów.

- Plemię Czamów składa się z trzech szczepów: Kunibo, Ssipibo i Ssetebo. Czamowie to raczej spokojny lud prowadzący wędrowny tryb życia w poszukiwaniu pożywienia. Niczym europejscy Cyganie, włóczą się grupkami po rzekach i jeziorach Montanii w małych, charakterystycznych łódeczkach, które są dla nich tym, czym stały się mustangi dla Indian preriowych w Ameryce Północnej. Czamowie na ogół są bardzo leniwi, toteż zadowolają się zdziczałą juką, bananami i rybami, na polowanie zaś wyruszają dopiero wtedy, gdy ich kobiety gwałtownie domagają się mięsa.

- Jak widzę, słusznie mówi się, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło - zauważył Nowicki. - Ładnie byśmy wyglądali, gdyby to

Czamowie nas więzili! Kampowie przynajmniej nie morzą nas głodem. Wypiję jeszcze łyk masato, a ty mów dalej, Janie.

- Czamowie wierzą jedynie w czary i szamanów, którzy jakoby posiadają w swej piersi zatrute kolce mogące powodować u innych ludzi śmiertelne choroby. Wszyscy Czamowie zniekształcają głowy niemowlętom[12]. Gdy kobieta urodzi bliźnięta, uważają, że to kara za kiedyś popełnioną przez nią zbrodnię. Bliźnięta, jako złe duchy, żywcem zakopują w ziemi, podczas gdy matka żyje później w odosobnieniu i pogardzie. Jeżeli zdarzy się również, że matka umrze podczas porodu, to ojciec zakopuje noworodka razem z nią.

- Trudno uwierzyć w takie barbarzyństwo! I to mają być według ciebie raczej spokojni ludzie?! - oburzył się Nowicki.

- Drogi kapitanie, mówiąc tak miałem na myśli jedynie ich stosunek do innych. W rzeczywistości Czamowie wojują tylko z Kaszybami, których się bardzo obawiają. Może zetkniemy się z Czamami, ponieważ spotyka się ich nad brzegiem Ukajali aż do okolic Cumarii[13].

- Czy to ma znaczyć, że są przyjaźnie ustosunkowani do białych?

- Nie, oni również nienawidzą białych, którzy zmuszają ich do niewolniczej pracy, ale już się pogodzili ze smutnym losem. Niektórzy nawet chętnie odwiedzają swoich patronów, czyli rzekomych opiekunów, posiadających tyle dziwnych i nie znanych im rzeczy.

- Dobre i to dla nas! - powiedział Nowicki. - Sęk tylko w tym, że sami nic nie mamy. Gdybyśmy chociaż posiadali broń, na pewno dalibyśmy sobie radę. Ale nie traćmy ducha, przecież jakoś to będzie!

- Słusznie, Tadku, słusznie mówisz! - przytaknął Smuga. - Nie uznaję załamywania rąk! Nie będziemy mieli broni, ponieważ wszystko,} co udało się ukryć, oddałem Tomkowi.

- To zrozumiałe! - rzekł Nowicki. - Tomek miał trudniejsze zadanie, musiał ocalić kobiety.

- Wiedziałem, że tak powiesz - potwierdził Smuga z uśmiechem. - Przecież obydwaj pragniemy dobra Tomka i Sally.

- Mówisz, Janku, jakbyś czytał w moich myślach - przyznał Nowicki. - Jeśli teraz tak bardzo zależy mi na wydostaniu się stąd, to tylko dlatego, żeby nie narażać ich na dalsze niebezpieczeństwa.

- Wiem - przytaknął Smuga. - Myślę, że damy sobie radę. Wprawdzie przez jakiś czas będziemy bezbroni, lecz przecież później możemy się natknąć na obóz zbieraczy kauczuku i od nich coś zdobyć.

- Mała nadzieja dla nas, bo cóż moglibyśmy dać im w zamian?

- Kto wie, może nawet więcej, niż się spodziewasz - zagadkowo odparł Smuga.

- Ha, skoro tak mówisz, to nie rzucasz przecież słów na wiatr.

- Ufaj mi i nie kłopotz się tym. Byłeś tylko jak najprędzej wyzdrowiał. Teraz pójde między Kampów do osady. Na pewno jeszcze plotkują o wczorajszych wydarzeniach. Warto wiedzieć, co w trawie piszczy, a ty wypoczywaj!

- Zgoda, przymknę oczy, po sutym śniadaniu sen mnie morzy - odparł Nowicki, układając się wygodnie na pryczy.

SYN SŁOŃCA

Minęło kilka dni. Nowicki był już niemal zdrowy. Rana na nodze szybko się zabiłniała. Właśnie miał zamiar ubrać się i pójść do osady, gdy Smuga wszedł do komnaty i jeszcze w progu odezwał się:

- Coś niezwykłego dzieje się dzisiaj u Kampów!

- Czyżby jakieś złe nowiny? - zaniepokoił się Nowicki.

- Obcy Indianie przybyli o świcie. Teraz naradzają się z miejscowymi kurakami[14]. Od czasu mego uwięzienia nie widziałem tutaj obcych przybyszów.

- Ciekawe, po jakie lichy przyszli? - powiedział zaintrygowany Nowicki.

- Wszyscy są bardzo podnieceni - dodał Smuga. - Oby to nie skomplikowało naszych spraw!

- Nie powinniśmy dłużej zwlekać! Za dwa, trzy dni możemy pryskać! Ale że coś się dzieje, to fakt! Spójrz, co Agua przyniosła dzisiaj rano!

Mówiąc to wskazał na pryczę. Leżały na niej spodnie, podkoszulek,, flanelowa koszula i skórzana kamizelka bez rękawów. Smuga uważnie przyjrzał się ubraniu, a potem zdumiony rzekł:

- Ależ to wszystko nowe i uszyte jakby na ciebie!

- Bo też jest to naprawdę moje ubranie - odparł Nowicki.

- Skąd ona je wzięła? Przecież w skąnym ekwipunku, z jakim tu przyszliście, nie było ubrań.

- Święta prawda! - przytaknął Nowicki. - Twój były przewodnik, którego przypadkiem napotkaliśmy umierającego, wskazał nam szlak omijający Gran Pajonal, ale i tak nie uniknęliśmy zasadzki.

- Domyślam się reszty - wtrącił Smuga. - W walce padło kilku waszych ludzi, więc musieliście porzucić część ekwipunku.

- Tak właśnie było! Trzech naszych zginęło, a zranioną Natkę musieliśmy jakiś czas nieść na noszach. Toteż część ekwipunku ukryliśmy w skałach. Mógł się przydać w powrotnej drodze. Widocznie po naszym odejściu Kampowie znaleźli pozostawione bagaże i przynieśli je tutaj.

- Nic mi o tym nie wspomnieli - mruknął Smuga i zapytał: - Czy oprócz ubrań zostawiliście coś więcej?

- Zaraz, zaraz, niech pomyślę! Z grubszych gratów był mały namiot z moskitierami, w którym sypiały kobiety, hamaki, trochę zapasowych ubrań, filtr do wody, garnki, no, sporo różnych drobiazgów.

- Czy jakąś broń także zostawiliście?

- Trzech poległych Cubeów pochowaliśmy z ich karabinami, ale Kampowie mogli porozkopywać groby i wziąć broń. Naboje jednak zabraliśmy wszystkie.

- Razem z bronią, z którą przyszlście tutaj, stanowi to całkiem niezły arsenał, chociaż w rozgardiaszu po wzięciu was do niewoli udało mi się ukryć dwa karabiny i rewolwer, który potem dałem Tomkowi - powiedział Smuga. - Ciekawe, co oni zrobili ze zdobytymi rzeczami?

- Sądząc po moim ubraniu przyniesionym przez Ague, chyba mają wszystko w osadzie. Gdybyśmy mogli się dostać do naszych bagaży! Nasze akcje od razu poszłyby w górę.

- Nie tylko broń mogłaby mieć dla nas olbrzymie znaczenie. W każdym razie nie zauważyłem, żeby któryś z Kampów używał tego typu karabinów, jakie wyście mieli, a przecież uczę ich obchodzenia się z bronią palną. Oni posiadają odtylcówki produkowane we Francji i Niemczech specjalnie dla Indian.

- Na pewno jednak mają odebrane nam tutaj karabiny, a prawdopodobnie i te znalezione przy zabitych Cubeach. Słuchaj, Janie, nadstawię ucha i poniucham. Agua musi coś wiedzieć.

- To bardzo prawdopodobne, przecież jest ulubienicą Onariego - potwierdził Smuga. - To człowiek przebiegły i znaczący u Kampów. Zwróć baczniejszą uwagę na Ague, ale na litość boską, bądź ostrożny i przezorny! Jedno nieopatrzne słowo może zniweczyć nasze plany, nawet kosztować nas głowy. Igramy z ogniem na otwartej beczce prochu!

- Nie obawiaj się, Janie, będę dobrze trzymał język na wodzy. Ciekaw jestem, nad czym Indiancy tak radzą? Źle dla nas czy dobrze,

chowanie głowy w piasek niczego nie zmieni. Najlepiej chodźmy do Kampów, może się czegoś dowiemy.

- Rada dobra, więc się ubieraj! - zdecydował Smuga.

Nim minęła godzina, już wkraczali do osady. Od razu było widać, że tego ranka życie Kampów nie biegnie codziennym, utartym trybem. Obydwaj biali przyjaciele wiedzieli, że mieszkańcy lasów tropikalnych, wbrew błędnym mniemaniom mieszczuchów, musieli toczyć nieustanną walkę z zaborczą egzotyczną przyrodą w celu zdobycia skromnego pożywienia. Zwłaszcza kobiety obarczone były wieloma różnymi obowiązkami. Uprawiały kukurydzę, jukę, słodkie kartofle, fasolę, ryż, trzinę cukrową, tytoń, zbierały owoce, gotowały posiłki, wyrabiały gliniane naczynia, sporządzały masato, szyły odzienie, robiły ozdoby, gromadziły opał i wychowywały dzieci. A gdy mąż wyruszał na wyprawę wojenną, żona szła razem z nim, by nieść jego łuk i strzały oraz worek z pożywieniem.

Życie mężczyzn, choć wiele czasu spędzali na pogadankach i plotkowaniu, również dalekie było od sielanki. Do nich należało polowanie na zwierzyne, łowienie ryb, sporządzanie łodzi, wiosel, łuków, strzał i narzędzi oraz karczunek lasu pod poletka uprawne. Ich obowiązkiem było bronić kobiet i dzieci, wyruszać na wyprawy wojenne, na których albo zabijało się przeciwnika, albo samemu ginęło z jego rąk. Rozliczne zajęcia wypełniały im bez reszty czas od wschodu do zachodu słońca.

Tego ranka jednak w osadzie działo się inaczej niż zazwyczaj. Przed chatami było widać gromadki mężczyzn. Przykucali na piętach bądź siedzieli na kłodach ściętych drzew i wiedli rozmowy. Kobiety także nie wyszły na poletka. Niby to zajmowały się sprawami gospodarskimi, ale co chwila zbiegały się tu i tam na wymianę spostrzeżeń i tak jak mężczyźni, ciekawie zerkały ku chacie narad. Nawet dzieciarnia i psy były tego ranka mniej hałaśliwe.

Przybycie białych jeńców do osady nie uszło uwagi Kampów. Szczególne zaciekawienie budził Nowicki, który zjawił się po raz pierwszy od dnia, kiedy zraniła go puma. Wszyscy spoglądali na niego z uznaniem, uśmiechali się i pozdrawiali. Niektóre młodsze kobiety posyłały mu zalotne spojrzenia. Dzieci pokazywały go sobie rękami.

Smuga z Nowickim właśnie mijali większą grupę wojowników rozprawiających przed dużym domem wielorodzinnym. Na widok

nadchodzących przerwali rozmowę, jeden z nich podniósł się z pnia i zawołał:

- Witajcie, wirakucze! Przysiądźcie się do nas!

Był to wojownik zwany Czuasi, cieszący się dużym mirem w osadzie. Smuga znał go dobrze, ponieważ należał do najgorliwszych jego uczniów w nauce posługiwania się bronią palną. Czuasi był wysokim, atletycznie zbudowanym mężczyzną. Pod jego brunatną skórą prężyły się dobrze wyrobione mięśnie znamionujące siłę. Twarz miał pomalowaną na czerwono, we włosach na głowie nosił zatknięte papuzie pióra. Znany był powszechnie z wielkiej zuchwałości oraz okrucieństwa na wojennych wyprawach. Mimo to obecnie zachowywał się przyjacielsko i swobodnie, choć z pewną godnością, jak człowiek świadom swego znaczenia. Przyjaznym ruchem dłoni wskazał jeńcom miejsce na kłodzie obok siebie mówiąc:

- Siadajcie! Wszyscy chętnie posłuchamy o walce z pumą. Wiele rozprawiano o tym przy wieczornych ogniskach.

Nowicki usiadł między Czuasim a Smugą, machnął ręką i rzekł:

- Nie ma o czym gadać! Po prostu musiałem zabić pumę, która ostrzyła sobie zęby na Agugę i jej dziecko. To wszystko!

- Zabiłeś? - zdziwił się Czuasi. - Mówiono, że udusiłeś ją rękami!

- A cóż innego mogłem zrobić, skoro odebraliście mi broń?

- z humorem odparł Nowicki.

Kampowie wybuchnęli śmiechem, ubawieni prostoduszną odpowiedzią jeńca. Czuasi zmieszał się, ale po chwili i on śmiał się również.

Smuga nabijał fajkę tytoniem. Spod oka obserwował groźnych wojowników, którzy w tej chwili sprawiali wrażenie rozbawionych chłopców opowiadających sobie dowcipy.

- Onari mówił, że puma rozszarpała ci nogę, ty zaś mówisz: udusiłem ją i to wszystko! - zagadnął któryś z Kampów.

- Ha, jeśli o to chodzi, to faktycznie drasnęła mnie pazurami w udo

- wyjaśnił Nowicki.

- To zaszczytna rana, powinieneś się nią chwalić - powiedział Kampa.

- Gdybyś nie nosił ubrania tak jak my, wszyscy moglibyśmy podziwiać twoją odwagę - wtrącił ktoś inny.

- Czy naprawdę chcecie zobaczyć ranę?! - zdumiał się Nowicki, a gdy usłyszał liczne potakiwania, rozpiął spodnie, zsunął je i odwinął bandaż.

Kampowie podchodzili kolejno, z poważnymi minami bacznie oglądali podłużną, dość głęboką, już zablizniającą się ranę. Głośno wymieniali uwagi. Czuasi również przyjrzał się ranie, po czym dłonią klepnął w plecy Nowickiego i powiedział:

- Biały jesteś, kumpa, ale mimo to dzielny i dobry z ciebie człowiek. Nie gardzisz Indianami tak jak inni wirakucze.

Nowicki również poufale klepnął Czuasiego w plecy, mówiąc:

- Nigdy nie zadzieram nosa, poza tym mam wielu przyjaciół wśród Indian. Nawet omal nie ożeniłem się z córką jednego wodza.

- Nie żałuj, żeś jej nie wziął - powiedział Czuasi. - U nas też możesz sobie znaleźć nawet kilka żon. Powiedz tylko!

Nowicki zmieszał się takim obrotem rozmowy. Uważał, że żona dla marynarza jest tym samym co kotwica dla statku. Na szczęście nagłe poruszenie w kręgu słuchaczy wybawiło go z kłopotliwej sytuacji.

Smuga korzystając z zamieszania szepnął po polsku do przyjaciela:

- Uwaga! Narada skończona!

Z obszernego domu właśnie wychodzili wodzowie razem z obcymi Kampami. Ci ostatni odróżniali się ubiorem od półnagich miejscowych kuraków, gdyż nosili jednobarwne, brązowe lub niebieskie, długie kuźmy. Na głowach mieli korony z włókien palmowych przybrane jaskrawymi piórami ptaków, opasujące czarne, krótko przycięte włosy. Z sąsiedniej chaty wybiegła gromada kobiet również ubranych w kuźmy, różniące się tylko tym od męskich, że posiadały poprzeczne wycięcia na głowę zamiast podłużnych. Były to zapewne żony przybyszów, ponieważ każda z nich niosła łuk, pęk długich strzał oraz worek z pożywieniem.

Na czele gromady znajdował się półnagi Onari, a obok niego niski, smukły mężczyzna ubrany w długą, podniszczoną kuźmę oraz starą czapkę z daszkiem, często zwaną w Polsce cyklistówką.

Na widok nadchodzącej starszyny Kampowie otaczający Smugę i Nowickiego stanęli półkolem wyczekująco. Obcy Indianin, w oryginalnym jak na południowoamerykańską dżunglę nakryciu głowy, szedł teraz tuż przed szamanem. Wszyscy usłużnie i z nie skrywaną obawą ustępowali mu z drogi. Obcy niepozorny mężczyzna szedł pewnym

krokiem przez samorzutnie tworzący się szpaler Kampów wprost ku dwóm białym jeńcom.

- Któż to jest ten na przedzie? - półgłosem zagadnął Smuga stojącego obok niego Czuasiego.

- To jest... Tasulinczi[15], główny wódz wolnych Kampów z Gran Pajonalu - niezbyt chętnie wyjaśnił Czuasi.

Tasulinczi tymczasem podszedł do jeńców. Stał przed nimi mierząc ich zimnym, przenikliwym spojrzeniem. Wszyscy Kampowie z szacunkiem rozstąpili się przed nim. Nawet zuchwały nieustraszony Czuasi cofnął się nieco.

- Dzień dobry - po hiszpańsku odezwał się Tasulinczi. - Wiele nasłuchałem się o was, więc przyszedłem was poznać. Witajcie!

Mówiąc to kolejno podał rękę Smudze i Nowickiemu, jednocześnie zwyczajem południowoamerykańskim poklepał każdego z nich po łopatkach.

- Mówisz, że słyszałeś o nas, ale myśmy dotąd ciebie nie spotkali. Kim jesteś? - swobodnie zapytał Smuga.

- Yo soy hijo del soi! [16]- wymijająco odparł Tasulinczi i zaraz chełpliwie dodał: - Nie szkodzi, że nie słyszeliście o mnie dotąd, jeszcze przyjdzie na to czas!

Obcy Kampowie i Kalmpijki, którzy towarzyszyli Tasulincziemu, niedowierzająco patrzyli na białych mężczyzn. Korzystając z chwilowej przerwy w rozmowie, ostrożnie podeszli do nich, rękami dotykali ich twarzy, aby się upewnić, czy nie są pomalowani na białą. Potem obmacywali ubranie Nowickiego, buty, wsuwali palce w jego włosy, głośno komentując wszystko między sobą.

Opanowany Smuga ze stoickim spokojem znosił te niecodzienne objawy ciekawości, lecz porywczy Nowicki zmarszczył brwi i mruknął po polsku:

- Cóż to za zwariowane cudaki?! Chyba trzepnę któregoś w ucho!

- Nie rób głupstw, Tadku! - ostrzegł Smuga. - Oni po prostu po raz pierwszy widzą białych ludzi.

Kampowie wkrótce zaspokoiли swą ciekawość. Odstąpili od jeńców, a wtedy Tasulinczi zwrócił się do Smugi:

- Więc to ty nauczyłeś moich wojowników posługiwania się bronią białych ludzi. Dziękuję ci za to!

Potem odwrócił się do Nowickiego i powiedział:

- Słyszałem, że i ty nie gardzisz Indianami. Ocaliłeś żonę i dziecko Onarię. Tobie również dziękuję. Widziałem skórę dużej pумы, którą udusiłeś. Niełatwa to musiała być walka. Widziałem także robiony dla ciebie naszyjnik z kłów i pazurów pумы. To zaszczyt mieć taką odznakę! Musisz być niezwykle silny. Czy mógłbyś zabić człowieka uderzeniem pięści?

- Jeśli jesteś ciekaw, to powiem, że pewnego razu uderzeniem pięści w łeb powaliłem byka, który tratował człowieka - chępliwie odparł No wieki.

- Czegoś takiego jeszcze nie widziałem! - zdumiał się Tasulinczi i zapytał: - Pirowie znad rzeki Tambo opowiadali, że jesteś bardzo bogaty. Mówiłeś im, że w swoim domu za oceanem masz jedenaście żon. Czy to prawda?

- Święta prawda! - niefrasobliwie potwierdził Nowicki. - Jak z tego wynika, bywasz w La Huairze u tego zbója i łowcy niewolników, Pancha Vargasa, bo właśnie jego Pirowie wypytywali mnie o żony.

- Bywam tam czasem, gdy odwiedzam Pirów, naszych sprzymierzeńców.

- No, no, dobrzy z was sprzymierzeńcy - ironicznie powiedział Nowicki. - Skoro jednak tak bardzo się przyjaźnicie, to może powiesz mi, dlaczego wynajęci przez nas tragarze z plemienia Pirów obawiali się iść z nami do kraju Kampów?

- Pytasz mnie, dlaczego Pirowie nie chcieli iść z wami do kraju Kampów - przeciągle powtórzył Tasulinczi. - Dobrze, odpowiem ci! Bardzo, bardzo rzadko może się komuś udać dotrzeć aż tutaj, ale jeszcze trudniej jest stąd wyjść... żywym. Zrozumiałeś? Znajdujecie się w głównej kwaterze wolnych Kampów.

W miarę jak Tasulinczi mówił, dobroduszny dotąd wyraz jego twarzy ulegał zmianie. Przez krótką chwilę odzwierciedlały się w niej bezwzględność i zimne okrucieństwo.

Nowicki ze złowieszczym uśmiechem na ustach już zaczął pochylać się ku Indianinowi, lecz czujny Smuga natychmiast mocno oparł dłoń na jego ramieniu i odezwał się:

- Mówisz, kurako, niezwykle intrygujące rzeczy, ale lepiej zapamiętuje się przestrogi, gdy zna się tego, kto ich udziela. Jak dotąd nie wymieniłeś swego nazwiska.

Indianin przymrużonymi oczyma mierzył białych jeńców, lecz twarz jego znów była pogodna. Wreszcie uśmiechnął się i odparł:

- Nazywam się Tasulinczi. Zapamiętajcie to dobrze. Radzę rozejrzeć się wśród tutejszych kobiet. Przy wiernej żonie mężczyzna zapomina

o troskach. No, teraz czas już na mnie. Adios, amigos! [\[17\]](#)

Podał jeńcom rękę, poufale poklepał ich po plecach, po czym odwrócił się i odszedł, a za nim podążyła cała jego świta. Większość Kampów ruszyła za swymi kurakami, toteż biali jeńcy, już nie zatrzymywani przez nikogo, opuścili osadę. W milczeniu szli ku kamiennemu miastu. Zanim jednak weszli pomiędzy ruiny, Smuga przysiadł na głazie wskazując zamyślonemu Nowickiemu miejsce obok siebie. Dopiero po dłuższej chwili pierwszy się odezwał:

- I co sądzisz o tym wszystkim, kapitanie?

- Wydaje mi się, że ten czerwonoskóry mikrus przyszedł tutaj dolać oliwy do ognia - odparł Nowicki.

- Chyba się nie mylisz - potwierdził Smuga. - Właśnie dziwna myśl strzeliła mi do głowy!

- Co to za myśl? - zaciekał się Nowicki.

- Posłuchaj cierpliwie - odparł Smuga. - Kampowie przygotowują rebelię przeciwko białym. Wiesz, w jakim celu sprowadzili mnie

I uwięzili. Obawiałem się, że będziecie mnie szukali. Gdyby udało się wam wpaść na mój trop, czekała was śmierć. Chciałem temu zapobiec, więc pewnego razu udałem, że wpadam w trans hipnotyczny i przepowiedziałem wasze przybycie. Mówiłem, że widzę przyjaciół podążających moim śladem. Opisywałem dokładnie Tomka, ciebie i Dinga, ponieważ byłem pewny, że jeżeli rozpoczniecie poszukiwania, to wy dwaj i Dingo na pewno będziecie uczestniczyli w wyprawie. Wasze przybycie do Gran Pajonalu zaskoczyło Kampów. Zaczęli wierzyć, że jestem obdarzony nadnaturalną mocą. Dzięki temu wymogłem na nich doprowadzenie was do mnie żywych.

Wszystko, co później nastąpiło, tłumaczyłem działaniem niezwykłych sił. Mówiłem ci już, że ktoś jednak musiał widzieć uciekinierów i donieść o tym Kampom.

- W takim razie wiedzą także, iż nasze dziewczyny ocalały - wtrącił Nowicki. - Dlaczego wobec tego nie zemścili się na nas?

- Pytasz, dlaczego jeszcze żyjemy? To bardzo przesądni ludzie. Wierzą w czary i nadzwyczajną moc czarowników. Sądzą, że jestem czarownikiem. Po prostu trochę się mnie boją. Przepowiedziałem im wasze przybycie, sam strącałem obydwie ofiary w przepaść, a mimo to one żyją i w tajemniczy sposób umknęły razem z resztą naszych towarzyszy.

- A niech to wieloryb połknie! Nie pomyślałem o tym - zdumiał się Nowicki. - To dlatego zapewne ciebie bardziej pilnują niż mnie! Mów dalej, Janie!

- Wbrew buńczucznym pogrożkom Tasulinczego, Kampowie muszą sobie zdawać sprawę, że skoro Tomek szukając mnie zdołał dotrzeć do ich tajnej kwatery, to obecnie może po raz drugi przyjść tutaj z większymi siłami, żeby nas oswobodzić. To mogłoby im utrudnić, może nawet udaremnić rebelię w Montanii. Z tych względów zapewne główny wódz przybył na naradę z miejscowymi kurakami.

- Do licha, tak może być naprawdę! Gdybyśmy mogli się dowiedzieć, co oni postanowili! - zafrasował się Nowicki.

- Czy to tak trudno odgadnąć? - zapytał Smuga. - Zastanów się tylko, co byś uczynił, będąc na ich miejscu?

- Co ja bym zrobił?! Czekał, niech pomyślę... Ha, wszcząłbym bunt nie czekając na powikłania!

- To samo właśnie przyszło mi do głowy - powiedział Smuga.

- Jeżeli się nie mylimy, to życie nasze nie jest już warte nawet funta kłaków. Ukręcą nam łby jak kurczakom - powiedział Nowicki. - Dlaczego jednak ten podstępny mikrus

radził nam poszukać sobie żon?

- Dymna zasłona, kapitanie.

- Więc chciał zamydlić nam oczy!

- Nie możemy tego mieć mu za złe - odparł Smuga. - Powstanie jest dla Kampów grą o najwyższą stawkę, o wolność.

NOC ZŁYCH DUCHÓW

Tego samego dnia przed zapadnięciem wieczoru Smuga i Nowicki wymknęli się na potajemne spotkanie z Aguą. Ostatnie wydarzenia mogły oznaczać, że krytyczna, decydująca o ich losach chwila już nadchodzi wielkimi krokami.

Otóż wkrótce po intrygującym spotkaniu z Tasulinczim Kampijki, jak czyniły to codziennie, przyniosły pożywienie. Agua weszła do komnaty pierwsza, ukradkiem znacząco dotknęła palcem ust. Dawało to wiele do myślenia, ponieważ od czasu ocalenia przed napaścią pumy lubiła rozmawiać z Nowickim. Kobiety postawiły naczynia zjedzeniem na ławie, po czym zaraz wyszły. Po chwili jednak Agua powróciła niby to po zapomniany koszyk, a biorąc go szepnęła:

- Przed zmierzchem będę w ruinach miasta - i natychmiast wybiegła na korytarz.

Dziwne zachowanie Aguy zaniepokoiło przyjaciół, toteż wkrótce po południu Smuga wyruszył do osady na przeszpiegi. Złowieszcze przewidywania potwierdziły się: Kampowie, dotąd usposobieni dość przyjaźnie, obecnie milkli na jego widok lub po prostu udawali, że go nie widzą. Zapewne na naradzie kuraków z Tasulinczim musiały zapaść ważne decyzje, które spowodowały nagłą zmianę nastroju mieszkańców osady. Cóż to mogło oznaczać? Jeśli Kampowie postanowili przyspieszyć wybuch powstania w Montanii przeciwko białym, to nad jeńcami zawisło groźne niebezpieczeństwo. Smuga zbyt dobrze poznał Indian, aby mógł tego nie docenić. Ich łagodność i szlachetność kończyła się z chwilą wykopania wojennego toporu. Podczas wojny wyzwały się drzemiące w nich nieposkromione namiętności, wtedy stawali się bezwzględni, okrutni i nie znali uczucia litości.

Smuga, nie chcąc zbyt długo rzucać się w oczy stroniącym od niego Kampom, powrócił do Nowickiego. Resztę dnia spędzili w swej komnacie, która znajdowała się w budowlu częściowo wykutej w skale.

Na parterze było używane przez wszystkich wyjście na stromą ścieżkę do osady. W dzień nikt nie pilnował jeńców. Ucieczka bez broni i niezbędnego ekwipunku oznaczała nieuniknioną śmierć w bezludnych górskich ostępach. Jedynie w nocy dwóch lub trzech strażników przebywało na dole w pobliżu wyjścia, ale nie ograniczali swobody jeńców, pełniąc raczej rolę obserwatorów.

W tej skalnej budowlu również było potajemne przejście podziemne do świątyni w ruinach miasta Inków, znane obecnie tylko nielicznej starszyźnie Kampów. Smuga wszakże, który od dawna interesował się starożytnymi budowlami w różnych częściach świata, sam nie tylko odnalazł ukryty korytarz, ale też przeniknął inne tajemnice nieznane nawet Kampom. Tak więc mógłby teraz z Nowickim niepostrzeżenie przedostać się podziemnym korytarzem do świątyni, ale stamtąd tylko jedno, widoczne jak na dłoni, szerokie schody wykute w skale umożliwiały zejście na niższy taras, do głównej dzielnicy ruin miasta. Wolał więc skorzystać ze znanego wszystkim wyjścia, a potem klucząc z Nowickim w zaroślach podkradli się do muru otaczającego dolny taras. Kamienny mur w wielu miejscach częściowo już zapadł się w ziemię, więc prześliznęli się przez jedną z

większych wyrw. W ten sposób ominęli główną bramę, którą tworzyły dwa gładko ociosane, wysokie filary oraz poziomo położony na nich szeroki kamienny blok z wyrytym pośrodku symbolem Słońca. Wprost stamtąd szeroka brukowana ulica prowadziła do schodów wiodących na wyższy taras.

W wymarłym mieście zewsząd ziała pustka i zagłada. Węższe boczne ulice częściowo się pozapadały bądź przecinały je głębokie szczeliny. Większość domów, zbudowanych z gładko obrobionych i dokładnie dopasowanych do siebie bloków kamiennych, układanych bez spajania zaprawą, leżała w ruinie. Jedne pogrążyły się w ziemi, w innych rozstały się mury. Z wyjątkiem kilku budowli krytych kamiennymi płytami, reszta pozbawiona była strzech, które rozpadły się już dziesiątki lat temu. Jedynie na górnym tarasie widać było ogromną świątynię zachowaną prawie w całości. Właśnie na jej zapleczu znajdowała się budowla, gdzie Kampowie przetrzymywali jeńców. Na zaniebanych, zniszczonych przez kataklizmy ulicach oraz w ruinach domów bujnie pieniły się chwasty, dzikie krzewy, tu i tam wyrosły wysokie drzewa. W powietrzu unosił się kwaśny odór nagromadzonych odchodów nietoperzy.

Smuga z Nowickim ostrożnie przemykali przez rumowiska, w których obecnie gnieździły się jedynie węże, szczury, drapieżne ptaki

i nietoperze. Nigdzie jednak nie było Aguy, a tymczasem zachodzące słońce już słało na niebie purpurowe odblaski.

- Może nie udało się jej wymknąć spod kurateli Onariego - przyciszonym głosem zagadnął Nowicki przepatrując ruiny. - Jeśli wkrótce nie nadejdzie, to po ciemku nie odważy się przyjść do tej trupiarni.

- Upiorne wrażenie sprawia to cuchnące cmentarzysko - powiedział Smuga.

- Tomek mówił, że to zapewne trzęsienie ziemi...

Nowicki urwał w połowie zdania, gdyż w pobliżu zaszleściły krzewy. Agua, trochę zadyszana, stanęła przed jeńcami.

- Jesteście już, to dobrze! - powiedziała cicho, niespokojnie zerkając wokoło. - Wodzowie postanowili wielką wojnę z białymi. Musicie uciekać!

Smuga zmierzył Agnę przenikliwym spojrzeniem, po czym zapytał:

- Dlaczego nam to mówisz? Czy możemy ufać temu, kto zdradza swoich?

- Byłam pewna, że tak powiesz, ale to nie zdrada - porywczo zaprzeczyła Indianka. - Patrz, jak słońce dzisiaj czerwieni niebo! Nim miną cztery wieczory, Ukajali będzie tak samo czerwona od krwi białych ludzi. Gdybyście umknęli nawet zaraz, to i tak nie zdążycie ostrzec innych białych. Widzisz więc, że nie zdradzam swoich, bo już nie możecie nam zaszkodzić!

- Więc dlaczego nas ostrzegasz? Jesteśmy również białymi ludźmi.

- Gdyby wszyscy wirakucze byli tacy, nie byłoby wojny między nami - odparła, potem odwróciła się do Nowickiego i dodała: - Ostrzegam was, kumpo, bo nie chcę twojej

śmierci!

Nowicki, który milczał do tej pory, pochylił się ku Indiance, dotknął dłonią jej ramienia i powiedział:

- Dobry i uczciwy z ciebie człowiek. Czy wodzowie zamierzają nas zabić?

- Najpierw zaproponują, żebyście przystąpili do Kampów i wyruszyli z wojownikami przeciwko białym - odparła Agua.

- A jeśli odmówimy, ukatrupią, czy tak? - pytał Nowicki. Agua przytaknęła skinieniem głowy.

- Mówisz, że chcesz nam uratować życie - odezwał się Smuga. - Czy jednak możemy się ocalić uciekając stąd nawet bez broni?

- Wirakucze, wiem, gdzie jest ukryta wasza broń. Dlatego tu przyszedłem!

- Więc stamtąd także przyniosłaś moje ubranie - powiedział Nowicki.

- Nie, kumpo! To zrobił Onari, bo nikt inny by się nie odważył wejść do kryjówki złych duchów.

- Nie obawiam się waszych złych duchów - wtrącił Smuga. - Jeżeli naprawdę chcesz nam pomóc, to powiedz, gdzie jest ukryta broń.

- Wszyscy mówią, że ty, wirakucze, jesteś wielkim czarownikiem

- szepnęła Agua, z lękiem zerkając na Smugę. - Wiedziałaś, że nie *przerażą* cię złe duchy!

- Więc mów, gdzie jest ukryta broń! - ponaglił Smuga.

Agua jeszcze raz trwożliwie rozejrzała się po ruinach, po czym drżącym głosem szepnęła:

- Tam wyżej, w tym dużym domu, w którym nasi przodkowie modlili się do Słońca. Szukaj na ścianie węża z czerwonymi ślepiami. Naciśnij jego łeb, wtedy otworzy się przed tobą droga do złych duchów.

- Jak się o tym dowiedziałaś? - indagował Smuga.

- Widziałam, jak Onari to robił, gdy brał ubranie dla kumipy.

- Więc jednak ty również byłaś w tej kryjówce i złe duchy nie zrobiły ci nic złego - powiedział Smuga. - Nie musi tam być tak strasznie, jak opowiadasz!

- Nie mów tak, wirakucze! - oburzyła się Agua. - Tylko Onari odważył się wejść do nich. Ja czekałam przed ścianą z węzem, która zaraz sama się zamknęła. Bądź bardzo ostrożny!

- Czy jesteś pewna, że broń jeszcze się tam znajduje?

- Pewna jestem, wirakucze - potwierdziła Indianka.

- Czy nie obawiasz się, że Onari odgadnie, kto wskazał nam schowek?

- zapytał Nowicki. - Wiesz, w jaki sposób Kampowie karzą zdrajców. Nie chcemy twojej zguby!

- Nie kłopot się tym, kumpo! Nic złego mi się nie stanie... nawet gdyby Onari odgadł prawdę. Inni uwierzą, że to jakaś nowa sztuczka białego czarownika.

- Wydaje mi się, że nie mówisz wszystkiego - odezwał się Smuga przeszywając wzrokiem Indiankę. - Czy Onari kazał ci powiedzieć nam o wojnie i wskazać, gdzie jest ukryta broń?

Agua spojrzała Smudze prosto w oczy nie okazując żadnego zmieszania. Po chwili odparła:

- Nieufny jesteś, wirakucze. Muszę już wracać. Onari z wojownikami wkrótce wrócą znad rzeki, gdzie przygotowywali łodzie dla Tasulinczego. Starsze żony mojego męża są w domu. Ostrzegłam was!

Uciekajcie!

Prostoduszny Nowicki wzruszony znów pochylił się ku Indiance.

I1 jął w dłonie jej głowę i delikatnie pocałował w czoło, na którym czernił się namalowany mały wąż, chroniący jakoby przed ukąszeniem żmij.

- Naprawdę cię polubiłem, Aguo - rzekł. - A teraz żegnaj!

- Lubię cię bardzo, kumpo. Gdybym mogła, poszłabym z tobą. Uciekaj do rzeki, kumpo, pamiętaj! - ze znaczącym naciskiem szepnęła Agua, a potem szybko zniknęła w zaroślach.

Dopiero gdy umilkły szelesty, Smuga się odezwał:

- Ależ ty masz szczęście do kobiet! Aż dziw, że dotąd jesteś kawalerem!

- Nie amory mi w głowie teraz! - odburknął Nowicki. - Ale nie powiem, że nie polubiłem tej małej dzikuski! Czy nie podejrzewasz w tym wszystkim jakiejś intrygi Onariego?

- Coś mi się zdaje, że on wie o wszystkim - odparł Smuga. - Indianki są dobrymi, wiernymi żonami. Agua chyba nie spletałaby mężowi takiego paskudnego figła!

- Więc myślisz, że to pułapka?!

- Trudno odgadnąć prawdę. Już postanowiliśmy zresztą uciekać. Musimy zaryzykować. Czasem dobrze jest postawić wszystko na jedną kartę, zwłaszcza gdy ktoś podsuwa do ręki atutowego asa!

- Święta racja, Janie, choć mój ojczulek mawiał: "Nie graj Wojtek, nie przegrasz portek!"

Już po zachodzie słońca powrócili do komnaty. Smuga, nie zapalając kaganka, poprowadził przyjaciela do otworu okiennego. Na dworze było ciemno, choć oko wykol. Jedyne w oddali, w głębi doliny, drgały nikielne odblaski ognisk w osadzie.

Nowicki długo spoglądał w poczerniałe, bezgwiazdne niebo. Nadstawiał ucha w

kierunku gór, węszył jak ogar, aż w końcu przyciszonym głosem rzekł:

- Burza nadciąga nie byle jaka!

- Nie mylisz się? - zapytał Smuga.

- Cóż byłby ze mnie za marynarz, gdybym nie mógł wyniuchać nawałnicy! - oburzył się Nowicki. - Słońce zaszło czerwono, niebo zamglone, w parnym, gorącym powietrzu czuć świeżą wilgoć, wokół cicho jak makiem zasiał... To cisza przed burzą. Tylko patrzeć, jak dmuchnie wichrzysko!

Jakby na potwierdzenie tych słów jaskrawozielona błyskawica rozdarła na wschodzie nieprzeniknioną czerń nieba.

- Widzisz?! - szepnął uradowany Nowicki. - Szczęście nam sprzyja! Ulewa zatrze ślady, utrudni pogoń. Nie ma się co namyślać!

- Tak, tej nocy uciekamy - potwierdził Smuga.

- Oby tylko broń była w schowku...

- Z bronią czy bez niej, uciekamy - zdecydował Smuga. - Zdołałem odłożyć trochę suszonej ryby, mączki kukurydzianej i soli. Mam także pokunę, kołacznik z zatrutymi strzałami i tykwę z bawełną. Przydadzą się do bezgłośnego polowania. Ukryłem również drewnianka używane przez Indian do rozpalania ognia. Z głodu nie umrzemy. Przyniosę wszystko ze schowka przed samą ucieczką. Teraz czekajmy na powrót wojowników z nad rzeki.

Czas wolno mijał. Na wschodzie tymczasem, a później również i na północnym wschodzie błyskało się coraz częściej. W metalicznych upiornych błyskach światła ukazywały się postrzępione pasma szczytów górskich. Naraz nikłe odbłaski ognisk w osadzie rozgorzały jaśniejszym płomieniem. Z dali napłynęły przytłumione ludzkie głosy.

- Wrócili wojownicy z Onarim - cicho odezwał się Smuga.

- Zdążyli przed burzą - powiedział Nowicki. - Czas ruszać!

- Poczekajmy jeszcze, dopóki nie pójdą spać - powiedział Smuga.

- Potem w burzliwą noc już nikt nam nie będzie mógł przeszkodzić. Znowu czuwali w milczeniu. Niebawem ostre podmuchy wicheru

wtargnęły do doliny, zakołysały konarami drzew, sypnęły liśćmi i żwirem. Długa błyskawica przemknęła w powale niskich chmur. Wycie wicheru przygłuszył grzmot, zwielokrotnionym echem przetoczył się po górach. Huraganowy wiatr nadciągał z szerokim poszumem. Ogniska w osadzie przybladły i wkrótce całkowicie zgasły.

- Teraz już czas na nas! - odezwał się Smuga. - Idę po przygotowane rzeczy. Są ukryte w pobliżu. Wkrótce przyjdę po ciebie, po czym przekradniemy się do świątyni. Zjedz coś i czuwaj. Bądź gotów do drogi, wprost ze świątyni uciekamy.

- Czy nie roztropniej od razu iść razem? - zaniepokoił się Nowicki.

- Co dwóch, to niejeden. W razie niespodzianki mógłbym cię osłaniać.

- Nic mi nie będzie groziło. Schowek jest blisko, Kampowie go nie znają. Miej oczy i uszy otwarte!

Smuga uchylił maty. Wymknął się na korytarz. Po omacku dotarł do schodów, zszedł na półpiętro. Wydobyl z kieszeni kuźmy pudełeczko

z zapalkami, które otrzymał od Tomka i przechowywał na czarną godzinę. Żółtawy, pełgający płomyk oświetlił skalną ścianę pokrytą rzeźbami głów zwierzęcych. Smuga oparł lewą dłoń na łbie jaguara, dmuchnięciem zgasił zapalną; niedopałek wsunął do kieszeni, aby nie pozostawić żadnych śladów. Obiema dłońmi przekręcił łeb jaguara w odwrotne położenie, pchnął ścianę. Część muru ustąpiła. Smuga prześliznął się przez szczelinę, po ciemku zamknął kamienne drzwi, opuścił ryglującą listwę. Przy błysku drugiej zapalnej wziął z małej niszy w murze kaganek. Zapalił go. Schodził krętymi, wąskimi kamiennymi schodami, dopóki nie dotarł do naturalnej groty. Tutaj na każdej z trzech prostopadłych ścian widniały płaskorzeźby symbolizujące Słońce.

Smuga podszedł do prawej ściany, postawił kaganek na ziemi. Przesunął płaskorzeźbę i popchnął skalny blok. Stał na progu niewielkiej pieczary. Usłyszał jęklive świsty wichury szalejącej na dworze, pieczara bowiem posiadała otwarty na zewnątrz wylot. Górną jego krawędź osłaniał zwisający występ skalny, podczas gdy dolna urywała się nad ziejącą przepaścią.

W pobliżu wylotu wisiała na drewnianych belkach bambusowa owalna rama, wypleciona elastycznymi lianami. Wysunięcie jej na zewnątrz pozwalało kapłanom Inków ocalać piękniejsze dziewczęta stręcane w przepaść na ofiarę Słońcu, gdyż pieczara znajdowała się pod występem skalnym, na którym dopełniano krwawego obrzędu.

Na widok sieci odżyły w pamięci Smugi dramatyczne przeżycia, gdy żona Tomka i Natasza skakały w przepaść. Ciepły uśmiech pojawił się na jego ustach.

W tejże chwili jakiś strzępiasty cień bezszelestnie zachybotał w powietrzu. Coś włochatego musnęło jego głowę. Zgasł kaganek. Zimny dreszcz przeniknął Smugę. Uzmysłował sobie, że nie opodal znajduje się starożytne cmentarzysko Inków. Zaraz się jednak otrząsnął, usłyszawszy piski nietoperzy. Ponownie zapalił kaganek. Pokuna oraz worek z resztą rzeczy leżały w kącie pieczary. Smuga wyniósł je do groty, po czym wrócił po kaganek. Gdy znów znalazł się z płonącym kagankiem w grocie, ogarnęło go dziwne uczucie. Wydawało mu się, że część środkowej ściany drgnęła, jakby ktoś ukryty za nią przyciągnął ją do siebie. Za tamtą ścianą właśnie znajdował się podziemny korytarz wiodący poza ruiny miasta. To tajemne przejście odkryte przez Smugę umożliwiło mu oswobodzenie Tomka i reszty przyjaciół.

”Przywidziało mi się - pomyślał. - Nikt nie wie o tym podziemnym przejściu.”

Podniósł wyżej kaganek, uważnie przyjrzał się ścianie. Płaskorzeźba znajdowała się we właściwym położeniu. W chybotliwym świetle cień Smugi przybierał fantastyczne kształty na gładkich ścianach groty.

- Przywidzenie, nic więcej! - szepnął.

Nie poddał się niepokojącemu nastrojowi, jaki zazwyczaj ogarnia człowieka w pełnych tajemnic podziemiach. Podszedł do lewej ściany groty. Za tym murem znajdowały się groby Inków i skarb nad skarby, którego okrucich mógłby każdego uczynić nababem[18].

Smuga jednakże nie łaknął bogactw. To, co zarabiał łowieniem dzikich zwierząt, wystarczało mu na urządzenie wypraw i poznawanie świata. Niczego więcej nie pragnął. Obecnie więc nie myślał o sobie. Z jego powodu najbliżsi przyjaciele znaleźli się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Zdawał sobie sprawę, że ucieczka bez niezbędnego wyposażenia łatwo może się zakończyć katastrofą. Gdyby nawet napotkali obóz zbieraczy kauczuku, niczego by od nich nie dostali bez zapłaty. Tutaj tymczasem bezużytecznie leżały nieprzebrane bogactwa...

Jedynie Tomkowi zdradził tajemnicę Inków. Wtedy właśnie ten wspaniały chłopak powiedział, że na tym złocie ciąży klątwa podstępnie wymordowanych Indian. Obydwaj postanowili nie mówić nikomu o znalezieniu legendarnego skarbu, ponieważ dalsze nieszczęścia i okrucieństwa spadłyby na potomków Inków. Czy mógł więc obecnie sam wziąć cokolwiek dla ratowania przyjaciół?

Tocząc w myślach wewnętrzną walkę, mechanicznie przesunął płaskorzeźbę. Wszedł do podziemnej sali nie zamykając otworu za sobą. Wzdłuż jednej ściany stały rzędem duże, bazaltowe sarkofagi. Za nimi, w mniejszej niszy, siedziały w otwartych grobach mumie spowite w miękko wyprawione skóry lam, na które miały nałożone odświętne odzienie. Obok zwłok leżały osobiste rzeczy codziennego użytku. Smuga tylko zerknął na cmentarzysko, po czym wszedł do bocznej sali mieszczącej skarbiec.

Szczerozłoty tron, posągi bogów oraz dawnych władców, wykonane ze złota bądź srebra, w świetle kaganka przybierały czerwono-brunatną barwę krwi. Wspaniałe szmaragdy złożone na dużych paterach iskrzyły

się jak baśniowe błędne ogniki. W naczyniach leżały złote pierścienie, bransolety, zausznice, naszyjniki, bryłki rodzimego złota. Była tam również przepiękna broń, bogate ubiory oraz misternie rzeźbione figury różnych zwierząt i ludzi...

Smuga zadumany spoglądał na nieprzebrane skarby. To właśnie dla ich zdobycia konkwistadorzy hiszpańscy wytoczyli z Indian morze krwi. Skarby te nie mogły nikomu przynieść szczęścia, ponieważ zbyt wysoką cenę musieli za nie zapłacić nieszczęśliwi Inkowie. Ukryli je przed żądnymi bogactw, okrutnymi białymi ludźmi, więc powinny nadal pozostać tylko urokliwą legendą. Nie wolno mu nic z nich uszczknąć, nawet dla ratowania przyjaciół.

Twarz Smugi wypogodziła się, jeszcze raz obrzucił wzrokiem skarbiec, po czym odwrócił się ku wyjściu. Za ledwie po kilku krokach zamarł w bezruchu. Ujrzał błysk światła.

Na progu skarbcza stał półnagi Onari bez korony na głowie. W lewej dłoni trzymał płonącego kaganek, w prawej rewolwer wymierzony w pierś Smugi. Na jego biodrach zwiisał

pas z drugim koltem w pochwie.

”To już koniec...” - przemknęło Smudze przez myśl. Nie miał szans obrony. Nawet gdyby zgasił swój kaganek, Onari nie mógłby chybić z tak bliskiej odległości. Smuga zdał sobie sprawę, że popełnił fatalny błąd, drgnięcie ściany kryjącej podziemny korytarz nie było przywidzeniem.

Onari milczał. Jego brunatna twarz, jakby wykuta z kamienia, nie odzwierciedlała żadnych uczuć. Tylko połyskujące czarne oczy mierzyły przeciwnika czujnym spojrzeniem.

- Nie doceniłem cię, Onari - po chwili odezwał się Smuga. - Na co? czekasz? Wygrałeś! Strzelaj!

- Wiedziałem, że przed ucieczką z przyjacielem przyjdiesz po złoto - powiedział Onari. - Chciałeś już stąd wyjść, dlaczego więc nic nie wzięłeś?

Smuga westchnął i po chwili odparł:

- Chyba nie zrozumiesz mnie, ale nie mogłem się na to zdobyć. Inkowie zapłacili za te skarby życiem. Zdawało mi się, że na wszystkim tutaj widzę ich krew...

Onari przez chwilę rozważał w myśli słowa Smugi, potem znów zapytał:

- Zapewne pokazałeś te skarby twoim przyjaciołom, którzy uciekli przez podziemny korytarz?

-Tylko mój młody jasno włosy przyjaciel, którego żonę skazaliście na śmierć, był tu ze mną. To on właśnie powiedział, że na tym złocie ciąży klątwa podstępnie pomordowanych Indian. Obydwaj wtedy postanowiliśmy nic stąd nie brać i nikomu nie zdradzić tajemnicy Inków. Mój przyjaciel potrafi milczeć, jeszcze nigdy nie złamał danego słowa. Czy wiesz, co by się działo w Montanii, gdyby biali dowiedzieli się o tym skarbie?

- Wiem, wirakucze!

- Słuchaj, Onari, zanim naciśniesz spust rewolweru, powiedz, w jaki sposób odkryłeś te podziemia?

- Pomogli mi twoi przyjaciele - nieco kpiąco wyjaśnił Onari. - Znalazłem ich ślady w pobliżu wylotu podziemnego korytarza. One doprowadziły mnie aż tutaj. Od wewnętrznej strony widać, jak można otwierać skały. Odkryłem wszystko! Wiem, w jaki sposób uratowałeś białe kobiety!

- No, Onari, chyba już powiedzieliśmy sobie wszystko. Kończmy nasze... spotkanie. Opuść lufę rewolweru trochę niżej i strzelaj!

Szaman pochylił się, postąpił dwa kroki.

- Sam zdecydowałeś o swoim losie. Nie odpłacam kulą za szlachetność - powiedział stłumionym głosem. Potem wepchnął rewolwer do pochwy, zdjął pas i podał go Smudze. Ten zaś przez chwilę spoglądał niedowierzająco na szamana. Wreszcie odgarnął kuźmę i założył pas na biodra.

Onari tymczasem wszedł do skarbcza. Przykucnął przy dzieżach ze złotem. Smuga dopiero teraz spostrzegł leżące w kącie na posadzce próżne białe woreczki. Był to dowód, że szaman już przedtem przychodził do skarbcza, ponieważ woreczki sprzed stuleci dawno rozsypałyby się w proch. Smuga natychmiast odgadł prawdę. Kampowie przygotowywali zbrojne powstanie. Potrzebowali broni, mogli ją kupić za złoto! Zapłacili złotem Inków, złotem odkrytym dziwnym zrządzeniem losu przez białych ludzi.

Szaman nie zwracał uwagi na Smugę. Podniósł z posadzki dwa woreczki. Większy napełnił grudkami złota, w mniejszy wrzucił kilka garści szmaragdów, po czym obydwie zawiązał rzemieniami. Podeszedł do Smugi.

- Skarby te, wirakucze, były własnością potężnych Inków - powiedział. - Kampowie są ich potomkami, więc to wszystko jest teraz nasze. Ty, wirakucze, nie masz nic, lecz nie jesteś chciwy jak inni biali. Tobie

można zawierzyć tajemnicę, ty nie zdradzisz jej nikomu. Szkoda, że nie jesteś jednym z nas! Daję ci ten okruch skarbu jako przyjacielowi Indian. Może duchy czuwających tu zmarłych władców tej ziemi pozwolą ci ocalić twoje i kumpy życie. Róbcie, jak powiedziała Agua. Uciekajcie natychmiast! Wiedz, że jeśli pogoń was schwyta, zginiecie obydwaj!

Onari wcisnął do rąk zdumionego Smugi pękate woreczki i lekko popchnął go ku wyjściu. Smuga włożył złoto i szmaragdy do worka ze skromnymi zapasami, zabrał pokunę, po czym wyszedł z podziemi.

UCIECZKA

Nowicki gotów do ucieczki niecierpliwie oczekiwał na Smugę. Zasepiony spoglądał na nikły płomyk kaganka w kącie komnaty. Nasłuchiwał odgłosów burzy, która rozszalała się na dobre. Odblaski błyskawic co chwila czyniły dzień z nocy, przeciągłe grzmoty z piorunami przetaczały się po górach, przygłuszając skowyczenie wichury.

W miarę upływu czasu coraz większy niepokój nurtował Nowickiego. Dlaczego Smuga nie wraca tak długo? Czy nie popełnili błędu rozłączając się w tak decydującej chwili? Naraz uchyliła się mata osłaniająca wyjście na korytarz, Smuga wszedł do komnaty.

Nowicki odetchnął z ulgą, natychmiast zerwał się z pryczy. Zaledwie jednak przybliżył się do Smugi, zaraz pojął, że musiało zajść coś niezwykłego. W wyrazie twarzy zawsze opanowanego podróżnika malowało się wzburzenie i napięcie.

- Co się stało, Janie? - z niepokojem zapytał.

- Nie czas na wyjaśnienia - krótko odparł Smuga, kładąc na posadzce worek i pokunę. Potem zrzucił z siebie kuźnię.

- Fiu, fiu? - cicho gwizdał zaskoczony Nowicki, ujrawszy na biodrach przyjaciela pas z rewolwerami. - Więc jednak sam poszedłeś do świątyni?!

- Nie, pójdziemy tam teraz. Bierz rewolwery, zroluj derki! Nowicki nie pytał więcej. Szybko nałożył na biodra pas z koltami,

sprawdził, czy są nabite, następnie zwinął skórzane derki, związał je rzemieniem. Smuga tymczasem wyjął ze skrzyni koszulę, spodnie i buty, w których został wzięty do niewoli, ubrał się, przewiesił sobie przez ramię kuźnię swoją i Nowickiego oraz obydwie derki. Następnie w jedną rękę ujął kaganek, w drugą worek i pokunę.

- Idziemy! - rozkazał. - Gdybyśmy się na kogoś natknęli, wiesz, co masz robić?!

Nowicki tylko się upewnił, czy nóż lekko wychodzi z pochwy.

Wyśliznęli się z komnaty. Pierwszy szedł Smuga. Wkrótce przez ukryte przejście wprowadził Nowickiego w wąski, niski korytarz. Krętymi schodami to schodzili w dół, to pięli się w górę, aż wreszcie pionowy mur zagroził dalszą drogę.

- Podnieś listwę, pchnij ścianę! - polecił Smuga.

Nowicki ostrożnie uchylił tajemne drzwi. Usłyszeli świst wichru i plusk ulewy. Weszli do olbrzymiej, pustej sali z głębokimi niszami po obydwóch bokach. Powoli obchodzili salę oświetlając kagankiem kamienne ściany, na których jeszcze się zachowały fragmenty malowanych obrazów.

- Spójrz, Janie! Tam są węże! - szepnął Nowicki.

Nie opodal na murze znajdowało się duże, wyblakłe, częściowo już zatarte malowidło, tworzące całość z płaskorzeźbą wyrytą w kamieniu. Płaskorzeźba przedstawiała kłębowisko węży splecionych jakby w płynącą po jeziorze tratwę, której trzon stanowił

potężny gad z podniesionym do góry łbem. W jego ślepiach krwawo połyskiwały szlachetne kamienie. Na grzbietach gadów stał namalowany sędziwy, brodaty, strojny mężczyzna. Węże w kłębowisku oraz inne płynące obok również posiadały błyszczące kamienie w ślepiach, ale tylko ten jeden, największy, miał czerwone.

- To chyba tutaj... - szepnął Smuga. - Tadku, naciśnij łeb z czerwonymi ślepiami!

Pod naporem ramienia Nowickiego część ściany ustąpiła, ukazując wiodące w dół wąskie kamienne stopnie. Nowicki wziął kaganek. Pierwszy wszedł do niszy. Obejrzał mur od wewnętrznej strony. Naciśnięcie łba węża podnosiło zasuwę.

- Już wiem, jak się ściana otwiera i zamyka, idziemy! - rzekł. Zamknął zamaskowane wejście. Znaleźli się w niszy. Zeszli do

podziemia. Nowicki podniósł do góry kaganek rozglądając się po lochu.

- No, są nasze manatki, ale, jak widać, już dobrze przebrane - po chwili odezwał się zawiedziony.

- Na szczęście sztucery zostały! - uspokoił go Smuga. - Widzisz? Stoją tam w kącie!

Nowicki natychmiast postawił kaganek na posadzce. Podbiegł do broni. Wprawnie dokonał przeglądu. Uradowany odezwał się:

- Są w porządku, ten z lunetą jest mój, ten drugi Tomka. Ha, co widzę! Dwa pudełka nabojów, czyli dwie setki! No, jesteśmy uzbrojeni!

Smuga tymczasem przetrząsał porozrzucone w nieładzie przedmioty. Odłożył dwa hamaki, brezentową płachtę do rozpinania zamiast namiotu, skarpety, blaszany kociołek z pałakiem. Potem opróżnił dwa worki z pasami do przewieszania przez ramię.

- Przestań szperać, Tadku! Pomóż mi! Po jednym hamaku i kocu do każdego worka. Pakuj też swoją kuźnię! Spiesz się!

- Co nagle, to po diable! - flegmatycznie odparł Nowicki. - Patrz, co jeszcze znalazłem!

- Kompas?! - ucieszył się Smuga. - Dziwne, że go nie zabrali!

- Mam też notes, kawałek ołówka i mały słoik, który może zastąpić kubek - dodał Nowicki. - Nie warto już więcej szukać. Kampowie wzięli wszystko, co przedstawiało dla nich wartość. Czort z nimi tańcował! Grunt, że mamy broń!

W milczeniu zapakowali odłożone rzeczy. Wtedy Smuga otworzył woreczek otrzymany od Onariego, wyjął z niego garstkę bryłek złota i wręczając je przyjacielowi powiedział:

- Licho wie, co może się przytrafić podczas ucieczki. Miej to przy sobie!

Nowicki zdumiony zapytał:

- Ejże, brachu! Przecież to złoto! Skąd je masz?!

- Później powiem! Bierz!

Nowicki oddał kawałek płótna ze strzępów bluzy porzuconej na posadzce, zawiązał w

nie złoto i wepchnął do kieszeni. Potem wydobył z pochwy rewolwer.

- Janie, weź jeden kolt - powiedział. - Wprawdzie poza nabojami w pasie nie znalazłem więcej amunicji, ale w starciu wręcz rewolwer jest najlepszą bronią.

- Mam trochę naboji rewolwerowych - odparł Smuga zatykając kolt za pasek spodni. - Słuchaj, Tadku! Agua radziła uciekać w kierunku rzeki. Czy wiesz, którą rzekę miała na myśli?

- A jakże! To rzeczka płynąca na południowy wschód. W zaroślach na brzegu Kampowie przechowują łodzie. Do nich to zapewne odprowadzili dzisiaj Tasulinczego.

- Czy znasz drogę?

- Znam, byłem tam już raz!

- Trafisz w nocy?

- Trafię!

- To prowadź!

Zarzucili na ramię worki i sztucery opuszczone lufami w dół. Smuga podniósł również pokunę. Po chwili znaleźli się w wielkiej sali świątyni. Ostrożnie szli ku wyjściu po ciemku, ponieważ zgaszony kaganek pozostawili w niszy za tajemnymi drzwiami do podziemia. Przeciągłe poświsty wichury zagłuszały kroki, błyskawice rozdzierały czerń nocy, ale grzmoty z piorunami jakby oddalały się na południe.

Zanim dobrnęli w tropikalnej ulewie do schodów prowadzących na niższy taras, przemokli do suchej nitki. Wartkie strumienie szumiały na oślizłych kamiennych stopniach. Zmagając się ze smagnięciami deszczu z wichrem, dotarli do głównej bramy starożytnego miasta. Nowicki wkrótce odnalazł wąską i wyboistą leśną ścieżynkę wiodącą w dół zbocza. Weszli w las. Tutaj gwałtowność wichury trochę osłabła. Słysząc było szum rwącej w dół stoku wody, stopy grzęły w błocie. Wokół ścieżki czerniła się gęstwa leśna. Im niżej schodzili, tym drzewa potężniały, kryły swe korony w płataninie lian, które w górze zasłaniały zasnute burzowymi chmurami niebo.

Nowicki z trudem przyspieszał kroku. Stopy się ślizgały, grzęły w rozmięklej ziemi, zahaczały o wystające korzenie, mokre gałęzie smagały jak bicze. W gęstwinie leśnej wichur już nie był tak gwałtowny, ale rozlegający się czasem łoskot padających drzew świadczył o trwającej nawałnicy. Nowicki uparcie szedł w dół zbocza, tylko od czasu do czasu zerkał za siebie, aby się upewnić, czy Smuga za nim nadąża. Na szczęście nie musieli zachowywać ostrożności. Potoki deszczu rozmywały ślady, wichur wchłaniał odgłosy.

Długo brnęli przez dżunglę, przemoknięci i zziębnięci. Wreszcie jednak deszcz ustał tak nagle, jak przedtem zaczął padać. Ucichła wichura, umilkły grzmoty. W szczelinach powały zieleni ponad ścieżką zamigotały gwiazdy. Srebrzysta poświata księżycy zaczęła tu i tam przenikać w spleciony *gąszcz* koron drzew. Ciemny las zapachniał świeżymi, aromatycznymi woniami tropikalnych roślin i dzikich owoców.

Nowicki przystanął, aby nabrać tchu.

- Odpocznijmy trochę! - rzekł do Smugi. - Noga mi doskwiera, mokreportki ocierają ranę.

- Nareszcie po burzy! - przytłumionym głosem powiedział Smuga. - Ja też muszę odsapnąć. Pierwszy raz od uwięzienia mnie odbywam dłuższą wędrówkę w tak ciężkich warunkach. Chyba już ominęliśmy osadę?

- A jakże! Pozostała na południowym zachodzie - potwierdził Nowicki. - Jeżeli nie będziemy mitrężyli, to wkrótce po świcie staniemy

na brzegu rzeki. Teraz wezmę twój worek, Janie, będzie ci lżej iść. Niby to tropik, a lodowate ciarki przenikają człowieka!

- Już myślałem, że grad zacznie padać. Tutaj są większe różnice między temperaturami dnia i nocy niż między latem i zimą.

Zaledwie nieco odetchnęli, ruszyli dalej przez dżunglę. Rozmiękła ziemia, śliska, nabrzmiała wilgocią zieleń, kolczaste bambusy i liany czyniły ucieczkę bardzo uciążliwą. Mimo to uciekinierzy wciąż podążali w dół zbocza. Wreszcie jednak stromizna zaczęła się wyrównywać. Ciszę nocną zakłóciło miarowe rechotanie wielkich ropuch, gnieźdzących się w nadrzecznych bajorach. Wkrótce też dał się słyszeć szum wartkiego nurtu rzeki.

Nowicki przystanął.

- Słyszysz, Janie? - zagadnął.

- Słyszę, rzeka już niedaleko. Woda musiała wezbrać po nocnej nawałnicy.

- Jak amen w pacierzu tak się stało - powtórzył Nowicki. - Chodźmy, lada chwila świt!

Ścieżyna stopniowo stawała się szersza. Uciekinierzy grzęzli w błotnistej mazi, gdyż równiejszy teren utrudniał odpływ wody nagromadzonej podczas burzy. W pobliżu rzeki skrawek lasu został wycięty, aby ułatwić dostęp do brzegu, lecz mimo to wędrówka wcale nie była łatwiejsza. Gęste chwasty, bujnie pieniące się w tropikalnych górskich dolinach, osiągały wysokość dorosłego człowieka i często nawet nie ugięły się pod stopami.

Na otwartej przestrzeni noc znacznie pojaśniała. Gwiazdy przybladły. Daleko na wschodzie na ciemnogrnatowym niebie rozbłysnęły krwawe odbłaski. Na brzegu i po wzburzonej rzece snuła się mleczna mgiełka. Naraz gdzieś w gąszczu leśnym rozległ się donośny krzyk ptaka. Jakby w odzwie na hasło natychmiast rozwrzeszczały się papugi, którym zawtórowały chrapliwe, przeraźliwe głosy wyjców, "krakanie" czapli, klekot bocianów i kwilenie jastrzębi. Dżungla budziła się z nocnego snu. Świtało...

Nowicki zaczął się rozglądać po nadbrzeżnych zaroślach, w których Kampowie przechowywali łodzie. Agua tak znacząco doradzała ucieczkę ku rzece, jakby była pewna, że znajdą tam łódź nadającą się do użycia. Domysły Nowickiego wkrótce się potwierdziły. W gąszczu już dotykającym wezbranej wody ukryta była wyciosana z jednego pnia łódka o płaskim dnie. Leżały w niej dwa łopatkowate, krótkie wiosła

oznakowane wypalonymi oryginalnymi wzorami, umożliwiającymi rozpoznanie, czyją są własnością. Oprócz nich znajdowała się tam długa, gładka żerdź do popychania łodzi na

płycażach. Nowicki okiem znawcy obejrzał solidną łódź odporną na działanie słońca i przypadkowe uderzenia.

- Ha, tylko wsiadać i płynąć! - mruknął zadowolony.

Potem myszkując dalej w zaroślach odkrył jeszcze dwie większe łodzie, w których nie było wiosła. Powrócił do mniejszej łódki i zaczął spychać ją na wodę. Nie było to trudne, gdyż po nocnej ulewie w górach niewiele brakowało, żeby porywisty nurt poniósł łódź.

- Janie! - zawołał.

Po chwili Smuga z workiem i pokuną znalazł się przy łódce już zanurzonej dziobem w wodzie.

- Muszę przyznać, kapitanie, że twoja indiańska sympatia spisała się na medal! - pochwalił Smuga. - Czy są tu jeszcze jakieś łodzie?

- A jakże! Dwie znacznie większe, ale bez wiosła.

- Indianin nie zostawia swoich wiosła. Są jego prywatną własnością

- wyjaśnił Smuga. - Skoro znalazłeś wiosła w łódce, to możesz być pewny, że ktoś chciał ułatwić nam ucieczkę. O tym pogadamy później, teraz ruszajmy!

- Janie, na wyprawie to tak jak w wojsku. Zawsze musi być dowódca

- rzekł Nowicki. - Ty jesteś dowódcą, ale pozwól, że na wodzie ja obejmę komendę. Rzeka wzburzona, woda duża, różnie może się przydarzyć. Widzisz, z wodą jestem obyty od szczeniaka. Wyrosłem nad naszą kochaną Wisłą, pełną zdradliwych wirów, zmiennych prądów i mielizn. Już jako chłopak ratowałem powodzian i topielców.

- Zgoda, kapitanie! Widziałem twój mistrzowski wyczyn na Amurze[19]. Rozkazuj!

- Dobra! Sztucery na ściągniętych pasach zakładamy na plecy. Naboje pod koszule! Obwiążemy się lianą, żeby nie wypadły. W nagłej potrzebie mamy kołty pod ręką. W razie wywrotki płyn do najbliższego brzegu. Worki i pokuną na mojej głowie. Teraz siadaj przy dziobie, bierz wiosło, zagarniasz z lewej strony. Pilnuj dobrze wiosła, bo jeśli wypuścisz z rąk, już po nim.

Smuga skinął głową i usiadł na wyznaczonym miejscu. Zdawał sobie sprawę, że żeglowanie po wzburzonej rzece wymaga dużej sprawności, śmiałości, odwagi i siły. W tych zaletach celował olbrzymi marynarz z Powiśla. Nowicki, zanim usiadł w łodzi, uważnie rozejrzał się wokoło...

Było już prawie widno. Cykady właśnie rozpoczęły swój poranny chóralny koncert. Mgła z wolna opadała, nikła w jaskrawych barwach wschodu. Wzburzona, mętna, żółta toń rzeki niosła gałęzie palm, trzciny, kępy wodorostów podobne do wysepek. W głębi topieli natomiast kryły się porażające prądem drętwy elektryczne, jadowite płaszczki, czyli raje, żarłoczne piranie, podobne do małych węgorzy rybki canero podstępnie wślizgujące się w otwory ludzkiego ciała, krokodyle oraz setki mniej lub bardziej groźnych stworzeń. Tak więc przymusowa kąpiel mogła się tragicznie skończyć dla niefortunego żeglarza.

Obydwa brzegi rzeki gęsto porastały drzewa, smukłe palmy, bambusy i trzciny. Płatanina korzeni wyzierała z niedostępnych brzegów i zanurzała się w rzece. W górze gęszcz konarów, niczym olbrzymi parasol, zwisał nisko nad wodą, ocieniając przybrzeżne pasy rzeki. Płynąc takim naturalnym tunelem łódź byłaby trudna do zauważenia, lecz krycie się pod płaszczem roślinności również nie należało do bezpiecznych. Z gałęzi bowiem mogła się osunąć jadowita zmija lub potężna anakonda czatująca nad wodą na łup, na łódź mogły się też sypnąć roje zdradliwych leśnych mrówek czy jadowitych os.

Po chwili namysłu Nowicki odezwał się:

-Wydaje mi się, Janku, że ten mikrus Tasulinczi ze swoimi dzikusami zbyt daleko wczoraj nie odpłynął. Burza na pewno zmusiła ich do schronienia się na brzegu. Czy nie za wcześnie ruszamy za nimi?

- O tym samym w tej chwili myślałem - odparł Smuga. - Śmierć depcze nam po piętach i czai się przed nami.

- Szybciej byśmy umykali środkiem rzeki, ale wtedy Tasulinczaki od razu nas wypatrzą. Bezpieczniej, ale za to znacznie wolniej możemy płynąć przy brzegu, gdzie w razie potrzeby moglibyśmy szybko przycupnąć w gęszczu. Jak radzisz, Janie?

- Pościg jest dla nas groźniejszy - odpowiedział Smuga. - Kampowie mają większe łodzie i więcej wioślarzy. Mogą nas dogonić. Tasulinczi natomiast, wobec niedostępności brzegów, mógłby wylądować tylko gdzieś na piaszczystej łasze, która będzie widoczna z pewnej odległości. Przez jakiś czas możemy płynąć środkiem rzeki, potem jednak posterujesz w pobliże brzegu.

Nowicki uciął kilka elastycznych lian, którymi przewiązali się w pasie, żeby zabezpieczyć przed wypadnięciem pudełka z nabojami schowane pod koszulami. Następnie umieścił worki oraz pokunę na dnie łódki, zepchnął ją na wodę i wskoczył na rufę.

Łódź porwana gwałtownym prądem zanurzyła się głęboko, niczym znarowiony rumak zachybotła niebezpiecznie, próbowała odwrócić się rufą do przodu, ale doświadczony marynarz wprawnymi ruchami wiosła ukrócił jej harce, zmusił do posłuszeństwa. Pomknęli z prądem środkiem rzeki. Smuga i Nowicki sterujący łodzią okazali się zgraną parą wioślarzy. Nowicki wypatrywał i zręcznie omijał groźne wiry oraz duże kępy krzewów, a gdy nieraz zderzenie zdawało się nieuniknione, wtedy Smuga szybko odkładał wiosło, by żerdzią odepchnąć łódkę na bezpieczną odległość.

Jak zwykle wczesnym rankiem lub przed wieczorem, ponad rzeką pojawiały się śnieżnobiałe czaple, różowe flamingi, różnobarwne wrzaskliwe papugi i dzikie kaczki. Czasem ponad nimi złowrogo zakołował jastrząb, wtedy ptaki ogarniała panika - jedne zbijały się w kłęb podnosząc przeraźliwą wrzawę, inne co prędzej ratowały się nurkując w gęstwinę leśną. Tropikalny las był królestwem tysięcy różnych ptaków, od największych, jak harpia[20], do najmniejszych kolibrów, często nie większych od pszczoły. Każdy gatunek ptaków odzywał się swoim charakterystycznym głosem. Jedne urzekały śpiewem, inne wydawały niezwykle, ułudne dźwięki.

Amerykę Południową nazwano "ptasim kontynentem", lecz tropikalny las wcale nie był idyllicznym rajem[21]. Pod wspaniałym baldachimem zieleni trwała w przyrodzie nieustanna walka o życie. Drzewa, krzewy oraz porosła zaborczo pięły się ku życiodajnemu słońcu i prawem silniejszego unicestwiały słabsze rośliny. Tak wśród roślin, jak i w świecie zwierzęcym toczył się bój o przetrwanie. Drapieżne zwierzęta urządzały krwiożercze łowy, śmierć osobników jednych gatunków oznaczała życie dla innych. Toteż poranny monotony szum łagodnego wiatru niósł z puszczy jakieś głębokie westchnienia, niesamowite pomruki, dudnienia, śmiechy, gwizdy i klaskania, czasem też rozbrzmiewał rozpaczliwy krzyk ginącego zwierzęcia. Taki był poranny śpiew pierwotnej dżungli.

Nowicki i Smuga w skupieniu łowili uchem tajemnicze odgłosy, przepatrywali brzegi rzeki, co jakiś czas oglądali się za siebie. Tymczasem jak okiem sięgnąć jednolity mur zieleni wciąż zalegał obydwaj brzegi. Wydawało się, że tropikalny las wprost wyrasta z rzeki. Tylko gdzieniegdzie w nadbrzeźnych chaszczach zaczernił się otwór niskiego, ponurego tunelu wydeptanego przez zwierzęta do wodopoju.

Obydwaj przyjaciele po bezsennej nocy i uciążliwej ucieczce podczas burzy odczuwali coraz większe zmęczenie. Słońce już mocno przygrzewało. Płynięcie małą łódką po wezbranej rzece, pełnej groźnych pułapek, nie pozwalało nawet na krótki odpoczynek. Byli więc bardzo wyczerpani i głodni. Nowicki, który zawsze lubił dobrze i dużo zjeść, żuł liście koki z małą domieszką wapna. Przecież wschodnia część peruwiańskich lasów była ojczyzną koki, znanej nawet w Europie. Nowicki, przy okazji wypadów poza osadę Kampów, często zrywał małe, owalne listki, potem suszył je, preparował i odkładał na przewidywaną ucieczkę. Obecnie zerkając na woreczek leżący obok niego na dnie łódki, zachęcał przyjaciela:

- Janie, żuj kokę tak jak ja! Wprawdzie język już mi skołowaciał i w ustach czuję martwość, ale Indianie z powodzeniem oszukują koką brzuch, dzięki czemu stają się wytrzymalsi na trudy. Skoro dzikusy wypróbowały skuteczność koki, dlaczego mamy być głupszy od nich?!

- Od tych "dzikusów" można by się wiele nauczyć, zwłaszcza gdy chodzi o życie w tropikalnych lasach - odparł Smuga.

- To prawda, każdy głupi ma swój rozum - przytaknął Nowicki. Wypluł za burtę łykowatą kulkę o smaku rumianku, w którą w miarę żucia zmieniały się listki. Potem znów rzekł: - Indianiec w dżungli zawsze znajdzie coś do przekąszenia, a nam kiszki skręcają się z głodu!

Czas wolno upływał, żar słoneczny się wzmagał. Słońce z wolna sięgało zenitu. Woda, jak lustro, odbijała padające już prawie prostopadle promienie. Rzeka wprost mieniła się w potopie oślepiającej jasności. Dżungla już dawno pogrążyła się w ciszy, ptactwo zniknęło nad rzeki.

Smuga zmrużył oczy, spojrzął w niebo.

- Wszystko co żywe schroniło się w gęstwinie. Pora również nam skryć się przed tym piekielnym żarem! - rzekł.

- Święte słowa! - skwapliwie przytaknął Nowicki. - Jeśli Kampowie nas ścigają, to również muszą przeczekać największy skwar w cieniu. Z nieba leje się wprost żar. Tasulinczaki teraz na pewno ucinają drzemkę.

- Steruj w prawo! - polecił Smuga.

Łódź wkrótce wpłynęła pod konary drzew zwisające nad brzegami rzeki. Oślepiający blask wody tutaj nie był tak rażący i nurt nieco słabszy. Mimo to żegluga nie stała się łatwiejsza. Pod zielonym baldachimem było bardzo duszno, opary gnijących liści odurzały mdłym zapachem.

W TROPIKALNYM LESIE

Łódź wolno płynęła wzdłuż prawego brzegu ocienionym skrawkiem rzeki. Nowicki i Smuga przepatrywali zwisający nad nimi dach zieleni, ostrożnie manewrowali łódką w płataninie wystających z ziemi korzeni. Po jakimś czasie natrafili na wyrwę w wysokim brzegu. W miejscu tym drzewo podmyte przez wartki nurt niemal poziomo zwiślało nisko nad rzeką. Część rozłożystej korony już się pławiła w wodzie. Tylko dzięki potężnym korzeniom, głęboko wczepionym w brzeg, oraz lianom, które, niby liny okrętowe, oplatały pobliskie leśne olbrzymy, jeszcze dotąd całkowicie nie pogrążyła się w rzece.

- Wymarzona przystań! - cicho zawołał Nowicki. - Łódź ukryjemy w gąszczu gałęzi, sami zaś odetchniemy na brzegu.

- Masz rację, musimy przeczekać skwar i trochę odpocząć - zgodził się Smuga. - Tylko uważaj, Tadku! Nie wolno nadłamać ani jednej gałęzi! Indianie by takiego śladu nie przeoczyli!

Łódź zanurzyła się w gąszcz konarów. Podczas gdy Nowicki przywiązywał ją do gałęzi, Smuga wspinał się na pochyłe drzewo. Rozbrzmiały ostrzegawcze wrzaski małp, pisk i trzepot skrzydeł. Smuga przykucnął na pniu.

- Podaj sztucery i worki! - polecił.

Nowicki po chwili stanął przy nim. Obydwaj przekradli się ku brzegowi. Skraj lasu oraz brzegi rzeki, gdzie było dużo światła, porastał nieprzebyty gąszcz. Tutaj również gęste chaszczki utrudniały dostęp w głąb lasu. Różne gatunki palm o strzępiastych pióropuszcach, kolczaste bambusy spotykane wyłącznie w Ameryce Południowej, trzciny oraz wybudujące krzewy i chwasty tworzyły odstraszący przedsiónek dżungli. Dopiero dalej od rzeki las rzedniał.[\[22\]](#) W cieniu wysokich palisandrów i cedrów amerykańskich panował wilgotny chłód. Promienie słoneczne tylko gdzieniegdzie przenikały przez niemal jednolite sklepienie lian i powojów, które wysoko ponad ziemią oplatały i połączyły korony drzew. Jedne liany pięły się ku słońcu, inne zwiślały z zielonego pułapu ku ziemi jak fantastyczne, ażurowe lestony, pyszniące się płomiennymi kielichami kwiatów. Wysokie drzewa rosły oddzielnie bądź parami lub grupkami, a czasem wśród nich trafiał się samotny olbrzym, który tworzył własne odrębne królestwo.

Smuga i Nowicki rozglądali się po mrocznej, wilgotnej, ponurej dżungli j zazdrośnie kryjącej nieprzebrane bogactwa. Rosły tutaj cenne czarne hebany, złotodajne kauczukowce, drzewa chlebowe, gutaperkowe, łąkowe, cynamonowe, figowce i drzewa żelazne[\[23\]](#) o tak twardym drewnie, że nie miała się ich siekiera, były takie, których sok odżywiał, leczył, a także takie, z których wyciągi oślepiały lub uśmiercały.

W dżungli panowało pierwotne prawo życia. Drzewa same się rozmnażały, pięły ku słońcu, a gdy nadszedł ich kres, padały ze starości. Tu i tam murszejące kłody tworzyły trudne do przebycia zapory. Częste huragany pozostawiały widome ślady - drzewa unicestwione niszczycielską siłą zwiślały pomiędzy innymi, uwięzione przez liany nie pozwalające im runąć na ziemię. W płataninie grubych korzeni i połamanych konarów

krzewiły się drzewiaste paprocie, przeróżne zioła, których właściwości lecznicze znali i wykorzystywali indiańscy szamani. Były tam także rośliny trujące bądź mięsożerne. Wokół unosiły się odurzające zapachy orchidei, wanilii i gnijących roślin.

Smuga i Nowicki z wielką ostrożnością przedzierali się przez gąszcz, żeby nie pozostawić rzucających się w oczy śladów. Prócz małych buszujących przez cały dzień i ptaków nie widzieli ani nie słyszeli innych zwierząt. Były to jednak tylko pozory, w dzień bowiem zwierzęta prowadzące nocny tryb życia odpoczywały w legowiskach, dzienne zaś natychmiast płoszył każdy podejrzany szelest bądź nieznany zapach. W gąszczach czaiły się jadowite węże oraz napastliwe owady i robactwo. Smuga wkrótce wypatrzył olbrzymie, samotnie rosnące drzewo. Z jego rozłożystej korony i wyższych konarów zwisały zwoje lian, które odgradzały olbrzymia od innych roślin lasu.

- Tam się zatrzymamy - odezwał się, wskazując osamotnione drzewo.

- Faktycznie jest to coś w sam raz dla nas - potwierdził Nowicki ściszym głosem, ponieważ olbrzymie pnie drzew przypominały mu majestatyczne kolumny kościelne, a ostre, aromatyczne wonie zapach kadzidła. - Niech to rekin połknie, jakieś osobliwe drzewo wybrałeś!

- Trafne spostrzeżenie, kapitanie! - pochwalił Smuga. - Nie byle kto, bo sławny Humboldt uznał je za najwspanialszy twór tropikalnej przyrody. To sapucaja, orzech amerykański[24]. Jadłeś już chyba orzechy para?

- A jakże, ale Tomek mówił, że to nie orzechy, a nasiona.

- I miał chłopak rację - przyznał Smuga. - Dla nas ważne, że nadają się do jedzenia na surowo. Przed wyruszeniem w drogę trzeba będzie ich trochę zerwać. Kapitanie, nie siadaj na ziemi!

- Pamiętam o tym, pamiętam! Wszędzie tutaj czyha na człowieka coś plugawego. Na godzinę lub dwie rozwiesimy hamaki. Wokół roi się od drzew rozmaitego kalibru, miejsca mamy do wyboru!

Nowicki nagle zamarł w pół ruchu. W pobliżu rozbrzmiało jakby poklepywanie po żelazie, a potem niby kilka uderzeń w kowadło. Po krótkiej chwili znów rozległo się poklepywanie i kucie.

Prawa dłoń Nowickiego osunęła się na rękojeść kolta. Spojrzał na Smugę. Ten bez niepokoju przysłuchiwał się intrygującym odgłosom, obserwując gałęzie pobliskich drzew. Nowicki tymczasem stał jak wrośnięty w ziemię.

Uderzenia młotkiem rozległy się po raz trzeci. Smuga teraz wyciągnął rękę wskazując coś przyjacielowi. Nowicki spojrział. Na gałęzi pobliskiego drzewa siedział biały ptak o zielonym podgardlu, czarnym dziobie i brązowych nóżkach. Ptaszysko, mierzące od dzioba do ogona około dwudziestu pięciu centymetrów, uniosło łebek - rozbrzmiało poklepywanie i uderzenia o kowadło. Z trzepotem skrzydeł przysiadła obok niego jasnozielona samiczka o ciemnozielonym łebku i żółtym brzuszku.

- A niech to wieloryb połknie! - mruknął zdumiony Nowicki. - Byłem święcie przekonany, że gdzieś w pobliżu jest kuźnia!

W tej chwili znów się rozległy metaliczne tony, którym jak echo odpowiedziały inne uderzenia w kowadełka. Zapewne kilka tych ptaków znajdowało się w pobliżu. Fantastyczne dźwięki były porywające, sprawiały wrażenie, jakby liczne dzwonki odzywały się jeden po drugim...

- Cóż to za dziwne ptaszyska?! - szepnął zachwycony Nowicki.

- To arapongi[25] - wyjaśnił Smuga. - Mało o nich wiemy, gdyż są bardzo płochliwe i trzymają się wysokiego piętra lasu. Widzisz już ich nie ma!

Arapongi spłoszone poderwały się i zniknęły w gąszczu. Smuga i Nowicki powrócili do rozpinania hamaków.

- Przed wypoczynkiem warto by się trochę posilić. Kiszki marsza grają - odezwał się Nowicki. - Mówiłeś, że masz suszone ryby...

- Tak, mam, ale uważam, że nie powinniśmy już uszczuplać skromnego zapasu - odparł Smuga. - W dżungli należy naśladować krajowców, którzy się dostosowali do lokalnych warunków bytowania.

- Święte słowa! - przytaknął Nowicki. - Zawsze jestem zdania, że gdy wejdiesz między wrony, musisz krakać jak i one!

- Wobec tego na pewno nie pogardzisz indiańskim przysmakiem. Jak mi się wydaje, znajdziemy go tutaj pod dostatkiem.

- Zapewne będzie to jakieś paskudztwo, ale wiesz przecież, że nie jestem grymaśny - odpowiedział Nowicki. - To ty właśnie wybrzydzaleś na masato, a ja teraz chętnie bym sobie łyknął przed drzemką!

- Skoro tak, to rozejrzyjmy się za spizarnią - powiedział Smuga, ostukując gnijące pnie powalonych drzew.

- Przecież nie będziemy jedli próchna! - oburzył się Nowicki.

- Oczywiście, że nie! - uspokoił go Smuga. - Daj mi nóż! Mówiąc to pochylił się nad grubym murszejącym pniem. Odciął szeroki pas kory i zdarł go z pnia, w którym ukazały się setki wyżłobionych kanałów. Po chwili z jednego z nich wydobył grubą larwę kremowego koloru podobną do jedwabnika. Oderwał jej główkę, po czym, zerkając na przyjaciela, wcisnął sobie w usta wypływającą z larwy białawą, dość gęstą ciecz. Obliznął językiem lepkie wargi i mruknął:

- Bez obaw, kapitanie, częstuj się śmiało!

- Widzę, że chcesz mnie uraczyć glistami - powiedział Nowicki. - W Azji u jednego Kitajca pokosztowałem cukrzonych pijawek, to w Ameryce dla odmiany mogę się posilić glistami. Jak one się zwą?

- Są to larwy koro. Gnieźdzą się w pniach pewnych gnijących drzew. To one właśnie

złobią kanały - wyjaśnił Smuga. - Są nawet dość smaczne, spróbuj!

Nowicki bez pośpiechu wygrzebał z kanału pnia dużą, grubą larwę, mrużąc oczy przełknął oryginalny "smakołyk". Jego chmurna twarz wypogodziła się, żwawo rozpoczął łowy.

- No, kapitanie, co powiesz o indiańskim smakołyku? - przekornie zagadnął Smuga.

- Niczego sobie przekąska. W smaku podobna do mleka z orzecha kokosowego, a gęstością i delikatnością przypomina roztopione masło. Pożywne musi być to robactwo, w brzuchu przestało mi burczeć.

- Indianie uważają koro za nie lada odżywczy przysmak. W pierwszym rzędzie przeznaczają go dla wodzów i starców - wyjaśnił Smuga.

- Co kraj, to obyczaj - sentencjonalnie powiedział Nowicki. - Wiem przecież, że w dżungli dzikusy jedzą wszystko, co tylko porusza się po ziemi, w ziemi i w powietrzu. Termyty, mrówki, szarańczę, gady, płazy, nawet wszy. Nie przypuszczałem jednak, że sam będę jadł glisty.

- Cóż, ci biedni ludzie uważają, że nic z darów bożych nie powinno się zmarnować - rzekł Smuga. - Głód jest największym wrogiem człowieka.

- Pewno, pewno, ale uważać glisty za przysmak?! Nie chciałbyś usłyszeć tego, co by powiedział mój staruszek na Powiślu, gdybyś mu podsunął ten indiański smakołyk, a przecież moi staruszkowie i ja także jesteśmy biednymi ludźmi. Dla mnie nie ma nic lepszego nad schaboszczak z kiszoną kapustą, udeptaną osobiście przeze mnie, a z napitków rum jamajka!

- Wyobrażam sobie, co bym usłyszał! - powiedział rozweselony Smuga. - Czas na odpoczynek. Gdy słońce nieco pochyli się ku zachodowi, musimy ruszać w drogę. Najpierw jednak wyjaśnię, co się wydarzyło po moim wyjściu po rzeczy przygotowane do ucieczki.

- Właśnie chciałem cię o to zapytać - odrzekł Nowicki. - Mów, w jaki sposób doszedłeś do koltów i złota, ja zaś słuchając łyknę jeszcze kilka glistek!

Smuga medytował przez chwilę, po czym odezwał się:

- Jak wiesz, Kampowie pozwalali mi się poruszać w obrębie ruin. Miałem sporo czasu, toteż udało mi się przeniknąć niektóre tajemnice starożytnego miasta nie znane nawet Kampom.

- Zapewne masz na myśli różne tajemne przejścia - wtrącił Nowicki.

- Nie tylko to, kapitanie!

Nowicki zaintrygowany przerwał łowy na larwy i zawołał:

- Ha, to mi niespodzianka! Coś tam wyniuchał?!

- W zamaskowanych podziemiach odkryłem grobowce Inków oraz ich skarbiec, w

którym ukryli to, co udało im się ocalić przed grabieżcami hiszpańskimi.

Nowicki znieruchomiał. Na jego, twarzy odzwierciedlało się olbrzymie napięcie. Wreszcie stłumionym głosem zapytał:

- Czy powiedziałaś o tym naszym dzieciakom?!

- Zwierzyłem się tylko Tomkowi, pokazałem mu także groby i skarbiec - odparł Smuga.

- A Tomek?! Co on powiedział?!

- Powiedział, że na tych skarbach ciąży krew pomordowanych Inków. Nie tylko sam nie chciał nic z nich uszczknąć, lecz także postanowił, że nie powiemy nikomu o moim odkryciu.

Nowicki rozpromienił się, wzruszony zawołał:

- Kochane chłopaczysko! Byłem pewny, że tak właśnie postąpił. Poznałem go przecież tak dobrze!

- Przyznam ci się, że ja również byłem prawie tego pewny - rzekł Smuga.

- To po jakie łycho pokazywałaś mu te skarby?!

- Widzisz, Tomek wyznał mi, że kazałaś sprzedać otrzymany od maharani jacht, żeby zdobyć pieniądze na ratunek dla mnie. Wiedziałem, czym był dla ciebie ten statek, myślałem więc...

- Brachu, jak mogłeś?! - oburzył się Nowicki. - Dla ciebie dałbym sobie odciąć łepetynę, a ty sądziłaś, że mógłbym pożalować jachtu?! Jeżeli dlatego dałaś mi garść złota zabranego stamtąd wbrew temu, co postanowiliście razem z Tomkiem, to zaraz rozrzucę je tutaj!

Porywczoby wydobyl zawiniatko z kieszeni i zaczął je rozsypywać. Ciepłe błyski przewinęły się w oczach Smugi, wzruszonym głosem odezwał się:

- Poczekaj chwilę! Teraz ja pytam: jak możesz przypuszczać, że złamałem postanowienie podjęte z Tomkiem?

- Ba, przecież wzięłaś złoto! - zawołał Nowicki.

- Nie wzięłem! - kategorycznie zaprzeczył Smuga. - W tym właśnie rzecz, że ja go nie wzięłem.

- Nic z tego nie pojmuję - niedowierzająco powiedział Nowicki. - Więc skąd je masz?!

- Ofiarował mi ktoś, kto uważa, że jest potomkiem Inków.

- Kto, do stu zdechłych wielorybów?

- Spokojnie, kapitanie, spokojnie! - odparł Smuga. - Dopiero teraz się zdziwisz!

- Kto? - porywczoby powołał pytanie Nowicki.

- Mąż twojej wielbicielki, szaman Onari - wyjaśnił Smuga. Nowicki oszołomiony spoglądał na przyjaciela. Dopiero po dłuższej chwili odezwał się:

- Szaman?! Wprost nie do wiary! Jak to było?

Smuga opowiedział, co przydarzyło mu się od chwili, gdy poszedł do kryjówki. Nowicki słuchając relacji aż szczypał się w udo, żeby sprawdzić, czy to wszystko nie jest przypadkiem jedynie sennym przywidzeniem. Gdy Smuga skończył mówić, Nowicki powiedział:

- Nic dziwnego, że Onari nawet ciebie zaskoczył swoim postępkim. Zauważyłem wtedy, że wróciłeś dziwnie stropiony. Ten dzikus zdumiał nas obydwóch. Niewielu białych zdobyłoby się na to! Ha, już nigdy więcej nie nazwę go dzikusiem. Więc ta łódź pozostawiona dla nas to również jego sprawka?

- Nie ulega wątpliwości - potwierdził Smuga. - Agua działała w porozumieniu z mężem. Obydwoje spłacili ci dług wdzięczności. Co teraz myślisz o posiadanych przez nas złocie?

Nowicki lekceważąco machnął ręką i odparł:

- Ani mnie ono ziębi, ani grzeje! Onari dał je tobie, więc to twoje zmartwienie. Cieszy mnie tylko to, co sam zdołam zarobić uczciwą, pożyteczną pracą. Mój kochany staruszek zawsze mówił, że pieniądze przewracają ludziom w łepetynach.

- Zawierzyłem ci tajemnicę, której razem z Tomkiem postanowiliśmy nie zdradzać nikomu dla dobra tych nieszczęsnych Indian. Teraz zna ją nas trzech.

- Twoje słowa wpadły mi do jednego ucha, a drugim zaraz ulatywały. Już nic nie pamiętam, bądź spokojny. Teraz jednak spróbujmy nieco odsapnąć.

Rozwiesili hamaki pomiędzy niższymi palmami, podróżne worki podłożyli sobie pod głowy i legli do snu trzymając sztucery pod ręką.

Prostoduszny Nowicki posiadał usposobienie niefrasobliwe, zaledwie więc przymknął powieki, zaraz usnął. Nie był to wszakże sen głęboki, przynoszący zapomnienie i wypoczynek, a raczej czujna drzemka, charakterystyczna dla ludzi nawykłych do niebezpieczeństw. Obecnie po intrygującej relacji Smugi przyśniła mu się Agua i jej tajemniczy mąż. Ładna Indianka nalegała, żeby Nowicki zabrał ją ze sobą, Onari stał z boku obrzucając ich złośliwym spojrzeniem. Nowicki wił się jak piskorz. Żał mu było Aguy. Już był niemal zdecydowany jej ulec, gdy nie wiadomo skąd pojawił się Tomek i robiąc oko do przyjaciela, podszeptnął: "Weź ją ze sobą, Tadziu! Ożeń się z nią, będzie podtykała ci pożywne glisty. Lubisz przecież dobrze zjeść!". Szaman tymczasem pstryknął palcami w powietrzu, w jego dłoni pojawiła się długa jak tasiemiec larwa. Trzymał ją za ogon, na drugim końcu jej ciała widniała główka o twarzy Aguy. Larwa wyginała się ku Nowickiemu, szepcząc:

"Zjedz mnie, zjedz." Już niemal dotyka jego ust... Agua krzyknęła 1| i... Nowicki przebudził się, otworzył oczy.

To wrzeszczały małpy na drzewach podniecone intrygującym widowiskiem rozgrywającym się na ziemi, gdzie ptak o wysokich nogach i stosunkowo długiej szyi usiłował schwytać węża. Kita piór tuż za nasadą zakrzywionego dzioba stroszyła się

wojowniczo. Ptak nie odrywał wzroku od wijącego się gada, bacznie śledził jego ruchy, doskakiwał i odskakiwał, skrzydłami bronił się przed ukąszeniem. Wreszcie upatrzwszy odpowiedni moment rzucił się, szponami przygwoździł węża do ziemi i dziobem zręcznie chwycił go poniżej łba. Teraz walka szybko dobiegła końca. Ptaszysko pożerało węża ku ogromnej uciechu małą, które, jako jedyne poza ludźmi, wykazują paniczny strach i wstręt do węzów.

Nowicki zerknął ku Smudze. Ten również obserwował dramatyczną walkę. Gdy było już po wszystkim, Nowicki się odezwał:

- A to dzielne ptaszysko! Spalaszował węża niczym afrykański wężojad sekretarz.

- Trafne porównanie! - pochwalił Smuga. - Zapewne łączy je pokrewieństwo. To kariatida[26] z tropikalnej Ameryki, gatunek prawie już wymierający. Czy zauważyłeś, że kariatida znajduje się u niej na przodzie głowy, podczas gdy afrykański wężojad mają na tylnej części?

- A jakże, coś mi tu właśnie nie pasowało! No, ale czas zmykać stąd, Janie!

- Zaraz ruszamy. Może jednak przedtem masz jeszcze ochotę na koro?

- Nie, dość tego dobrego! - mruknął Nowicki. - Po tych smakołykach indiańskich miałem dziwny sen... W drogę! Tylko jeszcze zerwę trochę tych nibyorchów.

NA RZECE

Słońce chyliło się ku zachodowi. Nad rzeką pojawiły się śnieżnobiałe czaple, flamingi, różnokolorowe papugi oraz ponure czarne sępy. W pobliżu brzegów beztrzesko nurkowały kurki wodne. Cykady rozpoczęły swój przedwieczorny monotony koncert. Smuga i Nowicki z niepokojem spoglądali na wysokie, strome brzegi rzeki porośnięte nieprzebytym gąszczem. Wypatrywali miejsca na nocleg. Obydwa brzegi jednak wciąż były niedostępne. Wprawdzie czasem u stóp stromizn wylaniały się piaski małych, wąskich plaż, lecz były zbyt widoczne z daleka, ponadto na nich właśnie, niby suche kłody drzewa, wylegiwały się krokodyle[27] z szeroko otwartymi paszczami. Tylko śmigłe ptaki czasem rzucały się lotem nurkowym między olbrzymie żarłoczne gady, na mieliznach bowiem łatwiej było o rybę lub kraba, - Niech to rekin połknie! - odezwał się zniecierpliwiony Nowicki. - Tylko patrzeć, jak noc zdmuchnie słoneczną latarnię, a tu nigdzie nie widać miejsca na postój!

- Nie ma czasu na dalsze poszukiwania - rzekł Smuga. - Chyba będziemy musieli przeczekać noc na rzece.

- Po ciemku rozbijemy łódź jak amen w pacierzu! - zafrasował się Nowicki.

- O tym, żebyśmy płynęli, nie ma nawet co myśleć! Przenocujemy w łodzi przy brzegu pod osłoną zwisających konarów.

- Oby tylko krokodylszczaki lub anakondy nie zrobiły sobie z nas wyżerki - mruknął Nowicki. - Nasza łódka to łupina dla tych potwornych gadów. Skóra cierpie na grzbiecie, gdy patrzę na ich otwarte paszcze!

- Masz rację, kapitanie - przytaknął Smuga. - W obawie przed krokodylami i anakondami Indianie nigdy nie nocują w łodzi. My jednak nie mamy wyboru, będziemy czuwać na zmianę. Zbliży się do lewego brzegu, póki jeszcze dzień.

- Słusznie mówisz. Zdaje się, że tam mniej mielizn z czatującymi gadami.

Był najwyższy czas na zatrzymanie się na nocleg. Słońce już słało na dzunglę różowe odbłaski. Lada chwila mogła zapaść noc. Toteż Nowicki krótkimi, silnymi uderzeniami wiosła skierował łódź ku brzegowi. Wkrótce wpłynęli pod wychylone nad rzekę korony drzew. Ogarnął ich półmrok. Rozłożyste konary niekiedy zwisały tak nisko nad wodą, że zmuszeni byli prawie kłaść się w łódce, prześlizgując się pod nimi. Duszne powietrze tchnęło mdłymi oparami zgnilizny.

Przybrzeżny nurt rzeki był mniej wartki. Smuga odłożył wiosło i wypatrywał miejsca na nocny postój. Naraz jednak z powrotem je chwycił; razem z Nowickim zaczęli ostro popychać łódkę.

- Do stu zdechłych wielorybów, co tak potwornie zaśmierdziało!?' - cicho zawołał Nowicki, ze wstrętem odwracając głowę od brzegu.

- Gdzieś tu musi gnić krokodyle ścierwo - odburknął Smuga.

- Ejże! Przecież tu zalatuje pizmem! - zaoponował Nowicki.

- Właśnie dlatego mówię, że to gnijący krokodyl - potwierdził Smuga. - Wydzielina gruczołów tego gada ma silny zapach pizma.

- Do licha, zapomniałem o tym! Mdło mi od tego smrodu, łyknąłbym teraz jamajki. Myślę, że Tomek nie zapomni o moim ulubionym napitku.

Przez jakiś czas jeszcze płynęli, aż wreszcie zatrzymali się pod pochylonym nad wodą rozłożystym drzewem.

- Cumuj, kapitanie! - polecił Smuga.

Nowicki przywiązał dziób i rufę łodzi linami do konarów drzewa. Następnie starannie sprawdził, czy zastosowane przez niego marynarskie węzły rozwiążą się za jednym pociągnięciem w razie nagłej potrzeby. Zadowolony z dokonanych prób usiadł w łodzi. Położył sztucer obok siebie z prawej strony, przygotował kolt, po czym zaczął się bacznie rozglądać po rzece i brzegach. Dopiero gdy się upewnił, że dostatecznie utrwalił w pamięci topografię okolicy, zabrał się do suszonej ryby wydzielonej przez Smugę.

Ptactwo zniknęło znad rzeki. Niebo na zachodzie stawało się coraz bardziej granatowe. Wszelkie odgłosy w dżungli umilkły, nastąpiła przedwieczorna cisza. Wkrótce też, jakby ktoś nagle zgasił słońce, zapadła podzwrotnikowa noc.

Smuga i Nowicki, utrudzeni nocnym przedzieraniem się przez tropikalny las oraz prawie całodziennym zmaganiem się z porywistym nurtem wezbranej rzeki, nieruchomo siedzieli w łódce nie rozmawiając. Nowicki walczył z ogarniającą go sennością, rozchylił zwisające nad nim gałęzie rozłożystego drzewa i spoglądał na wyiskrzone gwiazdami niebo. Na srebrnoseledynowym tle, niby długa wstęga, wiła się Mleczna Droga, na której skrajem gorzał charakterystyczny gwiazdozbiór południowego nieba - Krzyż Południa. Księżyc wyłaniał się właśnie zza czarnej krawędzi lasu. Jego srebrzysta poświata sprawiała, że wszystko wyglądało inaczej niż za dnia, nabierało baśniowej tajemniczości. Dżungla, milcząca podczas dziennego skwaru, teraz rozpoczynała nocne życie. Z jej ostępów napływały jakieś szelesty, pomruki, gwizdy, płaczliwe jęki, okrzyki trwogi, piski i trzepoty skrzydeł. Przy brzegach rzeki odzywały się duże żaby[28], których głos przypominał pogwizdywanie.

Nowicki, zapatrzony w niebo, nagle drgnął, natychmiast zapomniał o gwiazdach i senności. Oto w górze ponad nim rozbrzmiał przeciągły, szyderczy chichot jakiegoś nocnego ptaka. Niemal jednocześnie w pobliżu na brzegu rozległy się gwałtowne gdakania i warczenia, które zagłuszał donośny ryk, brzmiący jak mieszanina różnych przerażających głosów. Nadbrzeżne chaszczki zaszeleściły, potem słyhać było plusk wody, jakby ktoś ciężki niezgrabnie wskoczył do rzeki.

- Kajmany walczą o łup... - szepnął Smuga. - Pewno pożerają śmierdzące ścierwo.

- Jest ich cała gromada, słyhać stare i młode [29]- również szeptem powiedział Nowicki.

- Siedzmy cicho, żeby nas nie odkryły - ostrzegł Smuga. Umilkli i wyteżyli słuch. W zasadzie krokodyle są tchórzliwe, tylko w szczególnych okolicznościach bywają

niebezpieczne dla ludzi. Sytuacja jednak mogła stać się groźna, nawet tragiczna, gdyby wywróciły lub rozbiły łódkę. Niezbyt grube konary zwisające nad nią wykluczały ucieczkę na drzewo, gąszcz zarośli natomiast uniemożliwiał schronienie się na brzegu rozbrzmiewającym tajemniczymi głosami. Utrata łodzi oznaczałaby niefortunny koniec ucieczki. Nawet tak odważni i zdecydowani na wszystko mężczyźni nie byłiby w stanie pieszo przedrzeć się przez dżunglę na umówione spotkanie na granicy boliwijskiej.

Obydwaj przyjaciele doskonale zdawali sobie sprawę z powagi sytuacji. Toteż czuwali wsłuchując się w odgłosy napływające z lasu. Powietrze tymczasem szybko się ochładzało. Po dziennym upale nastawała zimna noc. Przez jakiś czas nic nadzwyczajnego się nie wydarzyło. Tylko chmary brzęczących komarów unosiły się nad łodzią i bezlitośnie cięły nieruchomych uciekinierów.

Naraz coś chropowatego mocno otarło się o bok łodzi, która gwałtownie przechyliła się na prawą burtę. No wieki i Smuga błyskawicznie oparli się o burtę przeciwną, żeby zrównoważyć przechył. W krótkich odstępach czasu jeszcze kilkakrotnie tarcze kostne pancerzy krokodyli ocierały się o łódź, popychając ją i kołysząc. Było w tym coś niesamowitego - żarłoczne gady podpływały bezszelestnie, o ich obecności świadczyły jedynie niebezpieczne ruchy łodzi oraz głuchy chrobot ocierających się o nią potwornych, opancerzonych cielsk. Wreszcie jednak krokodyle pozostawiły łódź w spokoju.

Nowicki mimo chłodu nocy otarł pot z czoła. Odetchnął głęboko. Wszakże zaledwie zerknął na rzekę, ujrzał w pobliżu błyskające miedziane ogniki krokodylich oczu. Podstępne gady czaiły się jeszcze.

- Janie, widzisz!?! - szepnął.

- Widzę! - również szeptem odparł Smuga. - One tak łatwo nie rezygnują z łupu. Oby tylko nie próbowały przepływać pod łodzią...

- Byłaby wywrotka i... po nas! - mruknął Nowicki. - Siedzmy cicho, może nas poniechają. Zdrzemnij się, Janku, będę czuwał.

- Zgoda, zmienię cię wkrótce.

Nowicki wodził wzrokiem po wodzie. Jeszcze od czasu do czasu spostrzegał miedziane ogniki, ale krokodyle już nie podpływały zbyt blisko. Krótka podzwrotnikowa noc tym razem bardzo dłużyła się Nowickiemu. Nie budził skulonego Smugi. Przecież jemu bardziej dała się we znaki uciążliwa ucieczka. Zaczął rozmyślać, co też porabia Tomek. Był pewny, że jego ulubieniec niezawodnie pospieszy im z pomocą. Na takim przyjacielu zawsze można polegać! Potem zaczął wspominać różne przygody przeżyte z Tomkiem, wodząc jednocześnie wzrokiem po nadbrzeżnych chaszczach. Rozbłyskiwały w nich setki fosforyzujących barwnych ogników. Były to amerykańskie robaczki świętojańskie[30]. Przypominały one Nowickiemu wspólne z Tomkiem poszukiwania zaginionego Smugi. Wtedy właśnie, zawsze wieczorem, Tomek opracowywał mapę przebytych okolic. Sally i Natka chwytaly dla niego sprężyki i wkładały do słoiczka. Pięć lub sześć uwiezionych chrząszczy wydzielalo tyle światła o metalicznych barwach, że umożliwiało ono Tomkowi pracę nad mapą po zapadnięciu ciemności.

Nowicki pochwalił wtedy pomysłowość Tomka, ale ten wyjaśnił mu, że wykorzystywanie światła emitowanego przez sprężyki nie jest jego pomysłem. Pewien badacz Ameryki Południowej wspominał mu, że niektórzy Indianie chwyтали te owady i posługiwali się nimi jak latarnią. Indianki także przy takim świetle szyły wieczorem oraz zdobiły swoje głowy nakładając na włosy uwięzione w siateczkach świetliki.

Odrażające krzyki i przejmujące dreszczem wycie wyrwały Nowickiego z przyjemnej zadumy. Smuga również natychmiast się przebudził, siadł i z wyrzutem w głosie zapytał:

- Dlaczego pozwoliłeś mi spać tak długo? Miałem cię zmienić.

- Zabawa w chowanego z krokodylszczakami zegnała mi sen z powiek, nie byłem śpiący - wyjaśnił Nowicki. - No, nigdy dotąd straszliwe głosy wyjców nie wydały mi się tak piękne jak dzisiaj! Przecież ten mały budzik oznajmia świt!

- Tak, tak, kapitanie. Nie była to dla nas najprzyjemniejsza noc - przyznał Smuga.

Uradowani spoglądali na wschód, gdzie ciemne niebo nabierało krwawych odbłasków. W nadbrzeżnym *gąszczu* rozległo się kwilenie ptaków, a do przeraźliwych głosów wyjców dołączyły krzyki papug i monotony śpiew cykad.

- Odwiąż łódź, kapitanie! Ruszamy! - poleciał Smuga.

- Umykajmy, czas nagli! - potwierdził Nowicki.

Po chwili już mknęli środkiem rzeki jeszcze osnutej lekką mgiełką. Wkrótce też na stalowoseledynowym tle nieba pojawiły się nad wodą "kraczące" czaple i wrzaskliwe papugi. Nowicki i Smuga, po nocy spędzonej w odurzających oparach przybrzeżnych, teraz mogli odetchnąć pełną piersią. Na środku rzeki w powietrzu unosiła się nieokreślona, przyjemna woń podzwrotnikowego poranka. Mgiełka szybko opadała. Słońce coraz bardziej wychylało się zza lasu. Na tu i tam widocznych plażach wygrzewały się krokodyle i duże żółwie, czasem srebrzyły się stada czapli bądź flamingi ociężałe podrywały się do lotu. W pobliżu brzegów buszowały kurki wodne i dzikie kaczki.

Nowicki z zapalem wiosłował i sterował łodzią. Często zerkał za siebie wypatrując pościgu. Głód mocno mu doskwierał, toteż łakomie spoglądał na żółwie widoczne na piaskach plaż. Przywodziły mu one na myśl jajecznicę, którą lubił jeść na śniadanie.

- Janie! - zagadnął w końcu. - Czy nie warto byłoby zatrzymać się na chwilę przy żółwiach i poszukać jaj?

- Jakbyś czytał w moich myślach, kapitanie - odparł Smuga. - Za wcześnie jednak na postój. Jeśli Kampowie nas ścigają, to mogą już mocno deptać nam po piętach. Niełatwo byłoby stawić im czoła. Mają karabiny. Uczyłem ich posługiwac się nimi, byli pojętymi uczniami!

- Ha, drogo by zapłacili za nasze życie - powiedział Nowicki. - Mamy dwieście nabojów!

- Gdyby choć jeden Kampa zginął z naszej ręki, już by nie przerwali pościgu przed dokonaniem zemsty.

- Jestem tego pewny! - przytaknął Nowicki. - Poza tym, co tu wiele gadać, powiem szczerze: nie chciałbym, żeby doszło do walki. Przecież Kampowie nie zrobili nam krzywdy, a trudno mieć do nich pretensje, że są takimi, jakimi stworzyła ich natura.

- Nawet polubiłeś niektórych z nich... - rzekł Smuga zerkając na zafrasowanego przyjaciela.

- Święta prawda! Do stu zdechłych rekinów! Jesteśmy między młotem a kowadłem... Przed nami Tasulinczak, a za nami jego kumple! Może pościg jednak ruszył drogą, którą uciekał Tomek?

- Bardziej prawdopodobne, [\[31\]](#) że ścigają nas jednocześnie w kilku kierunkach - wtrącił Smuga.

- Musimy się z tym liczyć - przyznał Nowicki. - Jak myślisz, Janie, czy jeszcze daleko do Ukajali?

- Z tego co mówiła Agua, wypadałoby, że z kryjówki Kampów można dotrzeć do Ukajali w trzy dni. Jeden mamy za sobą, dzisiaj to już drugi, wobec tego jutro lub pojutrze powinniśmy się znaleźć nad Ukajali i przepłynąć na prawy brzeg.

- A więc ostrzej do wiosł! - zawołał Nowicki.

Płynęli bez wytchnienia nie zwracając uwagi na coraz dokuczliwszy głód. Nie przerwali też żeglugi nawet wtedy, gdy słońce stanęło w zenicie. Tylko bardziej zbliżyli się do brzegu, gdzie rozłożyste konary drzew nieco osłaniały przed palącymi promieniami słońca. Popołudniowy krótkotrwały deszcz także im nie przeszkodził. Nowicki jednak coraz częściej spoglądał zafrasowany w niebo. Wreszcie mocno już zaniepokojony odezwał się:

- Janie, przystańmy na chwilę!

Smuga odłożył wiosło. Nowicki uczynił to samo, uchwycił zwisającą lianę, po czym przymocował do niej łódkę, która wkrótce stanęła na uwięzi.

- O co chodzi, kapitanie? - zagadnął Smuga, odwracając się do przyjaciela.

- Dotąd słońce do południa było przed nami, po południu przygrzewało w plecy. Był to znak, że płyniemy na wschód. Dzisiaj jednak od pewnego czasu słońce przesunęło się na lewą burłę, co oznacza, że skręciliśmy na południe. Już nie płyniemy wprost do Ukajali.

- Ja też zauważyłem, że nurt rzeki zmienia kierunek - odparł Smuga. - Trzeba przyjrzeć się mapie.

Wydobył z worka mapę pozostawioną przez Tomka i rozłożył na kolanach. Przez jakiś czas wodził po niej wzrokiem, spoglądał na kompas, zastanawiał się, a w końcu rzekł:

- Obszary, na których się znajdujemy, są na mapie jeszcze białą plamą. Nie ma też tutaj naszej rzeki. Jedynie dzięki uzupełnieniom wprowadzonym przez Tomka i jego uwagom na marginesie można wyciągnąć pewne wnioski. Według wszelkiego prawdopodobieństwa znajdujemy się na jednym z nieznanych dotąd dopływów rzeki Tambo. Gran Pajonal leży na północnym wschodzie. Muszę przyznać, że Tomek jest naprawdę doskonałym

kartografem!

- Kochane chłopaczysko! Gdy szukaliśmy cię, on jeden nie dał się wykołować naszemu przewodnikowi, który umyślnie wciąż kluczył, żebyśmy stracili orientację - powiedział Nowicki. - Ślęczał wieczorami nad mapą i uzupełniał ją spostrzeżeniami. Powiedziałaś, że jesteśmy na jednym z dopływów Tambo? Czy to dobrze dla nas, czy źle? Nie słyszałem o takiej rzece.

- Ukajali powstaje z połączenia się Urubamby i Apurimacu. Apurimac natomiast na pewnych odcinkach przybiera trzy różne nazwy. Jej źródłowa część to właśnie Apurimac, dalej nazywa się Perene, a jeszcze dalej, już jako Tambo, łączy swe wody z Urubambą i razem tworzą Ukajali. Przyjrzyj się mapie.

- Tak, wszystko tu wyklarowane - przyznał Nowicki po chwili. - Nie odpowiedziałeś mi jednak, czy to dobrze dla nas, czy źle?

- Bo też i trudno to odgadnąć. Kraina Kampów leży w trójkącie utworzonym przez rzeki Pachitea, Ukajali, Tambo i Perene. Brzegi Tambo zamieszkuje wielu wolnych Kampów.

- Znaczy to, że idziemy z deszczu pod rynnę - zafrasował się Nowicki.

- Ładną drogę ucieczki podsunęła nam Agua i jej mężulek-pigularz! Smuga zamyślił się, dopiero po dłuższej chwili rzekł:

- Musisz brać pod uwagę, że wszystkie kierunki ucieczki są dla nas jednakowo niebezpieczne.

- Wiem o tym, ale dlaczego Onari, niby nam życzliwy, doradził umykać rzeką, skoro ona wiedzie wprost do jaskini Kampów, przed którymi uciekamy?

- Moim zdaniem dowodzi to, że przebiegły szaman potrafi myśleć logicznie. Postąpił bardzo przewidująco, doradzając właśnie tę drogę ucieczki.

- Mów jaśniej, Janie, bo nic z tego nie pojmuję!

- Posłuchaj! Co robi człowiek uciekający przed lwami? Przede wszystkim stara się omijać ich legowiska. Zgadzasz się z tym?

- Jasne jak słońce - potwierdził Nowicki.

- Kampowie są dla nas lwami. Gdzież wobec tego najpierw będą nas ścigali?

- Czekaj, coś mi zaczyna świtać w łepetynie! - zawołał Nowicki.

- Kampowie myślą, że my nie wiemy o zamierzonej rebelii. Według nich wobec tego bylibyśmy głupcami, umykając w kierunku rzeki Tambo ku ich sadybom. Należy się więc spodziewać, że pościgi najpierw pójdą na zachód, na szlak ucieczki Tomka, który Kampowie już znają. My tymczasem, wiejąc na południe, zyskujemy na czasie. Agua ostrzegła, że gdy my się znajdziemy na Tambo, tamtejsi Kampowie będą już na ścieżce wojennej daleko nad Ukajali, co z kolei ułatwi nam przemknięcie się rzeką Tambo.

- Tak właśnie zapewne rozumował Onari - potaknął Smuga. - A teraz co sądzisz o

szamanie?

- Nie ma co więcej gadać, łebski facet! On ma rację, mówi się przecież, że pod latarnią zawsze jest najciemniej!

- Musimy jak najszybciej znaleźć się na Tambo. Dopiero tam się przyczaimy i zorientujemy w sytuacji. Teraz zjedzmy resztę suszonej ryby i w drogę!

Późno po południu wpłynęli w długą, rozległą dolinę. W dali na prawym brzegu, za ciemną linią lasu, piętrzyły się masywy górskie. Nowicki, uprzedzony do gór, odwracał od nich głowę. Za to łakomie zerkał ku lewemu brzegowi, gdzie przy napotykanym wodopojach często pojawiały się aguti o lśniących futerkach. Kilkakrotnie zauważył też kapibary, czyli świnki wodne, szybko przepływające rzekę. Widok zwierzyny budził nadzieję, że będzie można coś upolować i zaspokoić głód. Toteż coraz uważniej spoglądał na lewy brzeg.

Właśnie omijali piaszczystą wysepkę, na której wypoczywały krokodyle. Na wprost niej na lewym brzegu znajdowała się mała polanka. Rosnące na niej wiotkie krzaczki sprawiały wrażenie, że nie tak dawno ktoś musiał ogołocić ją z zarośli. Nowicki spoglądając na polankę nagle drgnął, jakby sobie coś uzmysłowił lub przypomniał. Poruszony do głębi zawołał stłumionym głosem:

- Janie! Poznaję tę okolicę! Byliśmy tutaj z Tomkiem! Na tej polance obozowaliśmy, gdy tragarze z plemienia Pirów nas porzucili. To my wycieliśmy wszystkie krzaki, żeby przepłoszyć gadziny. Teraz na ich miejscu pienią się młode zarośla.

- Czy jesteś tego pewny? - zapytał Smuga, nie mniej poruszony od przyjaciela.

- Czy jestem pewny?! - oburzył się Nowicki. - Ręczę marynarskim słowem! Jak tylko wpłynęliśmy do tej doliny, coś zaczęło mi majaczyć w lepetynie. Najpierw uwagę moją zwróciło samotne olbrzymie drzewo na brzegu, a przy nim zwierzęca ścieżka do wodopojów i kapibary. Potem duża kępa kolczastych cierni, teraz ta polana! Coś mi się wydawało tak i jednocześnie nie tak. Nagle pojąłem, co mi tu nie pasuje! To rzeka! Z Tomkiem byliśmy tu w porze suchej. Wtedy był to tylko szeroki strumień, ale obecnie, przy końcu pory deszczowej, strumień przemienił się w pokaźną, rwącą rzekę. To właśnie tak mnie myliło!

- Słuchaj, Tadku, Tomek mówił mi, że wkrótce po odejściu Pirów natknęliście się na szalasa z moim umierającym przewodnikiem. Jeżeli więc pamięć cię nie zawodzi, to szalasa ten powinien znajdować się gdzieś tutaj!

- A jakże! Szalasa lub jego szczątki są tu niezawodnie! Możesz mi wierzyć, Janku. Dobrze zapamiętałem to rozwidlone drzewo, bo na nim anakonda czaiła się na Tomka. Tylko dzięki Dingowi chłopak ocalał! Potem ta kępa diabelskich cierni, w które się Tomek przewrócił, pomagałem mu się z nich wyplątać. W chwilę później napadły nas osy i pokąsały. Sam powiedz, jak można takich przeżyć nie zapamiętać?!

- Przybijaj do brzegu, kapitanie! - krótko polecił Smuga. - Spróbujemy poszukać szalasa. Jeżeli się to uda, rozpoznamy na mapie, gdzie się znajdujemy. To by ułatwiło dalszą drogę.

Niebawem znaleźli się na brzegu, ukryli łódź w zaroślach, po czym starannie zatarli wszelkie ślady swej bytności.

- Zabieraj manatki - rzekł Smuga. - Teraz próbuj odnaleźć drogę do szałas, kapitanie!

- Będę szedł pierwszy, ale ty, Janku, dobrze uważaj! Tutaj płacze się wiele jadowitych gadów - ostrzegł Nowicki. - Surucucu[32] omal nie ukąsił Mary, na szczęście zdążyła się zasłonić tarczą Haboku. Spotykaliśmy również żararaki[33].

Minęło około godziny, zanim Nowicki przystanął i rzekł:

- Spójrz, Janie, na to wysokie, rozłożyste drzewo na samym brzegu rzeki. Czy można je zapomnieć?

- Rzeczywiście, rozszczepienie głównego pnia jest bardzo charakterystyczne i rzuca się w oczy - przyznał Smuga. - Czy to właśnie tutaj anakonda zaatakowała Tomka?

- Tak, tak, nie ma mowy o pomyłce! Niebawem zboczymy w las. Nowicki bacznie rozglądał się po okolicy i po kilkuset krokach zdecydowanie ruszył w głąb dżungli. Z niemałym trudem przedzierali się przez gąszcz niskich palm. Wreszcie jednak gęstwina przerzedziła się i Nowicki rozpromieniony przystanął.

- Patrz, Janku, patrz! - odezwał się szeptem.

Na małej leśnej polance stało drzewo o parasolowatej koronie i pierzastych liściach. Na korze oraz na owocach rosły duże kolce. W cieniu drzewa znajdował się niski szałas. Szkielet główny tworzyły przygięte i razem związane lianami wierzchołki niskich, wiotkich palemek.

- A więc jednak pamięć cię nie zawiodła, kapitanie! - cicho powiedział Smuga. - Podejźmy bliżej.

Pokrycie szałas było już w wielu miejscach porozrywane, ale samo niskie wejście wciąż jeszcze osłaniały grube gałęzie cierniowe.

- No, teraz już wiem, dlaczego tak długo czekaliśmy wtedy na Haboku, który został sam i rozmawiał z umierającym przewodnikiem - odezwał się Nowicki. - To on zabarykadował wejście cierniami, żeby do szałas nie dostały się drapieżniki.

- Mimo to chyba już tam niewiele pozostało z mego nieszczęsnego przewodnika - zauważył Smuga. - Musimy pochować jego szczątki.

- Pochówek człowieka jest obowiązkiem chrześcijańskim - przytaknął Nowicki. - Dzielny to był Indianin, nacierpiał się wiele, żał mi go, mimo że umyślnie wprowadził cię w pułapkę.

- To nie było tak! - zaprzeczył Smuga. - Ten Kampa wiedział o zasadzce i nie ostrzegł, ale sumiennie wykonał to, czego od niego żądałem. Doprowadził mnie do morderców Johna Nixona. Sam przypłacił to życiem, wiedząc, że mnie śmierć nie zagraża. Sądził, że przysłuży się dobrze swemu ludowi. Poza tym dzięki niemu zdołaliśmy cali dotrzeć do mnie.

- Ha, trudno temu przeczyć! Skoro mamy urządzić mu pogrzeb, to szałas już niepotrzebny - mówiąc to Nowicki zaczął rozrywać nadszarpnięte przez ząb czasu poszycie.

Po chwili w milczeniu spoglądali na nagi szkielet ludzki leżący na butwiejącym barłogu z gałęzi. Między żebrami z lewej strony klatki piersiowej tkwiła rękojeść noża.

Nowicki pierwszy przerwał milczenie:

- Domyślaliśmy się wtedy, że Haboku skrócił męki nieszczęsnego przewodnika. Sally i Natka przez dłuższy czas stroniły od Haboku, jakby budził w nich odrazę, a może nawet lęk. Nawet Tomek chmurnie spoglądał na niego, ale tłumaczyłem mu, żeby nie mieszał się w sprawy dotyczące dwóch wojowników wychowanych w innych warunkach i inaczej niż my.

- Chyba miałeś rację, Tadku! Obwiniać Haboku jest tak samo trudno, jak uznać słusność jego czynu - powiedział Smuga. - Tutaj dość często zabija się samotnych i zniedołężniałych starców, o których już nie ma kto się troszczyć. W takich sytuacjach Indianie płaczą i żałują, ale... zabijają.

- Umierający Kampa na pewno sam prosił Haboku o oddanie mu tej ostatniej przysługi - dodał Nowicki. - Nie było w tym nienawiści czy złości. Haboku zabezpieczył cierniami wejście do szałas, ale i tak wszystko zniknęło prócz kości. Pewno mrówki tutaj gospodarowały.

- Jestem pewny, że tak było - zgodził się Smuga. - W przeciwnym razie nie pozostawiłby przy zmarłym jego strzelby i mego karabinu z garstką naboju.

- Ten Kampa był dzielnym człowiekiem i wojownikiem, więc broń, z wyjątkiem noża, włożymy do grobu razem z nim. Niech mu służy w indiańskiej Krainie Wiecznych Łowów - powiedział Nowicki.

ROZDROŻA

Smuga i Nowicki przysiedli na kłodzie obok świeżo usypanej mogiły. Zmęczeni się ścinaniem gałęzi cierni na zabezpieczenie grobu, mimo że już obydwaj posiadali noże. Naraz gdzieś w pobliżu rozległ się trzepot skrzydeł, a potem rozbrzmiały nawoływania podobne do trzeszczenia i gwizdów. Nowicki natychmiast nadstawił ucha, pytająco spojrzął na przyjaciela.

- Tukany przyleciały na żerowisko. Zapewne niedaleko rosną dzikie drzewa owocowe - wyjaśnił Smuga. - Właśnie przed zachodem słońca tukany stają się najbardziej głośne i ożywione.

- Janku, wkrótce zapadnie noc, w drogę dzisiaj nie ruszymy - odezwał się Nowicki. - Tutaj nikt nas z rzeki nie odkryje. Przenocujemy, a ty dmuchawką upoluj ptaszysko. Na głodniaka daleko nie zajedziemy. Dzisiaj płynęliśmy znacznie wolniej.

- Również to rozważyłem, zgoda, zostaniemy... - odparł Smuga.

- Weź kociołek i skocz do rzeki po wodę, ja tymczasem pójdę na polowanie. Podkradać się trzeba w pojedynkę, tukany są bardzo płochliwe.

- Już idę, przy okazji zerknę na rzekę! - ochoczo odparł Nowicki, uradowany możliwością zaspokojenia głodu. Wydobył kociołek z worka, wziął sztucer i zniknął w gąszczu.

Smuga także nie tracił czasu. Sztucer oraz worki ukrył w pobliżu grobu. Uzbrojony w pokunę, kołczanik z zatrutymi strzałami oraz tykwę z bawełną, ruszył w leśny gąszcz. Przekradał się pod osłoną zarośli, spoglądając na wierzchołki drzew, tukany bowiem, jako owocożercy, spędzały życie w wysokich piętrach lasu. Ptaki te spotykano we wszystkich pierwotnych dżunglach od Ameryki Środkowej aż po Paragwaj. Żyły w małych stadkach i gnieździły się w dziuplach drzew, jednakże dojrzewanie pewnych owoców w różnych porach roku zmuszało je do częstych wędrówek, wtedy też zbierały się w duże stada.

Smuga, kierując się charakterystycznymi głosami, wkrótce wypatrzył ptaki na rozłożystym drzewie obsypanym soczystymi owocami. Przyczał się w zaroślach...

Tukany jeszcze nie dostrzegły grożącego im niebezpieczeństwa. Odpoczywały na samych koronach drzew, pokrzykując od czasu do czasu. Przy wydawaniu głosu przedstawiały pocieszny widok. Odchylały łebki w tył podnosząc olbrzymi dziób prostopadle do góry, jednocześnie kręciły tułowiami w różne strony i stroszyły pióra jak w czasie toku. Po trzaskach i gwizdach następowało klekotanie podobne do bocianiego. Niektóre tukany już żerowały, poruszały się wzdłuż gałęzi długimi skokami, rzadko pomagając sobie skrzydłami. Smuga otworzył kołczanik; w małą poduszczkę leżącą na dnie wpięte były ostrym końcem nasyconym kurarą[34] miniaturowe strzałki o długości i grubości zapałki, zrobione z twardego drewna. Smuga ostrożnie wsunął jedną strzałę w koniec pokuny przeznaczony do przytykania ust, uszczelnił kłębkami bawełny i gotów do strzału rozejrzał się wokół.

Na pobliskim drzewie, wysoko na gałęzi żerował duży tukan. Długim, zakrzywionym dziobem co chwila sięgał po owoc. Smuga przytknął pokunę do ust, wycelował ją prosto w pierś ptaka, głęboko nabrał tchu i potężnie dmuchnął. Trafiony zatrutą strzałką tukan krótko zatrzepotał skrzydłami, przysiadł jakby niżej na gałęzi, po czym zaczął spadać objijając się bezwładnie o niższe konary. Dopiero gdy trzeci tukan stoczył się na ziemię, pozostałe ptaki z wrzaskiem poderwały się do ucieczki.

Smuga z łatwością odszukał zdobycz, po czym powrócił w poblizze mogiły. Nazbierał grubych gałęzi na ognisko, a następnie zaczął oprawiać upolowane ptaki. Gdy Nowicki przyszedł z kociołkiem wody, właśnie kończył patroszenie.

- Ho, ho! Widzę, że szczęście sprzyjało podczas łowów - uradował się Nowicki. - Teraz trochę odpocznij, Janie, zajmę się gotowaniem.

- Co tam słyhać nad rzeką? - zaciekawiał się Smuga.

- Naszych prześladowców ani widu, ani słychu! - odparł Nowicki.

- Jakie piękne pióra mają te ptaszyska! Nic dziwnego, że Indianie się w nie przystrajają!

- Masz rację - przyznał Smuga. - Jeszcze za pierwszych konkwistadorów Indianie umieli wyrabiać ze skór i piór tukanów wspaniałe płaszcze i okrycia głowy. Widziałem je w skarbcu Inków, o którym ci mówiłem.

- Aż dziw bierze, że jeszcze tyle tych ptaków tu żyje, skoro Indiańcy od tak dawna się za nimi uganiają! - zdumiał się Nowicki.

- Wielka w tym zasługa samych Indian. Nie wyniszczają bezmyślnie fauny.

- To skąd w takim razie biorą tyle pięknych piór? - niedowierzająco dopytywał się Nowicki.

- W celu zdobycia piór używają słabo zatrutych strzał, które na chwilę tylko obezwładniają ptaka, nie czyniąc mu większej krzywdy. Po wyrwaniu piór uwalniają go, ten zaś niebawem porasta nowymi piórami.

- Ha, właśnie teraz sobie coś przypomniałem! - powiedział Nowicki.

- Gdy byliśmy z Tomkiem w Arizonie, spotkaliśmy Indiańca hodującego orły, których wspaniałe pióra zastępują tam wojownikom order. On też tylko wyrwał ptakom pióra.

- Jeśli chodzi o rozsądne gospodarowanie fauną i florą, to w porównaniu z Indianami, biali ludzie zachowują się jak bezmyślni barbarzyńcy.

- Święta racja! Ale my tu gadu, gadu, a tylko patrzeć nocy. Mówiłeś, Janie, że masz drewnienka do rozpalania ognia^[35], daj mi je. Musimy oszczędzać zapalki, których już niewiele zostało.

Nowicki przede wszystkim ogołocił z roślin kawałek ziemi i nożem wykopał płytkie wgłębienie. Wybrał trzy grube konary, po czym rozłożył je jakby w gwiazdę w ten sposób, że stykały się ze sobą tylko wewnętrznymi końcami. Następnie wepchnął pod nie garść

suchego chrustu. Otrzymane od Smugi dwa miękkie drewnienka zaczął z taką energią trzeć jedno o drugie, że wkrótce chrust zadymił się i błysnął iskierkami. Nowicki dmuchał, dopóki nie zaczęły płonąć stykające się końce trzech polan. Wreszcie po przeciwnych stronach ogniska zatknął w ziemię dwie gałęzie o rozwidlonych górnych końcach. Na nich oparł trzecią gałąź z zawieszonym na niej kociołkiem z wodą. Następnie pokroił na części tukany, włożył je do kociołka i wsypał odrobinę soli.

- Zdumiałeś mnie, kapitanie! - z uznaniem odezwał się Smuga. - Widzę, że jesteś naprawdę doświadczonego obieżyświatem. Nawet Indianin nie mógłby się wykazać większą sprawnością.

- Jadłem chleb z niejednego pieca, a że jestem ciekaw wszystkiego, to i z czasem nauczyłem się różnych praktycznych rzeczy - odparł Nowicki zadowolony z pochwały. - Ptaszka zjemy gotowanego. Zapachy pieczonego mięsiva rozchodzą się zbyt daleko.

- Miałem zamiar to zaproponować, ale widząc twoją zapobiegliwość dałem spokój. Skoro gotujesz jedzenie, ja rozwieszę hamaki.

Nowicki przykucnął przy ognisku i co pewien czas podsuwał płonące końce polan.

Smuga, który bardziej od Nowickiego odczuwał zmęczenie, ułożył się w hamaku. Spoglądał na przyjaciela. Pograżeni w rozmyślaniach nawet nie spostrzegli, kiedy słońce zaszło. Iskrzące na niebie gwiazdy wraz ze srebrzystą poświatą wschodzącego księżyca dostatecznie rozjaśniały mrok nocy.

Minęło sporo czasu, zanim Smuga odezwał się pierwszy:

- Zastanawiam się, kapitanie, co nam wypada robić dalej. Niezależnie od tego, w którym kierunku Kampowie urządzają pościg, jedno jest pewne: główne ich siły podążają na punkt zborny z Tasulinczim. Myślę, że połączenie się wszystkich wojowników ma nastąpić gdzieś nad rzeką Tambo, bo tam znajdują się liczne osiedla wolnych Kampów.

- To prawdopodobne - potwierdził Nowicki. - A skoro tam ma być punkt zborny, to nasi Kampowie drałują tą samą drogą co my. Przeczucie mówi mi, że oni są już tuż, tuż za naszymi plecami! My tymczasem płyniemy coraz wolniej.

- To mnie właśnie niepokoi - wyznał Smuga. - Jeżeli tak będziemy dalej płynęli, Kampowie nas dogonią.

- To by był koniec! Nie możemy do tego dopuścić!

- Nad tym się głowię - powiedział Smuga. - Jest nas tylko dwóch do wiosła, a długi brak odpowiedniej zaprawy zmniejszył moją wytrzymałość.

-Trudno się dziwić. Pomyślmy trochę... Ha, widocznie to już dzisiaj taki dzień, że podczas gadaniny stale sobie coś przypominam! Teraz właśnie też tak się stało. Kilkanaście lat temu, gdy jeszcze byłem niedorostkiem, warszawskie "Słowo"[\[36\]](#) drukowało wspaniałą powieść Sienkiewicza. Mówię ci, brachu, że dzień w dzień drałowałem po gazetę. Wieczorami siadaliśmy z moimi staruszkami przy stole, a ja czytałem na głos dalszy ciąg "Potopu".

- Nie znam tej powieści - wtrącił Smuga. - Zapewne wtedy nie było mnie w kraju.

- Żałuj, Janie, żeś nie czytał! Sienkiewicz to wielki talent! Opisał najazd Szwedów na Polskę. Jeden z bohaterów, wielki lekkoduch i zawadiaka, niejaki Kmicic, wsławił się podchodami wrogich wojsk. Szwedzi i polscy zdrajcy wciąż na niego polowali, urządzali zasadzki, a on wymykał się jak piskorz i sam na nich napadał. Nie mogli go złapać, bo nigdy nie wiedzieli, gdzie on się znajduje. To deptał nieprzyjacielowi po piętach, to się przyczajał, to znów wysforowywał przed wroga i uderzał niespodziewanie.

- Musiała to być ciekawa powieść, skoro tak ci się spodobała - zauważył Smuga.

- Czy mi się spodobała?! - oburzył się Nowicki. - Brachu, ludziska wprost za nią szaleli!

- Postaram się przeczytać ją w sposobnym czasie. Dlaczego jednak wspominasz o niej teraz?

- Widzę, że tylko jednym uchem słuchałeś mojej gadaniny - znów oburzył się Nowicki. - Wcale nie miałem zamiaru mówić o powieści! Chciałem tylko zwrócić twoją uwagę na taktykę wojenną Kmicica!

- Nie irytuj się, kapitanie! Jestem trochę roztargniony, zbyt wiele myśli kłębi mi się w głowie - pojednawczo tłumaczył się Smuga. - Ale poczekaj chwilę! Mówisz, że chodziło ci o taktykę wojenną tego...

- Kmicica! - odpowiedział Nowicki.

- O, właśnie! Zaraz, zaraz... chyba już się domyślam. Proponujesz przycząić się tutaj, obserwować rzekę, a jeśli Kampowie się pojawią, przepuścić ich przed nas i dopiero potem ruszyć dalej za nimi. Czy dobrze cię zrozumiałem?

- Bardzo dobrze! - potwierdził Nowicki. - Dwie doby ucieczki bez wytchnienia i posiłku już dobrze dały nam się we znaki. Tutaj mamy zaciszny, bezludny zakątek. Najlepszy dowód, że nawet Kampowie tropiąc twego nieszczęsnego przewodnika nie znaleźli szałasów. Spiesz się, Janie, trzeba tylko przy łapaniu pcheł, nigdy natomiast, gdy chodzi o własne głowy. Gdyby to jeszcze szło tylko o nasze dwie łepetyny! Jeśli my przepadniemy, co się wtedy stanie z Tomkiem i resztą naszych przyjaciół?!

Smuga z uwagą przysłuchiwał się wywodom przyjaciela, a gdy ten skończył, odezwał się:

- Po raz drugi zadziwiłeś mnie dzisiaj, kapitanie. Twój plan jest naprawdę wart poważnego rozważenia.

- Skoro tak, to przemyśl go sobie, do świtu jeszcze daleko. Tymczasem bierzmy się do jedzenia. Ten niby-rosół już nieco przestygł, będziemy popijali ze słoika, który zabrałem ze schowka Onariego. Mięso natomiast musimy pałaszować palcami, jak to w dawnych czasach robili nawet królowie.

Smuga zsunął się z hamaka, przykucnął przy ognisku obok przyjaciela. Jedli w milczeniu. Od dwóch dni był to ich pierwszy gotowany posiłek. Gdy kociołek został opróżniony do dna, Smuga wydobyl z worka tytoń i rzekł:

- Po tak wspaniałym obiedzie warto zaryzykować zapalenie fajki. Zapach tytoniu chyba nie zwabi nam tutaj nikogo na kark!

- Przednia myśl! - pochwalił Nowicki. - Tęsknota za dymkiem fajeczki nie mniej gnębiła mnie niż głódówka! Nabijaj fajkę, zaraz przypalę od ogniska drewno.

Nowicki trochę rozsunał płonące trzy polana, które dzięki temu mogły tylko tlić się dłużej czas, oszczędzając pracy przy rozpalaniu o świcie nowego ogniska.

Obydwaj wolno pykali z fajek.

- Nie ma nic lepszego po obiedzie jak łyk prawdziwej jamajki i fajka! - odezwał się Nowicki. - Wprawdzie nie mogę się chwalić, że jestem syty, ale również nie mogę narzekać, że nic nie jadłem!

- Jutro postaram się upolować coś większego od tukana - pocieszył go Smuga. - Rozważyłem twoją propozycję. Poczekamy tutaj na Kampów. Jeżeli nasze domysły są słuszne, to jutro, najdalej pojutrze powinni nas minąć. Twój plan ma ręce i nogi. Wahałem się tylko dlatego, że wyprzedzając Kampów moglibyśmy ostrzec białych nad Ukajali. Przeliczyłem się jednak z własnymi siłami. Za długo tkwiłem bez ruchu w tym kamiennym mieście.

- Niepotrzebne skrupuły! - zaproponował Nowicki. - Czy zapomniałeś, co powiedziała Agua, gdy dopiekleś jej, iż ostrzegając nas zdradza swoich?

- Pamiętam! Niewątpliwie masz słuszość. Onari nie pomógłby w ucieczce, gdyby to mogło zniweczyć wybuch rebelii. Kto wie nawet, czy Kampowie już nie rozpoczęli rzezi nad Ukajali?

- Biali nie są bez winy, ale ten Tasulinczi może rozpętać prawdziwe piekło - powiedział Nowicki. - Najbardziej żal mi kobiet i dzieciaków. Na nic jednak nasze żale! Jesteśmy bezsilni. Kładź się spać, ja tymczasem dmuchnę jeszcze jedną fajkę. Zbudzę cię, gdy księżyc schowa się za lasem.

- Zgoda, kapitanie! Jesteś wspaniałym kompanem! Za dzień lub dwa dojdę do lepszej formy.

Nowicki zapalił fajkę. Przysiadł na kłodzie zwalonego drzewa, a obok siebie oparł o nią sztucer. Z ostępów leśnych napływały rozliczne szelesty, trzaski, jakieś nieznanne głosy, czasem rozbrzmiewał krzyk drapieżnego ptaka lub głos trwogi. Nowicki wsłuchiwał się w nocne odgłosy puszczy. Jednocześnie rozmyślał o Tomku i jego rezolutnej żonie. Był niemal pewny, że Tomkowi udało się szczęśliwie wyprowadzić resztę przyjaciół z głuszy górskiej. Wierzył w jego nieomylny instynkt podróżniczy, który często podczas poprzednich wypraw łowieckich pozwalał rozwiązywać różne trudne sytuacje. Toteż obecnie najbardziej niepokoiła go sprawa sprzedaży jachtu. Czy Wilmowskiemu udało się w tak krótkim czasie znaleźć nabywcę i przesłać pieniądze, konieczne do zorganizowania nowej wyprawy? Gdyby sprzedaż jachtu zawiodła, pozostawał jeszcze w odwodzie Nixon, ale czy on zechce i czy będzie mógł finansować dalej tak niepewną wyprawę?

Po raz pierwszy w życiu Nowicki kłopotał się o pieniądze. Zawsze pokpiwał z ludzi, dla których zdobywanie majątku stanowiło cel życia. Zadowolony był zawsze tym, co zarabiał ciężką pracą, a gdy udało mu się coś zaoszczędzić, zaraz wysyłał swoim "staruszkom" do Warszawy.

Zamyślony odruchowo wsunął dłoń do kieszeni spodni. Natrafił na twarde zawiniątko. Było to złoto otrzymane od Smugi. Oto posiadał garść złota, a Smuga miał go jeszcze więcej. Gdyby mogli dać je Tomkowi, byłoby po kłopotcie. Tutaj, w dziczy leśnej, nie przedstawiało ono żadnej wartości. Czyż nie stanowiła dla nich większego skarbu indiańska pokuna, którą można bezgłośnie polować?

Nagle zaszeleściły pobliskie zarośla, jakby ktoś gwałtownie przedzierał się przez gęstwiny. Nowicki schwycił sztucer, poderwał się gotów do strzału. Kilka dużych szarobrunatnych zwierząt wychynęło z zarośli. Ich jaśniejsze ubarwienie na bokach zakończonej ryjem głowy, szyi i piersi oraz głosy przypominające głuche świstanie uspokoiły Nowickiego. Były to tapiry amerykańskie, zwane przez krajowców "anta", żyjące w gęstych lasach. Jako zwierzęta typowo nocne zapewne wędrowały na żerowisko lub do jakiegoś małego bajorka, by wytarzać się w mule.

Nowicki z żalem opuścił sztucer. Mięso tapirów było bardzo smaczne, ale nie mógł ryzykować użycia broni palnej. Czujne i płochliwe zwierzęta szybko zawróciły w leśne krzewy.

- Znów pozwoliłeś mi tak długo spać, kapitanie! - rozległ się głos Smugi.

- Zamyśliłem się i tak jakoś zeszło - usprawiedliwiał się Nowicki. - Tapiry cię zbudziły. Już zapachniała mi pieczeń, na szczęście opanowałem się w porę. Dreszcze łożą mi po plecach, chłodno i wilgotno w nocy.

- Włóż do hamaka, okryj się dwiema derkami, to się rozgrzejesz - powiedział Smuga. - Teraz ja będę czuwał. Nie kłopotcz się tak bardzo. Jakoś sobie poradzimy.

Nowicki legł w hamaku ze sztucerem u boku, otulił się skórzanymi derkami i zaledwie przymknął oczy, natychmiast zasnął. Smuga przykucnął przy żarze ogniska. Przez chwilę ogrzewał dłonie, po czym nabił pokunę zatrutą strzałką. Zamierzał zapolować z nastaniem świtu, kiedy to nocne zwierzęta powracają do legowisk, a dzienne wychodzą na żer.

Zaledwie rozbrzmiały pierwsze głosy ptaków, Smuga uzbrojony w sztucer i pokunę wyruszył w las. Pomiędzy drzewami bliżej rzeki snuła się lekka mgła. Smuga natrafił na ścieżynę do wodopoju. Ostrożnie wycofał się w krzewy i przyczaił z pokuną gotową do strzału. Zamarł w bezruchu - w pobliżu przebiegło stadko tapirów powracające z kąpieli w rzece. Kilkudziesięciofuntowy tapir był zbyt dużym łupem nawet dla dwóch zgłodniałych uciekinierów. Potem w polu widzenia pojawiło się stadko kapibar. Jedne skubały trawę, inne objadały korę z młodych drzew. Smuga nie wykonał najmniejszego ruchu. Wśród kapibar nie było młodych sztuk, których polędwica jest bardzo smaczna, podczas gdy mięso starszych osobników jedzą tylko Indianie i Murzyni.

Nastał wczesny ranek, Smuga wreszcie ujrzał najpospolitsze w dorzeczu Amazonki i

wschodnim Peru zwierzątko. Był to aguti. Wielkością i budową przypominał *zająca*, a częściowo małe zwierzęta kopytne. Lśniące, złocistordzawe futerko było dobrze widoczne na tle jasnej zieleni. Aguti przysiadł na tylnych łapach pod rozłożystym krzakiem, a następnie zaczął się wsuwać pomiędzy gałęzie. Zapewne próbował się dostać do ptasiego gniazda, w którym były jajka lub pisklęta, w krzewie bowiem rozbrzmiał krzyk ptaka i gwałtowny trzepot skrzydeł.

Smuga natychmiast wyśliznął się z kryjówki na ścieżkę. Zazwyczaj czujny i płochliwy, aguti teraz był zbyt pochłonięty zabiegami o ulubiony przysmak, by w porę dostrzec niebezpieczeństwo. Toteż zauważył Smugę dopiero wtedy, gdy ten znajdował się już zaledwie o kilka kroków. Ujrzawszy po raz pierwszy nie znanego sobie stwora, aguti stanął słupka jak *zajac*. Przez chwilę trwał nieruchomo, jeżąc sierść na kuprze, potem chrząknął. Zanim jednak poderwał się do ucieczki, zatruta kurarą strzałka utkwiała w jego piersi.

Smuga po powrocie na biwak zastał Nowickiego gotującego wodę w kociołku.

- Jak tu leżeć w betach, skoro przez cały dzień musimy obserwować rzekę! - odparł Nowicki. - Przeoczenie Kampów mogłoby nas drogo kosztować.

- Dlatego też o świcie poszedłem coś upolować - powiedział Smuga. - Jeśli Kampowie podążają za nami, to kto wie, czy nie nocowali gdzieś blisko. Wtedy niedługo można by się ich spodziewać. Idę pierwszy na zwiady, a ty zajmij się przyrządzaniem aguti. W tym jesteś sprawniejszy ode mnie. Uważaj, żeby ognisko nie dymiło!

- Pamiętam o tym, bądź spokojny! Gdy wyzerka będzie gotowa, zastąpię cię na czatach.

Nowicki pozostał sam. Najpierw zdjął z aguti skórę, następnie część mięsiwa pokroił na wąskie paski, które porozwieszał na lianie przywiązanej do dwóch drzewek. Resztę mięsa włożył do kociołka z wodą zawieszzonego nad ogniskiem. Potem, śledząc ptaki owocożerne, nabierał dzikich śliwek. Gotowanie na nikłym ognisku trwało długo. Nowicki wyszukiwał odpowiednie drewno, oganiał liściem palmy owady krążące nad dymiącym kociołkiem. Nie zwracał uwagi na natrętne moskity, do których ukąszeń od dawna już się przyzwyczyił, a nawet uodpornił.

Czas wolno mijał... Posiłek był gotów, więc Nowicki znów trochę rozsunał polana, zjadł swoją porcję i właśnie miał wyruszyć nad rzekę, żeby zastąpić Smugę na posterunku, gdy naraz zaszeleściły zarośla. Po chwili Smuga stanął przy ognisku. Nowicki z niemym wyrzutem w oczach spojrzał na przyjaciela.

- Już biegnę nad rzekę, Janie, właśnie miałem iść, aby cię zmienić na wachcie - powiedział. - Śniadanie gotowe, zjadłem moją porcję, popilnuj mięsa suszącego się w słońcu...

Smuga tymczasem oparł sztucer o drzewo, po czym stanął przed Nowickim i rzekł:

- Nie ma pośpiechu, kapitanie! Domyślam się, że posądzasz mnie o lekkomyślne opuszczenie punktu obserwacyjnego. Otóż uspokój się, już nie musimy czuwać nad rzeką.

- Przeplłynęli?! - żywo zapytał Nowicki.

- Przepłynęli, w godzinę, a może nieco później po wschodzie słońca - potwierdził Smuga. - Zapewne nocowali niezbyt daleko od nas.

- Do stu zdechłych wielorybów! - zaklął Nowicki. - Znaczy to, że gdybyśmy wypłynęli stąd o świcie, to prawdopodobnie do tej pory już by nas mieli w swoich rękach.

- Nie ma najmniejszej wątpliwości - przytaknął Smuga. - Zaproponowana przez ciebie taktyka tego... już wiem, Kmicica, uratowała nam życie.

- Do licha, ale czy to na pewno byli nasi Kampowie? - dociekliwie pytał Nowicki.

- Przepływali niedaleko od brzegu. Zauważyłem Czuasiego, Onariego i kilku znajomych kuraków.

- To aż taka chmara ich była?!

- Siedem dużych łodzi, kapitanie!

- A niech to wściekły rekin! Tam w ukryciu były tylko dwie łodzie! - zdumiał się Nowicki. - Musieli trzymać je również gdzie indziej! Jak ci się wydaje, ilu ich było?

- Razem z młodymi kobietami około osiemdziesięciu.

- Ha, więc to nie był tylko pościg za nami! - rzekł Nowicki. - Na wojennych wyprawach młodsze żony noszą wałówkę i broń. Płyną więc na spotkanie z Tasulinczim.

- Niezawodnie tak jest! - potwierdził Smuga. - Przed nami dzień i noc na wypoczynek. Niech się od nas trochę oddalą.

- No, nareszcie sytuacja się wyjaśniła! - powiedział Nowicki. - Pościg już nie depta nam po piętach. Znajdujemy się na tyłach naszych prześladowców.

- Twoja to zasługa, kapitanie! - pochwalił Smuga. - Obecnie musimy wypocząć i najeść się na zapas. Po śniadaniu zapoluję na papugi. Wprawdzie mięso ich do niczego, ale rosół jest bardzo pożywny.

- Święte słowa - powiedział Nowicki. - Mamy trochę mączki kukurydzianej, upitraszę podpłomyków na drogę. Muszę tylko wyszukać nad rzeką jakiś płaski kamień potrzebny do pieczenia.

Dzień szybko upływał przyjaciółom na polowaniu, gotowaniu i jedzeniu. Dopiero późnym popołudniem, po kąpieli w rzece, przysiedli na kłodzie na biwaku i zapalili fajki.

W miarę upływu czasu robiło się coraz duszniej. Czerwona kula słoneczna przyćmiona lekką mgiełką wprost zionęła żarem. Nawet najłżejszy podmuch wiatru nie łagodził wzrastającego upału. Na lazurowym niebie nie pojawiła się ani jedna chmurka. Powietrze zdawało się gęstnieć.

Nowicki ciężko oddychał. Nie mógł zasnąć; odczuwał dziwny niepokój wewnętrzny. Może to instynkt ostrzegał go przed czającym się nieznanym niebezpieczeństwem? Zerknął na przyjaciela. Smuga drzemał pochyliwszy głowę na piersi. Nowicki podejrzliwie rozejrzał się wokół. Coś niezwykłego działo się w przyrodzie. Liście na drzewach i

krzewach zastygły w całkowitym bezruchu, jakby porażone bezwietrzną, upalną pogodą. Wszędobylskie ptaki, a nawet dokuczliwe owady gdzieś zniknęły...

Gwałtowny szelest krzewów, trzask łamanych gałęzi i tętent przerwały grobową ciszę. Nie opodal ukazało się stado tapirów. Głucho poświstując szybko biegły na południe. Po chwili kilka kapibar przemknęło błyskawicznymi susami.

Widok nocnych zwierząt o tej porze dnia zdumiał Nowickiego. Przecież kapibary *zazwyczaj* biegały niezbyt szybko, teraz natomiast umykały dużymi susami. Cóż to mogło znaczyć? Tropikalny las znów zamarł, pusty i cichy.

- Janku! - półgłosem zawołał Nowicki. - Dzieje się coś niezwykłego! Smuga już się przebudził. Niespokojnie spoglądał w las.

- Może to nadmierny upał... - odparł. - Ale masz rację! Dziwna i niezwykła to cisza, jak przed burzą. Nawet owady zniknęły...

- Czy widziałeś tapiry, kapibary i inne zwierzaki umykające na złamanie karku? - dopytywał się Nowicki. - Mówią, że szczury uciekają z tonącego statku...

- Instynkt często ostrzega zwierzęta przed niebezpieczeństwem - potwierdził Smuga.

Naraz ukryte w zaroślach ptaki zaczęły trwożliwie kwilić. Ziemia drgnęła, drzewa się poruszyły, liście głośno szeleściły, chociaż wciąż nie było nawet najlżejszego podmuchu wiatru. Trwało to krótką chwilę, aż nagle potężny, przygłuszony grzmot podziemny wstrząsnął lasem. Ziemia zakołysała się zdradliwie jak pokład statku na wzburzonym morzu. Nie opodal oszołomionych uciekinierów skorupa ziemiska z hukiem pękła, tworząc szeroką, głęboką szczelinę, w którą z trzaskiem waliły się drzewa wyrwane z korzeniami.

Smuga i Nowicki zerwali się na równe nogi, lecz silne wstrząsy rzuciły ich na ziemię. Przez puszcę przetoczył się gwałtowny wicher i zamarł gdzieś w dali.

- Chyba już po wszystkim - stłumionym głosem odezwał się Smuga.

- Patrz, kapitanie, ziemia się rozstąpiła i pochłonęła kęs lasu! Nowicki podniósł się i mruknął zawstydzony:

- Tfu! Do stu wściekłych rekinów! Najpotężniejsze sztormy nie potrafiły zwalić mnie na pokład!

- Pewno pierwszy raz przeżyłeś trzęsienie ziemi!

- Faktycznie pierwszy raz mi się to przydarzyło - przyznał Nowicki.

- Gdybyśmy obozowali kilkadziesiąt metrów dalej, już byłoby po nas!

- Nie ma co mówić, ziemia by nas pochłonęła - dodał Smuga.

- Mielibyśmy darmowy pogrzeb, i to bez pomocy grabarza - z humorem rzekł Nowicki odzyskując fantazję. - W Andach powitał nas wybuch wulkanu, teraz żegna trzęsienie ziemi. Ciekawe, co jeszcze może nas tu spotkać?!

LUNA NAD DŻUNGŁĄ

Nastał bezchmurny, słoneczny ranek. Tropikalny las rozbrzmiewał przedziwnymi, tajemniczymi odgłosami. Jedyne szeroka szczelina w ziemi i powywracane drzewa świadczyły o katastrofie żywiołowej, która poprzedniego dnia nawiedziła okolicę. Nowicki doglądał kociołka z gotującym się rosołem z papug i głęboko nad czymś rozmyślał, zerkając na Smugę zajętego pakowaniem worków podróжных. Wreszcie, jeszcze raz obrzuciwszy krytycznym wzrokiem przyjaciela, zagadnął:

- Janie, coś mi przyszło do głowy!

- Mów, kapitanie, mów, słucham z największą uwagą. Ostatnio stałeś się prawdziwą skarbnicą dobrych pomysłów - zachęcił Smuga; przerwał pracę i odwrócił się do Nowickiego.

- Będziemy płynęli za wojownikami Kampów - *zaczai* Nowicki. - Nad Tambo znajdują się ich sadyby. Mogą nas spostrzec na rzece!

- Musimy być na to przygotowani - potwierdził Smuga.

- Właśnie o tym rozmyślałem. Gdyby nie twoja broda i długie włosy, założylibyśmy kuźmy i moglibyśmy uchodzić za wojowników płynących jako tylna straż.

- Krótko mówiąc, kapitanie, radzisz mi zgolić brodę i przystrzyć włosy na modłę tutejszych Indian, czyli naśladować ciebie.

- Powinniśmy zwracać na siebie jak najmniej uwagi, ty zaś wyglądasz jak biblijny patriarcha. Przy Indianach nie noszących zarostów wprost leziesz wszystkim w oczy.

- Słuszna uwaga, kapitanie! Muszę pozbyć się brody i obciąć włosy. Masz lusterko i coś do golenia?

- Z lusterka pozostał tylko okruch, ale od biedy wystarczy - odparł Nowicki.

- Stłukło się, duża szkoda - powiedział Smuga. - W tej głuszy lusterko jest prawdziwym skarbem.

- Nie ma co żałować! Sam odłupałem kawałek dla siebie. Widzisz, Agua tak się wdzięczyła do lusterka, że wypadało się z nią podzielić.

- Niewątpliwie sprawiłeś jej wielką radość tak cennym upominkiem - przyznał Smuga uśmiechając się dyskretnie.

- To prawda, cieszyła się jak dzieciak! Podarowała mi w zamian bambusowy nożyk do usuwania zarostu i drewniany grzebyk. Niezbyt przyjemne jest takie golenie na sucho, można się jednak przyzwycząić. Nieźle się już wprawiłem, pomogę ci, Janie. Najlepiej siadaj od razu na kłodzie!

Smuga ze stoickim spokojem poddawał się owemu "goleniu", tylko od czasu do czasu mocniej zaciskał zęby i mrużył oczy. Niemało też namozolił się Nowicki, zanim pozbawił go brody i wąsów, wreszcie jednak odsunął się nieco, by ocenić wynik swoich zabiegów.

- No, Janku! Najgorsze masz już za sobą - orzekł zadowolony.

- Wprawdzie skóra na brodzie jest teraz bielsza, ale jak ją przybrudzisz popiołem, to jakoś ujdzie! Jeszcze tylko przytnę włosy i po bólu.

Smuga odetchnął głęboko, jak człowiek, który po długim nurkowaniu wreszcie wypłynął na powierzchnię wody, i powiedział:

- Dziękuję ci, kapitanie! Dzięki tobie zrozumiałem teraz, dlaczego nieszczęsny John Nixon chciał zastrzelić indiańskiego fryzjera nad Rio Putumayo...

- Ha, widocznie był człowiekiem nerwowym, dlatego też zginął tak tragicznie...

Zanim słońce stanęło w zenicie, dwaj przyjaciele już płynęli w dół rzeki. Przed wyruszeniem nałożyli kuźmy na własne odzienie, toteż obecnie, widziani z pewnej odległości, mogli być brani za Indian. Zachowywali wielką ostrożność; wiosłowali porozumiewając się mową znaków i płynęli jak najbliżej brzegu, gdzie gęste, wysokie trzciny umożliwiały szybkie ukrycie się w razie niebezpieczeństwa. Niezbyt duża rzeka, teraz, pod koniec pory deszczowej, szeroko rozlewała swe wody, wdzierając się aż w nadbrzeżny las.

Było późne popołudnie. Smuga, który siedział na przedzie łodzi, nagle odwrócił się do Nowickiego i wymownym gestem polecił mu przybić do brzegu. Natychmiast zaszyli się w szuwary.

Dziób łodzi otarł się o niezbyt stromy brzeg, osłaniany konarami drzew i lianami. Smuga przywiązał łódź do gałęzi, po czym szepnął:

- Najwyższy czas na rekonesans!

- A jakże! Coś mi tu zaczyna cuchnąć - również szeptem odparł Nowicki. - Rzeka coraz większa, prąd gwałtowniejszy, szum wody potężnieje...

- Niezawodne znaki, że dopływamy do Tambo - rzekł Smuga.

- To samo pomyślałem - powiedział Nowicki. - Trzeba się dobrze rozejrzeć. Kto wie, czy w pobliżu ujścia naszej rzeki nie ma osiedla Kampów. Łódkę zostawimy tutaj w ukryciu, wysiadamy!

Smuga wziął sztucer i wspiął się na brzeg. Nowicki po chwili stanął przy nim.

- Idź pierwszy, Janie! - powiedział cicho. - Będę cię osłaniał! Załedwie uszli kilkaset kroków, Smuga przystanął i gestem przywołał Nowickiego. Ścieżka wydeptana przez ludzi przecinała las. Smuga pochylony ku ziemi badał widniejące na niej ślady. Dał znak Nowickiemu, żeby poczekał na niego, a sam, jak ogar tropiący zwierzynę, to szedł ku wschodowi, to znów się cofał, aż wreszcie powrócił do Nowickiego i rzekł:

- Ścieżka wyraźnie prowadzi na północ, a więc do Gran Pajonalu. Prawdopodobnie gdzieś dalej rozgałęzia się na północny wschód do brzegów Ukajali. Ślady bosych stóp mężczyzn i kobiet są bardzo świeże. Najdalej wczoraj lub nawet dzisiaj rano wędrowała tędy znaczna gromada Indian.

- Dokąd szło to bractwo? - zapytał Nowicki.

- Szli na północ, nie ma śladów wiodących w odwrotnym kierunku.

- A więc szli od brzegu rzeki, którą płyniemy. Może to nasi Kampowie wylądowali i dalej udali się pieszo? Zapewne znają krótszą drogę do Ukajali, skoro zrezygnowali z dopłynięcia tam rzeką Tambo - rzekł Nowicki.

- Zaraz sprawdzimy - powiedział Smuga. - Jeżeli są naszymi Kampanii, to musieli zostawić swoje łodzie na brzegu rzeki. Idziemy!

Domysły wkrótce okazały się słuszne. W nadbrzeżnych chaszczach było ukrytych pięć łodzi. Oznaczało to, że Kampowie podzielili się na dwie grupy. Liczniejsza pieszo podążyła dalej, druga, mniejsza, w dwóch łodziach popłynęła ku rzece Tambo.

Po powrocie do własnej łódki ukrytej w szuwarach Smuga wydobył mapę. Długo się nad nią zastanawiał, uzupełniał, robił notatki. Nowicki milcząco obserwował go, w końcu jednak zniecierpliwiony zagadnął:

- Coś tam wyniuchał, Janku?!

- Jestem niemal pewny, że odkryta przez nas ścieżka wiedzie z Gran Pajonalu nad rzekę Tambo [37] - wyjaśnił Smuga. - Słyszałem, że Kampowie z Gran Pajonalu muszą chodzić aż nad Tambo po pręty do sporządzania strzał do łuków. Oni robią je z isany, to jest z długich prętów baziowych chikotzy [38], która rośnie tylko nad brzegami dużych, szerokich rzek. Dlatego właśnie nie ma isany nad małymi strumieniami w Gran Pajonalu. Słyszałem również, że Kampowie mają swoją ścieżkę, którą można przejść z Pajonalu nad Tambo i Ukajali. Spójrz na mapę, kapitanie! Ukajali powstaje z połączenia Urubamby i Tambo. Ukajali razem z rzeką źródłową Tambo tworzą jakby lekko napięty łuk, którego cięciwą może być odkryta przez nas indiańska ścieżka. Ewentualne jej odgałęzienie na wschód stanowiłoby znacznie krótszą drogę do Ukajali niż dopływanie rzeką Tambo. To by wyjaśniało, dlaczego Kampowie poszli dalej pieszo.

- Mapa zdaje się potwierdzać twoje domysły - przytaknął Nowicki.

- Tomek zaznaczył rzekę Unini, lewy dopływ Ukajali, powyżej zlewu Tambo z Urubambą. Spójrz jeszcze raz na mapę! Ta ścieżka może prowadzić do Unini. Gdyby Kampowie wyznaczyli sobie punkt zborny w miejscu zlewu Unini z Ukajali, to uniemożliwiliby Panchowi Vargasowi ucieczkę w dół Ukajali. La Huaira Vargasa leży przecież nad Urubambą.

- Sprytny manewr, nie ma co gadać! - z uznaniem pochwalił Nowicki - Vargas urządził wyprawę po niewolników do Gran Pajonalu i dobrze dawał się we znaki Kampom. Mają oni z nim na pieńku! Tylko po jakie licho dwie łodzie popłynęły na Tambo?

- Może chcą udaremnić Vargasowi ucieczkę rzekami Tambo i Perene w podgórskie okolice Andów?

- A niech to wściekły rekin połknie! - zafrasował się Nowicki.

- W takiej sytuacji moglibyśmy się natknąć na naszych Kampów!

- Musimy być ostrożni i czujni, żeby nie wpaść w pułapkę. Teraz w drogę! Powinniśmy się znaleźć na Tambo jeszcze przed zapadnięciem nocy.

Łódź znoszona wartkim prądem szybko płynęła w dół rzeki. Smuga odłożył wiosło, pozostawiając sterowanie Nowickiemu. Nadchodził wieczór. Obydwa brzegi już kryły się w mrocznych cieniach, tylko na samym środku rzeki słały się jeszcze ostatnie odblaski zachodzącego słońca. Nowicki utrzymywał łódź na ciemniejszym paśmie rzeki, której nurt z każdą chwilą przybierał na sile.

Na horyzoncie tymczasem gromadziły się ciemne chmury. Chociaż był to prawie koniec pory deszczowej, trwającej od stycznia do marca, często jeszcze po południu padały mniejsze lub większe deszcze. Szybko nadciągające czarne chmury tym razem były na rękę uciekinierom, liczyli bowiem, że podczas ulewy uda im się niepostrzeżenie wpłynąć na Tambo.

Smuga bacznie się rozglądał. Dżungla porastała obydwie strome brzegi, które teraz coraz bardziej się od siebie oddalały. Łódź zaczęła się niespokojnie kołysać na zmiennym nurcie rzeki. Las, widoczny dotąd na dwóch przeciwległych brzegach, obecnie nagle ukazał się również w pewnym oddaleniu na wprost przed łodzią, jakby zagradzając dalszą drogę.

- Kapitanie, bliżej lewego brzegu! To już Tambo! - ostrzegł Smuga szybko chwytając wiosło.

- Trzymaj je mocno w garści i... ani słowa! - ostrzegł Nowicki. - Z prawej za nami ogniska... ludzie!

W tej chwili powiał porywisty wiatr. Czarne, ciężkie chmury przysłoniły świat. Zaczął padać rześisty deszcz, który wkrótce przemienił się w tropikalną ulewę. Smuga wydobył z worka kociołek i począł wylewać wodę gromadzącą się w rozkołysanej łódce, to znów wiosłem pomagał Nowickiemu utrzymać właściwy kierunek. Nowicki co chwila zerkał za siebie; strugi ulewy zasłoniły brzegi, więc stamtąd nie mogło im grozić niebezpieczeństwo. Gwałtowny prąd na Tambo szybko niósł łódź w dół rzeki. Niebawem przepłynęli obok wysepki. Tylko dzięki żeglarskiemu doświadczeniu Nowickiego w ostatniej chwili udało im się ominąć ostre skały sterczące z wody. Potem otarli się o znoszony prądem pień drzewa. Dalsza żegluga po całkowitym zapadnięciu nocy groziła nieuchronnym rozbiciem łódki na rzece, w której nurtach czyhały piranie, płaszczki zbrojne w jadowite kolce, zdradliwe rybki canero, żarłoczne krokodyle i wiele innych niebezpiecznych dla człowieka egzotycznych stworów. Toteż Nowicki bez namysłu skierował łódź ku następnej napotkanej wyspie. Brzegi jej były bardzo wysokie, ale obecnie koryto Tambo obfitowało w wodę, która dochodziła aż do samej dżungli porastającej wyspę.

- Hamuj wiosłem, Janku - polecił Nowicki, gdy łódź dziobem zanurzyła się w gąszcz przybrzeżnej chikotzy.

Wkrótce łódź przywiązana lianą do bambusa lekko kołysała się pod osłoną zwisających konarów drzew. Nowicki i Smuga, wyczerpani walką z gwałtownym żywiołem, siedzieli w milczeniu i odpoczywali. Dopiero po dłuższej chwili pierwszy odezwał się Smuga:

- Wyspa nie wygląda na zbyt dużą, chyba nie ma tu nikogo. Rozejrzę się trochę. Deszcz ustał. Może uda ci się wylać wodę z łodzi, kto wie, czy nie przyjdzie nam w niej spędzić nocy. Wrócę niebawem.

- Weź sztucer, jeśli usłyszysz strzał, podskoczę z odsieczą - odparł Nowicki odganiając ręką komary, które po deszczu zaraz się pojawiły chmarami.

Smuga zniknął w gąszczu.

"No, jako zwiadowca mógłby nasz Janek stawać do zawodów z Indiancami - z uznaniem pomyślał Nowicki. - Krzaki nie szeleściły, nie nadepnął na gałąź, podkrada się jak kot! Nawet się nie zorientowałem, w którym kierunku odszedł.

Pod parasolem zieleni zapadła ciemna noc, choć srebrzysty księżyc wytaczał się coraz wyżej na usiane gwiazdami niebo. Nowicki długo osuszał łódkę. Wsłuchiwał się w głosy napływające z dżungli i szum wartko toczących się wód rzeki. W napięciu oczekiwał powrotu przyjaciela. Wreszcie usłyszał szelest zarośli.

"Jaguar tak by nie hałasował - pomyślał. - To Smuga nareszcie wraca. Skoro idzie tak śmiało, to znak, że na wyspie nie ma nikogo.

Tak było w rzeczywistości. Smuga siadł naprzeciwko Nowickiego i rzekł:

- Obszedłem wyspę naokoło. Wszędzie pustka. Nie wiemy jednak, co jest za nami i przed nami. Nie możemy rozpaść ogniska, a warto by osuszyć ubrania.

- Święta racja, noce tutaj chłodne - przytaknął Nowicki. - Zrzućmy przemoczone kuźmy, powieszę je na gałęzi, to woda ścieknie. Mamy trochę suchego prowiantu, posilimy się teraz i poczekamy do świtu.

- Tak, w dzień lepiej zorientujemy się w sytuacji - zgodził się Smuga. Zaledwie niebo trochę zaróżowiło się na wschodzie, Smuga i Nowicki wyruszyli na obchód wyspy. Poznanie topografii okolicy było konieczne przed wyruszeniem w dół rzeki. Musieli także wysuszyć przemoczone ubrania, toteż Smuga poprowadził przyjaciela na południe wyspy, gdzie podczas nocnego zwiadu trafił na wąski skrawek piaszczystej plaży nie zalanej wodą.

Nowicki szybko się rozebrał, porozkładał kuźmy na piasku, po czym zaczął przyglądać się rzece.

- Tutaj ubrania wyschną raz, dwa, niech tylko słońeczko zacznie przygrzewać - rzekł. - Z brzegów nikt nas nie wypatrzy. Nie spodziewałem się, że Tambo jest tak duża. Prąd wartki jak na młyńskim kole.

- Popatrz na te potężne masywy gór na zachodzie - odparł Smuga.

- Tambo spływa stamtąd głęboką doliną o znacznym spadku, to i nic dziwnego, że prąd jest tak porywisty[39]. Spójrz, jak wyniosłe są obydwie brzegi!

- To prawda, nawet teraz, w porze deszczowej, rzeka nie sięga lasu - przyznał Nowicki. - Widać, że to tereny nigdy nie zalewane.

- Tym gorzej dla nas! - wtrącił Smuga. - Należy się spodziewać, że Kampowie wybierają

na zamieszkanie miejsca chronione przed powodziami.

- Najprędzej możemy się natknąć na nich przy ujściach strumieni do Tambo, w miejscach bardziej odkrytych, a więc i widocznych z daleka. Chaszcze leśne nie nadają się do zakładania sadyb, a tu, jak okiem sięgnąć, wszędzie panoszy się dżungla. Ogniska, któreśmy wczoraj widzieli, również płonęły w pobliżu zlewu naszej rzeki i Tambo. Poza tym, źle czy dobrze, nie możemy zwlekać. Ziemia pali nam się pod stopami! Janie, jak daleko jeszcze może być do Ukajali?

- Już wczoraj się nad tym zastanawiałem - odpowiedział Smuga.

- Według mapy, stąd do Ukajali może być kilkadziesiąt, ale i nie więcej niż sto kilometrów.

- Przy tak szybkim prądzie można by je przebyć w trzy, a może i w dwa dni.

- Tak, gdybyśmy mogli bez przeszkód płynąć przez cały dzień - wtrącił Smuga. - Możemy być jednak zmuszeni do porzucenia łodzi. Wszystko zależy od tego, jak wielkie rozmiary przybierze rewolta Kampów.

- Wiem o tym, Janie, wiem! - powiedział Nowicki. - Byle tylko udało się nam jak najszybciej dotrzeć do Ukajali.

- Nie możemy marudzić, choć do spotkania z Tomkiem mamy jeszcze nieco czasu. Musimy ryzykować i szybko płynąć dalej. Trochę oddechu złapiemy dopiero na prawym brzegu Ukajali, a jeszcze pewniej na prawym brzegu Urubamby.

- Urubamby?! - zdziwił się Nowicki. - Tam przecież leży La Huaira Pancha Vargasa. Do tej pory z La Huairy zapewne już pozostały tylko popioły, a Vargas gotuje się w piekło w kotle smoły!

- Nie byłbym tego tak pewny! - zaproponował Smuga. - Vargas otacza się bandą zaufanych Pirów, do których mogły przeniknąć wieści o przygotowywanej rebelii.

- To możliwe - przyznał Nowicki. - Tasulinczi sam mówił, że odwiedzał w La Huairze Pirów zaprzyjaźnionych z Kampanii. Jedni Pirowie wysługują się Vargasowi, drudzy spiskują z Kampanii, ale wszyscy Pirowie są przede wszystkim Pirami, co wiedzą jedni, mogą wiedzieć i drudzy.

- Vargas jest zbyt wielkim cwaniakiem, żeby ostrzeżony przez swoich zaufanych, czekał na wybuch powstania - dodał Smuga. - Mógł w porę ukryć się dalej na południu, w toldach [\[40\]](#) przyjaznych mu Pirów. Jeżeli nawet nie zastaniemy Vargasa w La Huairze, to przecież gomalę [\[41\]](#) znajdują się w dorzeczu górnej Ukajali, Urubamby, Madre de Dios i Beni. Możemy więc napotkać jakąś correrię lub seringueirów [\[42\]](#), którzy będą wiedzieli, co piszczy w trawie.

- A więc musimy zahaczyć o La Huairę. Tam najprędzej zasięgniemy wieści o rebelii - przyznał Nowicki i zaraz umilkł.

O kilkadziesiąt kroków dalej z zarośli wychynął na plażę młody dzik, płosząc baraszkuje wydry. Kilka olbrzymich żółwi wygrzewających się w słońcu pośpiesznie

podążyło do wody.

- Warto by się rozejrzeć za żółwimi jajami - zaproponował Nowicki.

- Daremny trud, kapitanie! Żółwie słodkowodne [43] w tych stronach wychodzą z rzeki składać jaja dopiero w porze suchej, gdy poziom wody jest niski i plaże dobrze nagrzane.

- Ha, wielka szkoda, surowe jaja są bardzo pożywne, a i głód już mi doskwiera!

- Pozostało nam jeszcze trochę suchego prowiantu - pocieszył go Smuga. - Później, gdy będzie można rozpaść ogień, złowimy parę ryb i upieczemy! Teraz jednak najwyższa pora ruszyć w drogę.

Łódź szybko mknęła z porywistym prądem. Smuga pełnił rolę pilota. Nie było to łatwe zadanie na kapryśnej, nie znanej mu rzece, której wygląd zmieniał się jak obrazy w kalejdoskopie. Obydwa brzegi czasem znacznie oddalały się od siebie, to znów przybliżały. Nadbrzeżna dżungla miejscami widoczna była tylko jako ciemna wstęga, to znów wyraziście ukazywała swe dzikie, egzotyczne piękno. Gwałtowny nurt rzeki nie pozwalał ani na chwilę zapomnieć o czyhających w jej głębinach krwiożerczych potworach. W płytszych miejscach jeżyły się palisady ze zwalonych i unieruchomionych pni drzew, sterczały z wody gałęzie i korzenie, na których podłożu powstawały z czasem nowe wyspy. Tu i tam rzeka szczyrzyła się ostrymi zrębami podwodnych skał, to trzeba było przeprować się przez bystrza pomiędzy wysepkami i wyspami. Świadomość, że w razie rozbicia się łodzi człowiek nie ma żadnych szans na dopłynięcie do brzegu, sprawiła, iż Nowicki i Smuga skupiali całą swoją uwagę na rzece. Niemniej Nowicki zerkał ku brzegom, bo stamtąd również mogło im zagrozić niebezpieczeństwo.

- Janie, uwaga! - naraz zawołał. - Z prawej wyrwa w lesie! Dymy, Indianie!

- Widzę! - odkrzyknął Smuga. - Przybijaj do prawego brzegu! Rzeka niemal wdzierła się w dżungłę, toteż łódź niebawem wpłynęła w gąszcz trzciny. Smuga i Nowicki wyszli na brzeg.

- Tym razem obydwaj idziemy na zwiad - cicho odezwał się Smuga. - Różnie może się zdarzyć, nie wolno nam się rozłączać.

- Święta racja! - przytaknął Nowicki. - Worki chyba zostawimy w łodzi?

- Oczywiście, utrudniałyby podchody, tylko broń zabieramy. Ostrożnie przemykali przez dżungłę, która zwartą ścianą porastała obydwie brzegi. Co chwila przyczajali się w gąszczach, za drzewami i w wądołach, nasłuchując i rozglądając się bacznie. Był jeszcze pełny dzień, lecz w lesie panował półmrok. Smuga szedł pierwszy. Porozumiewał się z Nowickim bezgłośnie mową znaków. Minęło około godziny, zanim stanęli na skraju golizny, która w wyrwie leśnej tworzyła duże półkole dotykające krańcami brzegu rzeki. Środkiem golizny płynął strumień uchodzący do Tambo. Po lewej stronie strumienia stało kilka naziemnych chat, zbudowanych wyłącznie z drewna, bambusów, lian i liści. Wznosiły się nad ziemią na grubych palach dla ochrony przed wilgocią. Chaty otwarte na wszystkie strony nie ukrywały niczego, toteż widać było wiszące na bambusowych prętach duże kiście bananów, pęki kolb kukurydzy i juki, wiązki strzał, łuki i bojowe makany, to

jest miecze zrobione z twardego drewna. Wokół chat dzieci bawiły się z oswojonymi papugami, kurami i małpkami. Tu i tam gawędziły grupki starszych mężczyzn, młodych było niewiele, przeważały kobiety i dziatwa. Wszyscy przyodziani byli w kuźmy brązowe lub szare w czarne pasy. Kobiety nosiły na szyjach sznury paciorków z aromatycznych nasion. Dzieci biegały w większości nagie. Do ramion miały przyczepione dzwoneczki z twardych skorupki owoców, aby łatwiej można było je odszukać w razie zagubienia w lesie. Niektóre z nich posiadały małe futrzane ogonki jako ozdoby. Mężczyźni, kobiety i dzieci mieli twarze pomalowane na czerwono, a na policzkach bądź czole tatuaże wyobrażające sine węże. Długie, sięgające ramion, sztywne i czarne jak węgiel włosy przycięte były równo w połowie czoła, głowy zaś przyozdobione przepaskami w kształcie korony z zatkniętymi papuzimi piórami. Pośrodku wioski, przed największą chatą, znajdował się spory plac pokryty mocno ubitą ziemią. Zapewne na nim odprawiano obrzędy, tańce i zabawy.

Smuga i Nowicki z ciekawością przyglądali się mieszkańcom wioski. Kobiety krzątały się przy swoich chatach. Wyplatały maty, ozdoby i korony na głowy, sporządzały nici i tkwały kuźmy, robiły gliniane garnki, przygotowywały chichę i jedzenie. Młode matki zajmowały się małymi dziećmi. Niektóre siedziały przed chatami iskając wszy we włosach swych pociech. Robiły to z wielkim namaszczeniem, Indianie bowiem szanowali te pasożyty, sądząc, że wysysają one z człowieka złą krew. Dostatek widoczny we wsi i schludność odzienia wskazywały, że mieszkańcy osady nie cierpieli głodu.

Po prawej stronie strumienia znajdowało się kilkanaście nędznych szałasów o ścianach z prętów bambusowych i trzciny. Już na pierwszy rzut oka można było się domyślić, że tam mieszkają biedniejsze rodziny. Świadczyły o tym prymitywne, niewygodne szałasowe, do których trzeba było wchodzić na czworakach, postrzępione, brudne kuźmy oraz brak najprostszych sprzętów gospodarskich.

- To Kampowie - szepnął Nowicki, pochylając się do przyjaciela.

- Kampowie - cicho przytaknął Smuga. - Nie widać młodszych mężczyzn. Pewno już poszli na punkt zborny z Tasulinczim. Na brzegu jest tylko kilka małych łódek...

- Spójrz, Janie! Na wprost wioski znajduje się na rzece spora wyspa. Kryjąc się za nią, możemy przemknąć dalej...

Smuga skinął głową. Obydwaj zaczęli wycofywać się w las. Nowicki, zanim zepchnął łódź na wodę, odezwał się:

- Ci Indiancy jeszcze pewno nie zetknęli się z białymi. Zaraz było widać, że żyją tak, jak żyli ich praojcowie. Mimo to wśród nich też są bogatsi i "biedniejsi. Dziwi mnie to, bo przecież w tej zapadłej głuszy dostatek zależy tylko od pracowitości i przedsiębiorczości człowieka.

- Widocznie tak już jest od zarania istnienia ludzi na Ziemi - odparł Smuga. - Pracowici i zaradni wiodą dostatnie życie, natomiast nicponie i leniuchy, których nigdzie nie brak, zamiast wziąć się do pracy, myślą tylko o tym, jak by można bez trudu odebrać mienie tym, którzy zdobyli je własną ciężką i uczciwą pracą.

- Myślałem, że takie przywary posiadają tylko biali - mruknął Nowicki. Wkrótce minęli wioskę Kampów. Dopiero na krótko przed zachodem słońca zatrzymali się na rozległej, lesistej wyspie. Gdy tylko się upewnili, że w okolicy nie ma śladów bytności ludzi, Nowicki powiedział:

- Janie, zacisznie tutaj, głębiej w lesie można by upitrasić jedzenie. Spróbuję złowić parę ryb, przy brzegu rzeka nie jest głęboka. Co o tym myślisz - Wygłodnieliśmy! Warto by coś zjeść, ale wejście do wody jest niebezpieczne, a to byłoby konieczne przy użyciu barbasco[44].

- Kto ryzykuje, ten w kozie nie siedzi, mawiał jeden z moich kumpli z braci marynarskiej. Widziałem, w jaki sposób Indiancy płoszyli piranie. Ostatecznie mógłbym nie zdejmować portek i butów. Co tu się zastanawiać, gdy kiszki marsza grają! Rozejrzyj się za odpowiednim miejscem, ja tymczasem poszukam barbasco. Tego specjału na pewno tu nie brak.

Nim minęło pół godziny, Nowicki powrócił z całym naręczem krzewów wyrwanych z ziemi razem z korzeniami. Smuga także już znajdował się przy łodzi.

- Znalazłeś dobre miejsce? - od razu zapytał Nowicki.

- Około trzystu metrów stąd jest półkolisty kawałek piaszczystego wybrzeża - odparł Smuga. - Możemy tam spróbować.

- W takim razie chodźmy! Warto się uwinąć z pitraszeniem jeszcze przed nocą.

Wkrótce byli na plaży. Nowicki wyszukał dwa kamienie. Na jednym, spłaszczonym, kładł krzewy barbasco, a drugim miażdżył je, aż zaczął z nich wypływać trujący sok. Wtedy wrzucił krzewy do wody i pobiegł w dół wyspy. Nowicki lubił popisywać się śmiałością i odwagą. Toteż, mimo ostrzeżeń Smugi, szybko zrzucił ubranie i nagi wszedł do wody, która w tym miejscu sięgała mu do pasa. Skulonymi dłońmi uderzał o powierzchnię wody, podpatrzył bowiem, że Indianie w ten sposób płoszyli piranie. Niebawem zaczęły napływać oszłomione ryby. Nowicki gołymi rękoma chwycił je i wyrzucał na brzeg. Złowił pięć dużych ryb. Zadowolony z siebie wyszedł z wody zerkając na przyjaciela.

- No, już po strachu! - zawołał.

- Coś mi się wydaje, kapitanie, że ty nie umrzesz śmiercią naturalną - odezwał się Smuga.

Nowicki beztrוסko się roześmiał i odparł:

- Nie pierwszy mówisz mi to, Janku! Parę lat temu ktoś przepowiedział mi to samo. Opowiem ci o tym dziwnym wydarzeniu na dobranoc. Poza tym nie taki musi być diabeł straszny, jak go malują. Na pewno tutaj nie ma piranii, bo nie wierzę w skuteczność indiańskiego bębnienia dłońmi w wodę. Wkrótce się o tym przekonamy.

Ubrał się i zaczął oporządzać złowione ryby. Wprawnie wypatroszył je i poodcinał łby, które razem z okrwawionymi wnętrznościami z rozmachem wrzucił do wody. Przez krótką chwilę nic się nie działo. Nowicki spojrzał na przyjaciela kpiącym wzrokiem, ale zaraz

zrzędała mu mina. W miejscu, gdzie zanurzyły się ochłapy, woda wzburzyła się i poczerwieniała. W kotłownianinie widać było grzbiety, a nawet łby piranii walczących między sobą o smakowity żer. Wkrótce powierzchnia wody znów się wygładziła.

- No, kapitanie, co teraz powiesz? - zagadnął Smuga. - Szczęście, że nie miałeś jakiegó rany na ciele.

- Widocznie nie było mi jeszcze pisane przenieó się do Abrahama na piwo - odparł No wieki. - Było, minęło, więc nie ma o czym gadać.

Po zjedzeniu upieczonych ryb Nowicki starannie wygasił ognisko. Obydwaj położyli się w hamakach ćmiąc fajki.

- Obiecałeś, kapitanie, opowiedzieć o jakimó niezwykłym wydarzeniu - odezwał się Smuga. - Któż to prorokował ci, że nie umrzesz śmiercią naturalną?

- Prawdę powiedziawszy, sam nie wiem, kto to był - rozpoczął Nowicki. - Zdarzyło się to parę lat temu, zanim zacząłem jeździć z tobą i ojcem Tomka na wyprawę. Płynąłem wtedy na małym, starym i trzeszczącym trampie z Liverpoolu do Afryki Południowej. Wieźliśmy broń i amunicję dla Brytyjczyków toczących wojnę z Burami[45]. Przeciężona wysłużona krypa była właściwie wielką, otwartą beczką prochu. Toteż, gdy w Biskajach [46]wpadliśmy w gwałtowny sztorm, cała załoga z kapitanem na czele miała dusze na ramieniu. Rozhuó stany tramp mógł w każdej chwili wylecieć w powietrze. Na domiar złego, zaraz po nadejściu sztormu, paskudnie skręciłem nogę i musiałem leżeć w koi. Przywiązałem się sznurem, bo wzburzone morze rzucało statkiem jak piłką. Fale przelewały się przez pokład, wiążania trzeszczały, więc różne myóli plątały się po łepetynie. Noga nieźle mi doskwierała, nie dawała zasnąć. Czasem tylko zapadałem w drzemkę.

Wczesnym rankiem otworzyłem oczy. Zawierucha wciąż jeszcze wyprawiała harce ze statkiem. W kabinie panował półmrok. Naraz spostrzegam, że przy moich nogach obok koi czai się jakaó dziwna szara sylwetka. Konturem przywodziła mi na myó zakapturzonego mnicha. Przyglądam się, ale w szarym konturze nie widać twarzy ani oczu. Instyktownie wyczuwam jednak, że dziwna zjawa bacznie mi się przygląda. "Ki diabeł?" - pomyólałem zdumiony. Szczypię się w poóladek: nie, nie śpię i wyraźnie widzę zjawę. Naraz bezgłóśnie odezwała się do mnie: "Nie bój się, i tak nie umrzesz śmiercią naturalną". Nie słyszałem głósu, a jednak słowa te przeniknęły do mej ówiadomości.

Zacząłem odwiązywać opasujący mnie sznur. Zjawa tymczasem z wolna się rozplýwała i zanim usiadłem, zniknęła. Przez parę dni czułem się trochę nieswojo, ale później pomyólałem, że nikt nie przechytrzy swego losu, co ma być, to i tak się stanie, gdy nadejdzie oznaczona pora.

- Czy wierzysz w przeznaczenie? - zapytał Smuga.

- Jak tu nie wierzyć! -już trochę sennym głósem mruknął Nowicki. - Nawet piranie mnie nie tknęły, bo widocznie nie nadszedł jeszcze mój czas.

W chwilę później Smuga usłyszał ciche pochrapywanie.

”Wspaniałe chłopisko - pomyślał. - Przesądny, ale nie zna uczucia lęku. Żelazne nerwy... On nie mógł ulec halucynacji... Cóż, dzieją się na świecie rzeczy, o których nawet filozofom się nie śniło...

Jeszcze przez jakiś czas Smuga czuwał, aż w końcu zmorzył go sen.

Kiedy No wieki się przebudził, już świtało. Jakiś wewnętrzny niepokój poderwał go z hamaka. Smuga jeszcze spał. Wziął sztucer i ruszył nad rzekę. Najpierw upewnił się, że łódź leży ukryta w zaroślach. Wyciągnął ją na brzeg rzeki, sprawdził, czy wiosła i drąg do popychania są w porządku. Naraz, jakby wiedziony instynktem, spojrział w dół rzeki. W dali na prawym brzegu błysnął nad dżunglą różowożółty odblask, który wkrótce przemienił się w czerwone kłęby przeplecione czarnym dymem.

W pierwszej chwili Nowicki pomyślał, że to pożar lasu, ale zaraz porzucił tę myśl. Łuna się nie rozszerzała, ogień płonął w jednym miejscu.

- To sprawka Kampów, puszczają z dymem czyjąś sadybę - mruknął.

- A więc zaczęło się, wojna! Pobiegnął do Smugi.

- Janie! Wstawaj! - zawołał. - Kampowie rozpoczęli rebelię! Na lewym brzegu łuna nad dżunglą!

Pobiegli nad rzekę. W dali czerwone odblaski zaczęły blednąć. Jeszcze kilka razy buchnęły czerwono-czarne kłęby. Wkrótce pożar przygasł.

- Janie, zdawało mi się, że słyszę jakieś krzyki - odezwał się Nowicki.

- Głos po wodzie daleko się niesie...

- Ja również złowiłem uchem odgłosy strzałów - powiedział Smuga.

- Kampowie rozpoczęli powstanie, zanim dotarliśmy do Ukajali. Twoja indiańska sympatia przepowiedziała to przed naszą ucieczką...

PABLO

Smuga i Nowicki płynęli w pobliżu brzegu w dół rzeki. Wypatrywali pogorzelska, nad którym o świcie wisiała złowieszcza luna. Pożar mógł być wzniecony przez Kampów, gdyż świt był ich ulubioną porą napadu.

- Czy nie za daleko płyniemy, kapitanie? - zaniepokoił się Smuga.

- Chyba teraz powinniśmy pójść dalej pieszo - odparł Nowicki. - Szukam tylko dogodnego miejsca.

Wkrótce zagłębili się w szuwary. Wyszli na brzeg, po czym wciągnęli łódkę w nadbrzeżne chaszczce. Zabrali broń i ruszyli w dżungłę. Przekradali się blisko brzegu, gdyż puszczone z dymem sadyba musiała się znajdować nad rzeką. Dzień był bezwietrzny i upalny, toteż muszki syto[47] grasowały całymi chmarami, włożyły we włosy, gryzły w głowę. Ukąszenia ich, podobne do pchlich, pozostawiały czerwone swędzące ślady, które, jeśli nie były drapane, same znikwały po kilku godzinach i swędzenie ustawało. Podczas długiego przebywania w tropikalnej puszczy obydwaj uciekinierzy przywykli do natrętnych ataków tysięcy różnych owadów, znosili je cierpliwie, nawet nie dotykali swędzących głów. Syto grasowały tylko w dzień, wieczorem natomiast pojawiały się chmary komarów. Ale nie ich należało się wystrzeżać. Najgroźniejsze były leśne osy, które zawieszały swe gniazda na gałęziach lub w dziuplach drzew. Mimowolne zbliżenie się do gniazda pobudzało kąśliwe owady do natychmiastowego gromadnego napadu na intruza. Nawet liana zwisająca z gałęzi mogła się okazać wypatrującym łupu jadowitym węzem... Toteż Smuga i Nowicki wolno przedzierali się przez dżungłę, uważnie rozglądając się wokoło. Dopiero po przebyciu około kilometra, Nowicki przystanął i zaczął mocno wciągać powietrze nosem. Smuga wyczekująco zatrzymał się obok niego.

- Czuć spaleniznę... - po chwili szepnął No wieki. - Pogorzelsko niedaleko... - Sprawdził, czy kolt lekko wysuwa się z pochwy, po czym ze sztucerem gotowym do strzału ruszył przed siebie.

Smuga był wprawnym tropicielem, toteż niebawem odkrył ślady stóp. Dał znak Nowickiemu, żeby przyczaił się za drzewem, a sam zaczął badać świeże tropy. Doprowadziły go aż do lewego brzegu Tambo. Jak można było się domyślać, tam właśnie Indianie wysiedli z dwóch dużych łodzi. Jedni poszli brzegiem w dół rzeki, drudzy zagłębili się w las. Potem powrócili nad rzekę i odpłynęli. Smuga z łatwością odgadł przebieg wydarzeń: Indianie oskrzydłili osiedle i po napadzie udali się w dalszą drogę.

- Dwie łodzie, więc to nasi Kampowie - rzekł Nowicki wysłuchawszy relacji Smugi. - Skoro odpłynęli, nic nam tu z ich strony nie zagraża.

- Najpierw się co do tego upewnijmy - powiedział Smuga. - Ślady Kampów doprowadzą nas do pogorzelska.

Widać było, że napastnicy, pewni zaskoczenia wroga, nawet nie zachowywali zbyt wielkiej ostrożności. Smuga i Nowicki podążając ich śladami wkrótce znaleźli się na skraju niewielkiej golizny. Przyczaili się w zaroślach.

Po kilku nadziemnych chatach, zbudowanych przeważnie z bambusów, lian i liści, pozostały tylko poczerniałe zgliszcza. Tu i tam sterczały kikuty nie dopalonych grubych pali. Na ziemi wały się ciała zabitych mężczyzn. W powietrzu unosił się swąd spalenizny.

- Janie, tam ktoś jest! - szepnął Nowicki.

- Widzę, to młody chłopak, Metys... - cicho przytaknął Smuga. W pobliżu spalonej chaty siedział w kucki chłopak. Spoglądał na leżące przed nim na ziemi zwłoki mężczyzny. Chłopak ubrany był w podniszczone spodnie i rozchełstaną na piersiach koszulę. Obok niego stał karabin oparty o nadwęglony pal.

- Pewno tylko on ocalał - cicho odezwał się Smuga. - Musimy zabrać go stąd, inaczej zginie!

- Będzie uciekał, gdy nas zobaczy - zauważył Nowicki. - Przekradnij się, Janie, lasem, i zajdź go od tyłu, ja ruszę, gdy ujrzę ciebie...

Smuga skinął głową i wycofał się w las. Nowicki oparł sztucer o drzewo, żeby nie zawadzał w ewentualnym pościgu, po czym podkraść się trochę bliżej chłopca. Przyczajony czekał na Smugę. Wreszcie ujrzał go wychodzącego z lasu po przeciwnej stronie golinny. Na to hasło ruszył ku Metysowi. Ten siedział nieruchomo w kucki i otępiłym wzrokiem wpatrywał się w zmasakrowane ciało mężczyzny. Nowicki podkraść się bezszelestnie, dopiero o kilkanaście kroków od Metysa trzasnęła pod jego stopą sucha gałązka.

Metys poderwał się na równe nogi. Ujrawszy Nowickiego, błyskawicznym ruchem wyszarpnął nóż zza pasa.

- Schowaj nóż, chłopcze! - po hiszpańsku odezwał się Nowicki. - Nie jestem twoim wrogiem.

Metys zerknął na karabin oparty o pal, ale w tej chwili Smuga podskoczył i odgrodził go od broni. Chłopak poszarzał na twarzy, silniej zacisnął dłoń na rękojeści noża.

- Uspokój się, nie chcemy cię skrzywdzić - odezwał się Smuga. Metys stał nieruchomo, tylko jego oczy czujnie mierzyły dwóch obcych mężczyzn. Wahał się jeszcze, wygląd zewnętrzny upodabniał ich do Indian, ale jeden z nich miał jaśniejsze włosy i obydwaj obuci byli w trzewiki z wysokimi cholewkami noszone przez białych.

- Nie jesteśmy czerwonoskórymi - powiedział Nowicki, jakby odgadując obawy Metysa. - Nic ci z naszej strony nie grozi. Jak masz na imię?

Metys wciąż milczał, tylko z jego oczu znikł badawczy niepokój.

- Czy nie znasz hiszpańskiej mowy? - zapytał Smuga. - Zaopiekujemy się tobą, jeżeli potrzebujesz pomocy. Jak się nazywasz?

- Pablo, tak wołał na mnie ojciec, matka nazywała mnie Aitu - padła cicha odpowiedź.

- Czy mieszkałeś z rodzicami w tym toldzie? - pytał Smuga. Metys potwierdził skinieniem głowy.

- Kto was napadł? - dalej pytał Smuga.

- Indios bravos, Kampowie.

- Gdzie jest twój ojciec? - indagował Smuga. W oczach chłopaka zaszklily się łzy.

- To jest mój ojciec! - odparł stłumionym głosem wskazując zmasakrowane zwłoki mężczyzny.

Nowicki baczniej przyjrzał się zwłokom.

- Niech to wściekły rekin połknie! - mruknął. - Okaleczyli go tak, że nawet nie można rozpoznać rysów twarzy. To był jednak biały człowiek.

- Co się stało z twoją matką? - zapytał Smuga.

- Uprawdzili ją Kampowie, zabrali wszystkie kobiety - padła odpowiedź.

- Do licha, to gorsze od śmierci - rzekł Smuga.

- Może jej nie skrzywdzą, ona jest Kampijką porwaną przez ojca z Gran Pajonalu - wyjaśnił chłopak.

- Co twój ojciec porabiał tutaj, w dzikiej głuszy? - znów zapytał Smuga.

- Dawniej mieszkał w La Huairze, pracował dla Pancha Vargasa. Prowadził corriere do Gran Pajonalu. Tam schwycił moją matkę i zostawił dla siebie. Natomiast Pedro Viejo polował na niewolników nad Madre de Dios[48]. Ojciec niedawno przeniósł się tutaj z nami. Miał poprowadzić dużą corriere do Gran Pajonalu. Seringueiros potrzebowali niewolników do zbierania kauczuku.

- Nosił wilk razy kilka, ponieśli i wilka - wtrącił Nowicki. - Czy ty także chodziłeś z ojcem po niewolników?

- Tak, panie, chodziłem - przytaknął Metys.

- No to miałeś, brachu, wielkie szczęście, że i ciebie tak nie oporzadzili ziomkowie twojej matki! Jak to się stało, że ocalałeś?

- Matka chciała mięsa, więc przed świtem postanowiłem upolować dzika, którego wytropiłem wczoraj. Już byłem w dżungli, gdy usłyszałem strzały. Przybiegłem zaraz do tolda, ale nie odważyłem się wyjść z zarośli. Ojciec leżał zamordowany, Kampowie jeszcze pastwili się nad jego trupem, cięli makanami, żgali chikotzowymi pikami. Dobijali też resztę ludzi mego ojca. Wszyscy zginęli...

- Ilu mężczyzn było z twoim ojcem? - pytał Nowicki.

- Dziewięciu, señor.

- Biali czy czerwonoskórzy?

- Tylko ojciec był biały, a tamci to siedmiu Pirów i dwóch Amahuaków[49]. Przed samą corrierią miało przyjść więcej Pirów i białych.

- Ile było tu kobiet oprócz twojej matki?

- Tylko trzy, dwie Czamki i jedna Kampijką porwana tak jak moja | matka. Wszystkie

zabrali Kampowie.

- Słuchaj, Pablo! Atak Kampów na wasze toldo nie był zwykłym napadem. Kampowie wkroczyli na wojenną ścieżkę przeciwko wszystkim białym w Montanii - wyjaśnił Smuga.
- Wiemy o tym od Kampów, którzy więzili nas w swoim kamiennym mieście w górach. Uciekliśmy z niewoli, nam także groziła śmierć.

Pablo drgnął, wpił swój wzrok w twarz Smugi. Po chwili zdumiony zawołał:

- Senior, dopiero teraz poznaję! To przecież ty prawie rok temu wyruszyłeś z La Huairy do Gran Pajonalu w pościg za Cabralem i Josem! Trudno cię rozpoznać, teraz wyglądasz jak Kampa. A więc jednak żyjesz?! Wszyscy myśleli, że zginąłeś!

- Jak widzisz, Pablo, udało mi się ocalić życie - odparł Smuga.

- Niestety, wszyscy, którzy poszli ze mną, zginęli. Cabral i Jose także...

- A mnie nigdy nie widziałeś w La Huairze? - wtrącił Nowicki. Pablo uważnie mu się przyjrzał.

- Nie, senior, nie widziałem! - odparł po chwili. - Wiem jednak, że nie tak dawno przybyli do La Huairy jacyś biali z kobietami i obcymi Indianami. Dopytywali się o señora, który ścigał Cabrala i Josego. Potem także poszli na poszukiwania do Gran Pajonalu. Może ty, señor, byłeś z nimi?

- Tak, to moi przyjaciele - potwierdził Nowicki.

- Nie mogłem cię widzieć, senior; wtedy z ojcem i Vargasem byliśmy na południu w toldach zaprzyjaźnionych Pirów. Dowiedzieliśmy się o wszystkim dopiero po powrocie do La Huairy - wyjaśnił Pablo.

- Teraz jesteś sam, pewno twoi towarzysze zginęli...

- Większość z nich ocalała i jest bezpieczna - lakonicznie odpowiedział Nowicki, ponieważ obawiał się od razu zaufać Metysowi, który pracował dla Vargasasa.

- Co masz zamiar zrobić? - zapytał Smuga. - Zginiesz, jeżeli wpadniesz w ręce Kampów. Vargas pewno też znajduje się już w ciężkich opałach.

- W tych stronach nigdzie nie będę bezpieczny - odpowiedział Pablo.

- Do Pancha Vargasasa, jeśli jeszcze żyje, nie chciałbym wrócić. Już nie będę brał udziału w correriach! Wiem, co czuła moja matka. Czy senores pozwoliliby mi pójść z sobą?

- To nie jest takie proste, Pablo - odpowiedział Smuga. - Mamy się spotkać z przyjaciółmi na granicy boliwijskiej, a potem podążymy do Manaos nad Amazonką.

- Senior, jeżeli tylko zechcesz mnie wziąć, będę pracował dla ciebie -jednym tchem odparł Pablo. - Znam mowę Pirów i Kampów...

- Może dałoby się to jakoś urządzić. Dobrze mówisz po hiszpańsku. Kto cię nauczył?

- Mój ojciec. Dawniej pracował w Limie. Miał się żenić z bogatą dziewczyną. Zazdrosny rywal nasłał na niego zbójów. Ojciec zabił jednego z nich. Skrył się tutaj, aby uniknąć

więzienia. On nie zawsze był zły.

Pablo zasmucony spojrział na zmasakrowane zwłoki. Łzy znów stanęły mu w oczach. Nowicki trochę wzruszony przysłuchiwał się rozmowie i zerkał w górę. Na lazurowym tle nieba czerniły się złowróżbne sylwetki sępów. Olbrzymie ptaszyska, wykorzystując prądy powietrzne, na szeroko rozpostartych, niemal nieruchomych skrzydłach zataczały nad pogorzelskiem coraz to niższe koła. Były to kondory królewskie[50], żywiące się przeważnie padliną. Nowicki trącił łokciem Smugę i odezwał się po polsku:

- Patrz, Janie, sępy czyhają...

- Byłaby to dla nich królewska uczta! - odparł Smuga spoglądając na potężne ptaki. - Warto by pochować tych nieszczęśników.

- Grobu nie wykopimy, bo nie ma czym, ale jakąś rozpadlinę chyba znajdziemy - powiedział Nowicki i zaraz odezwał się po hiszpańsku: - Pablo, trzeba poszukać jakiejś jamy na pochowanie tych ludzi!

- Si, señor! - skwapliwie przytaknął Metys. - W pobliżu jest poletko, na którym kobiety uprawiały kukurydzę i banany[51]. Tam pozostawiały motyki i łopaty. *Zaraz pójdę po nie!*

- Może znajdziesz kilka kolb kukurydzy, warto posilić się przed drogą - powiedział Nowicki.

- Poczekaj chwilę, Pablo! - wtrącił Smuga. - Czy nie udało ci się podsłuchać Kampów?

- Wiem tylko, że spieszili się nad Apuparo[52] - odpowiedział Metys.

- Jak długo trzeba stąd płynąć do Ukajali?

- Woda jeszcze duża, wystarczy jeden dzień - wyjaśnił Pablo.

- Dobrze, możesz iść, ale pamiętaj, że nie wolno strzelać! Później sam upoluję pokuną coś do jedzenia, idź już!

Pablo pobiegł w las nie zabierając karabinu.

- Bystry chłopak! - pochwalił Nowicki. - Czy weźmiemy go do Manaos?

- Myślę, że warto mu pomóc - odparł Smuga. - Nixon na pewno go zatrudni. Zresztą, jeszcze zobaczymy. Jeżeli naprawdę chce zacząć inne życie, to i nam może ułatwić dalszą ucieczkę. Zna te strony, potrafi się dogadać z Pirami, z którymi przyjdzie nam się zetknąć w drodze do Boliwii.

- Święta racja! - stwierdził Nowicki. - Chyba przenocujemy tutaj?

- Nie mamy innego wyjścia. Kampowie są zbyt blisko przed nami. Niech się bardziej oddalą. W spalonym osiedlu jesteśmy względnie bezpieczni. O świcie ruszymy w drogę. Może uda się nam przed nocą dotrzeć do Ukajali.

Nim słońce stanęło w zenicie, Nowicki i Pablo wykopali grób, w którym złożyli wszystkich poległych podczas napadu. Smuga tymczasem za pomocą pokuny upolował kapibarę. Pieczone mięsiwo oraz gotowane kaczany kukurydzy pozwoliły wszystkim

zaspokoić głód. Tej nocy Nowicki i Smuga czuwali na zmianę. O świcie odszukali łódź, zepchnęli ją na wodę i popłynęli w dół rzeki. Przygarnięcie Metysa ułatwiło dalszą żeglugę. Pablo już kilkakrotnie pływał łodzią między toldem i La Huairą, toteż orientował się, gdzie groziło napotkanie koczowisk Kampów. Ostrzegał również zawczasu przed zdradliwymi miejscami na rzece i zastępował w wiosłowaniu swych przypadkowych opiekunów, co umożliwiało płynięcie bez odpoczynku. Dwukrotnie przybijali do brzegu i przyczajali się w chaszczach, a Pablo i Smuga szli na zwiady. Jak się okazało, koczowiska Kampów podporządkowanych Vargasowi ziały pustką.

Uciekinierzy wzmogli ostrożność. Wysokie, porośnięte dżunglą wzgórza na obydwóch brzegach tworzyły głęboką dolinę i Tambo przybierała charakter rzeki górskiej. W dali na zachodzie na bezchmurnym niebie rysowały się potężne masywy bezimiennych gór. Wreszcie jednak brzegi rzeki zaczęły się obniżać i woda niemal dotykała gąszczu dziewiczego lasu. Pablo coraz niespokojniej rozglądał się po okolicy, aż w końcu zawołał:

- Señores, Apuparo już bardzo blisko! Wkrótce na prawym brzegu będzie wioska Pirów, którzy są zaufanymi Vargasa. Znają mnie dobrze! Zatrzymajmy się tutaj, pójdę do nich na zwiady. Na pewno będą wiedzieli, co się dzieje w La Huairze.

Smuga wymienił porozumiewawcze spojrzenie z Nowickim, po czym krótko odparł:

- Przybijemy do brzegu, w łodzi poczekamy na twój powrót. Jeżeli zastaniesz Pirów w osadzie, nie mów im na razie o nas.

- Dobrze, señor! Tylko rozejrzę się w sytuacji... Mety s zniknął w dżungli.

- Zostawił broń - zauważył Nowicki. - Myślę, że możemy zaufać temu młodzikowi.

- Jak dotąd nie budzi zastrzeżeń - powiedział Smuga. - Jednak spotkanie z Vargasem mogłoby być dla niego ciężką próbą.

Umilkli, pilnie nasłuchując. Niepewność ich nie była wystawiona na zbyt długą próbę. Prędzej, niż się spodziewali, Pablo wychynął z zarośli, pobiegł do łodzi i jednym tchem zawołał:

- Nie ma ich! Nie ma nikogo! Wszyscy odeszli, wzięli nawet swoje papugi i małpy! Pustka, wszędzie pustka!

- Uciekli lub przyłączyli się do zbuntowanych Kampów - powiedział Smuga. - Nie znalazłeś tam śladów walki?

- Nie było żadnej bitwy, señor! Oni musieli być wcześniej uprzedzeni o niebezpieczeństwie. Zdążyli nawet zebrać dojrzewające banany. Odeszli trzy lub cztery dni temu. Ślady ich są już częściowo zatarte. Uciekli na południe!

- Jak daleko stąd do ujścia Tambo? - zapytał Smuga.

- Bardzo blisko, señor! Pieszko można w trzy godziny, łodzią jeszcze prędzej.

- Coraz ciaśniej się tu robi! - odezwał się Nowicki. - Kampowie już są nad Ukajali. Włazimy w samą paszczę wściekłym rekinom! Janie, jak szeroka jest Tambo u zlewu z

Urubambą?

- W pobliżu ujścia nie przekracza czterystu metrów, lecz sam zlew obydwóch rzek to już szerokie i zdradliwe wody - wyjaśnił Smuga, który przebywał w tamtych stronach wyruszając w pościg do Gran Pajonalu.

- Wobec tego zanim dopłyniemy do Ukajali, Kampowie z łatwością mogą nas wypatrzeć z obydwóch brzegów Tambo - zafrasował się Nowicki.

- Dobrze mówisz, senior! - skwapliwie przytaknął Pablo. - Bezpieczniej byłoby teraz porzucić łódź i pieszo przekraść się od razu nad Urubambę.

- *Zgadzam się z tobą, Pablo!* - przyznał Smuga. - W jaki jednak sposób przeprawimy się na prawy brzeg Urubamby?

- Pancho Vargas przechowuje dla siebie łodzie na obydwóch brzegach rzeki, wiem gdzie je ukrywa - odparł Pablo. - Znam również ścieżkę, którą Pirowie chodzili pieszo stąd nad Urubambę. Mogę poprowadzić!

- Co sądzisz o tym, kapitanie? - zapytał Smuga.

- Rada Pabla wydaje się dobra - powiedział Nowicki. - Gdybyśmy dalej płynęli po Tambo, moglibyśmy się natknąć na zbuntowanych Kampów. Jeżeli raz wpadną na nasz trop, już im nie ujdziemy!

- A więc postanowione! - zakończył Smuga. - Łódź ukryjemy na brzegu, wiosła zabierzemy, mogą się przydać.

Jeszcze tego samego dnia, na krótko przed zmierzchem, stanęli na brzegu Urubamby. Po krótkich poszukiwaniach Pablo znalazł dużą łódź wyciosaną z pnia mahoniowego. Za późno już jednak było na przeprawę przez pniące się, szeroko rozlane wody naszpikowane wystającymi ostrymi skałami, wirami i lejami.

CORRERIA

Promienie wschodzącego słońca rozpraszały opary unoszące się nad rzeką. Smuga, Nowicki i Pablo wykorzystali poranne mgły i pod ich osłoną przeprawili się na prawy brzeg Urubamby. Wysoki i stromy brzeg uniemożliwiał ukrycie dużej, ciężkiej łodzi w lesie, więc tylko odepchnęli ją na rzekę, aby rozbiła się w drzazgi lub utknęła wśród skał wystających z toni. Wyczerpani zmaganiem z groźną, wzburzoną rzeką, wspięli się na porośnięty dżunglą brzeg. Przyczajeni w gęstwinie spoglądali na łódź znoszoną przez porywisty nurt.

- Nie dopłynie nawet do Ukajali - odezwał się Pablo. - Tutaj niejeden parowiec przyjeżdżający po kauczuk poszedł na dno razem ze swoją załogą.

- Czy statki często tu przyplývają? - zaciekawil się Smuga.

- Od czasu do czasu, senor - odpowiedział Pablo. - W tych okolicach jest dużo drzew kauczukowych. Zbiory obfite, więc przyplývają do La Huairy, a czasem jeszcze dalej w górę Urubamby.

- Gdyby tak teraz pojawił się jakiś statek! - wtrącił Nowicki.

- Taka gratka się nam nie trafi. Powstanie Kampów wyludni te strony na długie lata - powiedział Smuga. - Skoro Pirowie Vargasa czmychnęli, to zapewne i w La Huairze już nie zastaniemy nikogo.

- Dobrze mówisz, senor! - przywtórzył Pablo. - Jego zaufani Pirowie na pewno go ostrzegli!

- Wnet się dowiemy, co w trawie piszczy! - mruknał Nowicki.

- Trochę odpoczniemy, a potem w drogę do La Huairy - rzekł Smuga. Wkrótce przekradali się przez dżunglę w pewnej odległości od brzegu rzeki, ponieważ Smuga zamierzał podejść do sadyby Vargasa od wschodniej strony, czyli z głębi otaczającego ją lasu. Liczył się z tym, że powstańcy indiańscy mogą okupować La Huairę. Pablo, jako dobrze znający okolice, szedł pierwszy. Co kilkadziesiąt kroków przystawał, nasłuchiwał, potem ruszył dalej. Wreszcie zatrzymał się na skraju lasu.

- Tu już zaczyna się plantacja kawy[53] Pancha Vargasa - cicho oznajmił, odwracając się do swych opiekunów. - To już La Huaira!

W tym właśnie miejscu kończyła się gęstwina leśna. Dalej w cieniu wyższych drzew rosły krzewy kawowe.

- Widziałem tę plantację, byliśmy tutaj z Tomkiem - szeptem odezwał się Nowicki. - Nieźle urządził się ten Vargas! Ma kawę i banany uprawiane za darmo przez niewolników! Brak tylko krzewów kakaowych[54]! Ukryjmy tu manatki, podkradniemy się tylko z bronią...

- Słusznie, kapitanie! - cicho potaknał Smuga. - Będę szedł pierwszy, ty i Pablo osłaniajcie mnie.

Po chwili już przemykał między krzewami kawowymi. Nowicki, ze sztucerem gotowym

do strzału w prawej dłoni, lewą dał znak Metysowi, żeby nie ruszał się z miejsca. Dopiero gdy Smuga oddalił się o kilkadziesiąt kroków, obydwaj poszli za nim trop w trop.

Smuga rozglądał się wokoło i nasłuchiwał. Wszedł do wioski. Na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie wielkiego gaju bananowego. Duże, jasnozielone liście, porozdzierane przez wiatr, wyglądały jak pierzaste złożone liście palm. Ów gaj bananowy krył w sobie uliczki z prymitywnymi chatami. Niektóre były porozbijane, jakby ktoś wyładowywał na nich swój gniew. Było to zapewne dziełem powstańców kampańskich. Wioska ziała pustką, lecz bez śladów walki. Można było mniemać, że mieszkańcy z dobytkiem opuścili La Huairę, zanim nawiedzili ją wrogowie.

Smuga przystanął przed domem Vargasa, który tylko tym różnił się od chat niewolników, że był obszerniejszy. Teraz leżał w gruzach. Już miał pójść dalej, gdy naraz za jego plecami ktoś krzyknął po hiszpańsku:

- Nie odwracaj się! Karabin na ziemię i ręce do góry!

Smuga odrzucił sztucer i podniósł ręce. Coś twardego, zapewne lufa rewolweru, dotknęło jego pleców.

Nowicki i Pablo podążali za Smugą. Znajdowali się w tej chwili o jakieś dwadzieścia kroków za nim. Przyczajeni w krzewach bananowych, od razu spostrzegli brodatego draba, który z rewolwerem w ręku wychynął z ruin jednej chaty. Cichaczem zachodził Smugę od tyłu. Pablo spojrział na Nowickiego, ten jednak wzrokiem nakazał milczenie. Gdy drab dotknął lufą rewolweru pleców Smugi, Nowicki jednym susem stanął na środku alejki i groźnie krzyknął:

- Trzymam cię na muszce! Przegrałeś, zuchu! Rzuć broń i odwróć się do mnie!

Drab zawahał się na moment. Smuga w kuźmie mógł uchodzić za Kampę, ale nie wiedział, kim jest ten drugi, który zaskoczył go z tyłu. Niepewny, zerknął za siebie i spojrział wprost w czarny otwór lufy sztucera wymierzonej w jego głowę. Mimo to z piersi wyrwało mu się westchnienie ulgi. Jasne oczy i włosy mógł mieć tylko biały człowiek. Zdecydowanym ruchem rzucił swój rewolwer do stóp Nowickiego i jeszcze trochę drżącym głosem zapytał:

- Kim jesteście, senores? W pierwszej chwili zdawało mi się, że przyłapałem parszywego Kampę na przespiegach.

- Za taką pomyłkę można połknąć niestrawną porcję ołowiu - z humorem odparł Nowicki. - Możesz podnieść swoją pukawkę.

Zanim drab zdążył się schylić po broń, z gąszczu wybiegł Pablo i zawołał:

- Señor! To Antonio, człowiek Pedra Vieja, pracuje dla Vargasa!

- Pablo, a więc żyjesz?! Myśleliśmy, że wpadliście w łapy dzikich Kampów, którzy mordują białych! - mówił Antonio. - Gdzie twój ojciec? Czy uciekł razem z Vargasem?!

- Ojciec i wszyscy jego ludzie zostali zamordowani przez Indios bravos w toldzie nad Tambo. Kobiety uprowadzili, tylko ja ocalałem.

- Carramba! - zaklął Antonio. - Mściwe czerwone psy! Dwa dni temu zgraja Indios bravos zebrała się nad Unini i ruszyła w dół Ukajali. Chicotza poszła z dymem, białych wyrznęli, zginęło ponad pięćdziesiąt osób. Właśnie wtedy płynął po kauczuk do La Huairy parowiec "Libertad". Dobrze ci znany kapitan Delgado chciał ratować mieszkańców Chicotzy, lecz zanim zdołał przybić do brzegu, został trafiony indiańską strzałą, więc zaraz zawrócił i uciekł w dół Ukajali. Opowiedział nam o tym jeden Metys, któremu udało się uciec z tego piekła. Tutaj również buszowali Kampowie, ale już nie zastali nikogo. Pancho Vargas czmychnął uprzedzony w porę. Zdążył jednak wysłać nam naprzeciw zaufanego Pira z ostrzeżeniem. Tylko dzięki temu nie wpadliśmy Kampom w łapy.

- Z tego, co mówisz, wynika, że nie jesteś tutaj sam - odezwał się Smuga.

- Jest correria Pedra Vieja. Na pograniczu Boliwii łowiliśmy niewolników. Oprócz mnie i Pedra jest jeszcze czterech białych oraz dwudziestu Pirów. Mamy ponad dwustu czerwonoskórych niewolników. Nie wiemy teraz, co z nimi zrobić. Zbieracze kauczuku pouciekali przed zbuntowanymi Kampami, Vargasa nie ma! Przyczailiśmy się w dżungli na wschód od Urubamby i boimy się wychylić nosa, bo Indios bravos bez pardonu mordują wszystkich białych. A skąd wy, senores, wzięliście się tutaj?

- Uciekliśmy z niewoli u Kampów, którzy teraz powstali przeciwko białym - wyjaśnił Smuga. - Podczas ucieczki spotkaliśmy w toldzie nad Tambo ocalałego z rzezi Pabla. Zaopiekowaliśmy się nim.

- Antonio, nie poznajesz?! - wtrącił Pablo. - Przecież to senior Smuga, który prawie rok temu wyruszył z La Huairy do Gran Pajonalu w pościg za Josem i Cabralem!

- Czy to możliwe? Toż to cud prawdziwy wyrwać się z łap krwiożerczych Kampów! - zdumiał się Antonio. - Wszyscy byliśmy pewni, że już przepadłeś na wieki! Senores, chodźcie ze mną do Vieja. Razem uradzimy, co dalej robić. Tutaj wszędzie czyha śmierć!

Correria Pedra Vieja znajdowała się w obozie porzuconym w popłochu przez zbieraczy kauczuku, przerażonych zbrojnym powstaniem Kampów. Leżał on w lesie o pół dnia pieszej wędrówki na wschód od Urubamby. Na niewielkim karczowisku koczowali pod gołym niebem półnaczy, wychudzeni Pirowie uprowadzeni z pogranicza brazylijsko-boliwijskiego. Mężczyźni, grupka kobiet i dzieci przykucali wprost na ziemi. Blizny oraz świeże rany na ich ciałach świadczyły o bezwzględnym, brutalnym traktowaniu przez capangów, czyli zbrojnych dozorców, którzy ich pilnowali z psami przyuczonymi do tropienia ludzi. Capangowie należeli do Pirów wysługujących się Vargasowi w nieczym polowaniu na niewolników. Z satysfakcją znęcali się nad pierskimi brańcami, gdyż wiedzieli, że są znienawidzeni przez gnębionych współplemieńców, którzy, gdyby tylko nadarzyła się sposobność, zemściliby się na nich okrutnie bez chwili wahania.

Biali i pirszy capangowie pozostawali w zażyłej komitywie. Z wyjątkiem strażników pilnujących jeńców zebrali się wokół swego przywódcy, Pedra Vieja, rozmawiającego z nieoczekiwanymi przybyszami.

- Pancho Vargas zdążył mnie ostrzec przez swego człowieka, że rebelia wybuchnie lada dzień, a sam zawczasu uciekł z La Huairy - kończył relację Viejo. - Uprzedził, żebyśmy nie

wpadli w pułapkę, ale przecież i tak wystawiłnas do wiatru! Co mam teraz zrobić z tym plugawym robactwem?! Zbieracze kauczuku czmychnęli na złamanie karku, a Indios bravos wyrzynają białych.

- Puść ich, señor, niech wracają w swoje strony, a sam idź za Vargasem - doradził Nowicki.

- Uwolnić ich?! - oburzył się Viejo. - Chyba nie znasz Indian! Oni by szli za nami tak długo, dopóki by nas wszystkich nie wymordowali! Mogliby też ściągnąć nam na kark zbuntowanych Kampów, do których już przyłączyli się niektórzy Pirowie znad Tambo. To mściwe bestie!

- Trudno im się dziwić! - rzekł Nowicki obrzucając łowcę niewolników surowym spojrzeniem. - Ja bym też ci nigdy nie darował, gdybyś mnie tak potraktował jak ich!

- Tylko martwy Indianin jest dobrym Indianinem! - nienawistnie powiedział Viejo. - Nie ma o czym gadać! Już postanowiłem, nikt z nich nie ujdzie żywy! Wystrzelać ich nie możemy, bo zbyt blisko buntownicy, więc dostaną nożem pod siódme żebro lub potopimy ich w Urubambie!

- Nie masz innego wyjścia, señor! - kpił Smuga. - Będzie to jednak dla ciebie duża strata. Ile mógłbyś dostać za tych niewolników?

Nowicki gniewnie zmarszczył brwi, ale zaraz odzyskał humor i kpiąco zerknął na handlarza. Odgadł, do czego zmierza przyjaciel. Viejo namyślał się chwilę, po czym odpowiedział:

- Masz rację, señor! To duża strata. Diabli wzięli jakieś dwa, a może trzy tysiące dolarów.

- A gdyby tak teraz trafił się kupiec, ile byś w tych warunkach zażądał? - pytał Smuga.

- Nie kpij, señor, bo mi nie do żartów! - rozzłościł się Viejo.

- Nie żartuję! - zimno zaprzeczył Smuga. - Mogę wziąć tych niewolników za połowę wymienionej przez ciebie sumy, ale pod warunkiem, że odstąpisz mi dziesięć karabinów z dwudziestoma nabojami do każdego, dziesięć rewolwerów z nabojami, dziesięć noży i podzielisz się z nami posiadanymi zapasami żywności. To są nasze warunki.

Viejo pogardliwie parsknął śmiechem i zapytał:

- A czym chcesz zapłacić, senor?!

- To nasze zmartwienie, nie twoje! - wtrącił Nowicki. - Ślepia ci zbieleją z zachwytu, gdy zobaczysz zapłatę!

- Naradz się ze swoimi, a my tymczasem także sobie pogadamy i obejrzymy towar - zaproponował Smuga, po czym razem z Nowickim odeszli w las.

Łowcy niewolników zbili się w gromadkę i rozpoczęli ożywioną dyskusję.

- Janie, gdy ci zbóje zobaczą złoto, *zarzną* nas jak amen w pacierzu - odezwał się

Nowicki, gdy oddalili się od obozu.

- Jestem tego pewny! - poważnie przytaknął Smuga. - Dlatego też musimy się ubezpieczyć, siłą tu nic nie wskóramy! Jest ich prawie trzydziestu dobrze uzbrojonych przeciwko nam dwóm.

- Co zamierzasz? - krótko zapytał Nowicki.

- Podzielimy się rolami. Ja będę targował się i płacił, ty zaś przypilnujesz Vieja. W odpowiedniej chwili szepniesz mu, że w razie podstępu zginie pierwszy. Powinno poskutkować, on trzyma swoją zgraję żelazną ręką.

- To mi się podoba - pochwalił Nowicki. - Nareszcie coś się *zacznie* dziać! Gdyby jednak zbóje na nic nie zważali, to wielu z nich powędruje z nami do Abrahama na piwo!

- Tylko zachowaj rozwagę! - ostrzegł Smuga.

- Możesz na mnie polegać - zapewnił Nowicki.

- Teraz przygotuję zapłatę dla nich - powiedział Smuga. - Nierozważnie by było pokazać wszystko, co mamy.

- Święta racja! - potwierdził Nowicki.

Smuga położył torbę na ziemi. Wydobył woreczki ze złotem i szmaragdami, po czym w pusty woreczek po mączce kukurydzianej wrzucił kilka garści złotych grudek i garść szlachetnych kamieni.

- To będzie dla nich! - rzekł. - Tak więc złotem Inków okupimy życie nieszczęsnych niewolników indiańskich.

Woreczki z pozostałym złotem i kamieniami szlachetnymi z powrotem schował do swojej torby podróżnej, natomiast woreczek przeznaczony na wykup brańców wepchnął do obszernej kuźmy.

- Teraz możemy iść obejrzeć niewolników - powiedział Smuga.

- Spójrz, Janku! Pablo kręci się wśród tych zbójów - odezwał się Nowicki, gdy wyszli z gąszczu.

-Wkrótce się okaże, co naprawdę wart jest ten chłopak - odparł Smuga.

Capangowie dozorujący jeńców nieufnie zerkali na Smugę i Nowickiego, którzy właśnie przystanęli przy grupie skrepowanych niewolników. Korzystając z chwilowego zamieszania, do jednego z nich podkrađła się dziewczynka, żeby odgonić owady obsiadające krwawiącą ranę na jego czole. Spostrzegł to jeden capanga i poszczuł na nią psa. Wielkie psisko podbiegło do dziewczynki i przewróciło ją na ziemię. Nowicki w mgnieniu oka podskoczył ku przerażonemu dziecku, potężnym kopniakiem odrzucił psa, a gdy ten rozwścieczony rzucił się na niego, uderzył go kolbą sztucera w łeb. Pies padł martwy na ziemię. Capanga, który poszczuł psa na dziecko, podbiegł do Nowickiego.

- Zabijeś mojego psa! Zapłacisz mi za to! - krzyknął.

Nowicki bez słowa uderzył go lewą pięścią w podbródek. Pir zwałił się na ziemię. Trzech capangów przybiegło na pomoc nieprzytomnemu kompanowi, ale Smuga zastąpił im drogę, mówiąc:

- Precz stąd albo oberwiecie jak wasz pies!

Capangowie stanęli niezdecydowani - Smuga trzymał w dłoniach sztucer gotowy do strzału. Nowicki tymczasem dobył noża i przeciął więzy krępujące niewolnika.

- Pilnujcie go, ale nie radzę znęcać się nad skatowanym bezbronnym człowiekiem. Kupujemy tych ludzi - powiedział do zdezorientowanych capangów.

W tej chwili rozległo się wołanie Vieja:

- Senores, prosimy do nas!

. Smuga i Nowicki minęli capangów.

- Kapitanie, czy wiesz, co masz robić? - upewnił się Smuga.

- Nie zawiodę, bądź spokojny! - odparł Nowicki. - Będę też uważał, co się dzieje za twoimi plecami...

- Siadajcie, señores! - zapraszał Viejo, wskazując kłody leżące przed szaląsem.

Smuga usiadł naprzeciwko Vieja, Nowicki natomiast zaczął zdejmować z siebie kuźmę.

- No, koniec przebieranki, za gorąco w tym łąchu - odezwał się z uśmiechem. Rzucił kuźmę na ziemię, po czym przesunął pas na biodrach tak, aby rękojeść kolta tkwiącego w kaburze była w zasięgu prawej dłoni. Bezceremonialnie przysiadł na pniu obok Vieja i położył sztucer na udach.

Viejo nachmurzył się, zerkając na Nowickiego.

- Co postanowiliście, señor Viejo? - krótko zagadnął Smuga.

- Najpierw musimy wiedzieć, co zamierzacie zrobić z tymi czerwonoskórymi - odparł Viejo. - Chcemy być pewni, że nie pójda za nami.

- Idziemy do Boliwii, więc zabierzemy ich ze sobą - wyjaśnił Smuga.

- Dalszy ich los chyba już was nie interesuje?

- Zgoda, nie nasza sprawa - powiedział Viejo.

- Więc ile ostatecznie żądacie za nich? - pytał Smuga.

- Tysiąc pięćset dolarów, kiepski to dla nas interes, ale wolimy pozbyć się kłopotów.

- Wcale to nie taki kiepski interes, jak mówisz! Sprzedajesz przecież bezwartościowy dla ciebie towar. Mogę ci dać, no, powiedzmy tysiąc dolarów!

- Wykorzystujesz, senior, sytuację! Niech tak będzie, zgoda!

- Co masz do powiedzenia na dalsze nasze warunki? - zapytał Smuga.

- Broni nie możemy się pozbyć. Bandy dzikich Kampów grasują w okolicy, mamy z nimi na pieńku - zastrzegł się Viejo.

- Nie zamierzamy przecież pozbawić was broni! - tłumaczył Smuga.

- Jest was dwudziestu sześciu uzbrojonych w karabiny, dając nam dziesięć, pozostawiacie sobie szesnaście. My także obawiamy się Kampów.

- Więc chcecie uzbroić niewolników?! - oburzył się Viejo.

- Są nam potrzebni, postaramy się zjednać ich sobie - wyjaśnił Smuga. - Droga do Boliwii daleka i niebezpieczna. Musimy mieć kilku uzbrojonych Indian. Wy także posługujecie się Piranii. Dasz dziesięć karabinów i rewolwerów z amunicją, to uczciwe stawianie sprawy. Dasz również pięć noży i pięć maczet.

- Ciężkie warunki stawiasz, señor Smuga! - wahał się Viejo.

- Ale za to zyskujesz pieniądze za bezwartościowy w tej chwili i bardzo kłopotliwy dla ciebie towar! - dodał Smuga.

Po krótkim namyśle Viejo zapytał:

- Czy naprawdę masz pieniądze, señor?

- Mam coś znacznie lepszego! Przekonasz się o tym! Musisz jednak podzielić się z nami zapasami żywności.

Viejo z trudem panował nad zniecierpliwieniem. Nurtowały go ciekawość i chciwość.

- Niech już tak będzie! - warknął. - Pancho Vargas zostawił dla nas w schowku w La Huairze trochę mąki kukurydzianej i bananowej oraz czarnej fasoli. Podzielimy się z wami. Za broń, amunicję i żywność dodacie pięćset dolarów, czyli razem tysiąc pięćset. A teraz pokaż, czym płacisz!

Nowicki tymczasem bacznie obserwował handlarzy niewolników otaczających Smugę. Byli bardzo podnieceni, naradzali się ukradkiem. Pabla nie było między nimi. Młody Metys stał o kilka kroków za ich plecami. Opierał się o pień drzewa, w dłoniach trzymał karabin. Nowicki uśmiechnął się - nie miał już wątpliwości, po czyjej stronie opowie się Pablo.

Smuga wolnym ruchem wsunął rękę do kieszeni kuźmy, po chwili wydobyl ją i rozwarł dłoń. Wśród grudek rodzimego złota połyskiwało kilka wspaniałych szmaragdów. Łowcy niewolników oniemieli na widok złotego kruszcu i szlachetnych kamieni.

- Tym właśnie zapłacimy! - rzekł Smuga, po czym jego dłoń zniknęła w kieszeni kuźmy.

- Więc wylicz należność! - impulsywnie zażądał Viejo.

- Wolnego, wolnego! - spokojnie odparł Smuga. - Handlujemy z ręki do ręki!

Smuga nie mógł widzieć, co się dzieje za jego plecami, więc Nowicki zabrał głos:

- Każ swoim ludziom położyć broń, amunicję i żarcie koło drzewa, przy którym stoi Pablo. On też sprawdzi, czy daliście wszystko zgodnie z umową, wtedy otrzymacie zapłatę!

Biali capangowie zaczęli głośno protestować. Nowicki skorzystał z zamieszania, pochylił się do Vieja i trącił go łokciem w bok.

- Zerknij tylko na moją prawą dłoń! - szepnął nieznacznie. - W razie nieporozumienia ty pierwszy zginiesz!

Viejo pobladł. Lufa rewolweru dotykała jego boku, a groźny wyraz twarzy Nowickiego nie nastrajał do oporu. Viejo odetchnął głęboko i ochryłym głosem rozkazał:

- Milczeć mi tam, do wszystkich diabłów! Antonio! Dziesiątka Pirów oddaje karabiny i pięć maczet, druga dziesiątka rewolwery i pięć noży! Wyliczysz amunicję według umowy i podzielisz żarcie! Wszystko to złożyć obok Pabla!

Viejo widocznie despotycznie rządził pomocnikami i capangami, gdyż sarkania natychmiast umilkły. Antonio gorliwie przystąpił do wykonania polecenia. Nie minęła godzina, gdy Pablo potwierdził wykonanie umowy. Smuga wyjął z kieszeni kuźmy woreczek i wysypał z niego do kapelusza Vieja grudki złota i szmaragdy.

- To na pewno przekracza wartość umówionej zapłaty, ale w tych niezwykłych warunkach nie będę drobiazgowy - powiedział.

Viejo nożem sprawdzał, czy złoto jest prawdziwe, potem pod światło oglądał szmaragdy, a wreszcie zadowolony zapytał:

- Señor, gdzie odkryliście bonanzę?[\[55\]](#) Jeżeli chcesz, to pójdziemy tam z tobą jako eskorta!

- Nic z tego, znaleźliśmy to przy zabitym przez Indian poszukiwaczu złota - obojętnie odparł Smuga. - W którą stronę wyruszacie?

- Pójdziemy za Panchem Vargasem na południowy zachód - odpowiedział Viejo mierząc Smugę podejrzliwym spojrzeniem. - A wy, senores, co zamierzacie?

- Już mówiłem, idziemy do Boliwii. Jesteśmy tam umówieni z przyjaciółmi.

- A więc nasze drogi się rozchodzą! - stwierdził Viejo. - Spełniliśmy wszystkie wasze żądania. Rozstajemy się w zgodzie, więc przyrzeknijcie, że nikt z czerwonoskórych niewolników nie podąży za nami. Oni by mogli naprowadzić na nas Indios bravos.

- Nikt nie pójdzie za wami, obiecujemy! - zapewnił Smuga.

- Ruszamy natychmiast! - rozkazał Viejo i krzyknął na swych kompanów, aby się szykowali do drogi.

Wkrótce czereda łowców niewolników wchodziła w leśny gąszcz. Viejo odwrócił się do Nowickiego i Smugi, mówiąc:

- Zostawiam dwa kotły do gotowania jedzenia. Żywności macie niewiele, ale Indianie lubią małpinę, a małp tu nie brak. Adios, amigos, que le vaya bien! [\[56\]](#)

MIASTO KRÓLÓW

Tomasz Wilmowski zadumany spoglądał w niebo usiane migocącymi gwiazdami, wśród których jaśniał Krzyż Południa. Widok tego gwiazdozbioru nieba południowej półkuli zawsze budził w Tomku wspomnienia z lat chłopięcych, kiedy to z zapartym tchem czytywał o niezwykłych przygodach podróżników w dalekich, egzotycznych krajach. Czyż mógł wtedy choćby marzyć, że kiedyś sam będzie przemierzał dziewicze lądy, często nie tknięte jeszcze stopą białego człowieka? A jednak spełniły się jego najgorętsze pragnienia! Był łowcą dzikich zwierząt, poznawał zwyczaje różnych ludów, z jego zdaniem liczyli się wytrawni geografowie i etnografowie.

Jako chłopiec sądził, że dalekie podróże po nieznanym krajach stanowią pasmo pasjonujących przygód. Nie zdawał sobie wtedy sprawy, że sławni odkrywcy narażali swe życie przede wszystkim dla poszerzenia wiadomości o świecie i jego mieszkańcach. Teraz wszakże Tomek już znał gorzki smak wielkiej przygody... Pełen obaw oczekiwał ojca, z którym miał wyruszyć na ratunek przyjacielom. Tak więc, choć urokliwy gwiazdozbiór uzmysławiał mu spełnienie chłopięcych marzeń, nurtował go dręczący niepokój.

Tomek siedział na ławeczce hotelowego patio[57]. Pośrodku czworokątnego wewnętrznego dziedzińca, obramowanego oficynami frontowego budynku, cicho szumiała mała fontanna. Był już późny wieczór, lecz troski spędzały sen z powiek młodego mężczyzny. Jego dwaj starsi przyjaciele i towarzysze łowieckich wypraw znajdowali się w groźnych opalach. Tomek tak by chciał lotem ptaka pospieszyć im z pomocą, a tymczasem musiał beczynnie czekać na ojca, który miał przywieźć pieniądze na wyposażenie wyprawy. Zamyślony nawet nie spostrzegł żony wymykającej się z hotelu na patio. Sally przysiadła na ławce obok Tomka, przytuliła się do niego i cicho zagadnęła:

- Czy duchy hiszpańskich konkwistadorów przyprawiają cię o bezsenność, Tommy?

Tomek otrząsnął się z zadumy. Spojrzał na żonę, uśmiechnął się do niej. Wyglądała uroczo w zarzuconej na głowę, na wzór limeńskich elegantek, czarnej mancie, czyli szalu.

- Nie byłoby w tym nic dziwnego - odparł po chwili. - Miasto Królów[58], w którym się znajdujemy, prawie cztery wieki temu zbudował osławiony Pizarro[59].

- Właśnie jego miałam na myśli wspominając o duchach hiszpańskich konkwistadorów. Dzisiaj przed południem byłyśmy z Natką w katedrze [60] na Plaza de Armas, której budowę zapoczątkował Pizarro. W niej też u stóp ołtarza oglądałyśmy jego grobowiec między grobami arcybiskupów limeńskich. Wśród znakomitych obrazów zdobiących katedrę zachwyciło nas wspaniałe dzieło Murilla. Żartowałam jednak, wspominając duchy Hiszpanów. Wiem dobrze, co cię gnębi! Nie dręcz się tak bardzo. Ojciec zjawi się lada dzień!

- Oby tylko już nie było za późno! - powiedział Tomek ciężko wzdychając. - Wczoraj nadeszły złe wiadomości. W Montanii wybuchły poważne niepokoje.

- Od kogo to usłyszałeś?! - żywo zapytała Sally.

- Wczoraj złożyłem wizytę prefektowi departamentu[61]. On mnie właśnie o tym poinformował. Prosił o dyskrecję do czasu potwierdzenia się wieści o rebelii Kampów. Obawiam się, że wiadomość jest prawdziwa. Pan Smuga przecież ostrzegał, że Kampowie przygotowują powstanie.

- Tommy, to naprawdę bardzo zła wiadomość! Dlaczego dopiero teraz o tym mówisz?!

- Nie chciałem was martwić przedwcześnie. Jeżeli rebelia już wybuchła, to co się stało z panem Smugą i Tadkiem?! Skóra mi cierpnie na grzbiecie, gdy myślę o tym!

- Wszyscy się o nich martwimy! - poważnie powiedziała Sally. - Sytuacja się komplikuje, ale mimo to zaniechanie wyprawy nie wchodzi w rachubę!

- Oczywiście! O tym nawet nie może być mowy! - impulsywnie potwierdził Tomek. - Bez względu na przeszkody powinniśmy się stawić w ustalonym z panem Smugą terminie na pograniczu boliwijsko-brazylijskim. Jeżeli Kampowie już rozpoczęli wojnę, to musimy zmienić trasę wyprawy.

- Tommy, kochany! Wiem przecież, że ty na wszystko znajdziesz radę!

Tomek rozchmurzył się - ufność i pochlebstwa rezolutnej Sally zawsze sprawiały mu przyjemność. Przygarnął żonę ramieniem i szepnął:

- Oby tylko ojciec przybył jak najprędzej!

- Na pewno lada dzień zjawi się w Limie! Jestem także pewna, że Tadek i pan Smuga...
- zaczęła Sally i nagle umilkła.

W ciszę nocną wdarło się głucho, podziemne dudnienie, potem ziemia drgnęła w posadach, jak człowiek nawiedzony nagłym paroksyzmem dreszczy. Rozległ się dźwięk tłuczonych szyb. Ptaki zakwiliły w krzewach, w całej okolicy psy zaczęły szczekać i wyc wyczuwając niebezpieczeństwo. Mieszkańcy Limy brutalnie wyrwani ze snu wylękali na ulice na pół ubrani lub w nocnych koszulach. Okrzyki i nawoływania rozbrzmiewały wokoło. Ponure dźwięki bijących na trwogę dzwonów kościelnych potęgowały nastrój grozy.

Goście hotelowi wybiegli na patio.

- Sally! Tomek! - rozległo się wołanie Nataszy.

- Tutaj jesteśmy! - odkrzyknęła Sally.

Po chwili Natasza i Zbyszek dołączyli do młodych Wilmowskich.

- Zbudziło nas kołysanie łóżka! Usłyszeliśmy rozgardiasz na ulicy, bicie dzwonów, bieganinę na korytarzu, pospieszyliśmy więc do was, a tu pokój pusty! Zaczęliśmy szukać!
- mówił Zbyszek Karski jeszcze zapinając koszulę.

- Tommy nie mógł zasnąć. Siedzieliśmy na świeżym powietrzu, przyjemnie było po upalnym dniu - wyjaśniła Sally.

- To dlatego jesteście całkowicie ubrani - domyśliła się Natasza.

- Trzęsienie nie było zbyt silne, ale dzwony spowodowały panikę - wtrącił Zbyszek.

- Alarm i panika są tutaj zupełnie zrozumiałe - powiedział Tomek.

- Lima leży przecież w okołopacyficznej strefie sejsmicznej[62], w której występuje większość wszystkich trzęsień ziemi, i to nieraz bardzo silnych. Lima przeżywa co roku kilka słabszych bądź silniejszych wstrząsów, ale nieraz te lżejsze tylko poprzedzają katastrofalne trzęsienie ziemi. Tak właśnie wydarzyło się, o ile dobrze pamiętam, w tysiąc siedemset czterdziestym szóstym roku, kiedy to potężne trzęsienie obróciło Limę w gruzy, a pobliski port Callao został pochłonięty przez spiętrzone fale wzburzonego oceanu. Tysiące ludzi wtedy poniosło śmierć.

- Nie chciałabym mieszkać tutaj na stałe - odezwała się Natasza.

- Ameryka Południowa nie należy do spokojnych kontynentów. W Manaos również czułam się jak na rozżarzonych węglach. Biali drapieżni jak wilki, wokół zachłanna dżungla, nawet rzeki roją się od groźnych stworzeń. Kula ustanawia prawo. Nienawidzę przemocy!

- Czy nie przesadzasz, Natka? - zapytał Zbyszek. - Czyżbyś zapomniała, kto w Jakucji zastrzelił carskiego agenta Pawiowa?! [63]

- Nie, nie zapomniałam! Zabiłam kanalię, aby ocalić szlachetnego mężczyznę, którego jedyną winą było, że pragnął wolności dla swej gnębionej przez zaborców ojczyzny. Ja także walczyłam o wyzwolenie mojej ojczyzny spod carskiej tyranii!

- Cicho, cicho! Znów zaczyna dudnić! - zawołała Sally.

Głuche, podziemne dudnienie, lecz już znacznie słabsze, przetoczyło się ze wschodu na zachód, ziemia zadrżała raz i drugi, po czym znieruchomiała.

- Psy przestały wyc - zauważył Tomek.

- Oznacza to chyba, że zagrożenie minęło, a skoro tak, to wracajmy do domu. Natka przyrządzi herbatę i pogawędzimy - zaproponował Zbyszek. - Nie warto już kłaść się do łóżek, zaraz będzie świtało.

- Zgoda, zupełnie odechciało mi się spać - przystał Tomek. Natasza wypila herbatę i odstawiła pustą szklanekę. Podniosła się, podeszła do szeroko otwartego okratowanego okna. Gwiazdy już bladły na niebie.

- Spokojnie i cicho na ulicach, jak gdyby nic nadzwyczajnego się tej nocy nie wydarzyło - odezwała się zdumiona. - Podziwiam limeńczyków, mimo stałego zagrożenia potrafią prowadzić normalny tryb życia!

- Nie widzę w tym nic niezwykłego - zaproponował Zbyszek. - Do wszystkiego można przywyknąć! Najlepszym przykładem Polacy. Od przeszło stu lat zaborcy usiłują nas wynarodowić, tępią język polski, wszędzie roi się od szpiclów, patriotów wieszają bądź wywożą na Sybir, my jednak nie zatracamy swej odrębności narodowej. Kwitnie tajne nauczanie, gdy nadarzy się okazja, chwytny za broń i hojnie płacimy daninę krwi, a mimo to codzienne życie toczy się swoimi trybem!

- Brawo, Zbyszku! - z entuzjazmem przytaknął Tomek.

- Wykręćcie kota ogonem! - oburzyła się Natasza. - Wspomniałam tylko, że limeńczycy doskonale się dostosowali do niebezpiecznych warunków naturalnych, a wy zaraz o Polakach! Podziwiam was przecież na równi z limeńczykami!

Tomek roześmiał się i odparł:

- Zrobiłaś bardzo trafne zestawienie! Limeńczycy usposobieniem przypominają Polaków. Są tak samo gościnni i lekkomyślni, lubią wynosić zasługi swego narodu, chwalić odwagę i z jednakową łatwością tracą mienie. Mają również podobne przywary: są niepunktualni, dużo mówią i mało pracują.

- Historia również dla nich nie była łaskawa - dodał Zbyszek. - Podczas wojny o saletrę [64]z Chilijczykami najeźdźcy przez jakiś czas okupowali Limę. Zwycięscy Chilijczycy nieźle ogołocili miasto. Wywieźli stąd do Santiago wiele wartościowych zbiorów i eksponatów, podobno nawet pisuary, a czego nie dało się zabrać po prostu niszczyli.

- Przestańcie politykować! - wtrąciła Sally. - Już świta! Co będziemy dzisiaj robili?

- Ja wybieram się do klasztoru Franciszkanów - oznajmił Tomek.

- Przecież byłś tam zaledwie kilka dni temu! - zdziwiła się Sally.

- To prawda - odpowiedział Tomek. - Chcę jednak porozmawiać jeszcze z nimi. Franciszkanie wysyłają misjonarzy do krain wschodniego Peru, nad Ukajali, Pachiteę i Amazonkę. Niektórzy stali się odkrywcami geograficznymi i przyrodniczymi oraz pionierami postępu. Od nich można się wiele dowiedzieć o tamtejszych plemionach. Warto korzystać z ich doświadczenia. Potem wstąpię do naszych indiańskich przyjaciół. Haboku codziennie się dopytuje, kiedy wreszcie wyruszymy. Poza tym Dingo także jest znudzony beczynnością, zabiorę go na dłuższy spacer.

- Tomku, weźmiesz mnie z sobą? - zapytał Zbyszek.

- Oczywiście, właśnie zamierzałem to zaproponować - odparł Tomek. - A co będą robiły nasze żony?

- Żony najpierw utną sobie drzemkę - odrzekła Sally. - Potem pospacerują po Calle de Mercaderes. Wprawdzie nie mamy pieniędzy na fatałaszki, ale lubię oglądać wystawy francuskich sklepów. Tyle tam pięknych rzeczy! Przy okazji zjemy obiad, a później poczekamy na was u Haboku i Mary. Razem pójdziemy na przechadzkę z Dingiem. Zgoda?

- Zgoda! - przytaknął Tomek.

Wkrótce po nastaniu świtu obydwaj bracia wyszli z hotelu. Był to okres pory suchej [65], więc na błękitnym niebie, upstrzonym tylko tu i tam małymi, pierzastymi chmurkami, jaśniało palące słońce. Mimo wczesnej godziny na wąskich, brukowanych uliczkach już panował ożywiony ruch. Spod kopyt zwierząt jucznych wzbijały się obłoczki kurzu. W kierunku rynku podążały na koniach mleczarki z mlekiem w blaszankach zawieszonych po obu stronach siodła. Piekarze wieźli na mułach wielkie skórzane sakwy pełne bułek i chleba, a tamaleros rozwozili na osiołkach taniales, czyli świeże pierożki z

mąki kukurydzianej. Nie brakło też wędrownych cukierników, którzy na swoich głowach dźwigali duże pudła ze słodyczami i lodami. Turkot wielkich dwukołowych wozów, zaprzężonych w dwa lub trzy muły, mieszał się z nawoływaniem wędrownych handlarzy zachwalających swoje produkty.

Otwarto już tanie jadłodajnie prowadzone przez zamby lub chole[66], które przyrządzały chupe, to jest narodową zupę z ziemniaków z serem i papryką, chicharron, czyli skwarki wieprzowe lub kielbasiane, i seco de chivo - koźlinę smażoną z ryżem.

- Pora na śniadanie, może wstąpimy coś zjeść? - zaproponował Tomek znęcony zapachami gotowanych potraw.

- Radzę pójść do mego znajomego makaka [67] na Plaža del Morcado, to wspaniały kucharz! Lubię chińskie przysmaki.

Tomek rozweselony roześmiał się, po czym rzekł:

-Widzę, że szybko zapuszczasz korzenie w ziemię południowoamerykańską, skoro przejąłeś nawet tutejsze przydomki. Twój protegowany Chińczyk nie byłby zadowolony, gdyby wiedział, że nazywasz go małpą.

- Tak mi się głupio wyrwało! - przyznał Zbyszek. - Polubiłem tego Chińczyka, to przyzwoity, uprzejmy i pracowity człowiek.

- No więc chodźmy do niego.

Nie spiesząc się szli przez starą dzielnicę miasta [68]zbudowaną jeszcze przez hiszpańskich zdobywców. Wąskie, brukowane, pełne kurzu uliczki przecinały się pod kątem prostym. Na przewodach rozpiętych między domami po obydwóch stronach ulicy wisiały nad jezdnią latarnie oświetlające miasto wieczorem. Lima miała już kanalizację, woda była doprowadzana do domów, większe mieszkania posiadały gaz i łazienki. Do niedawna jednak wszelkie nieczystości wyrzucano z domów wprost na ulicę, żeby zjadały je gallinazos, czyli wielkie, czarne sępy amerykańskie.

Zabudowa starej części miasta była prawie jednolita. Przeważały parterowe, murowane, jednakowo wysokie domy, po których płaskich dachach można było przechodzić z jednego budynku na sąsiednie. Każdy dom miał z frontu szeroką bramę, a po jej obu stronach po jednym lub dwa zabezpieczone kratą okna. Dzięki temu domy sprawiały wrażenie małych forteczek, lecz częste rewolucje oraz bandyckie napady zmuszały limeńczyków do troszczenia się o własne bezpieczeństwo.

Tomek i Zbyszek wymieniali uwagi na temat charakterystycznej zabudowy starej Limy. W pewnej chwili Zbyszek nagle posmutniał i zamilkł. Tomek zaintrygowany zerknął na niego i zagadnął:

- Co się stało, Zbyszku? Skąd ta nagła zmiana nastroju? Zbyszek ciężko westchnął i odparł:

- Taki jest los tułacza, braciszku! Mówiliśmy, że limeńskie domy przypominają forteczki i nagle skojarzyło mi się to ze słowami "Roty" Marii Konopnickiej:"...twierdzą

nam będzie każdy próg...” No i natychmiast ogarnęła mnie tęsknota za rodzicami, Irką i Witkiem, którzy tak mocno przeżywali moje uwięzienie, a później zsyłkę na Sybir... Oni są tam, w naszej kochanej Warszawie, wciąż deptanej buciorami najeźdźców!

Tomek spochmurniał, dopiero po chwili powiedział:

- Rozumiem cię, Zbyszku! Ojciec, Tadek Nowicki i ja jesteśmy takimi samymi wygnańcami jak ty. Wszystkich nas dręczy nostalgia. Jak to się mogło stać, że nie czytałem “Roty”? Wydawało mi się, że znam twórczość Konopnickiej.

- Nic w tym dziwnego, Tomku. Ona napisała ten wiersz już po twoim wyjeździe z kraju[69]. Wieczorem nauczę cię “Roty”, jestem pewny, że przypadnie ci do serca.

Pochłonięci rozmową szli uliczkami przylegającymi do centrum starej Limy. Tutaj między parterowymi domami stały także nieco wyższe budynki, których specyficzna budowa miała łagodzić katastrofalne następstwa częstych trzęsień ziemi. Tak więc parter był murowany z dużych, nie wypalonych cegieł, natomiast pierwsze piętro miało ściany z lekkiego bambusu cienko otynkowane i pobielone. Płaski bambusowy dach kryła gruba, gliniana powłoka. Dachy te w porze dżdżystej dostatecznie chroniły przed padającą tutaj tak zwaną “mgłą peruwiańską”, lecz gdy mgielka czasem przemieniała się w deszcz, wtedy woda przeciekała do wnętrza mieszkań. Wyższe domy posiadały na wysokości pierwszego piętra kryte ganki wysunięte nad chodnik.

Tomek i Zbyszek niebawem weszli na Plaza de Armas, który stanowił centralny punkt ówczesnej Limy. Tutaj piętrzyły się budowle z czasów kolonialnego baroku, naśladującego wzory hiszpańskie.

Wschodni bok placu zajmowała monumentalna katedra z wielkim portalem i dwiema charakterystycznymi frontowymi wieżami oraz okazały pałac arcybiskupi. Północną stronę placu zdobił Palacio de Gobierno, czyli pałac prezydenta, w którym oprócz jego mieszkania znajdowały się wszystkie ministerstwa, biura policji i koszary. Przed siedzibą głowy państwa pełnili straż młodzi, ciemnoskórzy żołnierze z gwardii honorowej, ubrani w paradne mundury z czerwonymi, frędzlastymi naramiennikami i sznurami na lewej piersi. Tomek i Zbyszek zwrócili szczególną uwagę na lśniące w słońcu niebieskosrebrne hełmy z wysokimi grzebieniami, przypominały one bowiem hełmy noszone przez polskich kirasjerów [70] w czasach Księstwa Warszawskiego.

Na pozostałych dwóch bokach placu mieściły się: Portal de Botoneros, czyli Portal Guzikarzy, i Portal de Escribanos - Notariuszy, zabudowane piętrowymi domami, które miały wysunięte nad ulicę kryte ganki zdobione rzeźbami w stylu mauretańskim. Na parterze pod gankami znajdowały się różne sklepy, kantory pieniężne bądź mieszkania. Domy te posiadały patia otoczone oszklonymi galeriami i odkrytymi werandami.

Środek Plaza de Armas zdobiła szesnastowieczna fontanna, ocieniona wiecznie zielonymi drzewami. Z każdego z czterech rogów placu wychodziły po dwie ulice. Właśnie na północno-zachodnim krańcu, w rozwidleniu dwóch ulic, stał na wysokim cokole olbrzymi pomnik zdobywcy Peru i założyciela Limy. Dosiadający rumaka kamienny Francisco Pizarro, w zbroi i hełmie, spoglądał na wspaniałą katedrę, pod której budowę

prawie cztery wieki wcześniej położył kamień węgielny.

Tomek i Zbyszek wkrótce znaleźli się w chińskiej dzielnicy, na Plaža del Morcado. Zbyszek zatrzymał się przed jadłodajnią opatrzoną szyldem "Fonda China".

- No, jesteśmy na miejscu - rzekł. - Już najwyższy czas na śniadanie.

- Ciekaw jestem, czym uraczy nas twój protegowany - mruknął Tomek. - Swego czasu w Chotanie pewien Chińczyk częstował nas pijawkami w cukrze...

- Jak one smakowały? - zaciekał się Zbyszek.

- Nie wiem, bo dyskretnie podrzuciłem je Tadekowi Nowickiemu, który na szczęście bez mrugnienia okiem połyka wszelkie paskudztwa.

Weszli do jadłodajni. Ze względu na jeszcze dość wczesną porę kilka czysto nakrytych stolików świeciło pustkami. Z sąsiedniego pomieszczenia, zapewne kuchni, dolatywały aromatyczne zapachy. Za schludną ladą krzątał się szczupły mężczyzna o bladożółtej cerze i rzadkim zaroście na twarzy. Długi czarny warkocz oplatał jego głowę. Chińczyk ubrany był w ciemny, luźny kaftan i długie czarne spodnie. Na widok wchodzących gości pokłonił się nisko składając ręce na piersiach i zwyczajem hiszpańskim powitał:

- Jak się pan miewa?

- Bardzo dobrze, dziękuję. A pan, panie Czang Tun? - odparł Zbyszek.

- Bardzo dobrze! A jak się miewa pana żona? - pytał Chińczyk.

- Dziękuję, doskonale.

Po uprzejmościach powitalnych Czang Tun znów się nisko pokłonił, mówiąc:

- Do pańskich usług! - po czym poprowadził gości do stolika w małej alkwie nie opodal okna.

- Przyszedłem z moim bratem, łowcą zwierząt, o którym panu wspominałem - odezwał się Zbyszek. - Mówiłem mu o pana doskonałej kuchni, panie Czang Tun. Co pan może dzisiaj nam polecić?

Chińczyk nisko pokłonił się Tomkowi i rzekł:

- Mam świeżo pieczoną tłustą kaczkę z jabłkami, marynowane kurczaki, jaja konserwowane w oliwie, ryż z wieprzowiną i sosem, chop-seuy, chicharron, chanszyn \ wino ryżowe, chińską herbatę, kawę.

- Na śniadanie w sam raz będą chop-seuy - zdecydował Zbyszek.

- Tomku, i tobie je polecam.

- Dobrze, proszę o chop-seuy - potwierdził Tomek. - Lada dzień wyruszamy na daleką wyprawę i nie będziemy mogli się raczyć przysmakami pana Czang Tun.

- Zapewne nowa wyprawa łowiecka? Gdzie panowie będą chwywali dzikie zwierzęta? - zagadnął Czang Tun.

- To nie wyprawa po zwierzęta - odparł Tomek. - Mamy się spotkać z przyjaciółmi na pograniczu brazylijsko-boliwijskim, a potem razem wyruszymy do Manaos nad Amazonką.

- Do Manaos, to bardzo interesujące! Daleka wyprawa! - powiedział Czang Tun i zapytał: - A dokąd czcigodni panowie udadzą się później?

- Pracuję w Manaos w Kompanii Nixon-Rio Putumayo - wtrącił Zbyszek. - Kauczuk, panie Czang Tun! Pozostanę w Manaos, brat z przyjaciółmi powrócą do Europy, potem zapewne znów wyruszą gdzieś na wyprawę łowiecką.

- To naprawdę interesujące, nawet bardzo interesujące! - mówił zaintrygowany Czang Tun. - Mój kuzyn ma właśnie zamiar udać się do Manaos do swoich krewnych. Czy czcigodni panowie mają już kucharza na wyprawę? Mój kuzyn dobrze gotuje, pomaga mi w kuchni.

- Panie Czang Tun, to niebezpieczna wyprawa - poważnie ostrzegł Tomek. - Nasi dwaj przyjaciele znajdują się w niewoli u wolnych Kampów. Potrzebują pomocy... To niemal wojenna ekspedycja! Czy dość jasno stawiam sprawę?!

- Rozumiem, rozumiem, czcigodny panie - przytaknął Chińczyk.

- Zaraz podam chop-seuy! Czang Tun zniknął w kuchni.

- Stropił się mąka... och, przepraszam, Chińczyk - cicho powiedział Zbyszek, gdy zostali sami. - Chciał zaoszczędzić kuzynowi opłaty za przejazd do Manaos. Oni są oszczędni i praktyczni.

- Jako kucharz wyprawy nie tylko by nie wydał pieniędzy na podróż, ale jeszcze by coś zarobił - powiedział Tomek. - Przydałby się nam kucharz! Musiałem jednak powiedzieć prawdę.

Minęła dłuższa chwila, zanim Czang Tun wyszedł z kuchni z dużą tacą w rękach. Za nim, również z zastawioną naczyńiami tacą, kroczył drugi Chińczyk, ubrany w szare spodnie oraz czarną bluzę ze stójką opinającą szyję. W przeciwieństwie do Czang Tuna miał krótko obcięte włosy zaczesane na wzór Europejczyków. Krój bluzy zapinanej z przodu na jasne metalowe guziki, z wytłoczonymi na nich czerwonymi smokami, przypominał wojskowy mundur.

Czang Tun umieścił ciężką tacę na stole. Zbyszek i Tomek ze zdziwieniem spoglądali na dania stawiane przed nimi. Były tam w salaterce chop-seuy, czyli oryginalna chińska potrawa z duszonego mięsa pokrajanego w kostkę z rozdrobnionymi jarzynami, ryżem i przyprawami, pieczona kaczka z jabłkami, ryba w galarecie, jaja konserwowane w oliwie, solone migdały, dwie karafki z chanszynem i winem ryżowym oraz ciasteczka z ryżu. Drugi Chińczyk tymczasem rozstawiał talerze, widelce, noże i łyżeczki, nieznacznie obrzucając gości przenikliwym spojrzeniem.

- Panie Czang Tun! Prosiliśmy tylko o chop-seuy - zaoponował zdumiony Tomek.

- Czcigodni panowie, uczynicie mi ten zaszczyt i bądźcie dzisiaj moimi gośćmi -

powiedział Czang Tun, nisko się kłaniając.

- Zaproszenie tak dostojnego gospodarza jest dla nas dużym wyróżnieniem i potrafimy to właściwie ocenić - odparł Tomek. - Skoro jednak mamy być gośćmi, to szanowny gospodarz powinien nam towarzyszyć przy stole.

- Roli gospodarza podejmie się mój kuzyn, Wu Meng, o którym czcigodnym gościom wspominałem, ja zaś przygotowuję oryginalną chińską herbatę.

- Prosimy siadać, panie Wu Meng! - rzekł Tomek, przy czym wstał i podał Chińczykowi dłoń.

To samo uczynił Zbyszek. Wu Meng osobiście obsługiwał gości i zachęcał do picia chaszynu. Tomek spełnił toast za pomyślność gospodarza, a gdy usłużny Wu Meng nalał wina ryżowego do większych kieliszków, odezwał się do Zbyszka:

- Czy piłeś już kiedyś wino ryżowe?

- Nie - zaprzeczył Zbyszek. - Ale słyszałem, że to przyjemny, lekki, słodkawy trunek.

- To tylko złudzenie, Zbyszku! - rozweselił się Tomek. - Wino ryżowe smakuje jak słodkawa woda i nie idzie do głowy, ale po uraczeniu się nim nie można wstać od stołu, choć jest się trzeźwym jak nowo narodzone dziecko. Nogi odmawiają posłuszeństwa.

Wu Meng uśmiechnął się dyskretnie, a Zbyszek roześmiał się i zawołał:

- Dziękuję, Tomku, za ostrzeżenie! Dzisiaj przecież idziemy z wizytą do klasztoru Franciszkanów!

- Pański czcigodny kuzyn wspominał, że wybiera się pan do Manaos - odezwał się Tomek, który od razu odgadł powód zaproszenia na ucztę przez Czang Tuna.

- To prawda, czcigodny panie! Od kilku miesięcy czekam na odpowiednią okazję - odparł Wu Meng.

- Od kilku miesięcy?! - zdumiał się Zbyszek. - Przecież podróż do Manaos nie nastęcza aż tak dużych trudności!

- Jeśli ktoś ma dobry paszport, jest to tylko kwestia pieniędzy, ale czasem sprawa nie jest tak prosta - wyjaśnił Wu Meng.

Tomek obrzucił młodego Chińczyka uważnym spojrzeniem. Nie wyglądał na kulisa[71], kucharza lub kupca. Jego pełne godności zachowanie, uprzejme, lecz bez użoności, sprawiało wrażenie, że przywykł do przewodzenia i w codziennym życiu.

- Wydaje mi się, że był pan żołnierzem. Czyżby dlatego właśnie znalazł się pan obecnie w kłopotliwej sytuacji? - zagadnął Tomek.

Wu Meng, jakby nie usłyszał pytania, rzekł:

- Czcigodny Czang Tun mówił, że czcigodni panowie pochodzą z kraju, który utracił niezawisłość.

- Tak, jesteśmy Polakami - potwierdził Tomek. - Ojczyznę naszą okupują wrody

zaborcy. Mój brat jako polski patriota był zesłany na Sybir. Umożliwiłem mu ucieczkę stamtąd.

- Czcigodny Czang Tun zapewnił mnie, że można panom zaufać - przyciszonym głosem powiedział Wu Meng. - Jako oficer brałem udział w powstaniu bokserów[72]. Po stłumieniu powstania przez armie cudzoziemskie bardzo długo musiałem się ukrywać. Wreszcie w Tiencinie udało mi się przekraść na statek podczas załadunku węgla. Jako palacz w kotłowni przypląnąłem do Ameryki Południowej. W Callao marynarze pomogli mi wydostać się na ląd. Mój krewny, czcigodny Czang Tun, zaopiekował się mną i pomógł nawiązać kontakt z wujem w Manaos. Wuj chce zatrudnić mnie w swoim przedsiębiorstwie, ale jestem tutaj nielegalnie. Nie mam paszportu.

- Mieszkam w Manaos, jak się nazywa pański wuj? - pytał Zbyszek.

- Mój czcigodny wuj to pan Ting Ling - odparł Wu Meng.

- Czyżby to był Ting Ling "Criolo - hurtowy skup i sprzedaż?" - pytał Zbyszek.

- Tak, czcigodny panie! To właśnie mój wuj.

- "Criolo"?! Cóż to za firma? - zapytał Tomek.

- Criolo jest nazwą najszlachetniejszych gatunków kakao produkowanych w Ameryce Południowej - wyjaśnił Zbyszek. - Właśnie pan Ting Ling jest znanym w Manaos hurtownikiem. Pan Nixon przyjaźni się z nim. Tomku, pomóż panu Wu Mengowi!

- Brak dokumentów jest przeszkodą, ale może dałoby się jakoś temu zaradzić - odparł Tomek. - Gdybym tak wpisał pana Wu Menga na listę uczestników wyprawy? Prefekt jest mi bardzo życzliwy... Panie Wu Meng, czy pan Czang Tun uprzedził pana o celu naszej wyprawy?

- Tak, czcigodny panie! Dlatego też pomyślałem, że mógłbym się przydać nie tylko jako kucharz. Jestem żołnierzem. Brałem udział w walkach o Tiencin[73].

- Więc byłby pan gotów zaryzykować? - upewnił się Tomek.

- Gnuśnieję w Limie. Nie chodzi o pieniądze. Mój wuj, czcigodny pan Ting Ling, czeka na mnie.

- Skoro tak, to niech pan się przygotuje do drogi - zdecydował Tomek. - Spróbuję załatwić formalności. Damy panu znać w najbliższym czasie.

HIJOBOWE WIEŚCI

Młodzi Wilmowscy i Karscy poszli po obiedzie na spacer do południowo-zachodniej dzielnicy miasta. Tam właśnie znajdował się piękny ogród zwany "Jardin de la Expositi6n", potocznie po prostu "Exposicion", poniewaŹ w ogrodowym pałacu w tysiąc osiemset siedemdziesiątym czwartym roku mieściła się peruwiańska wystawa światowa. Wprawdzie później, podczas wojny o saletrę, zwycięscy Chilijczycy powywozili z Limy wszystko, co się dało zabrać, lecz mimo to wspaniały park zachował swe naturalne piękno i był ulubionym miejscem przechadzek limeńczyków. Wilmowscy i Karscy byli oczarowani malowniczością ogrodu. Wśród wielu podzwrotnikowych roślin pięły się ku niebu wiecznie zielone, podobne do rozpiętych parasoli araukarie, smukłe cyprysy oraz drzewa eukaliptusowe o sk6rzystych liściach i białym kwieciu.

Eukaliptusy przypominały Tomkowi jego pierwszą wyprawę łowiecką do Australii, podczas której chwycił także workowate niedŹwiadki koala. Ulubionym pokarmem tych małych misi6w były liście eukaliptusowe. W Australii Tomek w niezwykłych okolicznościach zaprzyjaźnił się ze swoją obecną żoną. Tak się wtedy złożyło, Źe podczas polowania na olbrzymie szare kangury towarzysze Tomka zostali poproszeni o pomoc w poszukiwaniach zaginionej w buszu, wówczas dwunastoletniej, Sally Allan. Szczęśliwym trafem czternastoletni Tomek samodzielnie odnalazł dziewczynkę, która dla upamiętnienia znajomości ofiarowała mu swego psa Dinga. Wilmowscy z humorem opowiadali kuzynostwu o swym oryginalnym zawiązaniu przyjaźni. Dingo, jakby rozumiał, Źe również o nim jest mowa, wesoło merdał ogonem i zerkał ku klatkom z dzikimi zwierzętami w nowo tworzonym ogrodzie zoologicznym w miejsce rozgrabionego przez Chilijczyków.

Czas szybko mijał na wesołej pogawędce. Miało się ku wieczorowi. Tomek wreszcie spojrział na wsch6d. Na widocznych ze wszystkich ulic Limy szczytach skalistych And6w lśniły płaty wiecznego śniegu w promieniach chylącego się ku zachodowi s6l6ca.

- Pora wracać do hotelu - odezwał się Tomek. - Ani się spostrzegłem, Źe juŹ tak późno!
- Niech sobie będzie późno! - przekornie powiedziała Sally. - Kto wie, czy to juŹ nie ostatni nasz wsp6lny spacer po Limie...
- Obyś miała rację! - dodał Zbyszek. - Siedzimy jak na szpilkach czekając na wujka! Mam juŹ dość walk byków i kogut6w uzbrojonych w ostrogi!
- To dlaczego tak często chodzisz na nie?! Obłudnik! - oburzyła się Natasza.
- Dotrzymuję tylko towarzystwa Tomkowi - usprawiedliwił się Zbyszek.
- Coś kręcisz, Zbyszku! - ze śmiechem zaoponowała Sally. - Tommy nie lubi widowisk, na których dręczy się zwierzęta!
- Nic nie kręcę! - bronił się Zbyszek. - Przecież nie powiedziałem, Źe Tomek chodzi ze mną na walki kogut6w!
- Właśnie powiedziałaś, Źe dotrzymujesz mu towarzystwa! - potwierdziła Natasza.

- Bo też tak jest naprawdę - przytaknął Zbyszek. - Tomek często chodzi popatrzeć na Dos de Mayo, ten najpiękniejszy z limeńskich pomników...

- Czy masz na myśli tego Anioła Zwycięstwa?! - zaciekała się Sally. - Na płaskorzeźbie na piedestale znajduje się Polak, Ernest Malinowski[74].

- Tak, o ten właśnie pomnik chodzi! - odpowiedział Zbyszek. - Wiecie przecież, że mój brat entuzjazmuje się wszystkim, co upamiętnia działalność wybitnych Polaków. Toteż gdy Tomek zadumany wpatruje się w pomnik, ja wstępuję do leżącego w pobliżu amfiteatryku na walki kogutów.

Wilmowscy i Karscy wkrótce wyszli z ogrodu. Przed zapadnięciem wieczoru na ulicach było gwarno i rojno. Limeńczycy wracali z pracy do domów, uliczni handlarze zwijali kramy, tłoczno było w fondach i jadłodajniach. W barwnym tłumie przechodniów, który stanowił mieszaninę wszystkich ras, wyróżniały się piękne limenki otulone w przewiewne, czarne manty. Środkiem ulic toczyły się dwukołowe wozy, podążały juczne konie i muły, tu i tam widać było jeźdźców dosiadających rączych rumaków.

W pobliżu hotelu, Dingo, prowadzony na smyczy przez Sally, zaczął okazywać niepokój. Węszył, strzygł uszami, warknął raz i drugi, wreszcie musnął wilgotnym ozorem dłoń idącego obok Tomka.

- Sally, spójrz na nasze poczciwe psisko! - odezwał się Tomek.

- Zapewne dziwi się, że nie odprowadzamy go do Haboku.

- Spokój, Dingo, spokój! - powiedziała Sally. - Późno już, więc dzisiaj przenocujesz z nami.

Dingo jednakże stawał się coraz bardziej niespokojny. Znów szczeknął chrapliwie, spoglądając to na Sally, to na Tomka.

- Tommy, on naprawdę dziwnie się zachowuje - zauważyła Sally.

- Wciąż węszy, jakby natrafił na znajomy trop! Och, Tommy, trudno mi w to uwierzyć, czyżby jednak...

Tomek natychmiast odgadł, co jego żona miała na myśli. Pobladł z wrażenia. Dingo tymczasem, wciąż węsząc, zerkał na Tomka i coraz szybciej podążał wprost do hotelu. Tuż przed otwartymi na oścież drzwiami warknął i machnął ogonem.

- Mogę się założyć o sto butelek jamajki, że ojciec przyjechał!

- zawołała rozpromieniona Sally, mimo woli naśladowując sposób mówienia kapitana Nowickiego.

Serce żywiej uderzyło w piersi Tomka. Bez jednego słowa wbiegł do hollu. Zarządzający hotelem usłużnie poderwał się na jego widok i oznajmił:

- Ma pan gości, senor Wilmowski! Nareszcie przybył oczekiwany señora ojciec! Jest z nim jeszcze jeden senor. Na szczęście miałem i dla niego pokój.

- To naprawdę wspaniała wiadomość! - odparł wzruszony Tomek.

- Czy ojciec długo już na nas czeka?

- Obydwaj goście przybyli wkrótce po obiedzie - wyjaśnił zarządzający. - Obecnie są w swoich pokojach.

- Ha, kochany Dingo nie zapomniał ojca! - triumfowała Sally. Spuściła psa ze smyczy i poleciała: - Dingo, szukaj pana, szukaj!

Pies wbiegł na schody, Wilmowscy i Karscy szybko podążyli za nim. W korytarzu na piętrze Dingo bez wahania stanął przed drzwiami obok pokoju młodych Wilmowskich. Węsząc machał ogonem. Sally delikatnie zapukała do drzwi. Po chwili na progu ukazał się wysoki, barczysty mężczyzna o zbrązowiałej od tropikalnego słońca cerze. Błyskawicznym spojrzeniem ogarnął stojącą przed nim czwórkę młodych ludzi, widząc, że wszyscy są cali i zdrowi, natychmiast się uspokoił i rzekł:

- Wchodźcie, wchodźcie, moje dzieci! Stęskniłem się za wami! Najpierw wziął w ramiona Sally, która ufnie przytuliła się do niego.

- Taka jestem szczęśliwa, ojcze, że już jesteś z nami... Tak bardzo brakowało nam ciebie... - szepnęła.

- Wyruszyłem z Hamburga w tydzień po otrzymaniu listu Tadka Nowickiego - powiedział Wilmowski. - Zrozumiałem, że znajdujecie się w niebezpiecznej sytuacji, chciałem się jak najprędzej z wami połączyć, ale w podróży wynikły trudności. Dzięki wydatnej pomocy pana Nixona już jesteśmy razem. Przybył ze mną pan Wilson, współpracownik pana Nixona.

Wilmowski następnie nie mniej serdecznie przywitał się z Nataszą, która w Jakucji uratowała mu życie, potem uściskał Zbyszka, a na końcu przygarnął do piersi syna.

- Zmężniałeś, Tomku! - rzekł po dłuższej chwili. - Wiem już, jak bardzo niebezpieczną wyprawę prowadziłeś! Bardzo niepokoiłem się o was wszystkich. Panowie Nixon i Wilson tak wychwalali ciebie i Tadka Nowickiego! Dumny jestem z ciebie!

Wzruszony Tomek milcząc długo ściskał ojca, dopiero gdy się opanował, powiedział stłumionym głosem:

- Ciężka to była wyprawa, ojcze... Nie obyło się bez walki. Niestety, nie dało się tego uniknąć. Odnaleźliśmy pana Smugę, ale nie mogliśmy go uwolnić. To pan Smuga ocalił nas, teraz z Tadkiem pozostają w niewoli u Kampów...

- Wujku, Tomek był wspaniały! - z entuzjazmem wtrącił Zbyszek. - Gdyby nie on, przepadlibyśmy na bezdrożach Andów!

- Daj spokój, Zbyszku! - zaoponował Tomek. - Wszyscy uczestnicy wyprawy byli wspaniali! Ty, Natka, Sally, nasi indiańscy sojusznicy, wszyscy, Dingo również! Kochany ojcze, powiedz, jaką miałeś podróż?

- Do Manaos dotarłem bez większych trudności. Kłopoty wyłoniły się dopiero w

Iquitos. Zanim jednak o tym pomówimy, proponuję poprosić do nas pana Wilsona, który postanowił wziąć udział w wyprawie. Teraz odpoczywa w swoim pokoju, pójdę po niego.

Wilmowski wyszedł na korytarz, wkrótce powrócił z niezbyt wysokim, lecz dobrze zbudowanym mężczyzną, który najpierw podszedł do Tomka.

- Cóż za radość powitać pana! - zawołał. - Nie było dnia, żebym o panu nie myślał! Dręczyły mnie wyrzuty sumienia. Wstydzilem się, że najpierw pozwoliłem Smudze samemu dalej ścigać morderców, a potem nie wziąłem udziału w organizowanej przez pana wyprawie ratunkowej. Teraz chcę się zrehabilitować, oddaję się pod pańskie rozkazy i może pan na mnie liczyć.

Wilson mocno ścisnął dłoń Tomka, lewą ręką, zwyczajem południowoamerykańskim, poklepywał go po łopacie. Potem wylewnie przywitał się z kobietami i Zbyszkiem; gdy wszyscy usiedli, zwrócił się do Wilmowskiego:

- Zapewne jeszcze nie zdążył pan poinformować syna o sytuacji?

- Wprawdzie Tomek pytał mnie, jaką miałem podróż, ale uważałem, że powinniśmy pomówić o tym w pana obecności - odparł Wilmowski. - Po przybyciu do Manaos odbyłem długą rozmowę z panem Nixonem. Dałem mu do przeczytania list otrzymany od Tadka. Pan Nixon uważał, że skoro potrzebowaliście pieniędzy, to przede wszystkim powinniście byli zwrócić się do niego. Muszę jeszcze nadmienić, że zaraz po otrzymaniu listu od Tadka powiadomiłem telegraficznie pana Nixona o moim zamierzonym przyjeździe do Manaos. Dzięki temu pan Nixon nawiązał kontakt z bankiem w Iquitos, a potem wyruszył ze mną i panem Wilsonem. No i właśnie w Iquitos usłyszeliśmy zatrważające wieści...

- Zapewne dowiedzieliście się o powstaniu Kampów nad górną Ukajali - wtrącił Tomek.

Wilmowski uważnie spojrział na syna, po czym zapytał:

- A więc już wiesz o powstaniu Kampów?

- Do tutejszych władz doszły nie sprawdzone jeszcze wiadomości o poważnych rozruchach w Montanii, ale nie mówi się o tym zbyt głośno - wyjaśnił Tomek. - Pan Smuga wiedział, że Kampowie przygotowują powstanie przeciwko białym. Ostrzegał nas... W jaki sposób dotarłeś, ojczu, z panem Wilsonem do Limy?

- Mieliśmy zamiar popłynąć statkiem rzeką Ukajali do Masisei, stamtąd zaś Pachiteą dotrzeć do miasta Cerro de Pasco [\[75\]](#), skąd już można drogą kolejową jechać przez Oroya do Limy.

- To właśnie skrzyżowanie szlaków wiodących z Limy do Iquitos oraz do terenów nad górną Ukajali - wyjaśnił Wilson. - W Iquitos jednak już wiadano o rebelii Indian nad górną Ukajali. Komunikacja została przerwana, toteż popłynęliśmy Maranonem do miasta Lagunas. Tam udało się nam wsiąść na mały statek, który Huallagą [\[76\]](#) miał płynąć do Tingo Maria.

- Trasę tę doradził nam pan Nixon, który z Iquitos musiał wrócić do Manaos - powiedział Wilmowski. - Podróż zajęła nam sporo czasu, ponieważ stary statek cały czas

płynął w górę rzeki, ale wreszcie dotarliśmy do Tingo Maria. Stamtąd na mułach jechaliśmy górkimi szlakami przez Huanco do Cerro de Pasco, skąd już jest linia kolejowa przez Oroya do Limy [77].

- Niech licho porwie taką linię kolejową, choroba górska [78] dała mi się nieźle we znaki! - narzekał Wilson.

- Nie posłuchał pan rady jadących z nami górników, którzy częstowali koką - powiedział Wilmowski. - Żując kokę nie odczuwałem zbyt wielkich dolegliwości.

- Dlatego też zapewne żucie koki rozpowszechniło się wśród Indian peruwiańskich - zauważył Tomek. - Z nas najgorzej w wysokich górach czuła się Natka.

- Sprawiałam wam wiele kłopotów - przyznała Natasza. - Mam nadzieję, że teraz spiszę się lepiej!

- Później zastanowimy się, co mamy zrobić z kochanymi kobietami - zaproponował Wilmowski. - Najpierw musimy omówić naszą sytuację i ustalić trasę wyprawy.

- Nie ma co odkładać na później sprawy kobiet! - zaproponowała Sally. - Jeśli idzie o mnie, idę z Tommym! Mara, żona Haboku, także za żadne skarby nie odstąpi swego męża. Natka, a co ty powiesz?

- Oczywiście, że idę z wami! Przecież wujek wie najlepiej, że nie jestem mazgajem, mam dobre oko i strzelam celnie! W górach mogę żuć kokę i jakoś to będzie!

- Teraz wujek widzi, jak to jest z naszymi żonami - wtrącił Zbyszek.

- Ani Tomek, ani ja jeszcze nie zdołaliśmy wyrwać się z epoki matriarchatu. Wygląda więc na to, że sprawa pań już została rozstrzygnięta.

Wilmowski uśmiechnął się. Natasza, tak jak Zbyszek, mówiła do niego "wujku", z czym godził się bez urazy, ponieważ cenił i lubił młodą, odważną rewolucjonistkę.

- Ostateczna decyzja w tej sprawie należy do Tomka - rzekł po chwili. - Jako dowódca wyprawy odpowiada za bezpieczeństwo nas wszystkich.

- Ależ, kochany ojcie! - zaproponował Tomek. - Nie ośmieliłbym się prowadzić wyprawy w twojej obecności! Ty jesteś dowódcą!

Wilmowski ogarnął syna ciepłym spojrzeniem, po czym powiedział:

- Nie bądź taki skromny, synu! Na śmiałości nigdy ci nie zbywało, począwszy od pierwszych łowów w Australii. A przecież wtedy miałeś zaledwie czternaście lat! Teraz jesteś już młodym, rozsądnym *mężczyzną* i doświadczonym podróżnikiem. Wszyscy możemy ci zaufać. Prowadziłeś wyprawę poszukiwawczą, najlepiej orientujesz się w sytuacji.

- Nie jestem pewny, czy naprawdę zasługuję na tak pochlebną opinię, ojcie - powiedział Tomek rumieniąc się z radości. - Teraz jednak bardzo cię proszę o poprowadzenie tej wyprawy. Po prostu boję się wziąć na siebie odpowiedzialność za tak duże przedsięwzięcie. To zbyt poważna sprawa, przecież chodzi o życie dwóch naszych

najlepszych przyjaciół! Tu trzeba wielkiej rozwagi, opanowania i doświadczenia, które ty właśnie posiadasz. Przecież z panem Smugą już polowałeś w Ameryce Południowej. Moja propozycja jest następująca: ty, ojciec, prowadzisz wyprawę, ja natomiast, jeśli pozwolisz, będę czuwał nad bezpieczeństwem wszystkich, tak jak to na naszych wyprawach robi pan Smuga.

- Skromność jest rzadką cechą u tak młodego mężczyzny - wtrącił Wilson. - Panie Wilmowski, może pan naprawdę być dumny ze swego syna.

- Jestem dumny, już to powiedziałem - potwierdził Wilmowski.

- Przyjmuję twoją propozycję, Tomku, chociaż i tak będziesz musiał wspierać mnie radą.

- Dziękuję, ojciec! Trasę omówimy po kolacji, na pewno pan Wilson i ty jesteście głodni. Teraz chciałbym tylko zapytać, czy udało ci się sprzedać jacht Tadka?

- Nie sprzedałem jachtu - odparł Wilmowski. - Nie mogłem zgodzić się na tak wielkoduszną ofiarę z jego strony. Przecież ten statek jest jego największą dumą i radością!

- W jaki więc sposób zdobyłeś pieniądze na wyprawę? - zdumiał się Tomek.

- Wypożyczyłem jacht na dwanaście miesięcy przyjacielowi pana Hagenbecka, który wybiera się na wycieczkę po Morzu Śródziemnym - wyjaśnił Wilmowski. - Ponadto pan Nixon wyłożył znaczną kwotę na pokrycie kosztów wyprawy. Nie chciałem przyjąć pieniędzy od pana Nixona, ale on traktuje Smugę jak swego współnika, który występuje w jego imieniu.

- Bo tak też jest naprawdę! - potwierdził Wilson. - To przecież pan Smuga postawił na nogi Kompanię Nixon-Rio Putumayo. Bez niego Nixon nie dałby rady zawistnym konkurentom.

- Tak, to prawda! Pan Nixon w ważnych sprawach całkowicie polegał na panu Smudze. W Manaos wszyscy się z nim liczyli - dodał Zbyszek.

- Jakże się cieszę, że poczciwy Tadek nie stracił swego ulubionego jachtu! - zawołała Sally. - To wspaniały człowiek, dla przyjaciół oddałby ostatnią koszulę!

- Kapitan i pan Smuga są niezwykłymi ludźmi - wtrąciła Natasza.

- Potrafią się z każdym dzielić ostatnim kawałkiem chleba. Zawsze wiedzą, komu należy pomóc i kiedy trzeba uderzyć. To wzory prawdziwych mężczyzn!

- Masz rację, Natka - powtórzył Tomek. - Pan Smuga jest dla mnie ideałem, zawsze się staram go naśladować. Kapitan zaś jest moim najlepszym przyjacielem. Dla mnie to także wielka radość, że udało się uniknąć sprzedaży jachtu.

- Moi drodzy, najważniejsze już wiemy, więc czas na kolację - zauważyła Natasza.

- Kobiety zawsze mają rację - powiedział Tomek. - Po kolacji zastanowimy się, jaką trasę należy obrać dla wyprawy.

Narada odbywała się w pokoju młodych Wilmowskich. Mężczyźni pochylali się nad mapami rozłożonymi na stole. Wilmowski właśnie uważnie studiował mapę naszkicowaną przez Tomka podczas poszukiwań zaginionego Smugi, porównywał ją z urzędową mapą Peru.

- Twój szkic Gran Pajonalu jest o wiele dokładniejszy od państwowego, na którym istnieje jeszcze wiele białych plam. Twoja mapa zawiera dużo nowych danych - pochwalił Wilmowski. - Cała trasa wyprawy dobrze zaznaczona. Posługując się tą mapą moglibyśmy pokusić się o odnalezienie miasta wolnych Kampów.

- Staralem się zaznaczać wszystkie punkty orientacyjne w terenie, tak jak mnie uczyłeś, ojciec - powiedział Tomek. - Gdyby to zagubione w głuszy Andów miasto było celem wyprawy, jestem niemal pewny, że udałoby mi się je odnaleźć. Z panem Smugą jednakże ustaliliśmy miejsce spotkania w okolicy Cobija na pograniczu brazylijsko-boliwijskim. Najkrótsza trasa wiodłaby z Oroya do rzeki Perene przechodzącej w Tambo, która dalej na wschodzie, łącząc się z Urubambą, tworzy Ukajali. Nieco powyżej połączenia tych dwóch rzek, na prawym brzegu Urubamby, leży La Huaira Pancha Vargasa, osławionego łowcy niewolników. Stamtąd rzekami dotarlibyśmy do Cobija. Niestety, po wybuchu powstania Kampów trasa ta nie wchodzi w rachubę.

- Tak, tędy nie przedostaniemy się do Cobija - przyznał Wilson.

- Kraj nad górną Ukajali w ogniu walk. Vargas jest znienawidzony przez większość plemion indiańskich, z La Huairy na pewno pozostały już tylko zgliszcza.

- Jak liczna będzie wyprawa? - zapytał Wilmowski.

- Mamy trzech wojowników z plemienia Cubeo, to jest Haboku i jego dwóch towarzyszy, Chińczyka Wu Menga, który podjął się kucharzowania, ty, ojciec, pan Wilson, Zbyszek i ja, a więc ośmiu mężczyzn oraz trzy kobiety, Natka Sally i Mara, żona Haboku - wyjaśnił Tomek.

- Kto to jest ten Chińczyk? - zaniepokoił się Wilmowski.

- Wujku, to oficer z powstania bokserów - wyjaśnił Zbyszek.

- W Peru przebywa nielegalnie. Chce się przedostać do krewnego w Manaos, hurtownika kakao, Ting Linga, z którym pan Nixon i ja przyjaźnimy się od dawna.

- Tak, tak, Ting Ling jest przyzwoitym człowiekiem - potwierdził Wilson.

- Żołnierz zawsze się przyda na wyprawie - rzekł Wilmowski. - Jeżeli jednak jest tutaj nielegalnie, to mogą być kłopoty...

- Jakoś to załatwię, wpiszę go na listę uczestników wyprawy - powiedział Tomek. - Przecież nasi Cubeowie również nie posiadają dokumentów. Mam już tutaj trochę znajomości.

- Jaką trasę proponujesz, Tomku? - zapytał Wilmowski.

- Najłatwiej i chyba najprędzej dotrzemy do Cobija przez Boliwię - odpowiedział Tomek. - Popłyniemy z portu Callao statkiem do Mollendo, a stamtąd koleją do La Paz, skąd rzeką Beni można dotrzeć do północnej granicy.

- Wydaje mi się, że tą drogą najprędzej dostaniemy się do Cobija - powiedział Wilmowski spoglądając na mapę.

- Ja również tak sędzę - powiedział Wilson. - Radziłbym jednak, zamiast do Mollendo, popłynąć nieco dalej na południe, do portu Arica, który ma strefę wolnocłową. Moglibyśmy tam zakupić po niższych cenach ekwipunek na wyprawę.

- Proponuje pan port Arica? Mollendo leży w Peru, Arica natomiast znajduje się już w Chile - zauważył Wilmowski.

- Dawniej był to port peruwiański. Do dzisiaj trwa o niego spór między Peru i Chile - powiedział Wilson. - Nie spodziewam się trudności ze strony władz chilijskich. Boliwijczycy, po utraceniu dostępu do morza na rzecz Chilijczyków, wyjednali sobie prawo do korzystania z Ariki oraz strefy wolnocłowej. Arica posiada bezpośrednie połączenie kolejowe z odległym o około pięćset kilometrów La Paz. Z Callao do Ariki płynie się około trzech dni, stamtąd do La Paz koleją pewno niecałe dwa, więc w przeciągu tygodnia możemy się *znaleźć* w Boliwii.

- W takim razie zdążymy dotrzeć w okolice Cobija przed ustalonym z panem Smugą terminem - ucieszył się Tomek.

- Jeżeli nie zaistnieją jakieś nie przewidziane przeszkody - zauważył Zbyszek.

- To zawsze musimy brać pod uwagę - odezwał się Wilmowski.

- Dlatego też nie możemy zwlekać z wyruszeniem w drogę. Skoro postanowiliście, że mam prowadzić wyprawę, to pozwólcie, że od razu rozdzielę funkcje.

- Bardzo słusznie, będziemy mogli zaraz przystąpić do działania - powiedział Wilson.

- A więc pan Wilson, jako najlepiej zorientowany w warunkach komunikacyjnych, zorganizuje przejazdy: Lima, Callao, Arica, La Paz. Tam rozpatrzmy się w sytuacji i zadecydujemy, w jaki sposób ruszymy dalej - zdecydował Wilmowski. - Zgadza się pana- Oczywiście, już powiedziałem, że oddaję się pod panów rozkazy - odparł Wilson.

- Zbyszku, masz doświadczenie jako intendent wypraw, więc będziesz naszym intendentem - mówił dalej Wilmowski. - Na twojej głowie zaopatrzenie w żywność i ekwipunek.

- Tak, wujku! Już nawet sporządziłem spis, co powinniśmy zabrać. Tutaj kupię tylko niezbędne dla nas *rzeczy* osobiste, resztę, w myśl rady pana Wilsona, nabędziemy w Arice.

- Natasza będzie naszą sanitariuszką - ciągnął Wilmowski. - Lekarstwa i środki opatrunkowe radzę kupić tutaj. Zresztą sama wiesz dobrze, w co się masz zaopatrzyć.

- Wiem, wujku! Ja również mam spis wszystkiego, co może być potrzebne.

- Sally, obejmiesz nadzór nad naszym kucharzem - zwrócił się Wilmowski do synowej.

- Wyżywienie członków wyprawy jest tak samo ważne jak zapewnienie bezpieczeństwa, z chińskimi kucharzami nigdy nic nie wiadomo!

- To prawda, tatusiu! Nie możemy eksperymentować na żołądkach naszych indiańskich przyjaciół.

- Tomku, dowodzisz zbrojną eskortą, wiesz dobrze, co do ciebie należy - rzekł Wilmowski. - Bierzesz pod komendę twoich trzech Indian, a w razie konieczności dysponujesz wszystkimi uczestnikami wyprawy. Pomyśl o wyposażeniu nas w broń. Czy możesz polegać na swoich Indianach?

- Cubeowie są doskonałymi tropicielami, odważni i opanowani. Jako lud żyjący nad rzekami są również mistrzami wioślarskimi - odpowiedział Tomek. - Najważniejsze jednak, że to nasi wierni przyjaciele. Trzech z nich poległo w walce z Kampanii, którzy urządzili na nas zasadzkę. Teraz jest ich tylko trzech: Haboku, Huruwa i Pedikwa. Huruwa i Pedikwa są nazwami rodów, z których oni pochodzą, ale tak zwraca się do nich Haboku. Mara, żona Haboku, na biwakach pomaga Sally i Natce, w drodze jednak zawsze idzie u boku męża niosąc jego broń. To dzielna młoda kobieta.

- Możemy być pewni tych Cubeów - zapewnił Wilson. - Oni wzięli udział w wyprawie tylko ze względu na pana Smugę, którego bardzo cenią i uważają za swego przyjaciela.

- To ma dla nas wielkie znaczenie - rzekł Wilmowski. - Wierni przyjaciele nie zawiodą w trudnych sytuacjach.

- Jeżeli Tadkowi i panu Smudze uda się szczęśliwie przedostać do Cobija, to pokonamy wszelkie trudności. Ośmiu dobrze uzbrojonych, zdecydowanych na wszystko mężczyzn stanowi już liczącą się siłę - powiedział Tomek. - Jedynek uczestnik wyprawy, o którym niewiele wiemy, to nasz kucharz, Wu Meng.

- Myślę, że nie sprawi zawodu - wtrącił Zbyszek. - Jako oficer w powstaniu bokserów pełnił zapewne ważniejszą rolę, skoro po upadku powstania musiał uciekać z Chin.

- To przemawia na jego korzyść - przytaknął Tomek. - Sprawił na nas dobre wrażenie, wygląda na odważnego i na pewno umie obchodzić się z bronią.

- Wierzę, że nasi panowie poradzą sobie nawet z największymi niespodziankami - zauważyła Sally. - Byliśmy już przecież nieraz w ciężkich opałach!

- Wystarczy przypomnieć uprowadzenie Zbyszka z zesłania syberyjskiego - dodała Natasza. - Późno już, a rankiem mamy przystąpić do działania.

- Przygotowałyśmy kawę, herbatę i butelkę jamajki, co panowie sobie życzą? - zapytała Sally.

- Wypijemy kawę i po kieliszku jamajki za pomyślność wyprawy - zaproponował Wilmowski.

Wilson wkrótce udał się do swego pokoju, lecz Wilmowscy i Karscy rozstali się dopiero o świcie.

W DRODZE DO BOLIWII

Przygotowania do wyruszenia z Limy trwały pięć dni. Wilmowski miał urzędowe pismo polecające od Hagenbecka, znanego w świecie łowcy i sprzedawcy egzotycznych dzikich zwierząt, toteż władze peruwiańskie i konsulat chilijski nie robiły trudności. Dzięki temu już szóstego dnia od przybycia Wilmowskiego z Wilsonem uczestnicy wyprawy wyruszyli koleją do odległego o dwadzieścia kilometrów portu.

Callao powstało równocześnie z Limą, lecz kataklizmy żywiołowe oraz działania wojenne sprawiły, że z miasta zbudowanego przez konkwistadorów pozostała tylko jedna stara dzielnica o wąskich, nieregularnych uliczkach wokół kościoła La Matriz. Odbudowane współczesne Callao było nowoczesnym głównym portem morskim Peru. W dogodnej Zatoce Callao, osłanianej od południowych wiatrów przez wyspę San Lorenz, stało na redzie kilkadziesiąt statków. Wśród nich znajdował się parowiec "Liberty", którym wyprawa miała popłynąć do Ariki. Statek wychodził w morze w godzinach popołudniowych, więc uczestnicy wyprawy prosto z dworca kolejowego udali się do portu. Tam obstąpili ich właściciele łódek, którzy przewozili pasażerów na statki. Wilson targował się dość długo z przewoźnikami, którzy żądali bardzo wysokich opłat, ale w końcu popłynęli w kilku łodziach. "Liberty" należała do flotyli angielskiej Kompanii Pacyfiku, która obsługiwała przybrzeżną żeglugę morską od Panamy do Cieśniny Magellana. Był to niewielki bocznokołowiec^[79], wyposażony w kajuty pierwszej klasy na pokładzie oraz pod pokładem klasy drugiej i ogólną jadalnię. Zaraz po wejściu na statek Wilson powyznaczał kajuty uczestnikom wyprawy, którzy potem pospieszyli na pokład.

Jeszcze przed zachodem słońca "Liberty" podniosła kotwice. Szerokim łukiem ominęła wyspę San Lorenz i popłynęła na południe w pewnej odległości od starego lądu.

Peruwiański pas przybrzeżny, zwany Costa^[80], był piaszczystą pustynią. W zapadliskach zasypanych białym piaskiem leżały jedne na drugich czarne bądź szare głązy. Im dalej od wybrzeża ku wschodowi, tym bardziej piętrzyły się bloki skalne i przekształcały w potężne pasma Andów, ciągnących się wzdłuż zachodnich wybrzeży kontynentu południowoamerykańskiego na przestrzeni około dziewięciu tysięcy kilometrów. W dali, ponad pasmami skalistych gór zasnutych lekką mgiełką, bielilo się kilka ośnieżonych, potężnych szczytów. Tylko gdzieniegdzie widać było kępy karłowatych krzewów i kaktusy. Jedynie w dolinach strumieni spływających z gór do oceanu zieleniły się małe oazy pól uprawnych i drzew akacjowych.

Z wyjątkiem Wu Menga wszyscy uczestnicy wyprawy przebywali na pokładzie. Indianie Cubeo byli bardzo podnieceni. Wprawdzie już widzieli parowce na Amazonce, ale po raz pierwszy sami znajdowali się na dużym statku morskim. Parowiec był dla nich najwspanialszym tworem białych ludzi. Wszystko ciekawiło ich i intrygowało, zasypywali pytaniami Wilsona i Zbyszka, którzy ich oprowadzali.

Wilmowski z synem, synową i Nataszą stali przy burcie na rufie statku. Wilmowski ciekawie spoglądał na krążącą po pokładzie grupkę Cubeów. Od razu można było zauważyć, że Haboku i jego dwaj towarzysze, ubrani w spodnie i luźne koszule, nie czuli

się swobodnie w takim stroju.

- Podróż parowcem wytrąciła z równowagi naszych Cubeów - odezwał się Tomek, widząc, że ojciec obserwuje Indian. - Zazwyczaj są bardzo opanowani i przed obcymi nie uzewnętrzniają swoich uczuć. Tylko ich nieco skośne, wąskie, ciemne oczy, na w pół przysłonięte ciężkimi powiekami, nieustannie wszystko obserwują. W tej chwili są bardzo podnieceni niezwykłą dla nich sytuacją, ale gdy tylko znajdą się w swoim środowisku, odzyskają równowagę ducha i znów staną się wspaniałymi wojownikami.

- Widzę, Tomku, że zaraziłeś się pasją etnograficzną od Smugi - powiedział Wilmowski.

- To prawda! - przyznał Tomek. - Gdy pierwszy raz ujrzałem Cubeów, od razu zaintrygowała mnie budowa ich twarzy. Haboku, na przykład, ma nos prosty, natomiast Huruwa i Pedikwa mają nieco haczykowate i płaskie jak Chińczycy. Wszyscy trzej zaś posiadają wydatne dolne wargi trochę wywinięte w dół.

- Nigdy bym nie przypuszczała, że na pustynnym wybrzeżu i skalistych wysepkach może się gnieździć tyle ptaków! - odezwała się Natasza, zerkając na towarzyszące statkowi ptaki.

- Właśnie myślałam o tym samym! - powiedziała Sally. - Ile tu mew! Spójrz, jak wspaniale szybują pelikany!

Kilkanaście dużych ptaków, uformowanych w sztyk klinowy, przefruwało w pobliżu statku. Wolno, jakby od niechcienia, poruszały wielkimi skrzydłami, położywszy łby na grzbietach, jak robią to czaple w locie.

- Peruwiańczycy i Chilijczycy wiele zawdzięczają ptakom - zauważył Wilmowski. - Ptaki są bezpłatnymi producentami guano, które przez prawie pół wieku stanowiło dla Peru główne źródło dochodu.

- Nigdy o tym nie słyszałam! - nie dowierzała Sally.

- Czy to naprawdę możliwe?! - pytała Natasza.

- Milionowe kolonie ptaków żywiących się rybami, a więc różne gatunki mew, kormorany, głuptaki^[81], pelikany, rybitwy i albatrosy, gnieźdzą się na skalistych wysepkach rozsianych wzdłuż wybrzeży Peru i Chile. Przez wiele wieków na wyspach, jak i w niektórych miejscach na stałym lądzie, gromadziły się pokłady ptasich odchodów. Dzięki zupełnemu brakowi deszczy na pomorzu peruwiańskim guano zawiera duży procent soli amoniakalnych, które nadają mu własności użyźniające glebę - wyjaśnił Wilmowski.

- Ciekawa jestem, kto odkrył użyźniające własności guano? - zapytała Natasza.

- Znane już były starożytnym Peruwiańczykom, jeszcze przed najazdem Hiszpanów - wyjaśnił Wilmowski. - Inkowie eksploatowali guano bardzo umiejętnie i rozsądnie. Każda prowincja miała wyznaczoną część którejś wyspy do czerpania nawozu. W pokładach guano na wyspach jeszcze teraz można czasem znaleźć narzędzia indiańskie.

- A więc to nie Hiszpanie rozpoczęli eksploatację tego nawozu?

- dziwiła się Natasza.

- Oni się guanem nie zainteresowali! - powiedział Wilmowski.

- Koszt dalekiego transportu morskiego był bardzo duży, a opływanie przylądka Horn niebezpieczne. Dopiero na początku dziewiętnastego wieku Humboldt zwrócił uwagę na guano i przesłał próbki do Francji. W trzydzieści lat później rozpoczęto jego eksploatację na wielką skalę.

- Stało się to nie lada gratką dla Peruwiańczyków, gdyż guano peruwiańskie było wyżej cenione od chilijskiego - wtrącił Tomek.

- Nie warto zazdrościć im tej "gratki"! - pogardliwie rzekła Sally.

- Cóż to za życie na tym pustynnym wybrzeżu!

- Posępna szarzyzna - przytaknęła Natasza. - Nie chciałabym tutaj mieszkać. Już bardziej odpowiadają mi wschodnie wybrzeża i wnętrza kontynentu porośnięte wspaniałą, bujną roślinnością!

- Czy to nie dziwne, że wschód Ameryki Południowej wprost kipi zielenią, a zachód pokrywają piaszczyste pustynie? - zwróciła się Sally do Tomka. - Może to sprawka tych niebotycznych Andów?!

- Przede wszystkim główną rolę w różnicowaniu klimatu wschodnich i zachodnich części kontynentu odgrywają prądy morskie omywające brzegi - wyjaśnił Tomek. - Wzdłuż wybrzeży wschodnich płynie ciepły Prąd Brazylijski. Dzięki niewielkiej wysokości Wyżyny Brazylijskiej i ogromnym nizinom, umożliwiającym swobodny przepływ wilgotnych mas powietrza znad Oceanu Atlantyckiego i ciepłego Prądu Brazylijskiego, aż do wschodnich stoków Andów, które jak słusznie się domyśliłaś, stanowią barierę klimatyczną, wschodnia i centralna część Ameryki Południowej obfituje w duże opady sprzyjające bujnemu krzewieniu się roślinności. Wzdłuż wybrzeży zachodnich natomiast płynie z południa na północ zimny Prąd Peruwiański oraz wieją tam z południa stałe suche, zimne wiatry nie sprzyjające powstawaniu opadów. W wyniku tego wybrzeża zachodnie, między piątym a trzydziestym stopniem szerokości geograficznej południowej, są suche i pustynne, wilgoć bowiem występuje tu w zimie i na wiosnę tylko w postaci gęstej rosy i mgły.

- Zawstydzileś mnie, Tommy! Powinnam to pamiętać z nauki w szkole - przyznała Sally.

- Tomek jest chodzącą encyklopedią, zawsze potrafi wszystko wyjaśnić. Zazdroszczę mu zasobu wiadomości o świecie i ludziach - dodała Natasza.

Wilmowski dyskretnie się uśmiechnął słuchając rozmowy, znał przecież słabość syna do popisywania się znajomością geografii i etnografii.

Pogawędkę przerwał Wu Meng, który dopiero teraz pokazał się na pokładzie. Ze skrzyżowanymi na piersiach rękami pochylił się i oznajmił:

- Czcigodni państwo, proszę do jadalni, zaraz podajemy kolację! Tomek zdziwiony

spoglądał na Chińczyka po raz pierwszy odzywającego się w języku angielskim.

- Miła niespodzianka, panie Wu Meng! - powiedział. - Nie wiedziałem, że pan zna angielski.

Wu Meng uśmiechnął się i odparł:

- Mój czcigodny ojciec jest handlowcem, polecił mi poznać języki, którymi mógłbym się porozumiewać z zamorskimi kupcami.

- Czy oprócz hiszpańskiego i angielskiego zna pan jeszcze inne języki?

- zagadnął Wilmowski.

- Podczas pobytu w Limie nauczyłem się keczua i ajmara. Mogę być tłumaczem, jeśli zajdzie potrzeba - odparł Wu Meng.

- Co pan robił, Wu Meng? Nie widziałem pana dotąd na pokładzie - zapytał Tomek.

- Kucharz okrętowy źle się czuje. W Limie wdał się w bójkę i został zraniony nożem. Kapitan zaproponował mi, żebym go zastąpił - odpowiedział Chińczyk. - Czas szybciej upływa podczas pracy.

- Zbyszek nie mylił się, sądząc, że Wu Meng musiał być w Chinach kimś ważniejszym - odezwał się Tomek, gdy Chińczyk odszedł.

- Łatwość uczenia się obcych języków świadczy o jego inteligencji.

- Inteligentny i oszczędny - dodała Natasza. - Ma opłacony przejazd, mimo to podjął się kucharzowania.

- Człowiek, który nie wstydzi się żadnej pracy, zasługuje na pełny szacunek - stwierdził Wilmowski. - Chińczycy są pracowitym narodem.

- Trudno odgadnąć, co on jeszcze chowa w zanadrzu - zastanawiał się Tomek. - Może czeka nas więcej niespodzianek?

- Jedną sprawi nam na pewno! Zaraz się przekonamy, jakim jest kucharzem - zażartowała Sally. - Chodźmy na kolację!

Następnego dnia przed południem statek zarzucił kotwicę w Pisco, głównym porcie między Callao i Mollendo. Kilku pasażerów przewieziono na brzeg. Po dwugodzinnym wyładunku skrzyń z towarami statek ruszył w drogę. Piaszczyste równiny wybrzeża, upstrzone wydmami i skalnymi blokami, nie budziły zainteresowania uczestników wyprawy. Jedynie chmary ptaków morskich urozmaicały posępny, pustynny krajobraz. Od czasu do czasu wyłaniały się z oceanu skaliste wysepki.

Wilmowscy i Karscy dopiero przed zachodem słońca wylegli na pokład, żeby po upalnym dniu odetchnąć rześkim powietrzem. Na zachodzie majaczyły właśnie kontury jakiejś wyspy. Zbyszek wydobyl z kieszeni lunetę i długo spoglądał w jej kierunku.

- Co cię tak zaciekawiło, Zbyszku? - zagadnęła zaintrygowana jego zachowaniem Sally.

- Ujrzałem wyspę i przypomniał mi się Robinson Cruoe, jego niezwykłymi przygodami zaczytywałem się w Warszawie - odparł Zbyszek.

- Mnie również pasjonowały przeżycia tego rozbitka - powiedziała Sally.

- Któż by nie znał tej świetnej książki! - entuzjasmowała się Natasza.

- Czytałam ją wiele razy, nawet na zesłaniu na Syberii. Jaka to pouczająca historia! Samotny rozbitek na bezludnej wyspie, jedynym jego narzędziem i bronią zarazem jest nóż marynarski. A mimo to dzięki odwadze, silnej woli, zaradności i pracowitości buduje własnymi rękami swoje gospodarstwo i nawet ocala Piętaszka przed ludożerczymi Karaibami z sąsiednich wysp.

- A ja słyszałem, że statek Robinsona zatonął na Pacyfiku, a nie na Morzu Karaibskim - zaproponował Zbyszek. - Pamiętasz, Tomku, nasze spory na ten temat?

- Jak mógłbym zapomnieć, skoro nawet poczubiliśmy się o to i zostaliśmy ukarani przez twoją matkę! - wesoło przytaknął Tomek.

- Dopiero znacznie później dowiedziałem się prawdy o Robinsonie.

- Od kogo się dowiedziałeś? - nie dowierzał Zbyszek.

- Tommy, nigdy mi o tym nawet nie wspomniałeś! - oburzyła się Sally.

- Jeżeli znasz prawdziwą historię Robinsona, to nam opowiedz - zaproponowała Natasza.

- Lepiej poproście o to mego ojca. Tatuś nawet zwiedził wyspę, na której przebywał pierwowzór powieściowego Robinsona.

- Wujku, czy to prawda, że tam byłeś?! - żywo zagadnął Zbyszek.

- Którą wyspę masz na myśli? Czy tę z powieści o Robinsonie Cruoe, czy też tę, na której samotnie przebywał szkocki marynarz Aleksander Selkirk?

- Teraz przypomniałem sobie, że tym prawdziwym rozbitkiem był Selkirk, to właśnie jego niezwykle przygody natchnęły Daniela Defoe do napisania "Robinsona Cruoe" - wtrąciła Natasza.

- Tylko w części masz rację - powiedział Wilmowski. - Pamiętniki Selkirka[82] i jego sprawozdanie z samotnego pobytu na bezludnej wyspie natchnęły Daniela Defoe do napisania przygodowej powieści o Robinsonie. Istnieją jednak pewne rozbieżności między prawdziwymi przeżyciami Selkirka i przygodami Robinsona w powieści.

- Ależ to szalenie ciekawe! Opowiedz nam, tatusiu! - poprosiła Sally.

- Przede wszystkim Selkirk nie był rozbitkiem. Należał do załogi okrętu "Cing Ports" z eskadry sławnego podróżnika i korsarza Williama Dampiera[83]. Jesienią tysiąc siedemset czwartego roku statek ten zarzucił kotwicę w zatoce wyspy Mas a Tierra w grupie Juan Fernandez. Obecnie zatoka ta zwie się Cumberland. Na wyspie znaleziono dwóch marynarzy przypadkowo pozostawionych przez statek handlowy. Po zabraniu ich

na pokład opowiedzieli, że podczas kilkumiesięcznego pobytu na bezludnej wyspie bez trudu żywili się owocami leśnymi oraz mlekiem i mięsem dzikich kóz.

Selkirk posprzeczał się o coś z kapitanem okrętu. Postanowił natychmiast porzucić służbę i samotnie pozostać na bezludnej wyspie. Opuścił statek zabierając parę książek, kilka naczyń, trochę tytoniu, nóż, siekierę, strzelbę i funt prochu. Skromne zapasy, zwłaszcza prochu, wkrótce się wyczerpały i Selkirk musiał polować w sposób opisany potem przez Defoe. Doszedł do niezwyklej wprawy, doganiał dzikie kozice i zabijał je nożem. Podczas czteroletniego samotnego pobytu na wyspie dwukrotnie widział przepływające w pobliżu okręty hiszpańskie, lecz nie wzywał pomocy, ponieważ Anglia i Hiszpania prowadziły wojnę. Obawiał się, że może spotkać go niewola lub śmierć. Dopiero po czterech latach do wyspy zawinął angielski okręt "Duke" i zabrał Selkirka z dobrowolnego zesłania.

- A więc to tak było! - zdumiała się Natasza.

- Właśnie tak! - przytaknął Tomek. - Nie powieściowe Karaiby, lecz wyspa Mas a Tierra na Pacyfiku, odległa o trzysta sześćdziesiąt pięć mil na zachód od Valparaiso w Chile. Nie rozbitek, tylko samowolne pozostanie na bezludnej wyspie. Nie było Piętaszka ani ludożerców karaibskich. Selkirk posiadał trochę koniecznych sprzętów i broń, podczas gdy powieściowy rozbitek miał tylko nóż. Wreszcie Selkirk nie miał psa.

- Wujku, czy wiesz także, co się potem stało z Selkirkiem? - interesował się Zbyszek.

- Gdy przywieziono go na statek, był całkowicie zarośnięty i okryty prymitywnie wyprawionymi kozimi skórąmi, mówił też z wielką trudnością. Nie był to jeszcze koniec jego awanturniczych przygód. Dzięki protekcji Dampiera, który dobrze go pamiętał, wkrótce został sternikiem na okręcie "Duke". Potem dowodził okrętem korsarskim "Increase" i napadał na posiadłości hiszpańskie. Zmarł w wieku czterdziestu siedmiu lat na okręcie "Weymouth" i został pochowany w morzu zgodnie z własnym życzeniem.

- Wujku, Tomek wspominał, że byłeś na Mas a Tierra, jak wygląda ta wyspa? - dopytywała się Natasza.

- Kilka lat temu ze Smugą łowiliśmy zwierzęta w Ameryce Południowej. Przy okazji udało nam się odwiedzić w Santiago potomków naszego sławnego Ignacego Domeyki[84]. Z prawdziwym wzruszeniem oglądałem jego gabinet. Wokół ścian szafy biblioteczne, zbiory geologiczne, biurko, przy którym pracował rano i wieczorem, na biurku fotografie dzieci, a na ścianie duży, owalny portret pięknej brunetki, pani Sotomayer, żony Domeyki, z którą przeżył dwadzieścia lat. Przy kominku fotel na biegunach, nad kominkiem duże lustro w masywnej ramie. W słotne dni państwo Domeykowie siadali przy tym kominku. Wizyta w ich domu była dla mnie prawdziwą uczcą duchową. Właśnie w tym gabinecie, budzącym wspomnienia i dziwne tęsknoty, Smuga zaproponował wycieczkę na Mas a Tierra.

Grupę Juan Fernandez tworzą trzy wyspy: Mas Afuera, Mas a Tierra i Santa Clara, zwana również Goat Island. Mas a Tierra jest największa. Ma kształt półksiężyca z rogami zwróconymi na południe. Wzniesienia na wschodniej stronie wyspy są strome, porwane,

pocięte wąwozami. Widzieliśmy kamienną tablicę z pamiątkowym napisem, którą oficerowie angielscy umieścili na wyspie w tysiąc osiemset sześćdziesiątym ósmym roku. Historia wysp Juan Fernandez tchnie awanturczą romantyką, gdyż w dawnych czasach były one matecznikiem piratów i korsarzy, którzy łupili hiszpańskie posiadłości.

Wilmowski nabił i zapalił fajkę.

- Nareszcie dowiedziałam się, jak to było naprawdę z tym Robinsonem Cruzoe, którego niezwykle przygody intrygowały mnie przez tak długi czas - odezwała się Natasza. - Dziękuję wujku, była to pasjonująca opowieść!

- Wszyscy dziękujemy, tatusiu - wtrąciła Sally. - Słuchając ciekawej opowieści nawet nie zauważyłam, że zrobiło się już tak późno.

- No, moje dzieci! Czas do łóżek - zakończył Wilmowski. - O świcie będziemy w Mollendo, a pojutrze lądujemy w Arice.

PRZEZ KORDYLIERY

Niebo zaróżowiło się na wschodzie nad szarymi zarysami skalistych Andów. Jako zwiastuny nastającego świtu rozległy się posepnie brzmiące krzyki ptaków morskich. Statek opływał właśnie małą fortecę zbudowaną na samotnej rafie przed wejściem do zatoki, w której było zakotwiczonych kilka parowców.

Tomek i Zbyszek wybiegli na pokład, przystanęli przy burcie.

- Co to za ponury krajobraz! - zawołał Zbyszek spoglądając ku wybrzeżu.

- Jesteśmy przecież w przedsiönku pustyni Atakama[85] oddzielającej Peru od Chile - zauważył Tomek.

Pustynna, piaszczysta równina nadmorska wdzierła się tutaj klinem pomiędzy nagie pasma górskie. Na północnej stronie zatoki o niskich brzegach biały piasek dochodził prawie do samych szczytów gór, na południowej natomiast wznosiła się pojedyncza wysoka skała poorana bruzdami i głębokimi jamami. Wśród gołych piasków i półksiężycowatych wydm jedynie wąska dolina rzeki Azapa, spływającej z gór do oceanu, tworzyła jakby oazę zieleni w monotonnym, pustynnym krajobrazie. Wśród pól uprawnych rosły tam drzewa akacjowe, palmowe i bananowce, które gdzie indziej w tej pustynnej strefie uchodziły za roślinność egzotyczną[86].

Statek z chrzęstem łańcuchów kotwicznych stanął w zatoce. Tomek i Zbyszek ciekawie spoglądali na kilkunastotysięczne miasteczko leżące na wybrzeżu. Była to Arica[87], najdalej na północ wysunięty port chilijski.

Wilson pojawił się na pokładzie, podszedł do Tomka rozmawiającego ze Zbyszkiem i zagadnął:

- No, jesteśmy w Arice! Za dwie godziny będziemy na lądzie. Chodźcie, panowie, na ostatnie na statku śniadanie. Pracowity dzień przed nami. Formalności urzędowe, zakupy, pakowanie, organizowanie transportu do Boliwii, pełne ręce roboty!

- Zastanawiam się, czy dobrze zrobiliśmy licząc na zrobienie zakupów w Arice - zafrasował się Zbyszek. - Niech pan spojrzy, jakie to miasto z tej zareklamowanej przez pana Ariki! Przecież to zaledwie portowa miejscina!

- Niech się pan tym nie kłopotczy! - uspokoił go Wilson. - Arica jest ważnym węzłem międzynarodowej i wewnętrznej komunikacji lądowej i morskiej. Choćby z tego względu musi być odpowiednio zaopatrzona. To najdłuższe i najwęższe państwo Ameryki Południowej jest solidnie zorganizowaną republiką, która szczyti się wczesnym kulturalnym i technicznym postępem. Chile pierwsze na tym kontynencie zniosło niewolnictwo, wprowadziło żeglugę parową, koleje żelazne i telegraf Morse'a[88]. Chilijczycy mają głowę na karku, więc i Arica nie sprawi nam zawodu.

- Jeśli chodzi o wczesny postęp, jak to pan powiedział, to zgadzam się z panem - przytaknął Tomek. - Należy jednakże pamiętać, że tak szybki pomyślny rozwój Chile zawdzięcza uczyonym cudzoziemcom, których zwabia tutaj wolność polityczna, religijna i

wielka gościnność. Dobrze zrozumiany własny interes skłaniał państwo chilijskie do popierania i wcielania w życie nowatorskich pomysłów uczonych angielskich, amerykańskich, francuskich i polskich, choćby tylko wspomnieć naszego Domeykę.

- Kto ma głowę na karku, dba o swoje interesy - stwierdził Wilson. - Nawet gdybyśmy nie wszystko dostali tutaj, to przecież będziemy mieli okazję uzupełnić zakupy w La Paz. Chodźmy na śniadanie, zapewne wszyscy są już w jadalni.

Był to istotnie niezwykle pracowity dzień dla uczestników wyprawy. Zaraz po zejściu na ląd musieli się uporać z celnikami. Wilmowski jednakże miał wielkie doświadczenie w pokonywaniu tego rodzaju trudności. Toteż uzyskał zezwolenie na dokonanie zakupów w strefie wolnocłowej pod warunkiem, że wszystko zostanie na miejscu odpowiednio zapakowane i odstawione bezpośrednio do pociągu wyruszającego do Boliwii. Zapasy żywności, a przede wszystkim: fasola, ryż, mąka kukurydziana, suszone mięso, suchary, kawa, herbata, cukier i sól były wkładane do blaszanych, lutowanych puszek. Uczestnicy wyprawy zaopatrzyli się w krótkie spodnie, flanelowe koszule, trzewiki skórzane i sztylpy oraz kapelusze z szerokim rondem. Zbyszek zakupił także różne rzeczy na zapłatę krajowcom za pomoc, usługi i do wymiany na żywność.

Zakupy i pakowanie trwały trzy dni. Wszyscy pracowali od świtu do nocy. Czwarty dzień przeznaczony był na odpoczynek i zaopatrzenie w broń i amunicję. Tego też dnia Wilson zarezerwował cały wagon! w pociągu odchodzącym nazajutrz o szóstej rano do La Paz.

Pierwsza klasa w pociągu podążającym do Boliwii prezentowała się dość skromnie. Po obydwu bokach trochę staroświeckiego wagonu, nie dzielonego systemem amerykańskim na przedziały, mieściły się dwa rzędy krytych ceratą siedzeń. Pomiedzy ławkami znajdowało się przejście. Część zarezerwowanego wagonu zajęły bagaże. Pracowicie spędzone dni dały się dobrze we znaki wszystkim uczestnikom wyprawy, ale mimo to jedynie Wilson i Wu Meng drzemali na siedząco. Indianie Cubeo pierwszy raz podróżowali takim pociągiem. Onieśmieleni skupili się przy oknie i cicho wymieniali uwagi. Wilmowscy i Karscy rozmawiali siedząc naprzeciwko siebie.

Tak mijała godzina za godziną. Pociąg wciąż piął się mozolnie pod górę po zboczu. Wagony kołysały się i podskakiwały na źle utrzymanych torach. Krajobraz mijanych okolic stopniowo ulegał zmianie. Gołe pustynne piaski i wydmy z wolna ustępowały miejsca płaszczyznom usianym dużymi głazami lub porośniętym karłowatymi krzewami. W miarę zbliżania się do pasm górskich widać było więcej pojedynczych drzew i rzadko rozsianych kaktusów. Wreszcie zaczęły się wyłaniać coraz wyższe wzgórza, urwiska skalne i jary.

Obydwaj Wilmowscy nie zwracali uwagi na widoki roztaczające się za oknami wagonu. Wolno pykali z fajek i rozważali sytuację.

- Trudno się dziwić Kampom, zwłaszcza nam, Polakom - mówił Wilmowski. - Któż z nas by nie chwycił za broń, gdyby tylko nadarzyła się możliwość odzyskania niepodległości naszej ojczyzny?

- Ja też wcale im się nie dziwię! - powiedział Tomek. - Przeraza mnie tylko, że powstanie wybuchło w tak złym dla nas czasie. Co się dzieje z Tadkiem i panem Smugą?! Czy jeszcze żyją?!

Wilmowski pyknął kilka razy z fajeczki, po czym rzekł:

- Sytuacja jest bardzo niebezpieczna, nawet groźna, ale Smuga to niezwykle człowiek. Z niejednego pieca jadł chleb. Pamiętasz łowy w Afryce?

- Pan Smuga znał mowę tam-tamów... - szepnął Tomek.

- Właśnie! - przytaknął Wilmowski. - Załedwie wspomniał wtedy, w jakich okolicznościach ją poznał. Podczas wyprawy do Azji także trop w trop za nim szły różne dziwne wydarzenia.

- Pamiętam, jak bardzo nas one niepokoiły! - przyznał Tomek.

- Zanim mogłem zabrać ciebie z Warszawy, byłem ze Smugą na łowach w Ameryce Południowej - dalej mówił Wilmowski. - Nic go tutaj nie dziwiło ani zaskakiwało, a przecież nie jest to spokojny i dokładnie zbadany kontynent. Prawie wszystkie plemiona indiańskie są wojownicze, a niektóre nawet zaczepne, jak na przykład Tobowie[89] w Gran Chaco[90], którzy do dzisiaj wojują z białymi. Tak się złożyło, że odbywaliśmy łowy załedwie w kilkanaście lat po ich najkrwawszym powstaniu. Czy wiesz, jakie wtedy odniosłem wrażenie? Otóż wydało mi się, że Smuga znał Taikolika, ich najważniejszego przywódcę.

- To rzeczywiście daje wiele do myślenia - powiedział Tomek.

- Nasz Smuga jest nieco tajemniczym człowiekiem. Nie zwykł mówić o sobie. Niewiele wiemy o jego przeszłości. On przerasta nas wszystkich o głowę. Jestem jakoś dziwnie przeświadczony, że i tym razem wydobędzie się z matni i wyprowadzi z niej Tadka.

- Prawdę mówiąc, ja także mam taką nadzieję - wyznał Tomek.

- Przecież to my chcieliśmy ratować pana Smugę, a tymczasem on właśnie ocalił Sally i Natkę, a potem umożliwił nam ucieczkę.

- A więc głowa do góry, synu!

- Zawsze powtarzam, że pan Smuga i Tadek nie dadzą sobie dmuchać w kaszę! - wtrąciła Sally. - Już mnie znużyło zucie koki, a w głowie wciąż zamęt. Chętnie bym się przespała, ale nie mogę zasnąć... Dingo też jakiś osowiały.

Dopiero teraz obydwaj Wilmowscy uzmysłowili sobie, że ich współtowarzysze już od dłuższego czasu nie biorą udziału w rozmowie. Tomek zerknął na żonę i Karskich, a potem spojrział w okno wagonu.

Wokół rozpościerały się półpustynne, faliste, rudawe stepy. Rudawy odcień nadawały im charakterystyczne kępy wysokiej, szczeciniastej trawy, przeplatane tu i tam krótką zieloną murawą. Monotonny widok falistych, rudawych przestrzeni urozmaicały tylko pojedynczo rosące kaktusy oraz samotnie sterczące kamienne iglice i odosobnione bloki

skalne podobne do obronnych zamczysk. Nablękitnym tle nieba, na krańcach rozległej panoramy, rysowały się kontury dalekich gór

I niczym białe obłoczki, ośnieżone szczyty. Bezkresna kraina tworzyła posepny, przygnębiający, a zarazem dziki i groźny widok.

- Ależ się zagadaliśmy, tatusiu! - zawołał zdumiony Tomek. - Przecież to już Puna Boliwijska! Nic dziwnego, że rozboleła mnie głowa i odczuwam duszności, znajdujemy się już około czterech tysięcy metrów nad poziomem morza. Zaintrygowany rozmową, nie zwróciłem uwagi na dolegliwości! Natka, jak się czujesz?!

- Trochę mnie mdli i kręci mi się w głowie - odpowiedziała Natasza.

- Nie kłopotz się o mnie. Zbyszek dał mi kokę. Język mi skołowaciał, więc tylko przysłuchiwałam się rozmowie o panu Smudze.

- Wszyscy postąpiliśmy w myśl rady wujka - odezwał się Zbyszek.

- Cubeowie i pan Wilson z zapalem żują kokę, ja mam wargi spierzchnięte, język drętwy i serce żywiej kołacze, ale czuję się nieźle.

- Za to ja zapomniałem o własnej dobrej radzie - rozweselił się Wilmowski. - Tomku, zabierzmy się do koki. Skoro to już Altiplano, to zapewne znajdujemy się na granicy chilijsko-boliwijskiej.

- Skąd taki wniosek, wujku? - zainteresował się Zbyszek.

- Kordylera Zachodnia, obramowująca od zachodu Altiplano, stanowi jednocześnie granicę między Chile i Boliwią - wyjaśnił Wilmowski.

- Nic z tego nie rozumiem - wtrąciła Natasza. - Przed chwilą Tomek powiedział, że jesteśmy w Punie Boliwijskiej, a teraz wujek mówi, że to jakieś Altiplano. Więc gdzie właściwie jesteśmy?

- A czy wiesz, co to jest puna? - przekornie zapytał Wilmowski.

- Nie jestem pewna, ale to chyba jakiś obszar górski?

- Puną nazywa się strefę wyżyn śródandyjskich, które zalegają część Peru, Boliwii, Chile i Argentyny. Pomiędzy głównymi łańcuchami Andów Boliwijskich, a więc Kordylera Zachodnią, Środkową i Wschodnią, leży część boliwijskich wyżyn śródandyjskich, nazywanych ogólnie puną, a w Boliwii Altiplano lub Puną Boliwijską. Warto wiedzieć, że Andy, obejmujące południowo-zachodnią część Boliwii, osiągają tutaj największą szerokość, od siedmiuset do ośmiuset kilometrów.

- Dziękuję, wujku! No, teraz rozumiem, że Altiplano i Puna Boliwijska *znaczą* to samo.

Wkrótce zapadł wieczór. Zanim uczestnicy wyprawy zdążyli ułożyć się do snu, pociąg zatrzymał się na pierwszej przygranicznej stacji w Boliwii. Tomek otworzył okno. Zaczął się rozglądać. W ciemności jednak trudno było coś zobaczyć. Z pustawego peronu dochodziły tylko poszczególne słowa rozmów w języku keczuańskim.

- Zapewne kontrola graniczna - oznajmił Tomek. - Chyba tu postoiemy dłużej.
- Tommy, zamknij okno! - poprosiła Sally. - Cóż za lodowate powietrze!
- W dzień było ciepło, ale teraz niemal mróz - zawtórowała Natasza.
- Trzeba włożyć wełniane swetry!

Za przykładem Nataszy wszyscy zaczęli wyciągać z plecaków ciepłe odzienie. Wkrótce do wagonu wkroczył celnik w asyście oficera i dwóch uzbrojonych żołnierzy.

- Dobry wieczór! - po hiszpańsku uprzejmie powitał oficer, obrzucając błyskawicznym spojrzeniem podróżnych, których stać było na wynajęcie dla siebie całego wagonu. Od razu też zauważył pasy z rewolwerami na biodrach Tomka i Zbyszka oraz karabiny leżące na ławce obok opatulonych w kuźmy Indian Cubeo. Wymienił z celnikiem porozumiewawcze spojrzenie.

Nie uszło to uwagi Wilmowskiego, uśmiechnął się i równie uprzejmie powitał przybyłych:

- Dobry wieczór! Miło nam ujrzeć pierwszych przedstawicieli władz boliwijskich. Jesteśmy uczestnikami angielskiej wyprawy badawczo-naukowej. Proszę, oto dokumenty urzędowe sporządzone w języku angielskim i hiszpańskim.

Oficer wziął dokumenty, po czym z celnikiem odeszli na bok i zaczęli je przeglądać. Rozmawiali po cichu. Narada trwała kilka minut, po czym oficer zbliżył się do Wilmowskiego i rzekł:

- Bardzo dziękuję! Papiery w porządku. Dokąd macie państwo zamiar się udać?
- Z La Paz wyruszamy ku granicy brazylijskiej - wymijająco odrzekł Wilmowski.
- Może celem wyprawy jest Mato Grosso?

Zanim Wilmowski *zdążył* odpowiedzieć, Tomek się odezwał:

- Podziwiam pana domyślność! Właśnie zdążamy do Mato Grosso. To jeszcze dzika i mało znana kraina.

- Bardzo dobrze! - powiedział oficer.

- Zimno tutaj po zachodzie słońca - wtrącił Wilmowski. - Przed chwilą ubraliśmy się ciepłej i skosztowaliśmy rumu na rozgrzewkę. Panom zapewne także daje się we znaki ten chłód. Zbyszku, pomyśl o naszych gościach! Ten młody mężczyzna jest intendentem wyprawy - wyjaśnił.

Podczas gdy Zbyszek częstował żołnierzy i celnika, oficer pochylił się ku Wilmowskiemu - To pan jest dowódcą wyprawy? - zapytał ściszym głosem.

- Tak - potwierdził Wilmowski.

- Niech pan posłucha dobrej rady! Zaraz po przybyciu do La Paz należy zgłosić wyprawę do odpowiednich władz. Obcy uzbrojeni mężczyźni... Mogą być poważne kłopoty, zwłaszcza teraz!

- Kłopoty?! - zdumiał się Wilmowski. - Nie rozumiem...

- Zrozumiesz wszystko, senior! - przerwał mu oficer. - Zdrowie państwa! - wychylił pół szklanki rumu, zapalił papierosa i zawołał:

- Pomyślności!

Żołnierze razem z celnikiem wyszli na peron. Pociąg wkrótce ruszył w drogę. Sally i Natasza zaczęły przygotowywać posłania. Dopiero gdy Cubeowie i Wu Meng pokładli się na ławkach. Wilmowski przywołał Tomka, Zbyszka i Wilsona.

- Czy to narada, ojcze? - zagadnął Tomek. - Zauważyłem, że ten oficer rozmawiał z tobą po cichu.

- Właśnie chcę was o tym poinformować - powiedział Wilmowski.

- Otóż radził mi zgłosić się do odpowiednich władz natychmiast po przybyciu do La Paz. Oto jego słowa: "Obcy uzbrojeni mężczyźni, mogą być poważne kłopoty, zwłaszcza teraz!"

- Jakie kłopoty i dlaczego teraz?! - zdziwił się Tomek.

- O to też zapytałem - dodał Wilmowski. - A on odparł: "Zrozumiesz wszystko, senior."

- Co by to mogło znaczyć? - zastanawiał się Wilson.

- Może chodziło mu o Mato Grosso? - wtrącił Zbyszek. - Tomku, dlaczego powiedziałaś, że idziemy do Mato Grosso?

- Uważani, że nie powinniśmy rozpowiadać wszystkim o rzeczywistym celu wyprawy. Każda zbrojna ekspedycja zawsze budzi nieufność i podejrzenia, szczególnie w tak bardzo indiańskim kraju [\[91\]](#) jak Boliwia.

-Tylko mnie uprzedziłeś, Tomku. Odpowiedziałbym tak samo jak ty - pochwalił Wilmowski. - W La Paz sprawa się wyjaśni. Spróbujmy się trochę przespać.

Nazajutrz krajobraz nie uległ zmianie. Czasem tylko ukazywały się nędzne wioszczyny indiańskie. Chaty, kryte trawą bądź przypominające kopułki kościelne, zbudowane były z kamienia i gliny, jedynych dostępnych budulców w tym bezleśnym regionie. Wokół wioszczyn leżały ubogie poletka kartofli, owsa i cebuli. Na zboczach pagórków wypasały się stada lam i owiec. Lamy były podstawą egzystencji mieszkańców puny, dostarczały mleka, sera, tłuszczu, mięsa i wełny, służyły jako zwierzęta juczne. Toteż od czasu do czasu na rozległych bezdrożach ukazywały się karawany objuczonych lam, prowadzone przez barwnie ubranych i przygrywających sobie na fujarkach poganiaczy. Tu i tam na jasnym tle nieba pojawiały się, niby symbole jałowej krainy, sępy i kondory.

Tomek, jakby zafascynowany monotonią krajobrazu, głęboko zamyślony spoglądał w okno wagonu.

- Tommy, czy nie nasyciłeś się jeszcze widokiem pustkowi? - zagadnęła Sally. - Sprawiasz wrażenie, jakbyś myślami był zupełnie gdzie indziej.

Tomek drgnął jak człowiek nagle przebudzony ze snu, odwrócił się do żony i odparł:

- Nie mylisz się, Sally! Wędrowałem właśnie po Azji Środkowej...

- Po Azji?! - zdziwiła się Sally. - Dlaczego akurat teraz?

- Przypadkowe skojarzenie. Puna charakterem swym, a zwłaszcza kontynentalizmem i roślinnością, przypomina Wyżynę Tybetańską, w której omal nie przepadliśmy z panem Smugą.

- To podczas tamtej wyprawy lamowie tybetańscy cię uprowadzili! Opowiadałeś mi tę niezwykłą przygodę. Nigdy jednak nie byłam w Tybecie. Czy tam również są takie olbrzymie górzyska i pustynie?

- Jeszcze jakie! Średnia wysokość Wyżyny Tybetańskiej sięga około czterech tysięcy pięciuset metrów, ale w wielu pasmach górskich znacznie przekracza sześć tysięcy. Zachodni Tybet zalegają rumowiska skalne, płaszczyzny pokrywa lita skała, a wklęsłości wypełniają słone pustynie piaszczyste lub kamieniste. Tak jak w Punie Boliwijskiej, w licznych zagłębieniach Wyżyny Tybetańskiej wytworzyły się jeziora.

- Bardzo trafne porównanie! - pochwalił Wilmowski. - Boliwia pod względem ukształtowania powierzchni dzieli się na dwa regiony: zachodni, który stanowią ubogie w florę i faunę Andy, oraz wschodni, obejmujący wielkie, trawiaste równiny, zwane liano. Wschodnia część Wyżyny Tybetańskiej również posiada bujniejszą roślinność.

- Aż trudno uwierzyć, że na tak znacznych wysokościach mogą się znajdować wielkie jeziora! - wtrąciła Natasza.

- A jednak się znajdują! - zauważył Zbyszek. - Pamiętam ze szkoły, że Titicaca[\[92\]](#) jest największym jeziorem na kontynencie południowoamerykańskim i zarazem najwyżej położonym żeglownym jeziorem świata.

- Widać, że pilnie uczyłeś się geografii - zauważył Tomek.

- Szczególnie po twoim wyjeździe z Warszawy zakiełkowała we mnie chęć poznania świata.

- Titicaca jest świętym jeziorem Indian andyjskich - powiedział Wilmowski. - Wiąże się z nim wiele legend i podań. Z Wyspy Słońca na jeziorze miał wypłynąć Manko Kapak z żoną Mamą Oklio, żeby utworzyć wielkie imperium Inków. Założyli miasto Cuzco[\[93\]](#), które stało się stolicą państwa. Ten pierwszy Inka, uważany za syna Słońca, miał według legendy nauczyć ludzi uprawy ziemi, różnych rzemiosł i kopalnictwa.

- Od dawna marzę o zwiedzeniu Cuzco - zawołała Sally. - Tommy, musisz mi obiecać, że gdy kiedyś czas pozwoli, to wybierzemy się do Peru. Chciałabym zobaczyć to, o czym się uczę z podręczników.

- Świetny pomysł! - przytaknął Wilmowski. - W tym prastarym kraju jest jeszcze wiele niespodzianek! Wciąż odnajduje się w górach i dżunglach ruiny starożytnych miast, świątyń, fragmenty dróg wykładanych kamieniem. Dawne imperium Inków to nie tylko Peru, obejmowało też Ekwador, Boliwię, Chile i północno-zachodnią Argentynę. Niejedno

jeszcze odkrycie zadziwi tutaj archeologów[94]. Słuchaj, Sally, jeżeli kiedyś będziecie chcieli wyruszyć na poszukiwanie prastarych zabytków, chętnie się do was przyłączę.

- Trzymam cię za słowo, tatusiu! Może uda się nam dokonać jakiegoś niezwykłego odkrycia.

Wkrótce po świcie pociąg zatrzymał się w małym osiedlu. Uczestnicy wyprawy skupili się przy oknach wagonu. Choroba wysokościowa niemal wszystkim dawała się we znaki. Po bezsennej nocy byli osłabieni zawrotami głowy, ustawicznym szumem. Przez otwarte okna wtargnęło do wagonu chłodne, rześkie, odurzające powietrze.

Mały budynek dworcowy i wiata kryta blachą falistą tworzyły stację. W pobliżu widać było kilkanaście chat krytych strzechami, uprawne pole i małe stada lam. Wokół, jak okiem sięgnąć, rozpościerał się szarorudawy step, tu i tam upstrzony owalnymi pagórkami. Teraz jednak na dalekim horyzoncie piętrzyło się znacznie więcej niebotycznych, pokrytych wiecznym śniegiem szczytów górskich. Był to znak, że po przeszło trzydziestogodzinnej mozolnej jeździe pociąg już zbliża się do końcowej stacji.

Na peronie, mimo wczesnej pory, oczekiwała spora gromada śniadoliczych pasażerów z dużymi tobołami, w których zapewne wieźli na targ swoje produkty. Indianki i Metyski odziane były w szerokie, pasiaste spódnice, kolorowe koszule, szerokie wełniane spodnie podwiązane u dołu, krótkie kurteczki i kolorowe poncza, a na głowach pod kapeluszami, dla ochrony przed chłodem, nosiły chullo - małe wełniane czapeczki zdobione białymi guziczkami.

Podczas postoju pociągu na stacji panował ożywiony ruch. Niektórzy podróżni wyszli na peron, żeby przekąsić coś w rozstawionych kramikach, w których sprzedawano pierożki saltenas[95], kawałki pieczonego mięsa nadziane na patyki, gotowane korzenie manioku, owoce, chichę, listki koki i papierosy.

Tomek z Dingiem oraz wszyscy mężczyźni uczestniczący w wyprawie również wyszli na peron, aby po długim siedzeniu w wagonie rozprostować nogi i odetchnąć orzeźwiającym powietrzem. Cubeowie, Wilson i Zbyszek zjedli pieczone mięso, zapijając je chichą. Dingo także dostał kilka kawałków mięsa, Wilmowscy zaś i Wu Meng posilili się pierożkami, które również kupili dla kobiet.

Po kilkunastominutowym postoju pociąg ruszył w drogę.

OSTATNI POCIĄG Z LA PAZ

Jakoś niezbyt gościnnie wita nas ta najwyżej na świecie położona stolica[96] - zauważył Tomek wychylając się przez okno wagonu. - Spójrz, ojcze!

Wilmowski zaintrygowany przystanął obok syna. Pasażerowie właśnie wysiadali z pociągu, obarczeni tobołami z wolna podążali ku zaniedbanemu, małemu budynkowi dworca. Wielu przystawało przy głośno dyskutujących kolejarzach i tragarzach. Po peronie krążyły patrole uzbrojonych mężczyzn ubranych po cywilnemu.

- Chyba dzieje się tutaj coś niezwykłego - odezwał się Wilmowski. - Zanim wysiądziemy, trzeba zasięgnąć języka.

- Oficer na granicy radził zgłosić wyprawę odpowiednim władzom natychmiast po przybyciu do La Paz - przypomniał Tomek. - To chyba jakieś poważniejsze niepokoje, skoro już o nich wiedział.

- Niech nikt nie wychodzi na peron, zanim nie porozumiem się z żołnierzami pilnującymi dworca - zarządził Wilmowski.

Wilson, Tomek i Zbyszek z okna obserwowali Wilmowskiego podążającego ku żołnierzom.

- Nie widać ani jednego białego! - zafrasował się Zbyszek. - Z gadaniny na peronie nic nie można zrozumieć!

- Panie Wu Meng! Czy nie orientuje się pan, o czym oni tak dyskutują? - zwrócił się Wilson do Chińczyka, który także wychylał się przez otwarte okno.

- Mówią coś o rewolucji... - wyjaśnił Wu Meng.

- Do licha, tego nam jeszcze brakowało! - zawołał Zbyszek.

- Boliwia znana jest z zamieszek politycznych - rzekł Wilson. - Co najmniej raz w roku mają tu miejsce zbrojne zamachy stanu, powstania lub rewolucje[97].

- Nieszczęsny kraj! Nędza burzy umysły! - wtrącił Tomek. - Boliwia przecież, Ekwador, Paragwaj i Haiti są najbiedniejszymi państwami w Ameryce Łacińskiej.

- A jakże, ma pan rację! - przytaknął Wilson.

- Piękną trasę wybrali panowie - odezwała się Sally. - Nie chcieliśmy przedzierać się przez tereny ogarnięte buntem Kampów, więc w zamian mamy rewolucję w Boliwii!

- Sally, jak możesz tak mówić! - oburzyła się Natasza.

- To tylko wisielczy żart - odparła Sally. - Przecież nikt nie mógł przewidzieć, że dostaniemy się z deszczu pod rynnę!

- Uspokójcie się obydwie! - zgromił je Zbyszek. - Wujek wraca w asyście żołnierzy.

Po chwili do wagonu wszedł Wilmowski z oficerem i trzema żołnierzami uzbrojonymi w karabiny. Wojskowi na widok broni w wagonie obrzucili uczestników wyprawy

nieufnymi spojrzzeniami.

- Złe wieści, moi drodzy! - odezwał się po angielsku Wilmowski. -W północnych departamentach Boliwii rebelia. Podobno rewolucjoniści chcą iść na La Paz. W mieście stan wyjątkowy i godzina policyjna. Wojna domowa wisi na włosku! Pamiętajcie, dokąd podążamy! - dodał znacząco.

- Senor, nic nie rozumiem! - oburzył się oficer. - Mów po hiszpańsku albo lepiej używaj ajmara lub keczua! Powiedziałaś, że chcesz się porozumieć z władzami. No dobrze, żołnierze doprowadzą cię na plac Murillo do Palacio Quemada. Tam urzędują ministrowie, może uda ci się mówić z którymś z nich. Ale musisz iść bez broni!

- Dobrze, ale co mają robić moi towarzysze? Musimy opuścić pociąg i wyładować bagaże. Czy jest tu w pobliżu jakiś hotel?

- Wszyscy zostaną w wagonie aż do twego powrotu, señor! - kategorycznie oświadczył oficer.

- A jeśli pociąg tymczasem odjedzie? Oficer wzruszył ramionami i odparł:

- Tym się nie kłopotz, señor! Żaden pociąg już stąd nie wyruszy ani tu nie przyjedzie. Wszelka komunikacja unieruchomiona w całym kraju. Każę odstawić ten wagon na boczny tor, a żołnierze będą pilnowali, żeby nikt nie wychodził na peron.

- Ależ, señor, przecież będę musiał wyprowadzić psa - oburzył się Tomek.

- Psa? No, tak! Zrobisz to po odstawieniu wagonu na boczny tor. Powiem żołnierzom. Idziemy, señor!

- Tomku, gdybym nie wrócił do wieczora, wyprawa na twojej głowie - po polsku powiedział Wilmowski. - Zrobisz, co będziesz uważał za stosowne. Zachowajcie ostrożność.

Zanim Tomek zdążył odpowiedzieć, Wu Meng podszedł do oficera i zaczął mówić w języku keczua. Oficer zadowolony kiwnął głową i zwrócił się do Wilmowskiego:

- Nie powiedziałaś, señor, że masz człowieka znającego keczua i ajmara. Zabierz go, będzie tłumaczem.

- Dziękuję, Wu Meng - rzekł Tomek. - Będziemy spokojniejsi o ciebie, ojcze!

Wilmowski i Chińczyk wyszli na peron. Oficer tymczasem pozostawił dwóch żołnierzy na straży przed wagonem, po czym poprowadził Wilmowskiego i Wu Menga ku dworcowi.

- Tommy, boję się o tatusia! - odezwała się Sally. - Na ulicach na pewno nie jest zbyt bezpiecznie!

-Uspokój się, Sally! Ojciec jest starym rewolucjonistą. W Warszawie dobrze dał się we znaki okupantom rosyjskim. Wyznaczyli nawet nagrodę za jego schwytanie. Da sobie radę i tutaj, tym bardziej że ma angielski paszport.

- Wu Meng zachował się na medal - przyznał Zbyszek. - Zaraz widać, że rewolucje go

nie przerażają!

Zaczął się pełne niepewności oczekiwanie na powrót Wilmowskiego. Pod nadzorem żołnierzy przetoczono wagon zajmowany przez wyprawę na boczny tor, a potem kolejarze opuścili stację. Przy wejściach do wagonu stanęła straż. Dworzec z wolna pustoszał. Zdezorientowani i wystraszeni podróżni porozchodzili się, zniknęli żebracy i natrętni tragarze węszący za zarobkiem. Grupka uzbrojonych cywilów z opaskami na rękawach patrolowała perony, wojsko zajęło budynek dworcowy.

Tomek dzielnie nie poddawał się słabości powodowanej chorobą górską. Zachęcał przyjaciół do wypoczynku koniecznego podczas kilkudniowej aklimatyzacji. W zastępstwie nieobecnego kucharza kobiety i Zbyszek zajęli się przygotowywaniem lekkiego posiłku, podczas gdy Tomek z Wilsonem uważnie śledzili wszystko, co się działo na stacji. Zerkając w okno studiowali mapę Boliwii.

- Jeżeli potwierdzi się, że rewolucja ogarnęła północne departamenty, to mamy odciętą drogę do Cobija - odezwał się Tomek. - Zamierzaliśmy przecież popłynąć rzeką Beni na północ ku granicy brazylijskiej...

- Teraz to nie wchodzi w rachubę. Indianie boliwijscy nienawidzą białych, więc podczas rewolucji są tym bardziej niebezpieczni - rzekł Wilson. - Wszystkie rzeki tutaj płyną z południa na północ. Gdybyśmy natomiast ruszyli na wschód ku Mato Grosso, musielibyśmy jechać konno. Ile czasu by to pochłonęło?! Pociągi nie kursują. Zostaliśmy uwięzieni w La Paz. Nie pozwalają nam wyjść z wagonu! Beznadziejna sytuacja. Nie ma rady, musimy czekać na rozwój wypadków.

- Nie możemy czekać! - zaproponował Tomek. - Czy pan zdaje sobie sprawę, co tutaj będzie się działo, gdy rozgorzeje wojna domowa?! Poza tym, co się stanie z panem Smugą i Nowickim, jeśli utkniemy w La Paz?!

Wilson zafrasowany pochylił się nad mapą. Po dłuższej chwili zagadnął:

- A gdyby tak wycofać się na południe i od wschodu obejść departamenty ogarnięte rewolucją?

Tomek spojrział na mapę. Na południowym wschodzie rzucał się w oczy napis Chaco Boreal. Była to północna część osławionego Gran Chaco[98], uchodzącego za Dzikie Zachód Ameryki Południowej.

Tomek się zadumał. Boliwia wyraźnie dzieliła się na dwa wielkie regiony. Część zachodnią zalegały Andy, których wschodnie stoki były porośnięte dziewiczymi lasami, część wschodnią natomiast tworzyły bezleśne równiny - llanosy, zwane także w różnych częściach od rzek przez nie płynących: Niziną Beni, Llanos Mamore, a na południu Llanos de Mojos. Liczne duże rzeki były jedynymi dostępnymi szlakami komunikacyjnymi z południa na północ rozległych sawann, na których w porze deszczowej powstawały wielkie rozlewiska wodne i bagniska. W czasach przedhiszpańskich llanosy były stosunkowo gęsto zaludnionym przez Indian obszarem rolniczym, lecz Hiszpanie zniszczyli kulturę indiańską. Mimo to kraina ta nie była całkowicie nieznaną. Obecnie jednak przebycie jej

było niemożliwe.

W kierunku południowym llanosy przechodziły w stepowe obszary Gran Chaco, prawie zupełnie wówczas jeszcze nie zbadane. [99] Była to tajemnicza kraina wolnych szczepów indiańskich. Burzliwa historia Gran Chaco nie była obca Tomkowi. Hiszpanie, jako pierwsi Europejczycy, próbowali wtargnąć do Chaco Południowego. Żeglując Paranaę na początku szesnastego wieku, chcieli wpłynąć na rzekę Beremejo, ale wojownicze szczepy indiańskie zmusiły ich do zawrócenia. Od tego czasu Chaco Południowe stało się areną walk obronnych Indian i karnych wypraw hiszpańskich. Później, w roku tysiąc osiemset siedemdziesiątym szóstym, karna ekspedycja hiszpańska wyruszyła do zniszczonej przez Indian osady San Bernardo. Dzięki nowoczesnej broni stoczyła zwycięską bitwę z obozami kacyków Siketrouike i Noigdike, ale z powodu trudności w przedzieraniu się przez lasy musiała zawrócić. Dopiero zbudowanie pasa obronnych forteczek zakończyło burzliwą historię Chaco Południowego.

Chaco Środkowe i Północne stanowiły jeszcze na mapie białą plamę. Legendarne opowieści mówiły o wojowniczych Gwaranach, którzy wędrując zza dalekiej rzeki Paragwaj przez bezdroża Gran Chaco zagrozili potężnemu państwu Inków i dotarli aż do obecnego Santa Cruz w Boliwii. Indianie Tobą wciąż jeszcze występowali przeciwko białym. A ile tam mogło znajdować się innych wrogich plemion?

- Nad czym pan tak się zamyślił? - zagadnął Wilson.

- Rozmyślałem właśnie o tym, co powiedział pan przed chwilą - wyjaśnił Tomek. - Przez Gran Chaco moglibyśmy przedostać się do rzeki Paragwaj, potem zaś statkiem popłynąć na północ wzdłuż wschodniej granicy boliwijskiej.

- Tak, to miałem na myśli - potwierdził Wilson. - Cóż jednak możemy zrobić, skoro koleje nie kursują?

- Prawdziwy węzeł gordyjski - rzekł Tomek ciężko wzdychając.

- Nie traćmy nadziei, może pan Wilmowski okaże się drugim Aleksandrem Wielkim? - zażartował Wilson.

- Nie pozostało nam nic innego, jak czekać na powrót ojca - zakończył Tomek, zabierając się do kanapek przygotowanych przez kobiety.

Minęło południe. Uczestnicy wyprawy z coraz większym niepokojem, a nawet obawą czekali na Wilmowskiego i Wu Menga. Na stację tymczasem zaczęło przybywać więcej wojska. Piechurzy ustawiali w kozły karabiny i obsiadali perony.

- Nic dobrego nie wróży ta koncentracja wojska na dworcu - odezwał się Zbyszek wyjrząwszy przez okno.

- Gdyby na ulicach dochodziło do starć, słyszelibyśmy strzały - zauważyła Natasza.

- Oby tylko ojciec powrócił szczęśliwie! Ciężka to dla nas próba cierpliwości - mruknęła Sally. - Już sama nie wiem, czy o mdłości przyprawia mnie choroba góraska czy zdenerwowanie.

- Bierzmy przykład z naszych Cubeów - powiedział Tomek. - Zachowują stoicki spokój!
- Nareszcie jest pan Wilmowski! - nagle zawołał Wilson.
- Dzięki Bogu! - z ulgą odetchnął Zbyszek.
- Tak, tak! Są obydwaj, ojciec i Wu Meng! - potwierdził Tomek.

- Przyszli z jakimś oficerem wyższym rangą... to chyba generał?! Wydaje rozkazy swojej świcie!

Po kilku minutach Wilmowski i Wu Meng weszli do wagonu. Wyglądali na zmęczonych, ale Wilmowski był spokojny, obrzucił wzrokiem podnieconych przyjaciół i oznajmił:

- Ruszamy na południe! Wagon zostanie doczepiony do pociągu wojskowego, który ma przewieźć żołnierzy wiernych rządowi do Sucre [100] w celu wzmocnienia garnizonu. Jest to jedyny i ostatni pociąg odchodzący z La Paz. Granice Boliwii zostały zamknięte, unieruchomiono biura korespondentów zagranicznych. Boliwia jest odcięta od świata.

- A więc mamy naszego Aleksandra Macedońskiego! - zawołał uradowany Wilson.

Wilmowski zdziwiony spojrzał na niego i zapytał:

- Kogo pan ma na myśli?

- Pan jest naszym Aleksandrem Macedońskim! Rozciął pan przecież węzeł gordyjski, do którego pan Tomek przyrównywał naszą skomplikowaną sytuację! - wyjaśnił Wilson.

Wilmowski roześmiał się i powiedział:

- Jest jednak między nami różnica: Aleksander Wielki dokonał tego mieczem, mnie natomiast wystarczyło wyjęcie w odpowiedniej chwili portfela. Zdam dokładną relację, ale najpierw dajcie nam coś zjeść, obydwaj jesteśmy zmęczeni i głodni.

Wilmowski i Wu Meng usiedli na ławkach naprzeciwko siebie i częstując się wzajemnie, jedli w milczeniu. Wilmowski zaledwie zaspokoił głód, zapalił fajkę, po czym się odezwał:

- Wiem, że niecierpliwie czekacie na wyjaśnienia. Otóż trudno było porozumieć się z kimkolwiek z władz. Ministrowie w panice. Z północy kraju nadchodzą sprzeczne wieści. Podobno rebelianci maszerują na La Paz, żeby obalić prezydenta i rząd. W mieście liczne aresztowania. Sklepy, kramy, restauracje i hotele nieczynne. Domy pozamykane na cztery spusty. Na ulicach demonstracje ludności, dochodzi do sporadycznych starć uzbrojonych bojówek z wojskiem. Atmosfera, jakby za chwilę miała wybuchnąć wojna domowa.

- To wygląda bardzo groźnie - rzekł Wilson. - Co jest przyczyną rebelii?

- W kraju, w którym większość mieszkańców żyje na skraju nędzy, niewiele trzeba do wybuchu protestu - odparł Wilmowski. - Tym razem niepokoje rozpoczęły się w pobliżu granicy boliwijsko-brazylijskiej i rozszerzają się na północne departamenty. O co jednak naprawdę chodzi i co się tam dzieje, nikt jeszcze nie wie. Można tylko snuć pewne

domysły. Nadgraniczne lasy obfitują w drzewa kauczukowe. Są więc tam obozy zbieraczy kauczuku, w których nagminnie stosuje się brutalną przemoc w stosunku do Indian zmuszanych do ciężkiej pracy. Grasują tam także łowcy niewolników. W północnych rejonach Boliwii istnieje jeszcze drugi punkt zapalny. Indianie i Metysi na poletkach ukrytych w dżungli uprawiają krzewy koki. Boliwia i Peru są przecież największymi producentami liści koki i półproduktów narkotycznych. Boliwia ratuje swą upadającą gospodarkę eksportem kokainy, ale z tego śmiercionośnego handlu również czerpią pokaźne zyski ludzie z kół rządowych i wojskowych. Obecny prezydent zapowiada jakieś zmiany w gospodarce kraju. Łatwo mógł się narazić producentom i handlarzom koki, którzy tworzą silne i ustosunkowane nielegalne organizacje. W takiej powikłanej sytuacji wrzenie mogło wybuchnąć z różnych i niezależnych od siebie przyczyn.

- Sally miała rację, mówiąc, że wpadliśmy z deszczu pod rynnę - zauważył Tomek. - W jaki sposób, ojcze, udało ci się w tym galimatiasie uzyskać zezwolenie na skorzystanie z pociągu wojskowego?

- W policji wszyscy bezradnie rozkładali ręce. W tej chwili władzę sprawuje kilku generałów opowiadających się za prezydentem. Udało mi się wreszcie dostać do najważniejszego z nich. Angielskie dokumenty ułatwiły dojście. Od razu było widać, że obecność obcej wyprawy naukowej w La Paz w tak burzliwym czasie nie jest władzom na rękę. Toteż gdy generał oświadczył, że koleje są całkowicie unieruchomione i z La Paz odjedzie tylko jeden jedyny pociąg z wojskiem do Sucre, zacząłem nalegać o pozwolenie na skorzystanie z tej ostatniej okazji. Uznano mój argument, że przez Gran Chaco możemy się przedostać do rzeki Paragwaj i popłynąć dalej statkiem do Mato Grosso.

W tej chwili na stacji wszczął się ruch. Rozbrzmiały słowa komendy. Żołnierze brali karabiny ustawione w kozy, zakładali plecaki. Rozległ się przeciągły gwizd lokomotywy, po czym pociąg składający się z kilku wagonów wolno wjechał na stację.

Oficerowie grupowali żołnierzy w oddziały, które kolejno wsiadały do pociągu. Kilku kolejarzy pod nadzorem zbrojnej straży zestawiało skład pociągu. Lokomotywa zaczęła manewrować po torach. Do wagonów osobowych dołączono wagony towarowe dla sprzętu i koni oraz dwie platformy z armatami. Na samym końcu lokomotywa przetoczyła wagon zajmowany przez wyprawę, który został doczepiony do pociągu wojskowego. Generał ze swoim adiutantem przyszedł do Wilmowskiego, żeby powiadomić go o rychłym odjeździe pociągu. Zapewne też chciał osobiście przyjrzeć się uczestnikom europejskiej wyprawy do Mato Grosso. Widok dwóch młodych, ładnych białych kobiet pozwolił mu pozbyć się obaw, spędził prawie pół godziny na miłej pogawędce. Oczywiście nie obyło się bez poczęstunku przygotowanego przez Wu Menga. Generał wreszcie spojrzął na zegarek i oznajmił, że odjazd pociągu nastąpi już za kwadrans. Zaraz też pożegnał się i życząc wszystkim dobrej nocy, wyszedł z adiutantem. Wkrótce rozległ się gwizd lokomotywy, pociąg ruszył w drogę. Dopiero teraz Wilmowski odetchnął z ulgą i rzekł:

- Mamy przed sobą około sześciuset kilometrów jazdy. Do Sucre powinniśmy przybyć po świcie. Już nie czuję nóg, nareszcie będę mógł odpocząć!

- Wujku, czy Sucre leży tak samo wysoko jak La Paz? - zapytała Natasza. - Zawroty

głowy mi nie ustępują.

- Na pewno wszyscy poczujemy się lepiej w Sucre, leży przecież ponad tysiąc trzysta metrów niżej od La Paz — odparł Wilmowski. - Poza tym za dzień lub dwa ruszymy na południowy wschód i pożegnamy się z Andami. Ja także mam już dosyć gór. Wędrówka z dworca w asyście żołnierzy była nieustanną wspinaczką. Nie ma tramwajów ani dorożek. Stare, wąskie, brukowane uliczki to stromo pną się pod górę, to znów opadają w dół. Nie zauważyłem ani jednej położonej poziomo ulicy. Miasto wciśnięte jest między niebotyczne góry. Potężna Illimani, pokryta czapą lodową, widoczna niemal z każdej ulicy, nie pozwala ani na chwilę zapomnieć o wysokości, na jakiej leży La Paz. Zanim doprowadzono mnie do Palacio Quemada na placu Murillo, musiałem często przystawać, aby nabrać tchu. Idący ze mną żołnierze wyrozumiale kiwali głowami i mówili, że soroche, czyli choroba wysokości, zawsze przez jakiś czas nęka cudzoziemców z nizin.

- Co się działo na ulicach, ojczy? - wypytywał Tomek.

- Przede wszystkim wszędzie patrole wojskowe. Białych w ogóle nie spotykaliśmy. Tylko grupy ludności indiańskiej i Metysów. Place targowe, uliczne stragany i warsztaty rzemieślnicze opustoszałe. Jedynie tu i tam w zaułkach handlarzy z Cochabamy^[101], noszące wysokie białe kapelusze przewiązane wstążką, w przeciwieństwie do kobiet z wyżyn ubierających się w meloniki, sprzedawały przywiezione przez siebie produkty rolne.

- Myślałem, że przy okazji uda nam się zwiedzić La Paz, ale rewolucja pomieszała szyki - powiedział zawiedziony Tomek.

- Tommy, daj ojcu wreszcie odetchnąć po męczącym dniu - karcąco wtrąciła Sally. - Wszyscy powinni trochę wypocząć, i ty również! Kto wie, co czeka nas jutro!

- Masz rację, Sally! - przytaknął Tomek. - Może uda mi się zasnąć. Dobrej nocy!

Wszyscy pokładli się na ławkach. Niektórzy już zasnęli, o czym świadczyło ciche pochrapywanie. Tomek siedział przy oknie i próbował drzemać, ale sen nie przychodził. Dingo wyciągnął się u jego stóp, tylko od czasu do czasu pomrukiwał i strzygł uszami. Tomek zamyślony spoglądał na swego ulubieńca, wiernego towarzysza w niebezpiecznych wyprawach. Jaki będzie wynik obecnej? Mimo woli przyszły mu na myśl słowa ojca, że często trop w trop za Smugą szły dziwne wydarzenia. Przecież i teraz Smuga z Nowickim mieli oczekiwać na pomoc nad północną granicą Boliwii! Tam właśnie wybuchła rewolucja!

Rozgorączkowana wyobraźnia nękała go długo, ale monotony stukot kół i lekkie kołysanie wagonu zrobiły swoje. Tomek zasnął...

WIELKI CZAROWNIK

Trzy łodzie płynęły wartkim prądem rzeki. Pierwsza, największa, miała pośrodku małą, lekką nadbudówkę krytą płóciennym daszkiem, który jednocześnie chronił od słońca przód łodzi. W niewielkiej odległości płynęły jedna za drugą dwie mniejsze łódki wyciosane z pni drzew.

Na dziobie największej łódki, obok przewoźnika, siedzieli obydwaj Wilmowscy, Haboku i Mara nie odstępująca swego męża. Oprócz nich były tam Sally i Natasza, ukryte w cieniu prowizorycznego daszka, oraz trzech indiańskich wioślarzy. W dwóch mniejszych łodziach z wyposażeniem wyprawy znajdowali się: Wilson, Zbyszek, Wu Meng i Cubeowie, którzy dozorowali przewoźników.

Już drugi dzień uczestnicy wyprawy płynęli rzeką. W konstytucyjnej stolicy Boliwii władze jeszcze panowały nad rewolucyjnym wrzeniem. Nie dochodziło do starć między demonstrantami i policją. Generał, który przywiózł posiłki dla miejscowego garnizonu, ułatwił Wilmowskiemu porozumienie się z dowództwem. Dzięki temu wynajmowani zazwyczaj przez wojsko przewoźnicy zgodzili się przewieźć wyprawę na rzeczną przystań, skąd wysyłano łodziami zaopatrzenie dla garnizonu w Villa Montes nad Pilcomayo. Tam właśnie mieściła się główna kwatera wojskowa, której podlegało Gran Chaco. Niemalże” zachodu kosztowało Wilmowskiego i Wilsona wynajęcie łodzi, ale ostatecznie dobili targu z przewoźnikami i ruszyli na południowy wschód.

Pilcomayo spływała wąską doliną podgóorską w głąb kontynentu. Był to czas przyboru. Rzeka wdzierając się w nadbrzeżne zarośla i lasy, w niższej natomiast położonych miejscach tworzyła niedostępne rozlewiska i błota.

Jeszcze około trzystu kilometrów dzieliło wyprawę od Villa Montes. Dalej już na wschód, południe i północ rozciągało się prawie nie zbadane dotąd i owiane tajemniczością Gran Chaco. Była to kraina, w której nie ujarzmione, wojownicze plemiona indiańskie żyły nadal jak za czasów swoich praojców. Koczownicy indiańscy swobodnie wędrowali po wiecznie zielonych stepach i lasach, nie zważając na umowne granice ustanawiane przez białych ludzi. Nie wywoływało to konfliktów, ponieważ Argentyna, Paragwaj i Boliwia wtedy jeszcze nie okazywały większego zainteresowania odległymi dzikimi obszarami Gran Chaco. Dopiero znacznie później, gdy w Chaco Boreal odkryto naftę, rozgorzała wojna między Paragwajem i Boliwią, którą ta ostatnia sromotnie przegrała.

Wilmowscy byli w nie lada rozterce wytyczając dalszą drogę. Pilcomayo płynęła na południowy wschód, a więc w kierunku odwrotnym do zamierzonego celu wyprawy. Jednakże wysoka woda i wartki nurt umożliwiały przebycie w kilka dni ponad tysiąca kilometrów do ujścia Pilcomayo do rzeki Paragwaj[102], dostępnej dla większych statków aż do Asunción. Dalej na północ mniejsze statki mogły płynąć prawie do źródeł rzeki Paragwaj w Mato Grosso. Tak więc obydwie rzeki umożliwiłyby szybkie przebycie znacznych odległości.

Wilmowski z Tomkiem pochyleni nad mapą rozłożoną na kolanach naradzali się,

rozmawiając po polsku.

- Mimo nadkładania drogi zyskalibyśmy na czasie i uniknęli wielu niebezpieczeństw - właśnie mówił Tomek. - Może nasz przewoźnik by się podjął popłynąć do rzeki Paragwaj? Wygląda na śmiałego i doświadczonego w swoim zawodzie człowieka. Pochwalił go nawet Haboku, który, jak wszyscy Cubeowie, jest doskonałym wioślarzem.

Wilmowski potwierdził to skinieniem głowy, po czym odezwał się po hiszpańsku:

- Senor Antonio, właśnie mówiliśmy z synem, że doskonale dajesz sobie radę z kapryśną Pilcomayo. Czy nie podjąłbyś się za dobrą zapłatą przewieźć nas do rzeki Paragwaj?

Metys zdumionym wzrokiem obrzucił Wilmowskich, potem roześmiał się i zawołał:

- Chyba żartujesz, senor!

- Nie żartuję, Antonio!

Metys zdumiał się jeszcze bardziej. Przez dłuższą chwilę spoglądał na Wilmowskich, wreszcie przemówił:

- Nie, senor, nie popłynę z tobą do rzeki Paragwaj! Nikt z tobą tam nie popłynie, Ty sam również tego nie dokonasz, nawet gdybyś kupił moją łódź.

- Czy to ma znaczyć, że Pilcomayo nie jest spławna? - zapytał Wilmowski.

Metys bezradnie wzruszył ramionami i odparł:

- Słyszałem, że od samego ujścia w górę rzeki mogą pływać nawet trochę większe statki niż mój, ale niezbyt daleko. Potem Pilcomayo w wielu okolicach rozlewa się szeroko w wielkie, błotniste jeziora uniemożliwiające żeglugę. Ale nie tylko rozlewiska są przeszkodą! Podczas przyboru rzeka zalewa nadbrzeżne lasy. Wtedy nawet przez kilka dni można nie trafić na miejsce nadające się na nocny biwak. W niektórych miejscach Pilcomayo chyba nawet jest spławna, ale w Chaco Indianie nie żeglują po rzekach.

- Dziękuję, senor Antonio, za ważne dla nas informacje - powiedział Wilmowski. - Skoro nie możemy popłynąć Pilcomayo do rzeki Paragwaj, to będziemy musieli udać się na przełaj przez Chaco Boreal do Corumby[103]. To chyba będzie nawet krótsza droga do Mato Grosso?

- Znacznie krótsza, ale trudna i niebezpieczna - przyznał Antonio. - Lepiej było wyruszyć z Santa Cruz i iść przez llanosy do Puerto Suarez i Corumby. Tamtym szlakiem podążają karawany kupieckie do Brazylii. Teraz jednak, skoro już jesteście tutaj, nie warto wracać na północ do Santa Cruz. Byłoby to znaczne nadłożenie drogi. Kto poza tym wie, co tam się teraz dzieje?

- Wracanie na północ nie ma sensu - powiedział Tomek. - Według mapy stąd do Corumby będzie około pięciuset lub sześciuset kilometrów. Droga z Santa Cruz do Corumby wynosi mniej więcej tyle samo.

- Słusznie mówisz, senor! - przytaknął Metys. - Stąd najkrótszą drogę macie przez

Chaco. Na tragarzy jednak nie możecie liczyć. Musicie się postarać o konie i muły. W Chaco wprowadzie włóczy się wiele wojowniczych plemion, ale kilku dobrze uzbrojonych mężczyzn da sobie z nimi radę. Więcej kłopotów może sprawiać brak wody.

- W Chaco przecież są rzeki i jeziora! - obruszył się Tomek.

- Są, señor! - rzekł Metys. - Ale ludzie i konie muszą mieć do picia wodę słodką. W Chaco tymczasem wiele rzek i jezior ma wodę słoną lub słonawą. Jedyne po dużych deszczach wody ich stają się słodsze i wtedy nadają się do picia. Słońce wkrótce zacznie mocno przygrzewać, wody wyparują, a sól pozostanie. Tylko niektóre rzeki, jak Pilcomayo, mają wodę słodką przez cały rok.

- Zdajemy sobie sprawę, że wędrówka przez Chaco nie będzie łatwa ani bezpieczna - powiedział Wilmowski. - Mamy trzy kobiety, ekwipunek wyprawy jest ciężki. Bylibyśmy wdzięczni, señor Antonio, gdybyś pomógł nam zaopatrzyć się w konie i muły.

- Na pampasach argentyńskich są tabuny dzikich koni - rzekł Metys. - Niektóre plemiona w Chaco już od dawna je chwytają albo kradną ze stad wypasanych przez gauczów[104]. Na argentyński brzeg przeprawiają się również Indianie boliwijscy. Nikt tu nie zwraca uwagi na granice. Dzięki temu w boliwijskim Chaco można napotkać konie argentyńskie. Znam jednego kacyka, który ma konie i muły.

- Gdzie moglibyśmy go znaleźć? - zapytał Wilmowski.

- Jego obóz znajduje się o dzień drogi od Villa Montes.

- Czy możesz zawieźć nas wprost do tego kacyka? - dalej pytał Wilmowski.

- Dobrze, señor! Zrobię to, chcę wam pomóc, ale potem już sami musicie sobie radzić. Ja wracam do domu.

- Zgoda, Antonio! Za tę przysługę wynagrodzimy ciebie i twoich wioślarzy oddzielnie - obiecał Wilmowski.

- Do jakiego plemienia należą Indianie, od których mamy kupić konie? - zainteresował się Tomek.

- To Gwaranie znani tutaj jako Chiriguanie [105]- odpowiedział Antonio. - Ich kacyk, Długa Ręka, wyprawia się od czasu do czasu po konie argentyńskie.

- Chwyta dzikie czy kradnie? - dopytywał się Tomek.

- Pewnie robi i jedno, i drugie - odparł Metys. - To śmiały i zręczny człowiek. Podobno kiedyś sam wprowadził kilkadziesiąt koni i szczęśliwie umknął pogoni.

- Gwaranie należeli do bardzo wojowniczych plemion - powiedział Tomek. - Podczas pobytu w Limie poszperałem w starych kronikach. Była w nich wzmianka o Gwaranach, którzy za czasów panowania Inków przywędrowali z dalekiego Paragwaju aż do Andów Boliwijskich, zwanych wtedy Górnym Peru. Gwaranie, gdzieś nad Pilcomayo, napotkali łagodnych i miłujących pokój Indian Chane, których kilkadziesiąt tysięcy w okrutny sposób wymordowali, a pozostałych przy życiu wcielili do swego plemienia.

- Tak mogło być naprawdę, senior - przytaknął Antonio. - Wśród Chiriguanów spotyka się Indian Chane.

Po pięciu dniach wyprawa znalazła się w wiosce Chiriguanów, jeżeli kilkanaście szałasów można było nazwać wioską. Nie opodal nędznych domostw leżały poletka kukurydzy, manioku, melonów i tytoniu.

Wioska nie była zapewne zbyt często odwiedzana przez obcych, Chiriguanie bowiem gromadnie wylegli na brzeg rzeki. Widok znanego im Antonia i jego indiańskich wioślarzy świadczył o przyjaznych zamiarach białych uzbrojonych ludzi, którym towarzyszyli również obcy Indianie.

Chiriguanie byli ubrani bardzo skąpo. Mężczyźni przeważnie mieli przepaski bawełniane na biodrach lub szerokie, miękkie skórzane pasy z opadającymi u dołu frędzlami. Kobiety natomiast nosiły jedynie sięgające kolan spódniczki ze skór strusich. Dzieciarnia biegała całkiem nago.

Antonio poprowadził obydwóch Wilmowskich przed szałas kacyka. Długa Ręka podniósł się ze skóry pumy rozłożonej na ziemi i przywitał gości ściskając im dłonie. Był to niski, krępy mężczyzna o jasnooliwkowej cerze. Czarne włosy miał, jak wszyscy Chiriguanie, równo obcięte na karku. Czoło jego opasywała obręczka z łyka, za którą tkwiły barwne papuzie pióra. Na nagim, pokrytym tatuażami ciele nosił tylko skórzany szeroki pas obszyty u dołu frędzlami.

Kacyk w skupieniu wysłuchał wywodów Antonia, zerkając jednocześnie na dwie białe kobiety i na bagaże wyładowywane z łodzi. Potem lekceważąco machnął ręką i długo dyskutował z Antoniem. Sporo minęło czasu, zanim Metys zwrócił się do Wilmowskich:

- On mówi, że ma kilka koni i mułów, ale nawet nie chce słuchać o pieniądzach. W Chaco nikt się nie zna na ich wartości. Indianie odstępują coś swojego tylko wtedy, gdy można im dać w zamian to, czego oni potrzebują.

- Jesteśmy na to przygotowani - odparł Wilmowski. - Spytaj, senior Antonio, co by go interesowało.

Metys chwilę porozmawiał z Długą Ręką, po czym znów zwrócił się do Wilmowskiego:

- On pyta, ile chcesz koni i mułów.

- Potrzebujemy dziesięć koni i pięć mułów. Oczywiście muszą to być zdrowe i silne zwierzęta.

Rozpoczęły się targi. Widocznie zdobywanie koni nie było zbyt kłopotliwe dla Długiej Ręki, ponieważ szybko odstępował od wygórowanych żądań. Wilmowscy przy pomocy Wilsona i Zbyszka wydobyli ze skrzyń bawełniane materiały, koraliki, lusterka, fajki, noże myśliwskie i scyzoryki, strzelby, proch i kule, miedziany drut, a Chiriguanie nie kryli swego zadowolenia. Gdy w końcu wymiana została uzgodniona, Wilmowski rzekł:

- A więc dobrze! Jesteśmy gotowi dać to wszystko, ale teraz chcemy obejrzeć konie i

muły.

Długa Ręka tym razem sam się odezwał łamaną hiszpańszczyzną:

- Zobaczysz wkrótce! Przygnamy z pastwiska i zaraz będziemy ujeżdżać!

- To one są jeszcze nie ujeżdżone?! - oburzył się Wilmowski, spoglądając na Antonia.

- Po co mieliśmy ujeżdżać, skoro nie były potrzebne? - szczerze zdumiał się Długa Ręka.

- Ależ to znaczna strata czasu dla nas! - wtrącił Tomek.

- Ujeżdżanie potrwa najwyżej trzy lub cztery dni - uspokajająco odezwał się Antonio.

- Po czterech dniach ujeżdżania niewielu z nas zdoła się utrzymać dłużej na ich grzbietach - gniewnie powiedział Tomek. - Ujeżdżałem mustangi w Arizonie, znam się na tym! Zdziczałe, narowiste konie nie tak prędko pozwalają się osiodłać, a z nami są kobiety!

- Kobiety chodzą pieszo, tylko mężczyźni jeżdżą na koniach - karcącym tonem zauważył Długa Ręka.

- Chiriguanie szybko ujeżdżają konie. Mają swoje sposoby! - zapewnił Antonio.

- No, cóż! Nie mamy innego wyjścia! - rzekł Wilmowski.

Długa Ręka zaczął zapraszać gości do siebie na odpoczynek i posiłek, ale Wilmowski zrećcznie wymówił się od noclegu w prymitywnych, podejrzanie wyglądających szałasach i polecił Zbyszkowi rozstawić namioty w pobliżu wioski. W jednym z nich złożono bagaże wyprawy. Cubeowie i Wu Meng objęli straż w prowizorycznym obozie. Ostrożność była uzasadniona, dla Indian bowiem pojęcie własności osobistej było niezrozumiałe, a nawet zupełnie obce.

Po kilkudniowej podróży łodzią uczestnicy wyprawy mogli obecnie trochę odpocząć przed wyruszeniem w głąb Gran Chaco. Tylko Tomek nie myślał o wypoczynku. Z Dingiem u nogi wałęsał się z Antoniem po wiosce i podpatrywał sposób życia Chiriguanów. Toteż gdy przed zmierzchem Wu Meng przywołał go na posiłek, najwięcej miał do powiedzenia.

- Czy to nie dziwne, że Chiriguanie, którzy zdobywają pożywienie uprawiając zbieractwo i rybołówstwo, nie robią i nawet nie posiadają łodzi? - dzielił się spostrzeżeniami. - Antonio mówił, że dopiero wtedy gdy chcą przepłynąć przez rzekę, budują prymitywne tratwy lub skórzane łódki. Takich łódek właśnie używają także niektórzy Indianie w Ameryce Północnej[106].

- Tomku, dlaczego mówisz, że zbieractwo i rybołówstwo dostarczają podstawowych produktów, spożywanych przez Chiriguanów? - zaoponował Zbyszek. - Przecież nazwa Chaco oznacza ziemie łowieckie, więc chyba przede wszystkim żywią się mięsem upolowanej zwierzyny!

- Nazwa ma tylko względne znaczenie, ponieważ została nadana przez Indian andyjskich, którzy u siebie prawie nie mają zwierząt łownych - wyjaśnił Wilmowski. -

Oczywiście w porównaniu ze skalistymi, pustynnymi Andami w Chaco jest więcej zwierzyny, ale mimo to polowanie odgrywa pewną rolę tylko we wschodniej i południowej części krainy, a nawet tam jest mniej ważne od rybołówstwa i zbieractwa. Uprawa ziemi ma również jedynie znaczenie uzupełniające i nie skłania Indian do stałego osadnictwa.

- A to przykra niespodzianka! - zafrasował się Zbyszek. - Myślałem, że w Chaco łatwo będziemy się zaopatrywali w świeże mięso.

- Nie martw się, Zbyszkule! Długa Ręka i Antonio zapewniali mnie, że w Chaco są jelenie, tapiry, pekari, krokodyle, małpy i ptaki - pocieszył go Tomek.

- Kto z was odważyłby się jeść krokodyle czy małpy? - oburzyła się Natasza.

- Krokodyle mięso nie jest złe! - wesoło powiedział Tomek. - Próbowałem je w Afryce!

- Wolałabym umrzeć z głodu, niż jeść małpę! - dodała Natasza.

- Widocznie jeszcze nie wiesz, do czego zdolny jest prawdziwie głodny człowiek - rzekł Tomek.

- Tomek ma rację! - powiedział Wilmowski. - Indianie często przymierają głodem, toteż jedzą wszystko, co tylko da się zjeść.

- W obozach zbieraczy kauczuku widziałem Indian jedzących robaki drzewne, mrówki i termity - wtrącił Wilson.

- Na takie przysmaki mógłby się skusić jedynie Tadek Nowicki, który dla zaspokojenia własnej ciekawości gotów by nawet zajrzeć do piekła! - z humorem rzekł Tomek.

- Nie mam mu tego za złe, bo mnie również zawsze coś kusi, aby próbować potraw krajowców w różnych krajach - odezwała się Sally. - Teraz jednak marzę tylko o wyciągnięciu się w hamaku. Skryję się pod moskitierą, zanim komary *zaczną* harce!

Wszyscy byli zmęczeni, więc Tomek powyznaczał mężczyznom nocne warty i wkrótce zapadła cisza w obozie. Noc minęła spokojnie, ale już o świcie gwar w wiosce Chiriguanów poderwał uczestników wyprawy na nogi. Zbyszek, który pełnił wartę nad ranem, powiadomił Tomka, że Antonio wkrótce wyrusza w drogę powrotną, więc uczestnicy wyprawy udali się na brzeg rzeki pożegnać Metysa i jego wioślarzy.

Antonio, zanim wsiadł do łodzi, jeszcze raz podał rękę Wilmowskiemu i ścisłym głosem rzekł:

- Długa Ręka już posłał po zwierzęta. Za kilka dni będziecie mogli, senores, ruszyć w drogę. Chiriguanie wyprawiają ucztę pożegnalną. Kobiety już przygotowują chichę. Bądźcie ostrożni! Pijani Chiriguanie stają się skłonni do awantur i bójek.

- Dziękuję, Antonio! Będziemy o tym pamiętali! - odrzekł Wilmowski.

Łodzie odpłynęły w górę Pilcomayo. Uczestnicy wyprawy zasiedli w obozie do porannego posiłku. Zanim jednak zdążyli go ukończyć, głuchy tętent i okrzyki rozbrzmiały w stepie. Wkrótce w obłoku kurzu ukazało się kilkanaście koni i mułów cwałujących w kierunku wioski. Obydwaj Wilmowscy, Wilson i Zbyszek pospiesznie dokończyli

śniadania, po czym udali się na brzeg Pilcomayo, skąd dochodziły nawoływania. Dingo, znudzony długą bezczynnością w łodzi, ochoczo pobiegł za Tomkiem.

Chiriguanie krzycząc i machając rękami osaczali brzeg rzeki, która w tym miejscu tworzyła rozległe zakole. W wodzie tymczasem pławiły się rozhukane konie i muły, a na grzbiecie każdego z nich siedziało na oklep po dwóch chłopaków. Rozstawieni w długi łańcuch Indianie zagradzali wyjście na brzeg, konie i muły zmuszone do pływania w rzece nie mogły zrzucić z siebie młodych, zwinnych ujeżdźaczy.

- A więc to jest, wspomniany przez Antonia, chiriguański sposób ujeżdżania koni! - zawołał ubawiony Tomek.

- Trzeba przyznać, że sprytnie sobie poczynają! - zauważył Wilmowski.

- Wystarczy weгнаć konie do rzeki, żeby chłopaczyska, nic nie ryzykując, mogli podpłynąć do nich i wleźć na grzbiety - dodał Zbyszek. - Mam ochotę na samodzielne ujeżdżenie sobie wierzchowca!

- Ja również chętnie bym to zrobił - potaknął Tomek. - Skoro jednak tutaj ujeżdżanie koni powierza się chłopcom, nam nie wypada tego robić. Ujeżdżałem dzikie mustangi w Arizonie, ale tam było to zajęcie dla doświadczonych mężczyzn, przy którym łatwo mogli sobie skrócić kark.

- Co kraj, to obyczaj! - sentencjonalnie wtrącił Wilson. - Plemiona indiańskie w obydwóch Amerykach na swój sposób oswajały się z końmi i rozwijały własne sposoby życia. Nic więc dziwnego, że w tych nowych kulturach zaistniały pewne różnice, choć podobieństw też u nich nie brak. [\[107\]](#)

- Słusznie, słusznie, panie Wilson! - przytaknął Wilmowski. - W odmiennych warunkach mogły się ukształtować różne zwyczaje i sposoby życia.

- To właśnie miałem na myśli - potwierdził Wilson.

-Wydaje mi się, że mimo wszystko ktoś musiał od kogoś przejmować te nowe wzorce - wtrącił Zbyszek.

- Może mógł, ale nie musiał! - zaoponował Wilmowski. - Podobne zjawiska kulturowe mogły się rodzić niezależnie od siebie w kilku miejscach, w zupełnie odmiennych środowiskach naturalnych i cywilizacyjnych. Na przykład Indianie w Ameryce Północnej wynaleźli własne typy siodeł, poduszkowe i szkieletowe, a tymczasem siodła poduszkowe z popręgami występowały już od pięciu tysięcy lat w różnych kulturach Starego Świata. Można z tego wyciągnąć wniosek, że podobne odkrycia powstawały niezależnie od siebie w rozmaitych częściach świata.

W tej chwili Dingo cicho warknął. Tomek rozejrzał się, co mogło zaniepokoić jego ulubieńca, po czym trącił w łokieć stojącego obok ojca i szepnął:

- Tatusiu, spójrz na Haboku!

Wilmowski patrzył zdumiony. Haboku stał na brzegu rzeki i spod przymrużonych powiek obserwował ujeżdżanie koni i mułów. Zamiast odzienia europejskiego nosił teraz

tylko przepaskę biodrową ze skóry pancernika i naszyjnik z zębów jaguara, przysługujące zazwyczaj jedynie łowcom jaguarów. Zgodnie ze zwyczajem Cubeów, twarz i nagie ciało pomalował czerwoną farbą. Tylko pas z rewolwerem zwisający z bioder łączył go obecnie ze światem białych ludzi.

- Ależ to jest teraz zupełnie inny człowiek! - szepnął po chwili zdumiony Wilmowski. - Nawet Chiriguanie spoglądają na niego z podziwem!

- Naszyjnik z zębów jaguara i przepaska ze skóry pancernika są symbolami wysokiej godności i odwagi - wyjaśnił Tomek. - Chiriguanie prawdopodobnie rozpoznali w nim teraz łowcę jaguarów, Cubeowie powszechnie obawiają się tych kotów. Wierzą, że jaguar jest niebezpiecznym czarownikiem lub jego psem. Dlatego właśnie łowcy jaguarów otaczani są u nich wielkim szacunkiem. Chiriguanie są na pewno nie mniej zabobonni od Cubeów.

Wilmowscy jeszcze przez jakiś czas obserwowali ujeżdżanie wierzchowców. Długa Ręka zapewniał, że konie i muły będą wpędzane do rzeki po kilka razy dziennie i wkrótce pogodzą się ze swoim losem.

Po powrocie do obozu Tomek i Zbyszek zastali swoje żony w doskonałych humorach.

- Żałujcie, chłopcy, że nie było was tutaj, gdy młode Chiriguanki przyszły do nas z wizytą - powitała ich Natasza.

- Mówił chłop do obrazu, a obraz do niego ani razu! - śmiejąc się powiedział Zbyszek. - Na pewno nie mogłyście się z nimi dogadać.

- Właśnie mylisz się! - zaprzeczyła Natasza. - Pan Wu Meng służył i nam za tłumacza.,

- Zapomniałem o nim! Dlaczego mamy z Tomkiem żałować, że nie było nas w obozie?

- Natka, nie mów im! - ostrzegła Sally. - Będą się ze mnie wyśmiewali!

- Sally, kochanie, nigdy bym się nie ośmielił! - zapewnił Tomek.

- Mów, Sally! Wprost pożera mnie ciekawość! - dodał Zbyszek.

- No, dobrze! Powiem sama! - zdecydowała Sally. - Chiriguanki przyszły wyrazić swe współczucie mnie i Natce!

- A to dlaczego?! - zdumiał się Tomek.

- Z jakiego powodu?! - pytał Zbyszek.

- Sądziły, że to nasi mężowie zmuszają nas do zakrywania górnej części ciała, ponieważ mamy brzydkie piersi. One tymczasem chlubią się swoimi piersiami i dlatego ich nie kryją - wyjaśniła Sally.

- Przecież łatwo mogłyście wyprowadzić je z błędu - zauważył Zbyszek z trudem tłumiąc śmiech.

- Właśnie to zrobiłam! - wyznała Sally. - Zabrałam je do namiotu i zdjęłam koszulę.

- A co one na to? - pytał ubawiony Tomek.

- One? No, cóż... orzekły, że wszystko mam na właściwym miejscu i nie mogą zrozumieć, dlaczego kryję to, co dodaje uroku ładnej kobiecie.

- Brawo, Sally! - zawołał Tomek. - Na twoim miejscu postąpiłbym tak samo!

- Nie dziwię się, że to uzalanie się Indianek nad wami tak was rozweseliło - powiedział Zbyszek. - Przecież to wy właśnie powinnyście im współczuć! Tutaj kobiety są własnością mężczyzny, nikt nie liczy się z ich zdaniem.

- Masz rację, jesteśmy świadome tego - przytaknęła Natasza.

- Pospacerowałyśmy po wiosce i przyjrzałyśmy się pracom kobiet. One prowadzą gospodarstwa domowe, noszą wodę, zbierają chrust na opał, tkają bawełnę, uprawiają poletka i wychowują dzieci, podczas gdy mężczyźni udają panów świata.

- Potworne leniuchy! Nawet ujeżdżanie koni spychają na chłopców - dodała Sally. - Jedną mają tylko zaletę: podobno rzadko biją swoje żony.

Na pogawędkach i odpoczynku uczestnicy wyprawy spędzili trzy dni. Chiriguanie po kilka razy dziennie pławili konie i muły w rzece. Rankiem czwartego dnia Długa Ręka oznajmił, że można już kulbaczyć i kielznać zwierzęta. Wszyscy udali się na brzeg rzeki, żeby ujrzeć pierwsze siodłanie koni i mułów. Tomek miał jednocześnie zdecydować, które konie będą nadawały się do jazdy wierzchem dla kobiet.

Konie i muły zmęczone kilkudniowym pławieniem w rzece, prawie nie stawiały oporu. Tylko jeden młody ogier izabelowatej maści[108] nie pozwalał nikomu dostąpić do siebie, mimo że był przytrzymywany przez Indian dwoma arkanami zarzuconymi na szyję. Wietrzył szeroko rozwartymi chrapami i strzygł uszami w kierunku poskromicieli. Przy każdej próbie podejścia do niego któregoś z Indian uderzał mocno o ziemię kopytami, wspinał się na zadnie nogi, bijąc gwałtownie podniesionymi do góry przednimi. Chiriguanie już zaczęli się niecierpliwie gwałtownym oporem ogiera. Długa Ręka wreszcie gniewnie rzucił jakiś rozkaz. Dwóch Indian pobiegło do wsi. Wkrótce powrócili niosąc swoje bolą.

- *Zamierzają powalić konia na ziemię* - odezwał się Wilmowski do syna. - Gotowi pogruchotać mu nogi. Lepiej zrezygnujmy z tego wspaniałego ogiera!

Tomek spochmurniał. Bolą służyły obecnie jako broń myśliwska, ale dawniej były również groźną bronią wojenną. Do długiego sznurka z dwoma lub trzema rozwidleniami na końcu przymocowane były obszyte skórą dwie albo trzy duże kule z kamienia bądź żelaza. Bólem posługiwano się podobnie jak lassem, od którego różniło się tym, że zamiast pętli, ciężkie kule zawieszane na rzemieniu obwijały się wokół nogi unieruchamiając ją, co powalało zwierzę na ziemię. Wystarczyła jednak mała niezręczność i kule gruchotały kości. Łatwo mogło się to przydarzyć ogierowi, który stawał dęba, wierzgał zadnimi nogami, skakał w prawo i lewo. Nie pomagało nawet dławienie arkanami zarzuconymi na szyję.

Dwóch Chiriguanów już się przygotowywało do użycia bolą.

- Wu Meng, powiedz im, żeby się wstrzymali! - naraz zawołał Tomek.

Chińczyk natychmiast wykonał polecenie. Obydwaj Chiriguanie zaskoczeni spoglądali to na Tomka, to na Długą Rękę, który zaintrygowany wpił wzrok w młodego białego mężczyznę.

- Tomku, co zamierzasz? - zaniepokoił się Wilmowski.

- Żal mi konia! - odparł Tomek. - Niech Wu Meng przekazuje polecenia Chiriguanom.

Podniósł z ziemi uzdę, po czym wolnym, lecz pewnym krokiem podszedł do dławionego arkanami, szamoczącego się ogiera. Wietrząc z bliska obcy zapach, koń zarżał chrapliwie, wspiął się na tylne nogi. Tomek cofnął się o krok, zaledwie jednak ogier opadł nogami na ziemię błyskawicznie podbiegł do niego i otwartą dłonią mocno nakrył rozdęte chrapy.

- Puścić arkany! - zawołał.

Chiriguanie wstrzymali niemal oddechy, gdy Tomek podszedł do szalejącego konia. Prawą ręką rozluźnił pętle na jego szyi, przesunął arkany przez łeb na rękę nakrywającą chrapy. Ogier wstrząsnął się, po czym prawie przysiadł na zadzie.

- Tss, tsss... - szepnął Tomek, pochylił się ku chrapom i dmuchnął w nie kilka razy. Potem prawą dłonią zaczął delikatnie głaskać konia po szyi.

Ogier przestępował z nogi na nogę, to cofał się, to lekko parł do przodu. Tomek natężonym wzrokiem patrzył w przekrwione ślepia. Ogier z wolna uspokajał się, po długiej chwili rozbrzmiało ciche rżenie. Trudno było nawet dostrzec, kiedy Tomek okiełznał ogiera i znów nakrył dłonią chrapy. Głos Tomka przywrócił wszystkich do rzeczywistości:

- Siodłać konia!

Podczas gdy dwóch Chiriguanów kładło siodło na grzbiet i zapinało popręgi, Tomek jeszcze raz dmuchnął w chrapy ogiera, po czym jednym skokiem znalazł się w siodle. Ogier wstrząsnął całym ciałem, zarżał i z miejsca ruszył galopem w step.

- Do licha, toż to istne czary! - zawołał Wilson. - Gdybym sam nie widział, nigdy bym nie uwierzył!

Wilmowski chustką otarł pot z czoła, odetchnął z ulgą i odparł:

- Chłopak ma wręcz niesamowite zdolności do poskramiania zwierząt. Gdyby pan mógł zobaczyć, co on zrobił z gepardem maharani Alwaru w Indiach!

- Wcale się nie bałam o Tommy'ego! Byłam pewna, że da sobie radę! - buńczucznie oświadczyła Sally.

Wokół zapanował gwar. Chiriguanie ochłonęli ze zdumienia, pokrzykiwali jeden przez drugiego. Gromadnie czekali na powrót Tomka. Minęła jednak godzina z okładem, zanim rozległ się tętent, a potem Tomek wjechał galopem w krąg Chiriguanów. Ostro osadził ogiera tuż przed Długą Ręką i zeskoczył na ziemię. Poklepał po szyi konia, który uniósł łeb i zarżał wstrząsając grzywą.

Długa Ręka z zabobonnym lękiem wpatrywał się w Tomka. Dopiero po dłuższej chwili odezwał się:

- Wielki czarownik! Koń twój... bez zapłaty!

KRAINA WIELKICH ŁOWÓW

Był to dwudziesty dzień wędrówki przez Chaco Boreal. Nad upstrzonym kolorowymi kwiatami zielonym kobiercem stepu unosił się aromatyczny zapach traw. Na czele karawany jechał Tomek na ogierze. Obok szedł pieszo Haboku, tuż za nim kroczyła Mara niosąc jego karabin. Dingo, prawie niewidoczny w wysokiej trawie, biegł przed koniem. W pewnej odległości za przednią strażą jechały konno Sally i Natasza z Wilsonem. Za nimi podążał na mule Wu Meng, który wiódł powiązane długim arkanem juczne konie i muły. Tylną straż tworzyli piesi Huruwa i Pedikwa oraz dosiadający konia Zbyszek. Cubeowie, nie przyzwyczajeni do jazdy konnej, woleli iść pieszo, co nie opóźniało pochodu, ponieważ obciążone juczne zwierzęta nie przyspieszały kroku.

Przez trzy tygodnie Wilmowscy wiedli karawanę na północny wschód, posługując się kompasem jako jedynym drogowskazem. Koczownicy indiańscy, spotykani od czasu do czasu, znali tylko swe tereny łowieckie i nawet nie wierzyli, że dalej mogą jeszcze istnieć jakieś inne krainy. Ponadto spotykani Indianie nieufnie odnosili się do zbrojnych białych ludzi. Dopiero po upewnieniu się, że nic im nie *zagroza*., stawali się przyjaźni i gościnni. Mimo to spotkania z obcymi ludźmi w dzikim Chaco w ogóle w owym czasie nie należały do przyjemnych i bezpiecznych. Toteż Wilmowscy woleli unikać krajowców, którzy mogli być wrogo usposobieni do białych. Nie zawsze jednak było to możliwe.

Pewnego dnia na stepie, urozmaiconym niewielkimi pagórkami, natknęli się na gromadę wędrujących Indian. Na przedzie szło kilku prawie nagich mężczyzn uzbrojonych w dzidy, łuki i strzały. Za opaskami na ich głowach tkwiły czaple lub papuzie pióra. Za zbrojną grupą podążały gęsiego pólnagie kobiety. W przeciwieństwie do mężczyzn niosących tylko swoją broń, kobiety dźwigały juki i niemowlęta. Po obu stronach pieszej gromady kobiet i dzieci szli w pewnych odstępach zbrojni mężczyźni. W pierwszej chwili Indianie byli zaskoczeni spotkaniem karawany Wilmowskich, lecz dzięki przyjaznemu zachowaniu białych ludzi ich nieufność szybko zniknęła. Byli to Indianie Matakowie. Tak jak Zamucoanie i wiele innych plemion, nawet po wprowadzeniu koni w tej krainie nadal pozostawali pieszymi koczownikami. Matakowie szli do znanego sobie wodopoju. Po wręczeniu przez Wilmowskich drobnych upominków obydwie karawany powędrowały razem. Strumień, według zapewnień Indian, miał się znajdować bardzo blisko, ale odnaleźli go dopiero przed zmierzchem.

Wspólny biwak umożliwił zaprzyjaźnienie się z koczownikami. Czas nie odgrywał dla nich żadnej roli. Wędrowali beztrąsko z miejsca na miejsce w poszukiwaniu jadalnych roślin, dzikich owoców i zwierzyny. Wiedli niezwykle prymitywny tryb życia. Na biwakach klecili nie chroniące przed niczym szałas z gałęzi i liści palmowych, ogień krzesali pocierając o siebie dwa kamienie. Tylko niektórzy znali po kilkanaście słów hiszpańskich, toteż uczestnicy wyprawy porozumiewali się z nimi na migi. Następnego dnia Matakowie nie mogli się nadziwić, dlaczego biali ludzie, z którymi tak miło upływał czas, chcą zaraz iść dalej, skoro nie brakowało jedzenia i wody.

Dzień po dniu karawana Wilmowskich wędrowała przez stepy porośnięte trawami sięgającymi koniom do brzuchów, zagłębiała się w widne lasy galeriowe, popasała w

gajach palmowych. Czasem musiała okrążyć nadbrzeżne bagna i zdradliwe grzędawiska uginające się pod stopami, grożące ludziom i zwierzętom zagładą. W niektórych okolicach utrudniały przejście olbrzymie kaktusy drzewiaste [109], gdzie indziej znów rozpościerały się tropikalne lasy spowite lianami i gęstym podszyciem. W lasach tych rosły drzewa kebraczo [110] o bardzo twardym, cennym drewnie zasobnym w garbniki, drzewa świętojańskie [111] zwane algarrobo, rodzące słodkie strąki. Najbardziej jednak charakterystycznym drzewem Chaco było pało borracho [112]. Jego potężny pień, dochodzący nieraz do kilku metrów średnicy, przypominał olbrzymią baryłę na piwo zwężającą się ku koronie, na której wyrastały konary obsypane pięknymi różowymi kwiatami. Oryginalność pało borracho nie polegała jedynie na jego dziwacznym kształcie. Po opadnięciu kwiatów tworzyły się owoce, które po dojrzewaniu otwierały się i odsłaniały nasiona z pióropuszem delikatnego, białego włókna. Za włókno to płacono wtedy wiele razy więcej niż za prawdziwą bawełnę. Niełatwo jednak było dostać się do włóknodajnych owoców, ponieważ beczkowaty olbrzymi pień usiany był zdrewniałymi kilkucentymetrowymi kolcami.

Karawana już dłuższy czas podążała przez prześwitujący, widny las, w którym rosły kaktusy, mimozy i wielkie pało borracho. Sally i Natasza zachwyciły się pięknymi kwiatami beczkowatego drzewa, kwitnącego, jakby na przekór przyrodzie, w okresie bezdeszczowym. Wilmowski wyjaśnił, że jest to możliwe dzięki temu, że pało borracho magazynuje wielką ilość wody w swym potężnym pniu.

Tomek, jak zwykle, znajdował się na czele karawany. Co chwila zerkał na biegnącego przed nim Dinga, ten bowiem wyraźnie okazywał niepokój.

- Haboku, spójrz na psa! - odezwał się zaintrygowany.

Było to jednak zbyteczne. Wytrawny tropiciel szedł z zadartą do góry głową i oddychał głęboko, jakby węszył. Teraz przystanął i rzekł:

- Dingo mądry, czuje dym! Ludzie blisko!

Tomek zatrzymał konia. Dał znak, żeby wszyscy zbliżyli się do przedniej straży.

- Ojciec, Haboku mówi, że jacyś ludzie palą ognisko w pobliżu. Dingo także jest zaniepokojony - oznajmił Tomek.

- Tylko Indianie mogą tutaj palić ogień - zauważył Wilmowski. - Zbliżamy się do granic Paragwaju, więc mogą to być Tobowie, których koczowiska mają się znajdować w południowej części Chaco paragwajskiego i w Argentynie. Musimy zachować wielką ostrożność.

- Haboku, przywołaj Huruwę i Pedikwę, pójdziemy pierwsi - rozkazał Tomek. - Ty, ojciec, i pan Wilson czuwajcie nad Sally i Natką, Wu Meng i Zbyszek pilnują jucznych zwierząt. Sally, bierz Dinga krótko na smycz! Posuwamy się w zwartej grupie. Niech nikt nie sięga po broń bez mego rozkazu!

Ruszyli przed siebie. Teraz już wszyscy czuli swąd ognisk. Naraz zza beczkowatych drzew wystąpili doskonale zbudowani, ciemnoskórzy wojownicy z gotową do użycia

bronią w rękach. Jedni trzymali łuki z nałożonymi na cięciwy strzałami, inni dzierżyli dzidy, kilku miało strzelby. Wygląd Indian upewnił Tomka, że należą do plemienia Tobą. Stali zwartym murem przy swoim przywódcy i obrzucali białych ludzi zuchwałymi spojrzeniami.

Tomek błyskawicznie ocenił sytuację. Nie opodal za zbrojną gromadą widać było szałas, a obok nich w nieładzie porzucone tykwy. Tobowie widocznie zostali zaskoczeni podczas popijania matę, czyli popularnej w Ameryce Południowej herbaty sporządzonej z liści ostrokrzewu paragwajskiego[113]. Dzieci i kobiety pospiesznie kryły się w zaroślach.

Tomek uniesieniem ręki zatrzymał karawanę. Nie spiesząc się zsiadł z wierzchowca, po czym podszedł bliżej do znieruchomiłych wojowników.

- Witajcie, przyjaciele! - odezwał się po hiszpańsku.

Tobowie milczeli, tylko jeszcze bardziej ścieśnili się wokół przywódcy.

- Jesteśmy przyjaciółmi! Witajcie! - ponownie odezwał się Tomek, po czym, jak gdyby nie dostrzegając wrogości, wydobyl z kieszeni fajkę, nabił tytoniem i zapalił zapalke.

Tobowie cofnęli się o krok, gdy drewno błysnęło ogniem. Tomek, nie zwracając uwagi na znieruchomiłych Tobów, spokojnie pykał fajkę. Napięcie Indian jakby trochę zelzało. Człowiek palący fajkę nie mógł planować napaści. W tej chwili Wu Meng wystąpił do przodu. W języku keczua, znanym jako tako niektórym Indianom Chaco, zaczął powtarzać powitanie. Wilmowski wydobyl z juków fajkę i woreczek tytoniu, bez karabinu podszedł do przywódcy Tobów. Na migi zaczął go zachęcać do zapalenia fajki.

Indianin, niepewny, jak ma postąpić, wahał się, zerkał na swych wojowników, lecz nie widząc sprzeciwu, kiwnął głową i dał do zrozumienia, że również chce zapalke. Wilmowski wyjął z kieszeni pudełko, podał je razem z fajką i tytoniem. Tobą włożył trochę tytoniu do fajki. Wyjął zapalke, a gdy potarta o trzaskę błysnęła ogniem, uśmiechnął się zadowolony. Pyknął z fajki kilka razy. Wojownicy z uznaniem spoglądali na kacyka. Wrogi nastrój rozplynął się jak poranna mgła.

Rozochocony kacyk zaprosił białych przybyszów na matę. Mimo zmiany nastroju Indian, Tomek nie zaniechał ostrożności. Kobiety i dzieci Tobów nie wracały do obozu. Kacyk przywołał tylko swoje żony, żeby podały matę. Tobowie musieli się już zetknąć z białymi ludźmi, skoro niektórzy mieli strzelby, a z za pasa kacyka wystawała rękojeść rewolweru. Broń palna mogła być łupem wojennym. Wiadome przecież było, że Tobowie wciąż jeszcze wkraczali na wojenne ścieżki przeciwko białym. Zaproszenie do obozu mogło być podstępem, który miał ułatwić napaść dla zdobycia łupów. Dla tych prymitywnych, wojowniczych koczowników, którzy krzesali ogień za pomocą kamieni, nawet zapalke były łakomym kąskiem. Tomek, zdając sobie z tego sprawę, polecił wszystkim Cubeom i Zbyszkowi, żeby pozostali na straży przy koniach i mułach.

Kacyk prowadził Wilmowskiego do obozu. Za nim szły Sally i Natasza z Wilsonem.

- Senor Tom! Tu czai się zdrada! - cicho rzekł Wu Meng.

- To pachnie zasadzką... - przyznał Tomek.

- Señor, będę cieniem kacyka, w razie zdrady przyłożę mu lufę rewolweru do karku. Będzie zakładnikiem...

- Odważysz się na to?! - upewnił się Tomek.

- Ręka mi nie zdrzży. Bądź spokojny, señor!

- Dziękuję! Nie działaj pochopnie, czekaj rozkazu.

Wkrótce siedli na skórach rozłożonych na ziemi. Żony kacyka podały tykwy z herbatą. Wu Meng, jako tłumacz, siadł między kacykiem i Wilmowskim. Teraz okazało się, że niektórzy Tobowie trochę znają hiszpański. Dopytywali się, czego biali ludzie szukają w Chaco. Proponowali wymianę skór krokodylich, węzowych i piór strusich na proch i kule. Wilmowski wyjaśnił, że jeszcze ma przed sobą długą drogę, więc nie może obciążać juczyń zwierząt rzeczami zbędnymi w tej chwili dla wyprawy. Zgodził się ofiarować kacykowi karabin i trochę nabożów. Poleciał Wilsonowi, żeby przyniósł podarunki. Wilmowski wręczył kacykowi obiecany karabin, trochę nabożów i prochu, sztukę perkalu, nóż, kilka kawałków miedzianego drutu i parę sznurków koralu. Potem powstał, podał kacykowi rękę klepiąc go drugą po plecach i oświadczył, że czas ruszyć w drogę, gdyż słońce już stoi wysoko.

Kacyk ze swoim młodszym synem, prawie jeszcze chłopcem, który nie wypuszczał z rąk łuku, odprowadził Wilmowskich i ich towarzyszy do wierzchowców. Tobowie gromadą szli za nimi.

Sally, Natasza, Wilson i Zbyszek dosiedli koni. Wilmowski właśnie odwrócił się do swego wierzchowca i włożył stopę w strzemię, gdy nagle rozległ się świst strzały wypuszczonej z łuku. Ogier Tomka rzucił się w bok, potem stanął dęba i z żalosnym rżeniem ciężko zwałił się na ziemię. Długa strzała tkwiła głęboko w jego lewym boku.

Uczestnicy wyprawy, jak smagnięci biczem, chwycili za broń.

Tomek, choć wzburzony do głębi, nie stracił zimnej krwi.

- Nie strzelać! Spokój! - krzyknął stanowczym głosem.

Młody syn kacyka jeszcze nie zdążył opuścić łuku po wystrzeleniu zdradzieckiej strzały. Tomek, widząc, że Wu Meng już stoi za plecami kacyka, podszedł do swego nieszczęsnego wierzchowca. Ogier postękiwał żałościwie, z pyska i chrap toczyła się krwawa piana, w agonii bił kopytami o ziemię. Tomek przygryzł wargi. Wydobył kolt z pochwy, przyłożył lufę do ucha ogiera i nacisnął spust. Dreszcz wstrząsnął ogierem, przekrwione ślepia pokryły się mgłą, znieruchomiał.

Tomek, nie wypuszczając z dłoni kolta, podszedł do wyrostka stojącego z łukiem w rękach.

- Dlaczego to zrobiłeś? - zapytał, z trudem tłumiąc gniew i oburzenie. Chłopak zdumiony spoglądał na niego, jakby w ogóle nie pojmował, o co temu białemu może chodzić. Po chwili wzruszył ramionami i wyjaśnił:

- Ty zabijasz naszą zwierzynę, bo musisz jeść. To sprawiedliwe - mówiąc wskazał ręką upolowanego przez Zbyszka jelonka przytroczonego do siodła. - Ja zabijam waszą zwierzynę, bo potrzebuję takiej skóry. To sprawiedliwe!

Tomek, zaskoczony odpowiedzią nie pozbawioną swoistej racji, zerknął na nie opodal stojących półkolem Tobów. Większość z nich nie miała przy sobie broni. Za plecami kacyka jak ciał się Wu Meng, ale była to chyba zbędna ostrożność.

Tomek nie wahał się dłużej. Wepchnął kolt do pochwy, wydobył zza pasa nóż myśliwski. Poklepał chłopaka po plecach i wręczając mu nóż, powiedział:

- Tak, to sprawiedliwe! Zgoda między nami!

Tobowie podchodzili do Tomka, poklepywali go po łopatkach. Niebezpieczeństwo zostało zażegnane. Tobowie pomagali zdjąć juki z jednego z koni i obciążyć nimi muły, ponieważ Tomek musiał zastąpić zabitego ogiera innym wierzchowcem. Wu Meng jako ostatni dosiadł swego muła. Po pożegnalnych poklepywaniach karawana ruszyła w step.

- Pana syn ma żelazne nerwy - odezwał się Wilson do jadącego obok Wilmowskiego. - Doskonale panował nad sobą, chociaż widać było, jak bardzo żał mu ogiera.

- Tomek zdaje sobie sprawę, że odpowiada za bezpieczeństwo nas wszystkich. Gdyby choć tknął palcem chłopaka, wszyscy Tobowie natychmiast by się na nas rzucili.

- Musi pan jednak przyznać, że było w tym wiele ryzyka - przyganił Wilson. - Nie byliśmy przygotowani do odparcia napaści!

- Tak pan sądzi naprawdę?! - zdziwił się Wilmowski. - Nie jest pan zbyt bystrym obserwatorem. Tomek nie zaniechał jak najdalej posuniętej ostrożności.

- Co pan ma na myśli?! - nie dowierzał Wilson.

- Wu Meng ani na chwilę nie odstąpił kacyka. Przez cały czas jego prawa dłoń dotykała rękojeści rewolweru. W razie jakiegoś podstępu kacyk byłby naszym zakładnikiem. To było doskonałe ubezpieczenie. Domyśliłem się wszystkiego, gdy Wu Meng nieznacznie wyjął rewolwer z pochwy i wsunął go za pasek spodni. Wu Meng ostatni wsiadł na muła!

- Nigdy bym się tego nie spodziewał po tym Chińczyku! - zdumiał się Wilson. - Czy on to robił w porozumieniu z Tomkiem?

- Niech pan spyta o to Wu Menga lub mego syna - odpowiedział rozweselony Wilmowski. - Widzę, że jeszcze niezbyt dobrze poznał pan Tomka. To uczeń Jana Smugi!

Wkrótce wszyscy uczestnicy wyprawy dowiedzieli się o tym wydarzeniu. Chwalili przezorność i opanowanie Tomka oraz odwagę Wu Menga. Tylko Tomek nie cieszył się z uniknięcia niebezpieczeństwa. Nie mógł zapomnieć żalostnego rżenia ogiera, którego męki sam musiał skrócić.

Na szczęście zmieniające się jak w kalejdoskopie obrazy mijanych okolic wkrótce pochłonęły jego uwagę. Obydwaj Wilmowscy, rozmiłowani w geografii, ciekawie obserwowali wspaniałą florę Chaco. Fauna, chociaż nie tak bogata, jak można było

mniemać po samej nazwie krainy, także obfitowała w różne gatunki zwierząt. W Chaco żyły pумы, zwane tam lwami, jaguary, lisy, tapiry, pancerniki, pekari, wydry, nutrie, aguti, skunksy, jelenie i sarny, mniejsze od strusi afrykańskich - nandu, żółwie, żarłoczne krokodyle, różne gatunki małp, papugi, półtorametrowe iguany, jadowite węże oraz nieprzeliczalne roje rozmaitych owadów, wody zaś obfitowały w ryby.

Tomek skrzętnie notował ciekawsze spostrzeżenia. Na wieczornym biwaku razem z ojcem obliczał przebytą w ciągu dnia drogę. Według tych obliczeń przebyli już około czterystu kilometrów. Zatem od brzegów rzeki Paragwaj dzieliło ich jeszcze jakieś sto pięćdziesiąt lub dwieście kilometrów. Mogły to być wszakże zwodne rachuby, ponieważ często napotykanne tropikalne lasy i grzędawiska zmuszały ich do obchodzenia niedostępnych lub zbyt trudnych do przebycia miejsc, a tym samym do nakładania drogi. Wcześniejsze ostrzeżenia przewodnika Antonia tymczasem okazywały się niegołosłowne. Coraz częściej odczuwali brak pitnej wody. Słońce z dnia na dzień przypiekało mocniej. Strumienie okresowe wysychały, a w wielu rzekach woda była słona. Pragnienie coraz częściej gnębiło uczestników wyprawy. Konie i muły z braku wody stawały się narowiste, wlokły się ze zwieszonymi łbami. Toteż gdy na horyzoncie zamajaczyła wstęga lasu, w serca wszystkich wstąpiła nadzieja.

Tomek co chwila sięgał po lornetkę i spoglądał ku niedalekiemu lasowi. Gdy ojciec podjechał do niego, rzekł:

- Już można rozróżnić palmy! To las parkowy, więc musi się tam znajdować jakaś rzeczka. Nareszcie będziemy mieli wodę!

- Oby tylko zdatną do picia! - odparł pan Wilmowski. - Tylko patrzeć, jak konie i muły zaczną padać! Jeżeli teraz nie trafimy na wodę pitną, będziemy musieli obciążyć jukami wszystkie zwierzęta, a sami pójść pieszo.

- Myślałem już o tym - powiedział Tomek. - Może jednak teraz nam się poszczęści. Patrz, ojcze! Dingo już znacznie odbiegł od nas! Haboku węszy jak ogar, przyspiesza kroku.

W tej chwili Haboku przystanął, odwrócił się i zawołał łamaną angielszczyzną:

- Tom, woda blisko!

Nie mógł się mylić. Koń Tomka, który dotąd włókł się noga za nogą ze spuszczonego ku ziemi łbem, nagle uniósł go wysoko i głośno zarżał. Wszystkie konie i muły, jakby wstąpiły w nie nowe siły, samorzutnie ruszyły szybciej. Wilmowski natychmiast zawrócił, żeby pomóc prowadzić juczne zwierzęta, które teraz rwały się do przodu i mogły pozrzucać juki.

Nim minęła godzina, karawana w beładnym szyku wpadła w widny, rzadki las. Z dala słyhać było radosne naszczekiwanie Dinga. On to pierwszy dobiegł do zbawczego lasu. Wkrótce wszyscy znaleźli się nad rzeką. Tutaj również długotrwała susza pozostawiła widoczne ślady. Obydwa brzegi i część koryta rzeki pokrywał zaschły muł, tylko środkiem jeszcze płynęła wąska struga wody. Nikt nie był w stanie powstrzymać koni i mułów. Obarczone jeźdźcami i jukami przebrnęły przez skruszały muł wprost do płytkiej strugi.

Dopiero wtedy udało się jeźdźcom zsiąść z koni. Z niemałym trudem wyprowadzili potem zwierzęta na brzeg i pognali z powrotem na skraj lasu, żeby zdjąć juki i rozkulbaczyć wierzchowce.

- Radziłbym pozostać tutaj przez dzień lub nawet dwa - zaproponował Wilson. - Mamy otwarty widok na step, las chroni przed słońcem. Woda jest pod ręką, konie i muły nareszcie napiją się do syta, nabiorą sił. Nam wszystkim również należy się trochę wypoczynku.

- Zgadzam się z panem - odrzekł Wilmowski. - Miejsce istotnie jest bardzo dobre na biwak. Dziki zwierzęta lubi osłaniające przed upałem wilgotne lasy parkowe. Będziemy mogli się zaopatrzyć w świeże mięso. Nasze zapasy zostały już mocno nadszarpnięte. O świcie urządzimy polowanie.

- Korzystajmy z okazji! Kto wie, kiedy znów znajdziemy wodę? - dodał Tomek. - Nie musimy rozkładać namiotu dla kobiet. W tym upale wystarczą szałas.

Jeszcze tego dnia Zbyszek i Tomek dwukrotnie prowadzili zdrożone konie i muły do wodopoju. Zwierzęta wytarzały się w rzeczonym mule, ponieważ butuki, czy bąki końskie, cięły niemiłosiernie. Cubeowie tymczasem zbudowali kilka szałasów z bambusów i liści palmowych. Wu Meng z kobietami przygotowali wieczorny posiłek.

Przed zapadnięciem nocy konie i muły, ze spętanymi przednimi nogami, puszczone w step, gdzie nie brakowało paszy. Tomek porozdzielał nocne warty, potem zasiadł z ojcem przy ognisku i rozłożył mapę. Moskity, dokuczliwe za dnia, obecnie gdzieś zniknęły, pojawiły się natomiast chmary komarów. Wielkie ćmy wabione blaskiem przylatywały do ogniska, obijały się o ludzi i ginęły w płomieniach. Wilmowsky zmęczeni długą drogą wkrótce udali się na spoczynek. Haboku, jako pierwszy pełniący wartę, zasiadł przy ognisku. Dingo wyciągnął się na ziemi obok niego.

Tomek kilkakrotnie podczas nocy sprawdzał, czy wartownicy dobrze strzegą koni i mułów w stepie. W pobliżu dzikich zwierząt stepowych mogły się włóczyć pumy i jaguary. Z wartownikiem i Dingiem obchodził w stepie wierzchowce, których strata byłaby niepowetowana.

Wreszcie rozległy się przeraźliwe głosy wyjców zwiastujące świt. Tomek obudził ojca i Zbyszka. Razem udali się na polowanie. Łupem ich stały się dwie sarny.

Po przyniesieniu zwierzyny do obozu Wu Meng pociął część mięsiwa na długie paski. Rozwiesił je na sznurku rozpiętym między kijami zatkniętymi w ziemię, żeby suszyły się na słońcu. Potem zajął się gotowaniem obfitego posiłku. Sally, Natasza i Mary poszły zbierać dzikie owoce, natomiast Wilmowski, Zbyszek i Wilson pognali muły i konie do wodopoju. Tomek pozostał w obozie. Przysiadł pod drzewem na skraju lasu i rozbawiony obserwował swego czworonożnego ulubieńca.

Dingo właśnie strzegł suszącego się mięsa. Przyczajony w pobliżu sznura i gotów do skoku, niestrudzenie wodził wzrokiem za dużym ptaszyskiem kołującym w powietrzu nad mięsiwem. Drapieżna karakara[114] uważnie obserwowała czworonożnego wroga, ale

widok świeżego mięsa nie pozwalał jej zrezygnować z łupu. Krążyła coraz niżej, zataczała coraz mniejsze koła. Wreszcie odchyliła łeb daleko na plecy i rozległ się nieprzyjemny głos, który brzmiał, jakby ktoś uderzał o siebie dwoma kawałkami drewna.

Dingo warknął, lecz żarłoczna karakara lotem nurkowym dopadła sznura, potężnym, lekko zakrzywionym dziobem porwała kawał mięsa. Dingo skoczył, ale tylko kłapnął zębami w powietrzu, karakara bowiem zręcznie uniknęła jego kłów i odleciała w głąb lasu.

Wu Meng zaalarmowany ujadaniem Dinga, przybiegł na pomoc z warząchwią w garści, było już jednak za późno. Pogłaskał więc Dinga, mówiąc:

- Dobry piesek, dobry! Pilnuj, bo łakome ptaszysko gotowe ukraść wszystko mięso!

Dingo machnął ogonem, po czym znów przywarował w pobliżu sznura.

Dwa dni przeznaczone na odpoczynek minęły bez specjalnych wydarzeń. Po południu drugiego dnia uczestnicy wyprawy czyścili broń, potem przystąpili do pakowania juków, żeby o świcie wyruszyć w drogę. Dzień był upalny, więc wszyscy przebywali w cieniu drzew. Nawet konie i muły popasały w lesie.

Słońce chyliło się ku zachodowi. Przygotowania do drogi były ukończone. Sally i Natasza odpoczywały w hamakach rozwieszonych między drzewami. Mężczyźni przysiedli w lesie i kurzyli fajki. Mara kucnęła przy mężu, który od czasu do czasu pozwalał jej pyknąć swą fajkę. Huruwa i Pedikwa pilnowali koni i mułów, żeby nie odeszły za daleko w las. Niezmordowany Wu Meng przyniósł w kociołku kompot z kwaskowatych owoców, który doskonale gasił pragnienie podczas upalnego dnia.

- Chmurzy się na wschodzie, pewno będzie deszcz - oznajmił stawiając na ziemi kociołek z kompotem.

- Przydałaby się potężna ulewa - zauważył Wilson. - Jeszcze ani razu nie padało podczas wędrówki. Wszystkie rzeczki powysychają.

- W Chaco podobno rzadko pada, ale za to potem ulewa może trwać nawet kilka dni - wtrącił Wilmowski.

- Z rozkoszą wykąpałabym się w wodzie deszczowej - odezwała się Sally. - Resztką wody w strumieniu gęsta jak barszcz!

Tomek poszedł na skraj lasu. Spojrzał w niebo. Od wschodu szybko nadciągały szare chmury. Powrócił na biwak i rzekł:

- Chyba wkrótce będzie padało! Musimy lepiej nakryć liśćmi szalasy. Juki zmokną i będą cięższe.

Zanim Haboku przywołał Huruwę i Pedikwę, żeby wspięli się na palmy po liście, powiał silny wiatr, który wzmagął się z każdą chwilą. Nie było już mowy o wspinaniu się na smukłe pnie palm. Korony drzew kołysały się pod uderzeniami wichury. Cichy dotąd las rozbrzmiewał świstami i wyciem huraganu. Słysząc było trzask łamanych konarów,

wysokie palmy wyginały się jak napinane cięciwami łuki, pióropusze liści niemal dotykały ziemi.

- Uciekajmy w step! - wołał Wilmowski starając się przekrzywić wicher. - W step, w step, tutaj śmierć!

Wycie wichury głużyło jego krzyk, ale złowróżbny trzask i łomot łamanych drzew wszystkim dodał skrzydeł. Zbyszek chwycił Sally i Nataszę za ręce i biegł z nimi w step. Tuż przed Wilmowskim pień grubego drzewa złamany w połowie runął z trzaskiem. Wilmowski zdołał skoczyć w bok i uniknąć śmierci. Haboku i Tomek porwali swą broń i wydostali się na step. Przykucnęli w małym wykrocie. Oszołomieni hukami piorunów i oślepieni błyskawicami nie mogli szukać towarzyszy.

Las, jakby deptany stopami olbrzymów, przyginał się do ziemi, jęczał, rozbrzmiewał piekielnym chichotem. Błyskawice rozdzierały czerń rozpasanego nieba, pioruny były jeden za drugim. Nie opodał drzewo rozszczerzone piorunem błysnęło ogniem. W tej chwili potoki deszczu spadły na ziemię. Gwałtowna wichura nagle ucichła. Wkrótce też ustała ulewa. Gwiazdy rozbłysnęły na niebie i zza lasu wyłoniła się czerwona tarcza księżyca.

Na stepie rozległy się nawoływania. Wkrótce uczestnicy wyprawy zebrali się wokół Wilmowskiego, który z niepokojem sprawdzał, czy odnaleźli się wszyscy.

- Nie ma Pedikwy i Wu Menga - oświadczył po chwili. - Kto ostatni ich widział?

- Może nie udało im się wydostać z lasu? - wtrącił Wilson. - Musimy natychmiast ich szukać! Mogą potrzebować pomocy!

- Idę z panem! Czekać tutaj na nas - powiedział Tomek.

- Tom, teraz nie można do lasu! - ostrzegł Haboku. - Czerwony księżyc nisko. Olbrzymy czyhają!

- Do licha z zabobonami! - rozsierdził się Tomek. - Idziemy, panie Wilson!

Zaledwie uszli kilkadziesiąt kroków, natknęli się na Wu Menga. Tomek porwał go w ramiona i uściskał.

- Jesteś, jesteś na szczęście! - zawołał uradowany. - Czy nic ci się nie stało?!

- Jestem cały i zdrow! - odparł Chińczyk zmieszany wybuchem radości Tomka.

- Co się z tobą działo?! - pytał Tomek. - Zamartwialiśmy się o ciebie i Pedikwę.

- Pedikwa jest tam dalej w stepie, pilnuje koni i mułów, które wyprowadziliśmy z lasu - wyjaśnił Wu Meng. - I tak jeden koń i dwa muły zginęły.

- Człowieku, to zamiast ratować własne życie, myśleliście o koniach i mułach?! - oburzył się Wilson.

- Widocznie tak było zapisane w księdze przeznaczeń - z uśmiechem odparł Wu Meng.

Wszyscy uradowali się powrotem Wu Menga. Sally pierwsza go ucałowała, potem

Natasza, Wilmowski i Zbyszek. Nawet Haboku i Huruwa, którzy nigdy nie uzewnętrzniali swoich uczuć, teraz poklepywali go po plecach. Chińczyk z zażenowaniem przyjmował te objawy przyjaźni. Ze skrzyżowanymi na piersiach rękami nisko kłaniał się każdemu. Potem pogłaskał ocierającego się o jego nogi Dinga.

- Nie ma po co wracać po nocy na biwak. Mokro tam i niebezpiecznie. Dużo drzew zwalonych - powiedział Wilmowski. - Noc ciepła, pozostaniemy tutaj do świtu. Zbyszkule, weź Huruwę i odszukajcie Pedikwę. Przygnajcie konie i muły trochę bliżej.

- Wiem, gdzie jest Pedikwa, zaprowadzę - zaofiarował się Wu Meng. Za przykładem Tomka wszyscy przykucnęli na wilgotnej ziemi, Sally zaraz się odezwała:

- Haboku, powiedziałeś, że nie można iść do lasu, bo księżyc czerwony i olbrzymy czyhają. Czy ty naprawdę wierzysz w leśnych olbrzymów?!

- Wszyscy Cubeowie wiedzą, że w lasach mieszkają olbrzymy - odpowiedział Haboku. - Olbrzym jest tak wysoki, jakby postawiło się jednego na drugim dziesięciu zwykłych ludzi. Każdy olbrzym ma dwie twarze, jedną z przodu, drugą z tyłu głowy. Ciała ich są tak lepkie, że gdy ktoś ich obejmie, już nie może się oderwać. Polują na ludzi. Olbrzymy porywają matki i dzieci. Matkę zjadają, a dziecko wychowują jak swoje. Olbrzymki wolą porywać mężczyzn.

- Czy ktoś z Cubeów widział na własne oczy takiego olbrzyma?

- zagadnął zaciekawiony Tomek.

Haboku poważnie potaknął skinieniem głowy, po czym rzekł:

- Jeden znajomy myśliwy wybrał się w nocy do lasu na polowanie. Czerwony księżyc był nisko na niebie. Wtedy właśnie najłatwiej można spotkać olbrzymów. Olbrzym podkrał się z tyłu i chwycił myśliwego za gardło. Walczyli ze sobą, dopóki myśliwemu nie udało się zabić olbrzyma nożem. Potem uciekł z lasu. Gdy powrócił tam rano, olbrzym przybrał postać leniwca. Wszyscy olbrzymi są włochaci. Zabity olbrzym zamienia się w leniwca, a potem znów staje się olbrzymem.

- Więc nikt nie może zabić takiego olbrzyma? - dopytywała się Sally.

- Nasz szaman zna sposób na nie - odparł Haboku. - Ale tylko szamani mogą tak walczyć z olbrzymami. Trzeba umieć zrobić czarodziejską truciznę.

Natasza zachichotała. Sally trąciła ją łokciem w bok i dalej pytała:

- Czy wiesz, jak się sporządza taką truciznę?

- Trzeba wyciąć łuską kukurydzy włosy spod lewej pachy olbrzyma i piec je, aż przemienia się w popiół. Potem miesza się popiół z wodą i wystawia na słońce, żeby przemienił się w pastę. Tę pastę należy trzymać w tykwie z bani zamkniętej pszczelim woskiem. Gdy olbrzymy atakują, pastę rzuca się między nich. Wtedy ogłupione padają na ziemię.

Noc szybko minęła. Uczestnicy wyprawy udali się do lasu na miejsce biwaku. Zapasy w

blaszanych puszkach ocalały. Trochę juków zostało przygniecionych zwalonym drzewem, ale szkody były niewielkie. Wierzhowiec i dwa muły zginęły. Jeden muł żył jeszcze, ale trzeba było go dobić, ponieważ miał złamaną przednią nogę.

Nim słońce stanęło w zenicie, wyprawa ruszyła w drogę. Dwa muły i trzy konie niosły juki i sprzęt obozowy. Na dwóch wierzhowcach jechały Sally i Natasza, podczas gdy mężczyźni mieli używać czterech pozostałych koni na zmianę.

NAPAD PIRATÓW

Suchoroślowy step złowrogo szeleścił pożółkłymi od słońca trawami. Strumienie okresowe wyschły do dna, w rzadko napotykanym rzeczka ledwo sączyła się słonawa woda. Dzikie zwierzęta błąkały się po okolicy w poszukiwaniu wodopojów. Pewnego dnia karawana Wilmowskich niespodziewanie natknęła się na wędrujące przez step krokodyle[115]. Z daleka trudno było je wypatrzyć w wysokiej trawie. Na szczęście czujny Dingo w porę ostrzegł podróżników przed groźnym niebezpieczeństwem. Olbrzymia gromada krokodyli szła w kierunku północnym. Podobne do potężnych, sękatych pni gady, wyczerpane przebywaniem w nienaturalnym dla siebie środowisku, wlokły się ociężale z otwartymi paszczami. Karawana Wilmowskich w popłochu ustąpiła im z drogi.

- Uporczywie dążymy na północny wschód, a stamtąd, jak widać, uciekają dzikie zwierzęta - zauważył Wilmowski, gdy minęło niebezpieczeństwo. - Chyba zboczyliśmy z drogi do rzeki Paragwaj! Skoro nawet krokodyle ciągną na północ, to zapewne tam musi znajdować się jakaś woda. Zaufajmy instynktowi dzikich zwierząt!

- Nie mamy wyboru - powiedział Tomek. - Konie i muły gonią resztkami sił, zginiemy, jeśli padną!

- Co radzisz, Haboku? - zwrócił się Wilmowski do Indianina.

- Trzeba iść za zwierzętami, one wiedzą, gdzie woda - odparł Haboku.

- W tej głuszy łatwo pobrać - wtrącił Wilson. - Idźmy na północ. Uczestnicy wyprawy już od kilku dni wędrowali pieszo, rozłożywszy juki na wszystkie konie i muły. Znalezienie wody pitnej było kwestią życia lub śmierci. Toteż Wilmowski, po nieoczekiwanym natknięciu się na krokodyle wędrujące przez step, poprowadził karawanę wprost na północ.

Do rzeki Paragwaj musiało być niedaleko. Już następnego dnia półpustynny step z wolna *zaczai* ustępować sawannie. Tu i tam ukazywały się akacje o pierzastych liściach i kolorowych kwiatach pachnących jak fiołki. Lekko parasolowate korony akacji przypominały krajobrazy sawanny afrykańskiej. Karawana wreszcie dotarła do suchego, prześwietlonego lasu porośniętego krzewiastymi palmami, kaktusami i opuncjami, obsypanymi barwnymi, dużymi kwiatami. Krzyki ptaków i pomykające sarny zwiastowały bliskość wody.

Nareszcie była rzeka! Płynęła wprawdzie zwężonym nurtem, ale wystarczającym nawet dla większych łodzi. Skraje koryta pokrywał grząski, wilgotny muł, co wskazywało, że w okresie opadów rzeka musiała być znacznie szersza.

Podróżnicy z trudem powstrzymywali konie i muły rwące się ku wodzie. Na błotnistym brzegu rzeki widniały liczne ślady krokodyli, ponadto w rzece mogły się znajdować krwiożercze piranie. Toteż po rozjuczeniu zwierząt pojono je wodą przyniesioną w blaszanych puszkach z rzeki. Zajęło to sporo czasu. Wu Meng tymczasem rozpałił ognisko. Natasza i Sally pomagały w gotowaniu posiłku. Musiały także zaopatrzyć wyprawę w zapas wody zdatnej do picia.

Tomek i Zbyszek ukończyli właśnie rozpinanie namiotu dla swoich żon. Należał im się solidny odpoczynek po uciążliwej pieszej wędrówce. Tomek, czekając na wodę do picia, siadł w cieniu palm i zapalił fajkę. Nie opodal Cubeowie pętali konie i muły, żeby nie mogły odejść dalej. Wilson i Wilmowski powrócili znad rzeki, przysiedli obok Tomka. Zaczęli nabijać fajki tytoniem.

- Nie ruszajcie się, zarośla niepokoją Dinga... - naraz półgłosem odezwał się Wilmowski.

- Podkradnę się od tyłu... - szepnął Tomek, po czym pykając z fajki powstał i zawołał: - Dingo, do nogi!

Razem z psem ruszył ku Cubeom, którzy ponownie poili wierzchowce.

- Haboku, ktoś się czai w krzewach za namiotem - oznajmił Tomek. -Dingo ostrzega... Bądźcie w pogotowiu, ale zachowujcie się, jak gdyby nigdy nic. Podejdę z odwrotnej strony do krzewów.

Haboku nieznacznie skinął głową; Tomek, zakreślając spory łuk, zbliżył się do podejrzanego miejsca.

- Dingo! Szukaj! Szukaj! - rozkazał.

Dingo rzucił się w zarośla, w których zaraz rozbrzmiało jego chrapliwe warczenie i krzyk kobiety. Tomek z koltem w rękę skoczył za psem. Dingo szczyrzył kły i nie pozwalał podnieść się przewróconej na ziemię Indiance.

- Spokój, Dingo! Zostaw! - zawołał Tomek, dając znak dziewczynie, żeby się podniosła.

W tej chwili obok niego, jak spod ziemi, pojawili się Cubeowie z karabinami gotowymi do strzału.

Na widok Indian dziewczyna poszarzała na twarzy.

- Haboku, sprawdźcie, czy jeszcze ktoś jest w pobliżu - polecił Tomek. Ujął dziewczynę za ramię i poprowadził na biwak.

- To ona czaiła się w krzewach - oznajmił. - Cubeowie przetrząsają okolicę. Natka, opatrz jej ranę na ramieniu.

Indianka była niemal naga. Kawałek bawełnianego samodziału okrywał tylko jej biodra. Natasza zaraz przyniosła podręczną apteczkę.

- Kto ty jesteś? - po hiszpańsku zapytał Wilmowski.

Łagodny głos i budzący zaufanie wygląd poważnego białego człowieka trochę uspokoił dziewczynę.

- Lengua! Lengua! - odezwała się pokazując palcem na siebie.

- Kto cię zranił? - pytał dalej Wilmowski po hiszpańsku. Dziewczyna jednak spoglądała bezradnie. Nie rozumiała, co do niej mówił. Wilmowski na migi ponowił pytanie.

- Payagua! - zawołała dziewczyna, po czym zaczęła opowiadać gestami rąk.

Obydwaj Wilmowscy podczas wypraw łowieckich często porozumiewali się z krajowcami na migi, Tomek ponadto podczas pobytu w Arizonie poznał trochę mowę gestów Indian Ameryki Północnej. Toteż teraz uważnie śledził ruchy rąk dziewczyny. Wkrótce włączył się do rozmowy na migi.

- Dziwne rzeczy opowiada ta Indianka! - odezwał się po chwili. - Jacyś Payaguanie przyплыnęli na łodziach i napadli na ich obozowisko. Mordują mężczyzn, grabią i zamierzają uprowadzić kobiety!

- Udało się jej uciec, zobaczyła dym naszego ogniska, przybiegła prosić o pomoc - dodał Wilmowski.

- Rana na ramieniu powierzchowna - wtrąciła Natasza kończąc nakładanie opatrunku.

Łzy płynęły po twarzy dziewczyny, rękami wskazywała na konie i karabiny.

- Tak, tak, ona prosi o pomoc! - zawołał Wilson. - Co robimy?! W tej chwili Cubeowie powrócili ze zwiadu.

- Nie ma nikogo więcej, tylko ona - poinformował Haboku.

- Co robimy?! - ponaglił Wilson.

- Nigdy dotąd nie odmówiłem pomocy komuś znajdującemu się w opresji - oświadczył Wilmowski. - Tomku, obejmuj komendę!

- Haboku, kulbaczcie konie! - krótko rozkazał Tomek. - Ojczy, proszę cię zostań ze Zbyszkiem przy kobietach! Pan Wilson, Wu Meng i Cubeowie jadą ze mną! Brać broń i na konie!

W przeciągu kilku minut dosiedli wierzchowców. Wilmowski pomógł dziewczynie sięść na konia za plecami Tomka. Miała wskazywać drogę.

- Bądź rozważny, synu! - ostrzegł Wilmowski.

- Wiem, tatusiu, o co ci chodzi! Piąte przykazanie! Pamiętam!...

- uspokoił go Tomek, po czym zawołał: - Ruszamy!

Szybko jechali skrajem lasu według wskazówek dziewczyny. Falista sawanna, upstrzona kępami akacji, palm i kaktusów, pozwalała niepostrzeżenie zbliżyć się do napadniętego koczowiska. Wkrótce też ujrzeli smugi dymu unoszącego się ku niebu.

Nagle z wysokiej trawy powstało kilku mężczyzn. Niektórzy mieli łuki, inni pałki lub dzidy. Wołali coś do dziewczyny siedzącej za Tomkiem na koniu.

- Lengua, Lengua! - krzyknęła dotykając dłonią ramienia Tomka. Tomek powściągnął wierzchowca, inni uczynili to samo. Dziewczyna zeskokczyła na ziemię, podbiegła do grupki mężczyzn. Po pospiesznej rozmowie mężczyźni podeszli do Tomka, który tymczasem zsiadł z konia.

- Źli Payaguanie napadli nas! - odezwał się jeden z mężczyzn łamaną hiszpańszczyzną. - Mordują, grabią...

- Czy walka jeszcze trwa? - zapytał Tomek.

- Zaskoczyli nas, pobili, mają strzelby. Kto mógł, uciekł tak jak my!

- Czy są jeszcze w waszym toldzie? - dopytywał się Tomek.

- Są, pakują łupy, żeby zabrać do łodzi. Powiązali mężczyzn, młode kobiety, żeby zabrać i sprzedać.

- Ilu jest tych Payaguan? - pytał Tomek.

- Dużo, dużo! - mówiąc podnosił dwukrotnie palce obydwóch dłoni.

- Może więcej...

- Nie broniliście się wcale?

- Młodzi na polowaniu, pozostali starsi, szybko nas pobili, mają strzelby!

Tomek zastanowił się krótko i zarządził:

- Napastnicy zamierzają odpłynąć z jeńcami i łupem. Trzeba to udaremnić! Haboku, weźmiesz Huruwę, Pedikwę i sześciu Lenguan. Podkradniecie się brzegiem rzeki i odgradzicie Payaguan od łodzi. Pan Wilson, Wu Meng i pozostali Lenguanie uderzą ze mną z drugiej strony. Napastnicy wzięci w dwa ognie wpadną w popłoch. Może też inni Lenguanie, którym udało się zbiec, powrócą na odgłos walki.

- Señor Tom! Dajmy tym Lenguanom nasze noże i maczety - zaproponował Wu Meng.

Rada była słuszna, ale Cubeowie nie chcieli się pozbyć noży, którymi wprawnie posługiwali się w walce. Oddali tylko maczety.

Według Lenguan koczowisko już było bardzo blisko, więc Tomek polecił pozostawić konie przywiązane arkanami do drzew. Lenguanka miała ich pilnować. Gdy obydwie grupy były gotowe do wyruszenia, Tomek rzekł:

- Haboku, uderzysz na Payaguan od strony rzeki, gdy usłyszysz nasze strzały!

- Dobrze, Tom! - odparł Cubeo.

Tomek pod osłoną wysokiej trawy podprowadził swoją grupę w pobliże koczowiska. Payaguanie, upojeni łatwym zwycięstwem, czuli się bezpieczni, nawet nie wystawili straży. Tomek pozostawił swoich towarzyszy ukrytych wśród karłowatych palm, sam zaś podkraść się do koczowiska na rozpoznanie.

Payaguanie plądrowali szałas. Wynosili i składali na ziemi skóry krokodyli, pum, wężów, strusi i strusie pióra, łuki i strzały, suszone mięso, maniok, kaczany kukurydzy, kalebasy z chichą. Dwóch Indian opiekowało nad ogniskiem jakiegoś zwierzaka.

Na ubitej ziemi przed szałasami siedziały młode kobiety z powiązanymi z tyłu rękami. Przy nich przykucały wystraszone dzieci. Kilku starszych mężczyzn również zostało wziętych do niewoli. Ci oprócz rąk mieli także skrupowane nogi. Od razu rzucało się w oczy, że część rabusiów już obficie uraczyła się chichą. Nie opodal koczowiska leżały trupy pomordowanych Lenguan.

Tomek wycofał się do swych towarzyszy.

- Payaguanie rabują, co się da! - oznajmił, - Nie żalowali sobie chichy. Teraz my ich zaskoczmy! Idziemy!

Pod osłoną wysokiej trawy i krzewiastych palm podeszli na sam skraj koczowiska.

Wysoki, dobrze zbudowany Payagua, zapewne przywódca, wydawał jakieś polecenia podochoconym kompanom, którzy potakiwali głowami i co rusz wybuchali gromkim śmiechem. Wódz podszedł do skulonych na ziemi branek, chwycił jedną brutalnie za włosy i zaczął ciągnąć do pobliskiego szałas. Inni Payaguanie zachęcali go okrzykami.

Wu Meng i Wilson, jak na komendę, unieśli karabiny, lecz Tomek powstrzymał ich ruchem dłoni. Sam szybko powstał, przyłożył sztucer do ramienia i niemal w tej samej chwili huknął strzał.

Wódz Payaguan wrzasnął przeraźliwie. Kula strzaskała mu nadgarstek ręki, którą ciągnął dziewczynę za włosy. Wu Meng i Wilson rozpoczęli strzelaninę. Mierzyli dobrze, kilku bandytów padło na ziemię. Zanim okaleczony wódz zdołał ochłonąć, Tomek kilkoma susami doskoczył do niego i uderzeniem kolby sztucera pozbawił przytomności. Dwóch Lenguana przybiegło do Tomka, ten zaś kazał im strzec nieprzytomnego wodza. Teraz dobył kolta. W ostatniej chwili uskoczył w bok przed jakimś drabem zamierzającym się nań nożem. Wu Meng, który w wirze walki nie spuszczał Tomka z oka, strzałem z rewolweru powalił napastnika.

Znad rzeki rozbrzmiała palba karabinowa. Haboku rozpoczął atak. Wzięci w dwa ognie Payaguanie próbowali się bronić, mimo że stracili wodza. Jednakże walka nie mogła już trwać długo. Wu Meng i Wilson dzielnie wsparli Tomka. Ich kule rewolwerowe siały spustoszenie, lecz szalę zwycięstwa przechylili ostatecznie Cubeowie, bezlitośni dla wrogów podczas bitwy. Oni to odegnali Payaguan od rzeki i na karkach niedobitków wpadli między szałas.

Nie wszyscy towarzysze Tomka wyszli bez szwanku z krótkiej, gwałtownej bitwy. Kula karabinowa rozorała skórę na lewej skroni Pedikwy, który mimo to nie wycofał się z walki. Dopiero teraz Lenguanki obmyły mu zakrwawioną głowę, obłożyły ranę ziołami i obwiązały skrawkami bawelnianego samodziału. Wilson zraniony był nożem w prawą rękę, Wu Meng miał podsiniaczone oko. Kobiety gorliwie zajęły się rannymi.

Tomek, uspokojony dobrym samopoczuciem przyjaciół, zatroskany obliczał straty wroga. Czternastu Payaguan poległo, czterech rannych dobili uwolnieni z pęt Lenguanie, zanim Tomek zdążył temu zapobiec. Okaleczony przez niego i wzięty do niewoli wódz Payaguan zniknął jak kamfora. Żądni zemsty Lenguanie, wbrew rozkazowi Tomka, zapewne zabili go i ukryli.

Kilku napastników zdołało umknąć w gąszcz przysadzistych palm. Tych bez trudu można by wytropić po sprowadzeniu Dinga, ale Tomek wcale o tym nie myślał. Przygnębiony zastanawiał się, co powie ojciec, któremu przed wyruszeniem na odsiecz obiecał pamiętać o piątym przykazaniu.

Lenguanie tymczasem dziękowali wybawcom za pomoc, poklepywali ich po łopatkach, zapraszali w gościnę do tolda. Kobiety porządkowały koczowisko, wybierały swoją własność ze stosu łupów przygotowanych przez napastników do wywiezienia. Kilku chłopców pobiegło nałowić świeżych ryb.

Wilson i Tomek zaczęli wypytywać się o rzekę Paragwaj, którą mieli popłynąć na północ. Okazało się, że Lenguanie koczowali właśnie nad dopływem Paragwaju. Jak wiele plemion Chaco, nie budowali i nie posiadali łodzi. Wędrówki odbywali pieszo. Ich rzeka na południowym wschodzie wpływała do Paragwaju, ale nie zapuszczali się w tamte strony. Tam bowiem mieli swe sadyby rozbójnicy rzeczni Payaguanie[116], którzy na łodziach urządzali pirackie wyprawy na tolda innych plemion. Rabowali nie tylko mienie, lecz porywali również młodych mężczyzn, kobiety i dzieci, których sprzedawali wojowniczym Mbayom[117]. Lenguanie w obawie przed Payaguanami i Mbayami nie zapuszczali się na południowy wschód, natomiast od czasu do czasu chodzili na północny wschód do odległego o trzy dni drogi Puerto Suarez, gdzie wymieniali skóry zwierzęce oraz czaple i strusie pióra na potrzebne im rzeczy:

Były to dla Tomka niezwykle ważne i intrygujące wiadomości. Po raz pierwszy usłyszał o piratach Payagua grasujących w samym sercu Ameryki Południowej. Jak się później dowiedział, Payaguanie nie byli jedynymi rozbójnikami rzecznyymi. Indianie Mura[118], nad rzekami Madeira i Purus w zachodniej Brazylii, również dokonywali na łodziach napadów na polenka osiadłych sąsiadów. Faktem było, że niektóre plemiona Chaco rozwinęły kilka własnych cech. Na przykład Mbayowie, jeszcze jako wędrowni myśliwi i zbieracze, ujarzmili osiadłe plemię rolnicze mówiące językiem arawaka. Podbitych traktowali jak niewolników. Po zdobyciu koni zamieszkali w stałych osadach i stworzyli strukturę klasową. Podczas gdy słudzy i niewolnicy uprawiali ziemię i doglądali osad, dostojnicy oraz wojownicy Mbayów wyruszali na dalekie wyprawy wojenne.

Tomek i Wilson uradowali się wiadomością, że od Puerto Suarez dzielą ich już tylko trzy dni drogi. Przecież celem ich wędrówki przez Chaco Boreal było właśnie Puerto Suarez, które na przestrzeni od granicy brazylijskiej na wschodzie aż do podnóży Andów na zachodzie było jedynym miasteczkiem boliwijskim. Puerto Suarez dzieliło zaledwie kilkanaście kilometrów od brazylijskiej Corumby na prawym brzegu rzeki Paragwaj. Stamtąd właśnie wyprawa Wilmowskich chciała popłynąć statkiem na północ wzdłuż granicy boliwijsko-brazylijskiej. Gdy Lenguanie dowiedzieli się, że ich wybawcy podążają do Puerto Suarez, natychmiast zobowiązali się dać przewodników dobrze znających drogę. W takiej sytuacji Tomek i Wilson przyjęli zaproszenie na odpoczynek w toldzie. Bez zwłoki wyruszyli po resztę uczestników wyprawy i juki. Tylko ciężiej zraniony Pedikwa pozostał u Lenguan. Kobiety przygotowały mu wygodne posłanie w przestronnym szałasie.

Zanim cała karawana Wilmowskich zdążyła przybyć do tolda, myśliwi Lenguan wrócili z polowania. Oczywiście nie obyło się bez lamentów nad kilku poległymi w walce z piratami. Wkrótce jednak życie w toldzie powróciło do normalnego trybu, gdyż tak z okazji pogrzebów, jak i ślubów Lenguanie nie odprawiali specjalnych ceremonii.

Taruma, naczelnik tolda, który także brał udział w polowaniu, powitał białych gości tradycyjną matę. Dopiero po opróżnieniu kilku tykw rozpoczęły się rozmowy. Taruma mówił łamaną hiszpańszczyzną przeplataną gestami rąk. Długo dziękował za rozgromienie piratów. Młodzi myśliwi i wojownicy również wyrażali swoją wdzięczność i prosili białych gości o jak najdłuższe pozostanie w ich toldzie.

Zapewniali, że nikomu nie zabraknie mięsa, ryb i owoców. Gromadnie zabrali się do budowania nowych szałasów dla swych wybawców. Taruma ponownie zapowiedział, że przewodnicy szybko doprowadzą białych podróżników do Puerto Suarez.

Podczas gdy Nataszą, Sally i Mara zmieniały opatrunki Pedikwie i Wilsonowi, Wilmowski i Zbyszek wręczali gościnnym Lenguanom podarunki. Wu Meng z Cubeami i Tomkiem umieścili juki w obszernym szałasie, po czym spętali muły i konie i puścili je na popas. Tomek polecił Haboku, żeby zwracał uwagę na wierzchowce, a sam poszedł do szałasu, w którym opatrywano rannych.

- Nie frasuj się, Tomku! - powitała go Nataszą wodząca rej jako sanitariuszka. - Oczyściłam rany naszych dzielnych przyjaciół! Kula rozorała skórę na skroni Pedikwy, ale kość nienaruszona. Lenguanki przyniosły zioła gojące. Mara orzekła, że są dobre, a wiesz przecież, że zna się na tym. Więcej kłopotu ma pan Wilson. Stracił sporo krwi. Rana oczyszczona, krwawienie zatamowane, unieruchomiłam dłoń.

- Oby tylko nie wdało się zakażenie! - zaniepokoił się Tomek.

- Nie ma obawy, Tomku! - uspokoiła go Nataszą. - Dałam obydwu rannym surowicę przeciwtężcową. Rewelacyjny lek, jeden z najnowszych wynalazków medycznych. Wynalazca otrzymał za niego nagrodę Nobla![\[119\]](#)

- Nie wiedziałem, że istnieje taka surowica - zdziwił się Tomek.

- Skąd ją masz?

- Wujek przywiózł z Niemiec, powiedział mi też, jak należy ją stosować. Szkoda, że nie mieliśmy jej podczas poprzedniej wyprawy. Ile to nakłopotaliśmy się po walce z Kampami!

- Zioła lepsze od leków białych ludzi - odezwała się Mara. - Pedikwa będzie zdrów i pan Wilson będzie zdrów. Nie martw się, Tom!

- Skoro takie dwie sławy medyczne nie przewidują komplikacji, to możemy być spokojni - rozweselił się Tomek.

- Jakże by mogło być inaczej pod opieką takich urodziwych lekarek!

- dodał Wilson. - Aż żal bierze, że już są mężatkami!

- Zostaniemy tutaj do zabliznienia ran - powiedział Tomek. - W tym klimacie nie wolno lekceważyć takich spraw.

- Najwyżej dzień lub dwa - zaoponował Wilson. - Jeszcze szmat drogi przed nami, a czas ucieka!

- Może uda nam się wynająć tragarzy - rzekł Tomek. - Moglibyśmy wtedy znów jechać wierzchem.

- Świetna myśl! - pochwaliła Sally. - Tommy na wszystko znajdzie radę. Żałuję, że nie mogłam wziąć udziału w rozprawie z piratami!

- Daliśmy im dobrą nauczkę! - powiedział Wilson. - Tylko kilku zdołało umknąć w step. Obserwowałem pana ojca, gdy zdawał pan relację z przebiegu odsieczy. Wydawało mi się, że nie uradował go pogrom piratów.

- Nie myli się pan - przyznał Tomek. - Ojciec przeciwny jest przemocy. Chciałem zapobiec krwawej rozprawie. Dlatego tylko unieszkodliwiłem wodza piratów. Na nic to się jednak zdało!

- Stracilibyśmy twarz u naszych Cubeów, gdybyśmy kazali im cackać się z bandytami - stwierdził Wilson.

- Pozbądź się skrupułów, Tomku! - kategorycznie rzekła Nataszą. - Na brutalną przemoc i siłę odpowiada się siłą!

- Brawo, Natka! Tak właśnie powinni mówić rewolucjoniści! - powiedział Zbyszek wchodząc do szałas. - Słuchaj, Tomku, gdy wyruszyliście na pomoc napadniętym Lenguanom, zapytałem wujka, co zrobimy z piratami, których część na pewno weźmiecie w niewolę.

- Co ojciec odpowiedział? - ponaglił Tomek.

- Wzruszył bezradnie ramionami i odparł: "Nie ma potrzeby głowić się nad tym. Nie będzie żadnych jeńców." Zapytałem więc, dlaczego wujek jest tego pewny, a on tylko markotnie uśmiechnął się i rzekł: "Przecież w odsieczy znajduje się trzech Cubeów. Indianin na wojennej ścieżce nie zna uczucia litości. No, a poza tym jest tam Chińczyk Wu Meng... cicha woda brzegi rwie."

Tomek odetchnął z ulgą.

- Rozejrzę się trochę po koczowisku - powiedział, gwizdnął na Dinga i wyszedł z szałas.

Lenguanie byli jednym z liczniejszych plemion Chaco. Kacykowie poszczególnych szczepów, wędrujących po bezdrożach stepów, sawann i lasów palmowych, podlegali jednemu wielkiemu naczelnemu wodzowi wszystkich Lenguan. Szczep Tarumy liczył kilkadziesiąt rodzin. Obecnie z powodu długotrwałej suszy koczował od kilku tygodni nad brzegiem rzeki, gdzie było wody pod dostatkiem i łatwiej o zwierzynę.

Tomek z Dingiem u nogi ciekawie rozglądał się po toldzie. Prymitywne szałas, byle jak zbudowane z gałęzi i liści palmowych, nie mogły chronić przed deszczami i wichurami, które przecież i tak rzadko występowały w Chaco, ale dostatecznie osłaniały przed palącym słońcem. Nie opodal za koczowiskiem leżały poletka manioku i kukurydzy.

Lenguanki zdawały się już nie pamiętać o porannym napadzie. Odziane jedynie w krótkie spódniczki z bawełnianego samodziału lub ze skór strusich, zajmowały się

sprawami gospodarskimi. Myśliwi upolowali tapira, pancernika, trzy pekari, jelenia i kilkanaście papug, chłopcy nałowili świeżych ryb, toteż kobiety gotowały i piekły mięsiwo, ryby, tłukły w drewnianych stępach [120]ziarna kukurydzy, oporządzały korzenie manioku, wieczorem bowiem miała się odbyć wielka uczta. Z pobliskiego lasu dochodziły nawoływania dziatwy zbierającej dzikie owoce.

Budowa szałasów należała do mężczyzn, ale kobiety wykonywały wszystkie inne prace, łącznie z noszeniem dobytku podczas wędrówki. Z rozlicznych zajęć kobiet uwagę Tomka zwrócił prymitywny sposób tkania wzorzystych, barwnych poncz[121], z których każde mogło służyć jako płaszcz, a zarazem przykrycie przez dziesiątki lat. Do tkania takiego pięknego płaszcza wystarczało Lenguance tylko kilka patyków oraz duży palec u własnej lewej stopy, o który zahaczały nici.

Tomek przysiadł wreszcie przy ojcu. Wilmowski i Taruma popijali matę przed szałasem. Otaczało ich kilkunastu ciemnobrunatnych młodych myśliwych-wojowników. Blizny na ich skórze były widowym rejestrem walk międzyplemiennych i niebezpiecznych polowań na drapieżniki. Wszyscy mieli także tatuaże i ciała pomalowane farbami w różne desenie. Na szyjach nosili naszyjniki z zębów zwierząt, we włosach na głowach pióra czaple i papuzie, a w uszach wielkie drewniane kolczyki. Ich ubiór stanowiły szerokie, frędzlaste u dołu pasy skórzane bądź barwne, oryginalnie tkane, z bawełny.

Jeszcze przed wieczorem zapłonęły duże ogniska. Na zaproszenie Tarumy wszyscy uczestnicy wyprawy zasiedli przed jego szałasem, największym w obozie. Rozpoczęła się uczta. Gościnni Lenguanie zachęcali białych gości do jedzenia i picia chichy, znów prosili, żeby pozostali w toldzie, jak długo zechcą.

Wkrótce po nadejściu nocy, gdy na rozgwieżdżonym niebie pojawił się księżyc w pełni, na znak starego szamana mężczyźni wystąpili na ubity plac między szałasami. Stanęli po kilku w szeregach ujmując się za ramiona. Przed mężczyznami podobnie ustawiły się kobiety. W takt monotonicznie nuconej przez wszystkich Lengan pieśni rozpoczęły się tańce obrzędowe.

Było to urzekające, romantyczne widowisko. Mężczyźni i kobiety, zwróceni twarzami do siebie, rytmicznie podskakiwali, przekładali na przemian nogi, szeregi ujmujących się za ramiona tancerzy to zbliżały się do siebie, to oddalały. W tajemniczej, jakby lekko zasnutej mgłą poświacie księżyca w pełni odblaski płonących ognisk rzucały migotliwe, krwawe refleksy na nagie ciała tancerzy.

- Patrz, ojcze! - szepnął Tomek.

- Zew dzieci natury... - cicho powiedział Wilmowski.

Haboku z Marą, Huruwa i Pedikwa z zabandażowaną głową w porywie mistycznego nastroju włączali się właśnie do obrzędowego tańca.

Taruma dostarczył Wilmowskim tragarzy i przewodników, którzy na bezdrożach sawann, stepów i gajów palmowych instynktem nomadów odnajdywali właściwy

kierunek. Z wyjątkiem Haboku, Mary i Huruwy pozostali uczestnicy wyprawy jechali konno. Toteż po trzydniowej wędrówce bez przeszkód już dotarli do Puerto Suarez.

Przygraniczne boliwijskie miasteczko było w rzeczywistości nieco większą wioszczyną. W odległości około dwudziestu kilometrów na wschód znajdowała się granica boliwijsko-brazylijska, a od niej było już tylko piętnaście kilometrów do Corumby, położonej na szczycie skały wapiennej nad rzeką Paragwaj.

Puerto Suarez, na którego peryferiach często pojawiały się strusie, węże boa i pумы, liczyło niewiele ponad tysiąc mieszkańców, prawie wyłącznie Metysów. Jedyne sklepy emigranta niemieckiego, ożenionego z Indianką z plemienia Bororo[122], zaopatrzony był we wszystko, czego mogli potrzebować ludzie na tym bezmiernym pustkowiu. Tutaj też przychodzili Indianie Lengua, Bororo, Tobą i inni wymieniać swe produkty i trofea łowieckie na strzelby, proch i kule oraz rozmaite produkty i przedmioty przemycane z Brazylii. Puerto Suarez egzystowało i służyło z przemytnictwa. Władze boliwijskie w ogóle nie interesowały się nielegalną działalnością na dalekich i bezludnych rubieżach wschodnich kraju, celnika brazylijskiego natomiast przemytnicy z łatwością omijali.

Wilmowscy rozbili obóz nieopodal Puerto Suarez, ponieważ w parterowych domkach mieszkańców miasteczka panowała wilgoć, zaduch i roilo się od pluskiew.

Wilmowski i Wilson bez zwłoki udali się konno do Corumby, żeby zasięgnąć informacji o statkach kursujących po rzece Paragwaj. Okazało się, że dopiero za dwa tygodnie miał przybyć statek płynący na północ do Cuiaby, stolicy stanu Mato Grosso[123]. W porze deszczowej podróż statkiem z Corumby do Cuiaby trwała około ośmiu dni, ale obecnie, w porze suchej, mogła się przeciągnąć do trzech tygodni. Czekanie na statek byłoby poważną stratą czasu, tym bardziej że Wilmowski chciał dopłynąć do leżącego w innym kierunku Caceres, skąd wiodła linia kolejowa do Mato Grosso nad rzeką Guapore[124].

Wilson i Wilmowski powrócili zakłopotani. Wszyscy uczestnicy wyprawy natychmiast zbrali się na naradę.

- Pechowa wyprawa! Znow utknęliśmy w martwym punkcie - rozpoczął relację Wilson.
- Podobno dopiero za dwa tygodnie ma płynąć jakiś statek do Cuiaby. My tymczasem chcemy się dostać do Caceres. Nikt nie popłynie pod prąd łódkami taki szmat drogi!

- Czy nie można spodziewać się jakiegoś innego statku? - zapytał zafrasowany Tomek.
- Przy przystani jest zacumowany tylko jeden mały, stary bocznołowiec o górnołotnej nazwie "Pireus" - wtrącił Wilmowski. - Tkwi tam już prawie miesiąc z powodu uszkodzenia kotła parowego.

C - Rozmawialiśmy z kapitanem tego pudła, Populousem, Grekiem z pochodzenia - dodał Wilson. - Pociągając z butelki beczelnie zakpił: "Naprawicie mój kociołek, to popłynę z wami!"

- Czy nie powiedział, co to za uszkodzenie? - zaciekawił się Wu Meng.

- Ani on, ani jego czteroosobowa załoga niewiele się na tym znają - odparł Wilson. - Piją ze zmartwienia i czekają, aż znajdzie się ktoś, kto naprawi.

- Senior Wilmowski, chciałbym obejrzeć ten kocioł - zaproponował Wu Meng. - Przybyłem z Chin do Ameryki jako palacz na statku. W drodze aż dwa razy musieliśmy naprawiać kotły.

Wszyscy ze zdumieniem spojrzeli na Chińczyka.

- Señor Wu Meng, gdyby udało się panu dokonać naprawy, powiedziałbym, że Opatrzność zesłała nam pana - oświadczył Wilmowski. - Jeszcze dzisiaj ruszamy do Corumby.

W cztery dni później wyprawa płynęła na "Pireusie" w górę Paragwaju. Wysoki, cienki komin zionął czarnym dymem, który włókł się za statkiem niczym ogon za kometą. Co trzydzieści kilometrów "Pireus" musiał przybijać do brzegu, aby uzupełnić zapas drewna opałowego. Wtedy czteroosobowa załoga kapitana Populousa i wszyscy mężczyźni uczestniczący w wyprawie przystępowali do pracy.

Dzień po dniu "Pireus" mozolnie walczył z prądem rzeki. Na obydwóch brzegach rozpościerała się dziewicza dżungla, toteż statek w wąskich dopływach Paragwaju często ocierał się o gałęzie drzew zalanego lasu. Sally i Natasza przez całe dni przebywały na pokładzie wypatrując przepływających rzekę tapirów i stad krokodyli bądź buszujących na gałęziach drzew wspaniałych ar.

Wu Meng i pomagająca mu Mary przygotowywali posiłki dla uczestników wyprawy. Kapitan Populous był wprawdzie zobowiązany do żywienia pasażerów, ale jedynymi uznawanymi przez niego daniami były: ryż, fasola i tak zwana feijoada, to jest sucha mąka maniokowa z wołowiną, które szybko się wszystkim przejadły.

Statek dwukrotnie osiadał na mieliznach, z których trzeba było go ściągać za pomocą stalowej liny przywiązanej do pnia potężnego drzewa na brzegu. Wchodzenie do wody było jednak bardzo niebezpieczne ze względu na piranie.

Po dziesięciu dniach krajobraz zaczął się zmieniać. Dżungla ustępowała miejsca płaskowyżowi brazylijskiemu. Na tle białego lub żółtego piasku pienily się kępy mleczozielonej, ostrej trawy. Tu i tam rosły karłowate drzewka o grubej, pokrytej kolcami korze i woskowanych liściach. Tomek i Zbyszek tęsknym wzrokiem spoglądali na osławione Mato Grosso, krainę złota, diamentów, awanturników i zbiegów kryjących się przed prawem.

Dopiero po dwóch tygodniach uciążliwej żeglugi wyprawa Wilmowskich znalazła się w pociągu podążającym z Caceres do Mato Grosso, kilkutyśięcznego miasteczka nad rzeką Guapore.

ROZKAZ GENERAŁA

Mały bocznokołowiec wolno płynął z prądem rzeki Mamore. Na prawym brzegu już wylaniało się z leśnego gąszczy miasteczko Guajara Mirim. Martinez, właściciel i zarazem kapitan stateczku, z niepokojem spoglądał przez lunetę ku wybrzeżu.

- Coś niedobrze to wygląda! - odezwał się po chwili. - Za dużo zbrojnych ludzi na przystani. Przyjrzyj się sam, señor!

Wilmowski wziął podsuniętą mu lunetę. Na przystani z drewnianych bali krzątała się gromada Indian i Metysów uzbrojonych w karabiny. Atletycznie zbudowany Mety s wydawał zapewne jakieś rozkazy gestykulując ręką. Kilkunastu Indian znajdowało się przy łodziach.

- Nabrzeże obstawione zbrojnymi ludźmi, którzy trzymają w pogotowiu łodzie - potwierdził Wilmowski.

- Masz teraz dowód, señor, że słusznie odradzałem płynięcie w te strony - z wyrzutem rzekł Martinez. - Źle postąpiłem ulegając namowom! Od trzech miesięcy trwają poważne zamieszki na północnej granicy Boliwii. Rewolucjoniści zapewne opanowali także Guajara Mirim.

- Słyszeliśmy w Mato Grosso, że tutaj budują jakąś ważną linię kolejową - wtrącił Tomek. - Może to straż budowniczych kolei?

W tej chwili na wybrzeżu rozbrzmiały strzały.

- Dają znak, żebyśmy przybili do przystani - powiedział Wilmowski.

- Co robimy?

- Nie ma rady, señor, musimy przybić do brzegu - stanowczo oświadczył Martinez. - Jeżeli nie usłucham wezwania, ostrzelają nas i dogonią na łodziach.

- Możemy jeszcze zawrócić i wysiąść na brzeg w innym miejscu - doradził Wilson.

- Daleko byśmy nie odpłynęli, zapas drewna opałowego wyczerpany - odparł Martinez. - Nie możemy umykać w dół rzeki z prądem. Za Guajara Mirim aż do ujścia liczne progi uniemożliwiają dalszą żeglugę po Mamore.

- Trudno, przybijamy - stwierdził Wilmowski.

- Ma pan rację - potwierdził Wilson. - W Guajara Mirim i tak kończy się zadanie pana Martineza. Stąd musimy już pieszo dotrzeć do rzeki Abuna na północnej granicy Boliwii. Jeżeli to rewolucjoniści, to może się z nimi jakoś dogadamy, a jeżeli nie, nie jesteśmy bezbronni!

- Kobiety do kabiny! - rozkazał Tomek. - Reszta niech ma broń w pogotowiu!

Trzej Cubeowie, Wilson, Wu Meng i Zbyszek z karabinami w rękach stanęli murem za Tomkiem. Stateczek tymczasem wolno przybijał do prowizorycznej przystani.

- Señor, nie rozpoczynaj pochopnie strzelaniny! - ostrzegł Martinez.

- Niech się pan uspokoi, rozważa leży w naszym interesie - zapewnił Wilmowski. - Mamy dotrzeć w okolice Cobija, jeszcze kawałek drogi przed nami.

- Musimy trzymać ich w szachu. Jeżeli wtargną na statek, nie damy im rady - dodał Tomek.

Dwóch ludzi z załogi Martineza rzuciło cumy. Indianie na brzegu natychmiast przywiązali je do drzew. Wilmowski podszedł do burty i zapytał po hiszpańsku:

- Czego chcecie od nas?

Olbrzymi Metys wysunął się przed zbrojną gromadę. Na jego piersi krzyżowały się przewieszane przez ramiona dwa pasy z nabojami karabinowymi, na prawym biodrze zwisała pochwa z rewolwerem, w rękach trzymał karabin. Spod przymrużonych powiek wodził wzrokiem po mężczyznach zgrupowanych na pokładzie statku.

- Wszyscy przybywający do Guajara Mirim podlegają ścisłej kontroli - oświadczył po chwili.

- Czyjej kontroli?! - indagował Wilmowski.

- Generała, taki jest jego rozkaz! - krótko odparł Metys.

- Cóż to za generał? - wtrącił Tomek. - Jesteśmy obywatelami angielskimi, dokumenty mamy w porządku.

Metys ponownie obrzucił podejrzliwym wzrokiem mężczyzn na statku, po czym kpiącym tonem powiedział:

- To się jeszcze okaże. Na statku biali ludzie, Chińczyk, Indianie, i to mają być Anglicy! Czy to nie podejrzane?! Sam przyznaj, señor. Nie mówisz prawdy. Pójdziecie do generała, on zadecyduje!

- Słuchaj, señor - odezwał się Wilmowski. - Jesteśmy angielską wyprawą naukową. Ci ludzie uczestniczą legalnie w naszej wyprawie, potwierdzą to posiadane przez nas dokumenty. Uzyskaliśmy zgodę władz na odbycie tej wyprawy.

- O jakich władzach mówisz, señor?! Tutaj obowiązuje tylko rozkaz generała! - rzekł Metys.

- Skoro tak twierdzisz, dobrze! - odparł Wilmowski. - Jeden z nas pójdzie do generała i przedstawi dokumenty.

Metys medytował przez chwilę, po czym odparł:

- Zgoda! Jeden idzie ze mną, reszta pozostaje na statku, ale ostrzegam, moi ludzie będą was mieli na oku, a oni... lubią strzelać!

- Będziemy o tym pamiętali, nie szukamy awantury - zapewnił Wilmowski.

- Ojczy, ja pójdę pogadać z tym generałem - cicho powiedział Tomek. - Ty prowadzisz wyprawę, co będzie, jeżeli cię zatrzymają?

- Dobrze, masz szczęśliwą rękę do załatwiania takich spraw - zgodził się Wilmowski. -

Zaraz dam ci dokumenty.

- Lepiej miej przy sobie, mogliby mi je odebrać - rzekł Tomek. Sztucer swój przekazał Haboku, po czym tylko z koltem u pasa zszedł po wysuniętej ze statku desce na przystań. Metys zaraz podszedł do niego i rozkazał:

- Oddaj rewolwer!

Tomek bez słowa protestu wyjął kolt z pochwy i wręczył Metysowi. Trzej zbrojni Indianie z Metysem na czele poprowadzili go w kierunku zabudowań.

Odebranie rewolweru nie miało dla Tomka istotnego znaczenia. Mieścina roiała się od zbrojnych Indian i Metysów, wszelki opór był niemożliwy. Tomek teraz gubił się w domysłach, jaki los mógł przypaść Smudze i Nowickiemu, skoro rewolucja przybrała tak niepokojąco duże rozmiary. Nie miał jednak wiele czasu na rozmyślanie. Eskorta właśnie zatrzymała się przed obszernym parterowym domem wzniesionym na grubych palach. Przed werandą osłoniętą palmowym daszkiem pełniło straż kilku uzbrojonych po zęby Indian. Metys cicho coś do nich zagadał, a następnie zwrócił się do Tomka:

- Poczekaj tutaj, senior, powiadomię generała!

Wszedł na werandę i zniknął za matą osłaniającą otwór drzwiowy. Z wnętrza domu dochodziły piskliwe kobiece śpiewy. Tak właśnie, sztucznym, nienaturalnym głosem śpiewały kobiety piroskie w La Huairze, co należało tam do dobrego tonu. Mogły to być więc śpiewy Pirosek, ponieważ nad rzeką Madre de Dios w północnej Boliwii znajdowały się sadyby Pirów, do których Vargas wysyłał swoje correrie.

”No, niezły musi być gagatek z tego generała!” - pomyślał Tomek.

Piskliwe śpiewy nagle umilkły. Teraz słyhać było odgłosy rozmowy, ale Tomek nie mógł rozróżnić słów. Po chwili Metys wyjrzał na werandę i zawołał:

- Wejdź, senior! Generał chce cię zobaczyć!

Tomek nachmurzony, nie spiesząc się, wszedł na werandę, Metys szerzej odgarnął matę i przepuścił Tomka do obszernej izby, w której panował półmrok, ponieważ ażurowe maty osłaniały obydwie okna. W głębi izby, za byle jak skleconym z desek stołem, siedział barczysty mężczyzna w kapeluszu panamskim o szerokim rondzie rzucającym cień na spaloną słońcem twarz. Na pierwszy rzut oka trudno było odgadnąć, czy to biały, Indianin czy Metys. Na stole przed generałem, obok opróżnionej do połowy butelki i kubka, leżał pas z dwoma koltami w pochwach. Dwie młode półnagie Indianki, o twarzach częściowo pomalowanych na czerwono i z wytatuowanymi na policzkach małymi czarnymi węzami, wachlowały generała pierzastymi liśćmi palmowymi.

Generał drgnął spojrzawszy na Tomka. Dopiero po dłuższej chwili odezwał się po hiszpańsku stłumionym głosem:

- Felipe, oddaj mu broń!

Tomek wprost oniemiał, usłyszawszy generała. Szeroko otwartymi oczami wpatrywał się w jego twarz. Metys tymczasem wsunął Tomkowi kolt do pochwy.

- Wyjdź, Felipe, poczekaj przed domem! - rozkazał generał, a gdy Metys wyszedł na werandę, zsunął z głowy kapelusz ocieniający twarz.

- Rany boskie!... Tadek! - krzyknął Tomek. Olbrzymie nagłe wzruszenie i niezwykła radość ścisnęły mu krtań, łzy zaszkliły się w oczach.

Nowicki jednym susem przeskoczył przez stół, porwał Tomka w ramiona i milcząco, długo tulił do piersi. Dopiero gdy Tomek zdołał się opanować, wypuścił go z objęć i rzekł jeszcze trochę rwącym się głosem:

- Jesteś, kochany brachu, nareszcie jesteś! Zamartwialiśmy się z Jankiem o ciebie!

- To ty jesteś tym tajemniczym generałem, który napędził nam stracha?! - niedowierzająco pytał Tomek. - Co z panem Smugą?

- Smuga zdrów i cały! - uspokoił go Nowicki. - Dwa dni temu wyruszył na zwiady nad rzekę Abuna. Tam przecież mieliśmy się z tobą spotkać. Wprawdzie zaufani Pirowie czatują na was na północnej granicy Boliwii, ale mimo to Smuga co jakiś czas sam robi wypadki w tamte strony. Czasy trochę niespokojne, nie chcieliśmy cię wpakować w nowe tarapaty. Felipe mówił mi, że na statku znajduje się gromada zbrojnych ludzi. Kto jest z tobą, brachu?

- Wszyscy nasi wierni przyjaciele. Przede wszystkim ojciec i pan Wilson, którzy przywieźli pieniądze na zorganizowanie wyprawy, oczywiście Sally, Zbyszek z Natką, Haboku z Marą, Huruwa, Pedikwa, kucharz Wu Meng i Dingo.

- A więc twój ojczulek jest także? Wzruszyła mnie ta wiadomość. Ha, na takim szlachetnym przyjacielu zawsze można polegać. No, no, nie spodziewałem się, że i Wilson pospieszy nam na ratunek. Czy nikomu z was nie przydarzyło się nic złego?

- Trochę oberwaliśmy od piratów rzecznych, ale wszystko dobrze się skończyło. Tadku, tak bardzo baliśmy się o ciebie i pana Smugę! Ależ Sally i Natka się uradują!

- Stęskniłem się za tymi dzierlatkami - przyznał Nowicki. - Dobrze, że mieliśmy jacht w odwodzie! Wiedziałem, że zorganizowanie wyprawy pochłonie sporo grosza. Czy szanowny twój ojciec nie miał kłopotu ze sprzedażą?

- Ojciec nie sprzedał jachtu, wypożyczył go przyjacielowi pana Hagenbecka na wycieczkę po Morzu Śródziemnym.

- Ha, więc będę musiał zdegradować się z generała na kapitana - z humorem rzekł Nowicki. - Skoro tak jednak, to skąd wzięliście pieniądze?

- Pan Nixon pokrył koszty wyprawy.

- Trzeba przyznać, że to bardzo przyzwoity facet i nie skąpiec! Zwrócimy mu wszystko po powrocie do Manaos.

- Tadku, to znaczna suma!

- Starczy nam, kochany brachu! Nie próżnowaliśmy tu z Jankiem. Siadaj, odsapnij trochę, zanim pójdziemy na przystań po naszych przyjaciół. Hej, lube sikorki! - zawołał do

zaintrygowanych Indianek.

- Mamy niezwykłych gości! Raz, dwa przygotujcie solidną przekąskę! Indianki zachichotały i zniknęły w sąsiedniej izbie. Nowicki klasnął w dłonie i zawołał:

- Felipe!

Metys jak cień wsunął się do izby.

- *Zaraz* pójdziemy na przystań po moich przyjaciół. Zbierz ludzi do niesienia bagaży.

- Tak jest, generale! - służbiście odparł Metys i wyszedł z izby.

- Zdumiewasz mnie, Tadku! Co to wszystko znaczy? Dlaczego zwać cię tutaj generałem? W jaki sposób umknęliście z niewoli u Kampów? - pytał Tomek.

- Wiele byłoby do gadania, ale nie pora teraz na to. Prysnęliśmy z niewoli, gdy Kampowie postanowili rozpocząć rebelię. Jeszcze teraz mordują białych nad górą Ukajali. Uciekając zawadziliśmy o La Huairę. Kampowie ją splądrowali, ale Vargas, w porę ostrzeżony przez swoich Pirów, zdołał umknąć. Tam właśnie natknęliśmy się na correrię z niewolnikami porwanymi nad Madre de Dios. Porywacze nie wiedzieli, co mają zrobić z brańcami. Vargasa już nie było, zbieracze kauczuku czmychnęli ze strachu przed Kampanii. Ci zbóje w obawie o własną skórę zamierzali cichcem wymordować niewolników. Żal nam było nieszczęsnych Indian, wśród których były kobiety i dzieci. Odkupiliśmy ich więc i razem z nimi przywędrowaliśmy do Boliwii, żeby spotkać się z wami zgodnie z umową.

- Zaraz, zaraz, Tadziu! - przerwał mu Tomek. - Mówisz, że odkupiliście niewolników. Przecież sami nic nie mieliście uciekając z niewoli i dlatego my właśnie szliśmy wam na pomoc. Za co więc mogliście wykupić niewolników?!

Nowicki dopiero teraz połapał się, że niepotrzebnie zabrnął w ślepą uliczkę.

- Ano, niby masz rację - bąknął zmieszany. - Widzisz, Janek to załatwił. Pogadasz z nim, wróci za dwa lub trzy dni...

Tomek badawczo spoglądał na przyjaciela. Czyżby Smuga złamał postanowienie i uszczknął coś ze skarbcza Inków?!

- Kręcisz, Tadku! Przecież nawet nie mieliście broni! - powiedział po chwili.

- Tak źle nie było! - zaproponował Nowicki. - Spójrz tam na ścianę! Poznajesz swój sztucer?

- Do licha, to prawda! Skąd go wytrzasnąłeś?

Nowicki zadowolony, że udało mu się przerwać serię drażliwych pytań, parsknął śmiechem widząc zdumienie ulubieńca.

- Pomogła nam miła, kochliwa dziecinka, Agua, jedna z żon szamana - wyjaśnił. - Dzięki niej i jej mężulkowi, który okazał się honorowym człowiekiem, odzyskaliśmy broń i zdołaliśmy prysnąć w ostatniej chwili przed rozpoczęciem rzezi. Długa to i zawiła historia.

Opowiemy wszystko dokładnie razem z Jankiem w stosownej chwili.

- Trudno coś z tego zrozumieć. W głowie mam już zamęt. Musicie obydwaj jeszcze raz wszystko dokładnie opowiedzieć. Co było dalej?

- dociekał Tomek.

- Przyszliśmy z oswobodzonymi Pirami do Boliwii w ich strony. Nieszczęśnicy zaraz zaczęli się mścić na tych, którzy podstępnie przyczynili się do ich uprowadzenia. Musieliśmy ich trochę poprzeć, wiesz przecież, że tak jak ty, nie lubimy biernie patrzeć na ludzką krzywdę. Przy okazji oberwało się co nieco wyzyskiwaczom na potajemnych plantacjach koki. Do Pirów przyłączyli się inni Indianie i Metysi. W końcu chcieli iść do La Paz i obalić rząd.

- Mój Boże! A więc to właśnie ty i pan Smuga wywołaliście rewolucję w Boliwii?! - zawołał Tomek zaskoczony i zdumiony niezwykłą relacją przyjaciela.

- Jaką tam znów rewolucję?! - *szczerze* oburzył się Nowicki.

- Faktycznie, zdarzyło się, że niektórzy przestraszeni wyzyskiwacze pryskali w głąb kraju i szerzyli panikę, ale wkrótce ze Smugą zmitygowaliśmy buntowników.

Tomek oszołomiony długo spoglądał na przyjaciela.

- Co masz w tej butelce, Tadku? - zapytał przerywając milczenie.

- Rum, nie jamajka, ale rum - odparł Nowicki.

- Daj mi trochę, jakoś poczułem się tak dziwnie - rzekł Tomek. Nowicki ochoczo napełnił kubek, podał Tomkowi, sam zaś pociągnął prosto z butelki. Tomek łyknął trochę rumu, po czym odetchnął głęboko i rzekł:

- A więc to przez was dwóch w całej Boliwii rozruchy i stan wyjątkowy. Komunikacja przerwana. Przez waszą rewolucję musieliśmy iść wam na ratunek drogą okreśną, przez Gran Chaco i Mato Grosso, tysiące kilometrów! Za nic w świecie nie zrezygnowałbym z ujrzenia min naszych przyjaciół, gdy dowiedzą się o tym wszystkim!

- Któż mógł przewidzieć, że będziecie szli przez Boliwię! - usprawiedliwiał się Nowicki.

- Nie mieliśmy wyboru - odparł Tomek. - Powstanie Kampów odcięło drogę przez Montanię peruwiańską, a w La Paz zaskoczyło nas wrzenie rewolucyjne w północnych prowincjach Boliwii. Tylko dzięki ojcu udało nam się odjechać na południe ostatnim, jedynym pociągiem do Gran Chaco.

- Faktycznie źle to wypadło, ale za to zwiedziliście kawał świata, żałuję, że nie byłem z wami! - powiedział Nowicki. - Nie ma jednak tego złego, co by na dobre nie wyszło! Mamy już zapewnioną powrotną podróż do Manaos. Przez przeszło dwa miesiące gromadziliśmy tutaj różne ciekawe okazy dla Hagenbecka i muzeów. *Zapłacą* nieźle! Ponadto przedsiębiorstwo budujące kolej Madeira-Mamore [\[125\]](#) zapłaciło nam hojnie za przepędzenie bandytów, którzy napadali na obozy robotników.

- Więc nawet pracujesz tutaj?! - pytał Tomek.

- A jakże, brachu! Pracy tu nie brak! Ci Indianie, którzy chcieli iść obalić rząd w La Paz, namawiali mnie, żebym ich poprowadził, to obiorą mnie prezydentem Boliwii.

- A ty co na to, Tadziu?

- Posada gryzpiórka, w dodatku w wysokich górach, nie dla mnie! Mimo to obwołali mnie generałem i teraz wszyscy tak mnie nazywają.

W tej chwili wszedł Felipe.

- Ludzie gotowi, generale! - oznajmił.

- Idziemy, Tomku! Tylko wypijmy jeszcze strzemiennego. Felipe, łyknij z nami - zaproponował Nowicki.

Trudno byłoby opisać ogromną radość wszystkich uczestników wyprawy z nieoczekiwanego odnalezienia obydwóch przyjaciół. Po powrocie Smugi ze zwiadu przez wiele godzin trwały opowiadania i zwierzenia. Wbrew oczekiwaniom Tomka, Smuga dyplomatycznie zbagatelizował sprawę wykupienia niewolników piroskich. Dało to Tomkowi wiele do myślenia, tym bardziej że Smuga ofiarował Sally i Nataszy po pięknym szmaragdzie, które jakoby kupił tanio od Indian.

Smuga i Nowicki pokazywali przyjaciołom zgromadzoną broń indiańską, oryginalne poncza, skórzane ozdobne pasy, naczynia, skóry krokodyli, pum i węzów, wyprawione nieznane ptaki, a także woreczek surowych diamentów nabytych od Indian z Mato Grosso.

- Przecież nawet nie będziemy mogli zabrać tego wszystkiego!

- zawołała Natasza.

- Ależ to prawdziwe skarby! - wtórowała Sally.

- Na skinienie niedoszęłego prezydenta Boliwii, generała Nowickiego, który naprawdę rządzi teraz całą prowincją, będziemy mieli do dyspozycji, ilu tylko zechcemy tragarzy indiańskich - wesoło oświadczył Smuga. - Z Guajara Mirim do Porto Velho, gdzie wsiądziemy na statek, jest tylko trzysta sześćdziesiąt siedem kilometrów.

- Po drodze będziemy mogli odpoczywać w obozach budowniczych kolei - dodał Nowicki.

- Kto prowadzi tę budowę? - zaciekał się Wilmowski.

- Bardzo przedsiębiorczy Amerykanin, pułkownik inżynier Church. Poznałem go jakiś czas temu w Manaus - wyjaśnił Smuga. - Boliwia, która po Paragwaju stała się w Ameryce Południowej drugim państwem pozbawionym dostępu do morza, jest bardzo zainteresowana budową tej kolei. Linia Mamore-Madeira umożliwi bowiem przewóz kauczuku z okręgu Acre koleją do Porto Velho, a stamtąd transportem wodnym Madeirą i Amazonką do portów morskich. Do tej pory Indianie tragarze muszą przenosić kauczuk do Porto Velho na swoich plecach przez pierwotną dżunglę pełną wrogich Indian i bandytów.

- Boliwia przecież może korzystać z portów chilijskich i peruwiańskich - zauważył

Tomek.

- Masz rację, może, ale to droga przez trudno dostępne Andy i z opływaniem Ameryki Południowej, a więc bardzo długa, podrażająca kauczuk - odpowiedział Smuga.

- Sytuacja ulegnie zmianie po ukończeniu budowy Kanału Panamskiego - wtrącił Wilson.

- Kto wie, która z tych dwóch dróg zostanie prędzej oddana do użytku. Obydwie budowy na pewno potrważą jeszcze kilka lat - odezwał się Wilmowski. - W jaki sposób zetknąłeś się tutaj z panem Churchem?

- Było trochę głośno o nas dwóch na granicy boliwijsko-brazylijskiej - uśmiechając się odpowiedział Smuga. - Church usłyszał o nas od Indian. Rozesłał wiadomość, że czeka na mnie w Guajara Mirim.

Zaproponował zorganizowanie zbrojnej ochrony dla budowniczych kolei. Było to trochę ryzykowne przedsięwzięcie, ale naszemu "generałowi" przypadło do gustu. Church nieźle zapłacił i zapewnił przejazd statkiem z Porto Velho do Manaus dla całej naszej wyprawy.

- Kiedy będziemy mogli ruszyć w drogę? - zagadnął Wilson.

- Za jakieś trzy tygodnie - odparł Smuga. - Musimy tutaj zlikwidować nasze sprawy. Przy budowie kolei pracuje Metys Pablo, którym zaopiekowaliśmy się podczas ucieczki od Kampów. Miał popłynąć z nami do Manaus, ale spodobała mu się praca u Churcha. Pożegnaliśmy się z nim przy okazji. Wy tymczasem odpoczniecie i rozejrzycie się w okolicy. Możecie urządzić parę polowań.

- Czy pan będzie jeszcze w obozach budowniczych kolei? - zapytał Tomek.

- Tak, Tomku! Wyruszam za dwa dni. Czy chciałbyś mi towarzyszyć?

- Właśnie miałem o to poprosić - przyznał Tomek. - Będziemy mieli okazję nagadać się do syta.

Smuga dyskretnie się uśmiechał zapalając fajkę. Domyślał się przecież, co niepokoiło Tomka i na jaki temat niecierpliwie oczekiwał wyjaśnień.

EPILOG

Pani Nixon nadzorowała dwie młode Murzynki nakrywające do stołu. Tego właśnie wieczoru państwo Nixon urządzali powitalne przyjęcie dla uczestników niebezpiecznej wyprawy. Nixon i Wilson siedzieli na ocienionej werandzie i palili cygara. Nixon wciąż zarzucał Wilsona pytaniami, mimo że już nie pierwszy raz słuchał relacji o niezwykłych wydarzeniach podczas niebezpiecznej wyprawy ratunkowej. Jednocześnie niecierpliwie zerkał w okno.

- Coś długo nie przychodzą, już powinni tu być! - odezwał się spoglądając na zegarek.

Wilson roześmiał się i rzekł:

- Smuga na pewno usiłuje nakłonić naszych Cubeów do nałożenia ubrań. Polubiłem tych Indian i nabrałem do nich szacunku. Dali dowód, że nigdy nie zawiodą swoich przyjaciół. Wprost uwielbiają Smugę. Gdy go odnaleźliśmy w Guajara Mirim, zapomnieli nawet o swoim stoickim opanowaniu. Smuga, także bardzo wzruszony, serdecznie się z nimi witał.

- Smuga jest wspaniałym człowiekiem - stwierdził Nixon. - Wiele można się od niego nauczyć!

- Zaobserwowałem, że młody pan Wilmowski jest niemal wierną kopią Smugi - z uznaniem powiedział Wilson. - To naprawdę dzielny, prawy mężczyzna! Nic dziwnego, że ludzie lgną do niego jak muchy do miodu. Jego młoda, przedsiębiorcza żona jest w nim zakochana po uszy. Jest on dla niej wyrocznią we wszystkich sprawach.

- Sądzę, że to bardzo dobrane małżeństwo - stwierdził Nixon. - Dużą satysfakcję sprawiło mi poznanie starszego pana Wilmowskiego. To szlachetny człowiek. Obaj Wilmowscy są widowym potwierdzeniem powiedzenia: jaki ojciec, taki syn!

- Idą już, idą! - przerwał mu Wilson. - Ho, ho! Smuga dopiął swego! Cubeowie w spodniach i koszulach, nawet Mara nałożyła sukienkę!

Obydwaj przeszli do holu witać oczekiwanych gości. Nixon poprowadził wszystkich do salonu. Pomocnice murzyńskie wniosły tace z różnymi napojami. Nawiązała się ożywiona rozmowa.

Wilmowscy, Smuga i Nowicki jeszcze raz podziękowali Nixonom za życzliwą pomoc w organizowaniu wypraw. Smuga wystąpił z propozycją zwrócenia poniesionych kosztów, ale Nixon nie chciał nawet o tym słyszeć.

- Drogi panie Janku - mówił - uczyniłem pana moim współnikiem. Wszystkie urzędowe formalności już przeprowadziłem. To pan przecież stanął w obronie moich pracowników. Gdybym zawsze postępował w myśl pana rad, nie poniósłbym tak bolesnej dla mojej rodziny straty. Nie będę też krępował pana swobody. Gdy zechce pan wyruszyć na jakąś wyprawę, dzielny pan Karski zastąpi pana. Panie Zbyszku, od dzisiaj jest pan dyrektorem naszej firmy. Mam nadzieję, że nie odmówi mi pan i pozostanie ze mną?

- Serdecznie panu dziękuję, nie mógłbym nawet postąpić inaczej - oświadczył Zbyszek.

- Okazał pan mnie i żonie tyle życzliwości...

- A więc sprawa załatwiona! - rzekł Nixon. - A co zamierzają robić młodzi państwo Wilmowscy?

- Prawdopodobnie urządzimy sobie małe wakacje - odparł Tomek.

- Sally studiuje archeologię i od dawna marzy o zwiedzeniu Doliny Królów w Egipcie.

- Już obiecałem tej sikorce, że popłyniemy do Egiptu moim jachtem - wtrącił Nowicki.

- Tatuś także się z nami wybierze - dodała Sally. - Tam na pewno pozbędzie się dolegliwości reumatycznych.

- A więc w perspektywie zwiedzanie grobowców faraonów - rzekł Nixon. - Zazdroszczę państwu takich wspaniałych wakacji!

- Czy możemy już siąść do stołu? - zapytała pani Nixon. - Państwo na pewno głodni. Porozmawiamy dalej przy kolacji.

- Poczekajmy chwilę - zaproponował Nixon. - Jeszcze nie wszyscy przyszli.

W tej chwili w holu rozbrzmiał gong. Nixon wprowadził do salonu panów Ting Linga i Wu Menga. Po ceremonialnych chińskich powitaniach pani Nixon znów zagadnęła:

- Czy teraz mogę już prosić do jadalni?

- Jeszcze chwilę, kochanie - odparł Nixon.

- Na kogo pan czeka? - zdziwił się Wilson.

- Niespodzianka dla wszystkich! Oho, już chyba jest! - zawołał Nixon wychodząc do holu. Wkrótce pojawił się w salonie z przystojnym, wysokim i barczystym, śniadym mężczyzną, ubranym w biały wizytowy garnitur. W krawacie Metysa tkwiła duża brylantowa szpilka.

- Oto moja niespodzianka! - rzekł Nixon. - Pan Pedro Alvarez, z którym się zaprzyjaźniliśmy, również pragnie powitać tak długo przez nas oczekiwanych niezwykle gości.

Metys uprzejmie skłonił się paniom, po czym podszedł do Smugi.

- Senor Smuga - odezwał się po portugalsku. - Przyjaciele zapewne powiadomili pana, że nie przyłożyłem ręki do spisku przeciwko panu?

- Przykre mimowolne nieporozumienie zostało wyjaśnione - odparł Smuga. - Cieszę się, że przyszedł pan się z nami przywitać.

Podali sobie ręce, poklepując się jednocześnie po przyjacielsku po plecach. Alvarez z kolei zbliżył się do Nowickiego. Przez chwilę z błyskiem rozbawienia w oczach mierzyli się wzrokiem, po czym pierwszy odezwał się Alvarez:

- Podczas naszego oryginalnego spotkania w operze w Manaus powiedziałaś, marynarzu, że lepiej na tym wyjdę, jeżeli się więcej nie spotkamy. Myślę jednak, że tym

razem nie sprawisz mi takiego tęgiego lania jak wtedy!

- No, ja również nieźle od ciebie oberwałem! Sally musiała robić mi okłady z surowego befsztyka. Wybacz, niesłusznie cię podejrzewaliśmy!

- odparł Nowicki wyciągając sękatą dłoń do Metysa, a drugą poklepując go po plecach.

- Mam coś dla ciebie, aby upamiętnić zakopanie topora wojennego - oznajmił Alvarez i klasnął w dłonie.

Dwóch Indian wniosło do salonu dużą klatkę nakrytą wzorzystą, czarną chustą.

- Postawcie na fortepianie! - polecił Alvarez, a następnie podszedł i ostrożnie odsłonił klatkę.

Wszyscy z zachwytem spoglądali na dużą, piękną arę[126] o błękitnym upierzeniu grzbietu i pomarańczowożółtym spodzie. Papuga siedziała na drążku. Z lewej nogi aż do samego spodu klatki zwisał srebrny łańcuszek. Ara najpierw bacznie rozejrzała się wokoło, po czym wstrząsnęła łebkiem z dużym zakrzywionym dziobem i nagle zawołała:

- Carramba! Witaj, siłaczu! Pijmy rum! Carramba!

- Co za wspaniała niespodzianka! - zawołał uradowany Nowicki. - Gadająca papuga! Zawsze chciałem mieć takiego ptaka!

- Tadziu, przypomnij sobie, że dzięki mówiącej papudze zdobyłam wspaniałego męża. Może ten podarunek jest również dla ciebie dobrym prorocstwem? - odezwała się Sally. - Uprowadził mnie pan, panie Alvarez. Zamierzałam właśnie kupić Tadziowi gadającą papugę.

-Carramba! Witaj, siłaczu! Pijmy rum! Carramba! - wrzeszczała ara.

[1] Mowa o wydarzeniach opisanych w powieści *Tomek u źródeł Amazonki*.

[2] Kampowie (Campa), zwani również Anti lub Chuncho - najpotężniejsze z plemion indiańskich w Peru, mówią językiem arawak. Zamieszkują trójkąt rzek: Pachitea, Tambo i Perene, największe skupiska przy ujściach Puyeni, Cheni i Anapati. Kampowie dzielą się na trzy gałęzie: Atiri - ci znad rzek Cheni i Tambo zachowują prastare obyczaje; Antaniri w ostępach puszczy - rzadko stykają się z białymi; Amatsenge - ukrywający się w lasach na wschodnich stokach Andów (pasmo Sira na południu Gran Pajonalu), najbardziej wrodozy białym ludziom.

[3] W 1979 r. odbyły się w Limie uroczystości związane z siedemdziesiątą rocznicą śmierci profesora Edwarda Habicha, honorowego obywatela Peru. Habich zaangażowany został w 1869 r. przez rząd peruwiański do pracy na stanowisku inżyniera rządowego i odegrał ogromną rolę w tworzeniu nowoczesnego Peru, podobnie jak Ignacy Domeyko w Chile. Między innymi utworzył pierwszą w Ameryce Łacińskiej politechnikę (Escuela de Construcciones Civiles y Minas del Peru), której dyrektorem był do końca życia. Habich na wykładowców w tej uczelni ściągnął z Paryża polskich inżynierów: Ksawerego Wakulskiego, Władysława Klugera i Feliksa Kucharzewskiego.

[4] Lamy, czyli bezgarbne wielbłądy Ameryki Południowej, są mieszkańcami gór. Rodzaj ten należy do rodziny wielbłądów i obejmuje cztery gatunki: guanaki (*Lama Huanachus*), alpaki (*Lama pacos*), lamy (*Lama glamd*) i wikunie (*Lama vicugna*). W Peru i Boliwii udomowiono lamy jeszcze w czasach przedkolumbijskich, dostarczały cennej wełny, mięsa i mleka, a same były używane jako zwierzęta juczne. Alpaki są drugim z rodzaju lam udomowionym zwierzęciem. Hoduje się je ze względu na szczególnie wartościowe długie, miękkie runo, przeważnie białe, brązowe lub czarne, które w Andach zastępuje owczą wełnę. Wszystkie lamy są bardzo czujne, obdarzone bystrym wzrokiem i słuchem.

[5] Największymi amerykańskimi kotami są jaguary (*Panthera onca*) i pумы, czyli kuguary (*Felis concolor*). Najbardziej widoczną różnicę między nimi stanowi umaszczenie. Jaguary są cętkowane, natomiast pумы mają jednostajne ubarwienie, od jasnoszarego do piaskowobrązowego, z białą plamką na podbródku. Jaguary są przeważnie zwierzętami tropikalnymi, zamieszkują zalesione brzegi rzek, skraje bagnistych puszczy i trzęsawisk. Ocieżałe w dzień, w nocy stają się szybkie i zwinne. Jedzą większe kręgowce aż do tapira, aligatory, żółwie, ryby, młode bydło, źrebaki i muły. Jaguary rzadko spotyka się na północ od Meksyku. Dobrze rozmnażają się w ogrodach zoologicznych, można je krzyżować z panterami. Pумы żyją w lasach, sawannach i górach - spotyka się je od Argentyny do Kanady. W lasach pумы chwytają podobną zwierzynę jak jaguary, ale na otwartej przestrzeni i w górach ścigają owce, konie i krowy.

[6] Montanię, obejmującą wschodnią stronę Andów od granic Peru z Kolumbią, Brazylią i Boliwią, zamieszkiwało również kilka plemion wywodzących się z Indian tropikalnych lasów Ameryki Południowej. Należały one do różnych grup językowych. Po podboju hiszpańskim misjonarze wprowadzili w Montanii język keczua (quechua), którym posługiwali się Inkowie. W ten sposób keczua zmieszany z miejscowymi językami

stał się żargonem używanym w Montanii.

[7] Indianie mają wiele sentymentu dla wszelkich zwierząt leśnych oraz ptaków, które dają się oswajać, i bardzo lubią trzymać je w chatach. Swoich ulubieńców otaczają pieczołowitą opieką, małe ptaszki nawet karmią z własnych ust, kobiety zabierają małpki idąc do pracy itp. Najczęściej spotyka się w indiańskich chatach małpki, papugi, tukany, kapibary i żółwie.

[8] Indianie lasów tropikalnych nawet po podboju europejskim zachowali rodzime budownictwo. Budują różne typy domów: wielorodzinne maloki długości do 200 stóp, wysokie na 60, kryte olbrzymim półowalnym, słomianym dachem prawie sięgającym ziemi, w których mieszkają pojedyncze rody liczące 100 i więcej osób; małe chaty jednorodzinne nakryte spiczastymi dachami z liści palmowych bądź, jak u Kaszybów, kopulastą strzechą, czym ci ostatni różnią się od innych plemion. W całej Montanii, z wyjątkiem murowanych domów, buduje się chaty nadziemne, przypominające werandę umieszczoną na palach wysoko nad ziemią i osłoniętą jedynie od góry strzechą. Niektóre plemiona (Kampowie) stawiały w domach wewnętrzne przegrody, inne (Czamowie) nie robiły ich. Budownictwo Indian lasów tropikalnych było tak doskonale dostosowane do warunków miejscowych, że nawet biali hacjenderzy przejęli je i budowali swe domy z trzciny, które tylko wyróżniały się schludniejszym wyglądem zewnętrznym.

[9] W mitologii Inków Kon-Tiki-Wirakocza lub Wirakucze był dobrotliwym białym, brodatym bogiem, który zasmucony ludzką niewdzięcznością powędrował na morze i zniknął po drugiej stronie widnokregu. Gdy do Ameryki Południowej przybyli europejscy konkwistadorzy, krajowcy uznali ich za wysłanników owego boga. Do tej pory w niektórych regionach słowa wirakucze używa się na określenie przybyszów.

[10] Liczne plemiona lasów tropikalnych, które zadomowiły się na wschodniej stronie Andów w Montanii, przejęły pewne elementy kultury cywilizacji ludów z Andów Centralnych, a więc: ubieranie się w kuźmy (cushma), sadzenie kartofli, hodowlę zwierząt górskich (lam i alpak) i świnek morskich w wyżej położonych okolicach, a także łóżka platformowe, którymi zastąpiono hamaki powszechnie używane do spania przez Indian lasów tropikalnych, a które w Montanii służyły już tylko jako kołyski dla dzieci.

[11] Musujące masato i chicha (czicza) są indiańskimi napojami alkoholowymi, otrzymywanymi w podobny sposób w drodze fermentacji. W celu sporządzenia masato zakopuje się w ziemi duże gliniane naczynie tak, aby wystawała tylko jego górna część. Następnie kobiety obsiadają je, przeżuwają gotowaną jukę i kukurydzę, a potem dobrze zmieszane ze śliną wypluwają do naczynia. Do takiego zaczynu dodają kilkanaście gotowanych bananów dla nadania smaku i wszystko zalewają zimną wodą. Zaczyn fermentuje około trzech dni. Potem znów dolewa się wody, dokładnie miesza ręką i napój jest gotowy do picia.

[12] Aguaitia (lub Aguaicia) - lewy dopływ Ukajali, około 170 km na północ od Masisei.

[13] Zniekształcanie polegało na uciskaniu górnej części głowy niemowlęcia, dopóki nie przybrała oryginalnego, spiczastego kształtu. Dwa woreczki piasku przymocowywano

do dwóch deseczek, z których jedną przykładano do czoła, drugą na tył głowy i obydwie deseczki związywano ze sobą po bokach. Stały ucisk po jakimś czasie zniekształcał czaszkę, cofając czoło do tyłu. Zwyczaj ten, wywodzący się w Ameryce Południowej jeszcze z czasów panowania Inków, istniał również w Ameryce Pomocnej w plemienu Flatheads (Płaskie Głowy), znany był także na innych kontynentach.

[14] Cumaria w owym czasie była zaledwie małą indiańską wioszczyną, w pobliżu której około 1880 r. założył gospodarstwo włoski emigrant i stworzył załążek późniejszej osady.

[15] Kuraka - wódz, a raczej naczelnik grupy Indian w Montanii, odpowiednik afrykańskiego kacyka. Sławny Tasulinczi pochodził z plemienia Kampów. Przez jakiś czas przebywał jako niewolnik u białego w okolicy rzeki Unini i wtedy nauczył się mówić dość płynnie po hiszpańsku. Po ucieczce do Gran Pajonalu do wolnych Kampów zdobył u nich wielki posłuch. Zapewne dzięki wrodzonym dużym zdolnościom dyplomatycznym, wytrwałości i sprytowi udało mu się pogodzić skłócone dotąd plemiona z Gran Pajonalu i wybrzeży Ukajali oraz nakłonić je w 1915 r. do wspólnego zbrojnego powstania w peruwiańskiej Montanii przeciwko znieawidzonym białym (autor niniejszej powieści przyspieszył o kilka lat wybuch powstania). Pod wodzą Tasulinczego zwycięska dla Indian krwawa wojna dotarła aż do średniego biegu Ukajali. Bezpardonowa rzeź wzbudziła przerażenie i popłoch wśród białych osadników. Okolice Ukajali opustoszały na długi czas. Biali odważyli się powrócić tam dopiero po kilku latach. Wybitny polski znawca Indian południowoamerykańskich, podróżnik i pisarz - Mieczysław Lepecki, który z ramienia rządu polskiego w 1928 r. badał możliwości rozwoju osadnictwa Polaków nad Ukajali, spotkał się i rozmawiał ze sławnym Tasulinczim w okolicach rzeki Tambo.

[16] Yo soy hijo del soi (hiszp.) - Ja jestem synem Słońca.

[17] Adios, amigos (hiszp.) - Żegnajcie, przyjaciele.

[18] Nabab - namiestnik prowincji lub małego księstwa w imperium Mogołów w Indiach, zazwyczaj bardzo bogaty. W przenośni - wielki bogacz.

[19] Mowa o przygodach opisanych w powieści *Tajemnicza wyprawa Tomka*.

[20] Harpia (*Thrasaetus harpyia*) - drapieżny ptak, jedyny gatunek swego rodzaju. Długość harpii wynosi około 1 m, waga do 8 kg. Ma krótkie, bardzo silne skrzydła, ubarwienie biało-czarne, na głowie czub. Zamieszkuje wszystkie większe lasy Ameryki Południowej i Środkowej, a w górach tylko cieplejsze doliny. Gnieździ się w wyższym piętrze dżungli, której prawie nie opuszcza, bardzo rzadko poluje na otwartych sawannach. W locie w gęstwinie leśnej harpia jest niezwykle zwrotna, osiąga szybkość do 80 km na godzinę. Żywi się małpami, leniwcami, aguti, a czasem oposami, jeżozwierzami i ptakami. Indianie wysoko cenią pióra harpii. Zabijają rodziców, a młode wybierają z gniazd i hodują w niewoli. Gdy młode ptaki się wypierzą, wyrrywają im dwa razy w roku pióra z ogona i skrzydeł na ozdoby. Mięsa, tłuszczu i odchodów używają do robienia leków.

[21] Kontynent południowoamerykański posiada najbardziej odróżniającą się od

innych kontynentów ptasią fauną. Na obszarze od Ziemi Ognistej do środkowego Meksyku żyje 2/5 wszystkich gatunków ptaków znanych na Ziemi, czyli 89 ze 155 rodzin i 3500 z 8600 gatunków. Ponad 25 rodzin to ptaki charakterystyczne wyłącznie dla tego regionu.

[22] Świat roślinny Ameryki Południowej często kojarzy się w naszej wyobraźni tylko z dżunglą tropikalną. Tymczasem tereny te, szablonowo opisywane w powieściach jako lasy tropikalne, w rzeczywistości posiadają w różnych częściach kontynentu inny charakter i formacje roślinne. Formacje roślinne Ameryki Południowej to: 1. Hylea (selwa) - wilgotne lasy równikowe w dorzeczu Amazonki i Orinoko, przy czym na Nizinie Amazonki wytworzyły się trzy zasadnicze typy selwy: igapo - las bagienny na niskich terenach zalewowych, z drzew wyróżniają się imbauba (*Cecropia parensis*) i palmy, dużo drzew ma korzenie palowe; vargem - las na wyższych terenach, zalewany jedynie podczas większych przyborów wód, rosną w nim brezyłki (brazil), od których wywodzi się nazwa Brazylii, zwane także pernambuko; etę czyli guazu - pokrywa wysoczyzny (mroczne, wilgotne, splątane lianami pierwotne puszcze). 2. Górskie lasy przyrównikowe na wschodnich stokach Andów, udział gatunków poza tropikalnych. 3. Alto da serra - górskie widne lasy wschodniej Brazylii, zrzucające liście w porze suchej. 4. Lasy mangrowe i restinga - namorzyny na pobrzeżach Atlantyku od Przesmyku Panamskiego do 28° szer. goegr. pd., a na wybrzeżach pacyficznych nie przekraczające 3° szer. goegr. pd. 5. Campos - różnorodne zbiorowiska roślinne i bezleśne w strefie małych opadów. 6. Caatinga - wyłącznie w pn-wsch. Brazylii, formacja charakterystyczna dla obszaru zwanego przez Brazylijczyków *sertao* (pustynia). 7. Chaco - widne lasy parkowe, zarośla lub trawiaste sawanny (drzewo świętojańskie algarrobo i kebraczo), występujące na południe od strefy kamposów w pn. Argentynie, Boliwii, Paragwaju i pd-zach. Brazylii. 8. Llanos - bezleśne sawanny, w dolinach rzek lasy galeriowe, głównie w Wenezueli. 9. Roślinność wysokogórską Andów reprezentuje pięć typów formacji: ceja - wysokogórskie lasy i zarośla; jalca - wysokogórskie stepy na wschodnich zboczach Andów w Peru i Boliwii; paramo - bezdrzewna formacja górską w Kolumbii i Ekwadorze; puna - roślinność półpustynna i pustynna w Peru, Boliwii i Chile; loma - specyficzna roślinność pustynna i półpustynna na zachodnich stokach Andów. 10. Lasy subtropikalne wschodniej Brazylii, gdzie przeważają araukarie. 11. Hemihylea - wielogatunkowe wysokopiennie lasy górskie na wschodnich stokach Andów w środkowym Chile i zachodniej Argentynie. 12. Monte - widne lasy parkowe w północno-zachodniej Argentynie. 13. Pampa - zbiorowisko traw niemal bez drzew i krzewów (przypomina prerię północnoamerykańską) w pomocnej Argentynie. 14. Mesetas - suchoroślowa i słonolubna roślinność półpustynna na południe od Rio Negro do Ziemi Ognistej, na ogromnych obszarach Patagonii. 15. Lasy subantarktyczne iglaste lub liściaste w południowych Andach (przeważają araukarie, modrzewie i cedry).

[23] Drzewo żelazne (*Caesalpinia ferrea* i *Machaerium sitoroxylori*), zwane łamisiekierą, ma tak twarde drewno, że można je ciąć tylko podczas chłodnego poranka, ponieważ przy temperaturze 30° C ostrze siekiery wygina się przy rąbaniu.

[24] Sapucaja (*Bertholletia excelsa*) - tak zwany orzech amerykański, rośnie w puszczech brazylijskich, głównie w dorzeczu Amazonki. Osiąga wysokość do 65 m. Rodzi

owoce w postaci zdrewniałej torebki, mieszczącej szczelnie ułożone trójkanciaste nasiona o długości do 5 cm, smaczne w stanie surowym. Nieśluszenie nazywa się je orzechami, ponieważ są to nasiona. Gdy torebka dojrzeje pęka i nasiona wypadają. Jada się je lub wytłacza tłuszcz, którego zawierają 65%. Drewno sapucaí nadaje się do różnych celów. Z niedojrzałych owoców (torebek) Indianie wyrabiają garnuszki i czarki.

[25] Araponga - miękko dziób nagoszyjny (*Chasmorhynchus nudicollis*) i miękko dziób soplowaty (*Chasmorhynchus niveus*) należą do amerykańskich wróblowatych ptaków krzykliwych. Nagoszyjny jest biały z wyjątkiem nagiego kantarka i nagiej gardzieli, które są grynspanowozielone. Soplowaty jest również biały, z długim obnażonym wyrostkiem okrytym pęczkami puchu. Występują w Ameryce podzwrotnikowej w wysokich piętrach wielkich, cienistych lasów, zwłaszcza w okolicach górzystych. Głosy ich wywierają największe wrażenie ze wszystkich głosów rozbrzmiewających w lasach Ameryki Południowej. Do amerykańskich wróblowatych krzykliwych należą również: kosarze (*Phytotomidae*) o krótkich, mocnych dziobach powycinanych piłowato na krańcach szczęk; rarita (*Phytotoma rard*) o charakterystycznym głosie; bławatniki (*Cotingidae*), z których najpiękniejsza jest *Cotinga cincta*; kruczyna (*Cephalopterus*) - najoryginalniejszy ptak świata, o olbrzymim czubie na głowie i długim wyrostku na piersi, zwany w Peru toro-piszku; tyrany (*Tyrannidae*); mrówkołowy (*Formicarudae*) i tęgostery (*Dendrocolaptidae*).

[26] Kariama bądź seriema (*Cariama cristata*), większa od bociana, wraz z pokrewnym w Afryce węzojadem sekretarzem (*Serpentarius secretarius*) tworzą typ przejściowy od ptaków brodzących do grupy sęposokołów. Kariama brazylijska jest szara z ciemnymi plamkami, ma pęczek piór u nasady dzioba, osiąga długość do 82 cm. Ptak ten zazwyczaj trzyma się na ziemi, czasem jednak siada na drzewach. Żywi się owadami, węzami, żmijami, skorpionami i pajakami. Składa po dwa jaja, mięso jego jest dość smaczne, a w niewoli łatwo się oswaja. Hodowany w domu poluje na myszy i szczury oraz tępi węże.

[27] Znany około 20 gatunków krokodyli, lecz ze względu na małe różnice między nimi zaliczamy je do jednej rodziny. W Ameryce Południowej żyją jedynie dwa gatunki krokodyli właściwych: krokodyl amerykański (*Crocodylus americanus*), który występuje w Ameryce Środkowej i Południowej, na Florydzie i na wyspach Morza Karaibskiego, oraz krokodyl Orinoko (*Caiman crocodylus*), spotykany tylko w systemie tej rzeki. Ponadto wyłącznie w Ameryce Południowej i Środkowej występuje siedem gatunków kajmanów (*Caiman*), które różnią się od aligatorów tylko brakiem kostnej przegrody nosa oraz tym, że oprócz pancerza grzbietowego posiadają również pancerz brzuszny z ruchomych, zachodzących na siebie dachówkowe płytek kostnych. Ze względu na małe różnice kajmany zazwyczaj zalicza się do grupy aligatorów.

[28] *Leptodactylus pentadactylus* - gatunek dużych żab południowoamerykańskich. W wodzie poruszają się dość niezgrabnie, na lądzie, mimo ciężkiej budowy, szybko i zwinnie.

[29] Młode krokodyle gdaczą, starsze warczą, a dorosłe ryczą głośno.

[30] Amerykański robaczek świętojański (chrząszcz) należy do rodziny sprzążków

(*Elateridae*). Na tropikalnych obszarach Ameryki występuje w około stu gatunkach. Dzięki specjalnej budowie pierścieni tułowia, jeśli upadną na grzbiet, podrzucają się w górę i zakreślając łuk w powietrzu opadają zwykle stroną brzuszną na ziemię. Posiadają zdolność znacznie silniejszego świecenia niż świetliki (*immpyris nocticuld*). Najbardziej znanym sprężykiem jest *Pyrophorus nocticulus* o ciele długości do 4 cm oraz *Ipkia madagascariensis*. Sprężyki żyją w glebie, butwiejącym drewnie i w martwych częściach roślin.

[31] Surucucu (*Lachesis mutd*) - brazylijska nazwa jednego z najniebezpieczniejszych amerykańskich węży jadowitych. Jego ukąszenie szybko zabija człowieka. Długość gada dochodzi do 4 m, a grubością dorównuje grubości męskiego uda. Wąż ten jest pięknie ubarwiony. Lubi przebywać w cienistych lasach.

[32] Żararaka (jararaca - *Lachesis lanceolatus*) - amerykański jadowity wąż długości do 2 m i gruby jak ramię mężczyzny. Posiada ubarwienie zmienne, zazwyczaj jaskrawe, żółtordzawe. Na skórze występują liczne drobne cętki.

[33] Kurara (nazwa indiańska) - smołowate wyciągi otrzymywane przez gotowanie kory, pędów i korzeni południowoamerykańskich lian (*Strychnos toxifera*). Kurarą wprowadzona do krwi jest bardzo silną trucizną, powodującą porażenie mięśni oddechowych. Używana jest przez Indian w Ameryce Południowej do zatruwania strzał do łuków i dmuchawek. Podawana doustnie jest mało toksyczna, dzięki czemu mięso zabitych kurarą zwierząt można spożywać. Trujące alkaloidy znajdujące się w kurarze stosowane są w badaniach fizjologicznych i w chirurgii.

[34] Mowa o drzewie *Achias Sapota*, którego drewna używali Indianie do rozpalania ognia.

[35] *Słowo* - dziennik informacyjno-polityczny o kierunku konserwatywnym, wydawany w Warszawie w latach 1882-1919. Jednym z redaktorów był Henryk Sienkiewicz, do 1887 r. prowadził *Kronikę tygodniową*. W latach 1883-1888 *Słowo* drukowało w odcinkach *Trylogię* Sienkiewicza. W czasie jej publikowania nakład pisma wzrósł czterokrotnie.

[36] Smuga się nie mylił: nie opodal rzeczki Nassarobeni, dopływu Tambo, znajdował się wylot indiańskiej ścieżki z Gran Pajonalu. Ścieżka początkowo ciągnęła się wzdłuż Nassarobeni, potem wiodła przez lasy i stepy oraz w pobliżu rzeki Unini (lub Unuini), którą podczas przyboru wody można było spłynąć w ciągu jednego dnia do Ukajali. Ścieżką tą posługiwali się wyłącznie Indianie z Gran Pajonalu, gdy szli nad Tambo po isanę lub ryby bądź też w odwiedziny do mieszkających tam Kampów.

[37] Chikotza - rodzaj trzciny.

[38] Długość Tambo wynosi około 170 km. Początek jej znajduje się na wysokości około 400 m n.p.m., a ujście do Ukajali 264 m n.p.m. Tak znaczny spadek terenu powoduje silny i szybki prąd rzeki. Toteż żegluga łodzią wiosłową pod prąd od Ukajali do początku Tambo trwa 7 dni, a spływ z prądem tylko 2 dni. Szerokość Tambo jest różna: u ujścia wynosi 400 m, ale w górnym biegu miejscami rozlewa się znacznie szerzej; u zlewu

rzek Perene z Ene, Tambo ma około 100 m szerokości.

[39] Toldo - koczowisko, wieś.

[40] Gomal (hiszp.) - miejsce obfitujące w drzewa kauczukowe.

[41] Correria (hiszp.) - zbrojna wyprawa po niewolników; seringueiro (hiszp.) - zbieracz kauczuku.

[42] Żółwie południowoamerykańskie różnią się od północnoamerykańskich i europejskich tym, że chowają głowę pod pancerz wyginając szyję w bok, zamiast wciągać ją, jak czynią inne żółwie. Jednym z największych słodkowodnych żółwi w Ameryce Południowej jest *Podocnemis expansa*; pancerz jego osiąga długość do 1 m, a szerokość 60 cm. Waga dorosłego zwierzęcia wynosi od 60 do 70 kg. Żółwie te odgrywają dużą rolę w życiu ludów w dorzeczu Amazonki i Orinoko, i to nie ze względu na swe znaczne rozmiary, lecz z powodu olbrzymiej liczebności. W porze suchej - nad Amazonką w sierpniu i wrześniu, a nad Orinoko od stycznia do marca - żółwie wczesnym rankiem wychodzą z wody na piaszczyste wybrzeża kopać gniazda, w których składają jaja. Wtedy ludzie z całej okolicy wyruszają na zbieranie jaj, głównie do wyrabiania oleju, do celów kulinarnych, oświetlania itp. W celu wydobycia oleju wkłada się stopy jaj do pustej łodzi, miazdzy je i polewa wodą, a potem pozostawia się łódź na kilka godzin w silnym słońcu. Gdy olej, jako lżejszy od wody, wypłynie na powierzchnię, zbiera się go do naczyń. Obliczono, że około 48 milionów jaj, zniesionych przez 400 tysięcy żółwi, jest w ten sposób co roku niszczone. Nowo narodzone żółwie uchodzą za wielki przysmak, z tego względu wiele tysięcy noworodków jest chwytanym podczas pierwszej wędrówki do wody. Żółwie mięso jedzą ludzie mieszkający blisko rzek. Buduje się nawet przy domach małe sztuczne stawy, zwane curral, dla przechowywania żywych żółwi. Oprócz człowieka wrogami żółwi są krokodyle.

[43] Barbasco (*Tephrosia toxicaria*) - krzewiasta roślina, z której soku Indianie sporządzają truciznę do oszaleńczenia ryb.

[44] Burowie - potomkowie kolonistów holenderskich, którzy od XVIII w. osiedlali się w Afryce Południowej. Wypierani na północ przez Brytyjczyków, utworzyli republiki: Natal i Transwal. Na przełomie XIX i XX w. toczyli krwawe wojny z Brytyjczykami o niezależność swych republik. Wojny te nazwano burskimi.

[45] Mowa o Zatoce Biskajskiej na Atlantyku, między zachodnim wybrzeżem Francji a Półwyspem Iberyjskim.

[46] Syto w języku Kampów, manta blanca po hiszpańsku - małe dokuczliwe muszki grasujące podczas dnia w dżungli.

[47] Madre de Dios - rzeka długości 1100 km wypływająca w południowo-wschodnim Peru i uchodząca do rzeki Beni w północnej Boliwii, żeglowna na przestrzeni 1000 km. Od niej wziął nazwę jeden z departamentów Peru.

[48] Amahuaca - plemię mieszkające nad Urubambą i Madre de Dios. Amahuakowie mają cerę jasnożółtą, są wysocy i szczupli, tatuują się, bujniejsze niż u Kampów

owłosienie twarzy tak samo zawzięcie usuwają. Amahuakowie są wrodzy Kampom i białym, którzy w obawie przed nimi nie osiedlają się w głębi łądu między rzekami Jurua i Ukajali.

[49] Najlepiej poznany gatunek sępów Nowego Świata stanowią: kondor olbrzymi (*Sarcorhompus grytus*) i kondor królewski (*Gypageus papa*). Kondor olbrzymi, zwany królem Andów, zamieszkuje wysokie góry od Quito do południowego cypla kontynentu. Jest to największy ptak drapieżny i jeden z największych latających ptaków świata. Długość samca wynosi około 1 m, a rozpiętość skrzydeł do 3 m. Może szybować na wysokościach ponad 500 m n.p.m. Gnieździ się w skałach i żywi przeważnie padliną. Kondor królewski, zwany królem sępów ze względu na piękne, jaskrawe upierzenie, jest nieco mniejszy. Rozpiętość jego skrzydeł sięga powyżej 2 m. Zamieszkuje równiny podzwrotnikowe pasa Ameryki Południowej aż do Ameryki Środkowej, Teksasu i Florydy. Środowiskiem jego są puszcze tropikalne i równiny porośnięte drzewami. Gnieździ się na wysokich drzewach, niekiedy wierzchołkach starych, uschniętych pni. Samica składa jedno jajo. Ten ciężki ptak, o wadze do 12 kg, ma słabe nogi, toteż chcąc się wzbić w powietrze, musi najpierw biec kilkadziesiąt metrów, a już unosząc się, jeszcze raz czy dwa odbija się nogami od ziemi, zanim zacznie szybować.

[50] Banany nie pochodzą z Ameryki, ojczyzną ich są: południowo-wschodnia Azja, Afryka i północna Australia. Przenoszone etapami na Wyspy Kanaryjskie, do Ameryki Środkowej i Południowej, zadomowiły się tam i tak rozpowszechniły, że obecnie czołowymi producentami i eksporterami bananów są: Ekwador, Brazylia, Indie i Filipiny. Do Europy przywieziono banany około 1880 r. Istnieje blisko 40 gatunków i niezliczona liczba odmian bananów. Najważniejsze to: banan mączny (*Musa paradisiacd*), który w tropikalnych krajach stał się podstawą wyżywienia ludności i odgrywa podobną rolę jak u nas zboże i ziemniaki; spożywany jest w postaci gotowanej lub pieczonej, a głównym produktem uzyskiwanym z niego jest mąka; banan owocowy (*Musa sapientum*) spożywany jest w stanie surowym, zdobył sobie poważną pozycję w handlu światowym.

[51] Apuparo - tak niektóre plemiona nazywają Ukajali.

[52] Kawa (z arab. kaweh - pokrzepiający lub podniecający) pochodzi z Abisynii, skąd w XIV w. została przewieziona do Arabii, gdzie zapoczątkowano jej przyrządzanie w postaci naparu. Kawę najpierw pili duchowni muzułmańscy w celu zwalczenia senności podczas nocnych modłów. Pielgrzymi muzułmańscy rozpowszechnili kawę w Egipcie i Turcji. Pierwsze kawiarnie w Stambule powstały w 1554 r. Pierwsza kawiarnia europejska powstała w Londynie w 1652 r., druga w Paryżu w 1671 r. Założycielem pierwszej kawiarni w Wiedniu w 1683 r. był Polak, Jerzy Franciszek Kulczycki, który podczas oblężenia Wiednia w 1683 r. przez Turków oddał duże usługi cesarzowi Leopoldowi I, za co w nagrodę otrzymał przywilej gotowania kawy i jej zapasy z tureckiego obozu. Kawa, przewieziona przez Francuzów na Martynikę, a stamtąd do Brazylii i innych krajów Ameryki, znalazła tam tak doskonałe warunki, że w początkach XIX w. Brazylia była już najpoważniejszym światowym producentem kawy. Obecnie największymi producentami są: Brazylia, Kolumbia, Wybrzeże Kości Słoniowej, Indonezja, Meksyk i Etiopia.

[53] *Kakao (Theobromd)* - pochodzi z Ameryki, gdzie od pradawnych czasów było uprawiane na obszarach od Meksyku do Peru. Aztekowie uznawali krzew kakaowy za święty, a napój sporządzany z jego owoców za pokarm bogów, który mogli pić tylko królowie i kapłani. Nasiona kakaowe w państwie Azteków były także zdawkową monetą. Do Europy nasiona kakaowe przywiózł Krzysztof Kolumb. Przeszkodą w upowszechnieniu tej rośliny była duża zawartość w nasionach tłuszczu zwanego masłem kakaowym oraz wrażliwość na warunki klimatyczne i glebowe. Toteż nasion używano głównie w kosmetyce. Dopiero w 1828 r. Holender Van Houten znalazł sposób odtłuszczenia nasion, co umożliwiło wyrób czekolady.

[54] *Bonanza* - nazwa pochodzi ze Stanów Zjednoczonych z czasów tak zwanej gorączki złota; oznacza wyjątkowo bogatą żyłę złota, a w przenośni coś, co przynosi olbrzymi zysk.

[55] *Adios, amigos, que le vaya bien (hiszp.)* - Żegnajcie, przyjaciele, powodzenia.

[56] *Patio (hiszp.)* - wewnętrzny dziedziniec w pałacach i domach hiszpańskich, zazwyczaj wyłożony płytami, ozdobiony fontanną lub basenem i roślinnością.

[57] *Lima* - stolica dawnego wicekrólestwa Peru, a potem republiki, została założona w 1535 r. przez konkwistadorów Pizarra, którzy wówczas nazywali ją Ciudad de los Reyes (Miasto Królów), ponieważ miejsce pod budowę miasta wybrano w dniu 6 stycznia, w święto Trzech Króli.

[58] *Francisco Pizarro* urodził się około 1475 r. w Estremadurze - historycznej krainie Hiszpanii, został zamordowany w Limie w 1541 r. Jako chłopiec był świniopasem, później został żołnierzem, walczył na Haiti i Kubie, uczestniczył w wyprawie do Panamy, wraz z Balboą przeszedł przesmyk Darien, gdzie usłyszał o bogatym państwie Inków obfitującym w złoto. Po dwóch wyprawach dla rozeznania terenu, w 1529 r. otrzymał w Hiszpanii od cesarza Karola V nominację na gubernatora Peru. W styczniu 1531 r. Pizarro wyruszył z Panamy z 3 statkami, 180 ludźmi i 37 końmi na podbój Peru. Pod względem zuchwałości było to bezprecedensowe przedsięwzięcie. Spory dynastyczne między Atahualpą i jego starszym bratem, którego pozbawił tronu, przyczyniły się do sukcesu Pizarra. Podstępnie uwięził Atahualpę, wymusił okup za niego, a następnie stracił władcę. Wzmocniony przez Diega de Almagro wkroczył do Cuzco, stolicy Peru, i wkrótce zdobył całe państwo Inków. Założył nową, hiszpańską stolicę - Limę. Niebawem jednak doszło do walki Pizarra ze zbuntowanym Almagrem, którego pokonał i pozbawił życia, lecz w krótkim czasie sam również został zamordowany przez przyjaciół Almagra. Pizarro jako pierwszy opłynął północno-zachodnie brzegi Ameryki Południowej i odkrył znaczną część obszaru Andów. Podstępny, chciwy, wiarołomny i mściwy, był typowym konkwistadorem, który z prostego żołnierza stał się zdobywcą nowych krajów i grabarzem podbitych ludów.

[59] Kamień węgielny pod budowę katedry położył Pizarro w 1535 r., lecz ze względu na trzęsienia ziemi częściowo ją rujnujące, zakończono budowę dopiero w 1625 roku.

[60] Peru dzieli się administracyjnie na 23 departamenty i jedną prowincję wydzieloną - Callao. Na czele departamentów stoją prefekci.

[61] Wyróżnia się dwie główne strefy sejsmiczne Ziemi: okołopacyficzną (obejmującą

Andy, Amerykę Środkową z Antylami, zachodnie pasma Gór Skalistych, Aleuty, Kamczatkę, Wyspy Kurylskie, Wyspy Japońskie, Filipiny, Nową Gwineę, wyspy zachodniej Polinezji i Nową Zelandię) i śródziemnomorsko-transazjatycką.

[62] Mowa o wydarzeniach opisanych w *Tajemniczej wyprawie Tomka*.

[63] W 1873 r. Peru zawarło przymierze z Boliwią, aby utrudnić kompaniom chilijsko-angielskim konkurencyjną produkcję saletry na terytorium należącym nominalnie do Peru. Z tego powodu w 1879 r. wybuchła wojna między Chile a Peru i Boliwią. Po wygranej bitwie pod San Juan Chilijczycy przez jakiś czas okupowali Limę i doszczętnie ją ograbili. Do przejścia wywożonych z Limy dóbr kulturalno-naukowych chilijski minister oświaty powołał Polaka - Ignacego Domeykę, który potem wyraził się: "Było to dla mnie najniemilsze i pełne odrazy polecenie..." Po czteroletnich walkach Chile zawarło z Peru pokój. Peru utraciło bogatą w saletrę prowincję Tarapaca, a Tacnę i Arikę musiało oddać na 10 lat. Spór o te prowincje trwał do 1929 r. Ostatecznie Tacna powróciła do Peru. Z Boliwią zawarło Chile traktat w 1884 r. Boliwia utraciła obfitujące w saletrę pustynne wybrzeże Atakama nad Oceanem Spokojnym oraz porty - Antofagasta i Cobija (nie mylić z Cogija w Boliwii), co pozbawiło ją dostępu do morza.

[64] W Peru występują dwie pory roku: sucha od listopada do kwietnia oraz dżdżysta od maja do października, podczas której pojawia się tylko gęsta mgła, zwana "garuą", a przez cudzoziemców "rosą peruwiańską". Czasem mgła zagęszcza się w bardzo drobny deszczyk.

[65] Zambo — potomek Indianina i Murzynki lub Murzyna i Indianki; cholo - mieszaniec i indiańsko-hiszpański.

[66] Makaki - grupa małp z nadrodziny małp wąskonosych, zamieszkujących południową i wschodnią Azję.

[67] Lima leży w dolinie rzeki Rimac uchodzącej do Pacyfiku. Miasto było wielokrotnie niszczone przez trzęsienia ziemi i odbudowywane. Najstarsza część Limy, o niskiej zabudowie i wąskich uliczkach, mieści liczne zabytki architektury kolonialnej, między innymi: katedrę, kościoły i klasztory zbudowane w okresie od XVI do XVIII w., ratusz, osiemnastowieczne pałace, uniwersytet założony w 1551 r. - najstarszy w Ameryce Południowej, liczne pomniki. Rzeka Rimac dzieli miasto na dwie części połączone mostami. Limę zamieszkiwała arystokracja hiszpańska, która eksploatowała kopalnie złota i srebra, a gdy tych zabrakło - guano. Z biegiem lat wokół starej Limy powstał nowoczesne dzielnice. Podczas bytności Tomka Lima liczyła około 220 tyś. mieszkańców. Współczesna Lima jest największym miastem Peru i jednym z najpiękniejszych miast kontynentu. Stanowi główny ośrodek przemysłowy, handlowy, kulturalny i naukowy oraz ważny węzeł kolejowy, drogowy i lotniczy.

[68] Maria Konopnicka napisała *Rotę* w 1908 r., muzykę do niej skomponował w 1910 r. Feliks Nowowiejski. Ta patriotyczna pieśń została wykonana w pięćsetną rocznicę bitwy pod Grunwaldem.

[69] Kirasjerzy - ciężka kawaleria nosząca kirysy (płytowe napierśniki i napleczniki),

uzbrojona w ciężkie szpady i pistolety. Od XVII do XIX w. używana była w wielu państwach europejskich do decydujących uderzeń podczas bitwy. Kirasjerzy szczególną rolę odgrywali w wojnach prowadzonych przez Fryderyka II i Napoleona I. W Księstwie Warszawskim został sformowany w 1809 r. pułk polskich kirasjerów.

[70] Chanszyn - chińska wódka przyprawiana aromatycznymi ziołami.

[71] Kulis - tragarz, rykszarz, prosty robotnik w Indiach, Chinach, Japonii i Indonezji.

[72] Powstanie bokserów - powstanie ludowe w północnych i północno-wschodnich Chinach w latach 1889-1901, początkowo skierowane przeciw panowaniu mandzurskiej dynastii Cing, potem również przeciw cudzoziemcom. Zostało stłumione przez Połączoną Armię Ośmiu Państw (Niemiec, USA, Rosji, Japonii, Anglii, Francji, Austro-Węgier i Włoch). Narzucony Chinom w 1901 r. traktat przewidywał płacenie wojennej kontrybucji oraz szereg upokarzających dla Chin ograniczeń.

[73] Tiencin (Tientsin) - miasto i duży port w północno-wschodnich Chinach, wielki ośrodek przemysłowy. Był areną ciężkich walk podczas powstania bokserów. Tiencin pozostawał pod zarządem Międzynarodowej Komisji aż do 1907 r.

[74] Pomnik Dos de Mayo wyobraża anioła na greckiej kolumnie. Cztery boki piedestału ozdobione są płaskorzeźbami przedstawiającymi epizody z wojny Peru z Hiszpanią, nie uznającą niepodległości Peru. Na jednej z płaskorzeźb znajduje się Ernest Malinowski, wówczas naczelnym inżynier, pokazujący ministrowi wojny, Galezowi, plany uczczenia zwycięstwa Peruwiańczyków nad flotą hiszpańską pod Callao w dniu 2 maja 1866 r.

[75] Cerro de Pasco - miasto w środkowym Peru w Andach na wysokości około 4350 m n.p.m. jest jednym z najwyższych w świecie położonych stałych osiedli. Założone zostało w XVII w. jako osada górnicza ze względu na pokłady srebra i złota.

[76] Huallaga - rzeka w północnym Peru, prawy dopływ Maranonu. Długość około 1125 km, żeglowna od Tingo Maria. Źródła Huallagi znajdują się w Kordylierze Wschodniej, uchodzi od Maranonu powyżej miasta Lagunas. Główne miasta nad Huallagą: Huanuco, Yurimaguas, Tingo Maria.

[77] Andy stanowią wielką przeszkodę w rozwoju komunikacji w Peru. W celu umożliwienia wywozu cennych surowców mineralnych z Cerro de Pasco, rozpoczęto w 1869 r. budowę kolei transandyjskiej z Limy przez La Oroya do Cerro de Pasco, którą ukończono w 1890 r. Koszt budowy wyniósł 30 mln dolarów, przy pracach zatrudniano 10 tys. robotników. Jest to jedna z najwyższych przeprowadzonych linii kolejowych na świecie. W punkcie kulminacyjnym osiąga 4816 m, stacja Galera znajduje się na wysokości 4783 m n.p.m. Na trasie tej linii kolejowej jest 58 mostów nad przepaściami i 66 tuneli. Szczególnie niebezpieczny jest przejazd nad Wąwozem Piekielnym (Canon Infernillo) głębokim na 300 m. Polak, inżynier Malinowski, kierował budową na odcinku Callao-Lima-La Oroya. W 1950 r. przystąpiono do przedłużania linii o 50 km - z Junin do Pucalpy. Od 1943 r. spełnia ważną rolę komunikacyjną oddana do użytku szosa transandyjska z Limy do Cerro de Pasco, Huanuco, Tingo Maria, Pucalpy.

[78] Górską chorobą (choroba wysokości) może występować wskutek niedotlenienia organizmu w wysokich górach. Jej objawy: bóle i zawroty głowy, zaburzenia wzroku i słuchu, nudności, wymioty, krwawienie z nosa, duszność, sinica, przyspieszone bicie serca, bezsenność.

[79] Bocznokołowiec - statek wodny, którego pędnikami są koła łopatkowe umieszczone z boku, symetrycznie przy burtach. Statki kołowe są używane obecnie wyłącznie na płytkich wodach śródlądowych.

[80] Costa, czyli jeden z trzech wielkich regionów geograficznych Peru, ciągnie się wzdłuż Pacyfiku od 27° szerokości geograficznej południowej aż do miasta Tumbes, od którego ku pomocy zaczyna występować coraz obfitsza roślinność, przechodząca w bujne lasy.

[81] Głuptaki (*Sulidae*) - rodzina morskich ptaków z rzędu woslonogich, obejmuje 9 gatunków. Długość głuptaków wynosi 66-103 cm, posiadają masywną budowę, mocny i ostry dziób, krótkie nogi, bardzo długie skrzydła. W locie są sprawne i wytrwałe. Żywią się rybami, które łowią nurkując z lotu. Należą do gniazdowników. Lęgi odbywają na skalistych wybrzeżach mórz strefy tropikalnej umiarkowanej.

[82] Oryginalny tytuł pamiętników wydanych drukiem przez Aleksandra Selkirka: *Providence Displayed or a Surprising Account of one Alexander Selkirk* (Dowód Opatrzności albo zadziwiająca relacja Aleksandra Selkirka).

[83] ²William Dampier (1652-1715) - angielski żeglarz, korsarz i znakomity pisarz. Jego praca *Discourse on the Winds* została uznana za klasyczną w dziedzinie geografii fizycznej. Dampier dwukrotnie opłynął Ziemię, dokonał wielu odkryć w Oceanii i na wybrzeżach Australii. Jego imieniem nazwano cieśninę oddzielającą Nową Gwineę od Nowej Brytanii i archipelag u zachodnich wybrzeży Australii.

[84] Ignacy Domeyko (1802-1889) - inżynier górnik, mineralog i geolog, wychowanek, Uniwersytetu Wileńskiego, filomata, przyjaciel Adama Mickiewicza, który w trzeciej części dramatu *Dziady* umieścił Domeykę pod postacią Żegoty. Jako uczestnik powstania listopadowego na Litwie Domeyko musiał emigrować z kraju. W Paryżu ukończył *Ecole des Mines* jako inżynier górnik. W 1838 r. wyjechał do Chile, gdzie zasłużył się dla rozwoju nauki i szkolnictwa wyższego. Badania i opisy nowych minerałów przyniosły mu światową sławę. Założył w Chile stację meteorologiczną, muzeum etnograficzne i opracował monografię Araukanii. Ożenił się z Chilijką, pozostawił wielu potomków. Do końca życia utrzymywał więź ze swoją ojczyzną, którą odwiedził w 1884 r. Imieniem Domeyki nazwano w Chile: minerał - domeykit, małża - *Nautilus Domeykus*, amonit chilijski - *Amonites Domeykanus*, pasmo gór w Andach - Cordillera de Domeyko, miasteczko, ulicę w Santiago - Calle de Domeyko.

[85] Pustynia Atakama (Desierto de Atacama) - piaszczysta i kamienista pustynia w północnym Chile. Długość jej wynosi około 450 km, szerokość do 100 km, leży na wysokości 1000-2000 m n.p.m. Stanowi najsuchszy region świata, w którym opady są mniejsze niż na Saharze. Często przez całe dziesięciolecia nie spada tam ani kropla

deszczu. Rzeki przeważnie okresowe, słone bagna i jeziora. Główny region wydobywania saletry chilijskiej.

[86] Na zachód od Kordylierów, aż do oceanu, przez setki kilometrów zalega pas płaskiej, suchej i pozbawionej roślinności ziemi. Tylko w północnym Chile, w wąskich dolinach rzek Azapa i Camarones w prowincji Tarapaca, gdzie gromadzi się wilgoć z gór, krzewi się roślinność subtropikalna i panuje wieczna wiosna.

[87] Arica - port chilijski nad Pacyfikiem przy ujściu rzeki Azapa, miejsce znanych kąpielisk. Obsługuje część handlu zagranicznego Boliwii i Peru. Podczas katastrofalnego trzęsienia ziemi w 1868 r. fale oceaniczne wtargnęły w głąb lądu, zmyły miasto i pochłonęły wiele ofiar. W 9 lat później podczas ponownego kataklizmu zatonięło także wiele statków zakotwiczonych w zatoce.

[88] Niewolnictwo zniesiono w Chile w 1811 r., żeglugę parową wprowadzono w 1840, pierwsza linia kolejowa, łącząca Capiago z Calderą, została otwarta w 1851 r., a telegraf Morse'a wprowadzono w r. 1852.

[89] Tobą - plemię znad rzeki Pilcomayo, które prowadziło wojny z białymi aż do 1917 r. Wtedy właśnie zginął ich główny wódz i plemię zostało zmasakrowane. Podczas najkrwawszego swego powstania w 1882 r. Tobowie zdobyli boliwijską forteczkę Murillo, wycięli w pień załogę i zniszczyli konwój zbrojny kolumny wiozącej zaopatrzenie dla pogranicznych fortów. Potem wymordowali nad Pilcomayo szesnastoosobową ekspedycję naukową Juliana Creveaux, francuskiego lekarza i badacza Ameryki Południowej.

[90] Gran Chaco (Kraina Wielkich Łowów) - nazwa powstała ze zniekształconego słowa "czuku", które w języku keczua oznacza "łowisko", i z hiszpańskiego "Gran" - wielki. Hiszpanie początkowo nazywali ten region Chaco Gualampa, ale potem ze względu na wielkość nadano mu nazwę Gran Chaco.

[91] Ludność indiańska - Ajmarowie i Keczuanie, stanowi 52% ogółu mieszkańców Boliwii, 32% to Metysi, zwani cholos, a 16% Kreole - potomkowie konkwistadorów - rządzący krajem.

[92] Titicaca - jezioro na obszarze Altiplano na wysokości 3812 m n.p.m. Długość jeziora wynosi około 248 km, szerokość do 124 km, głębokość do 304 m, powierzchnia około 8,3 tys. km². Titicaca posiada dużo wysp, 5 większych półwyspów, 4 zatoki i 2 cieśniny. Wpływa do niego 45 rzek, a wypływa tylko jedna - Desaguadero (długości 320 km), która uchodzi do słonego jeziora Poopo, leżącego na wysokości 3690 m n.p.m. Część Titicaki należy do Peru, część do Boliwii. Charakterystycznym środkiem lokomocji na jeziorze są łodzie z trzciny, zwane caballitas de totora. Basen Titicaki jest jednym z najstarszych ośrodków prekolumbijskiej kultury materialnej i jednym z najgęściej dziś zaludnionych regionów Ameryki Łacińskiej.

[93] Cuzco - jedno z najstarszych miast na półkuli zachodniej, leżące w głębokiej dolinie śródandyskiej na wysokości około 3496 m n.p.m. W języku keczua cuzco oznacza "pepek świata", co najlepiej symbolizuje jego dawne znaczenie. Założone prawdopodobnie w XII w., a więc na ponad 400 lat przed najazdem hiszpańskim, było stolicą państwa

Inków. Pomimo licznych trzęsień ziemi w mieście i okolicy zachowały się z czasów inkaskich: Świątynia Słońca, twierdza, ruiny jedenastowiecznego pałacu, kamienne fundamenty domów, mur z ciosowego kamienia. Pizarro w r. 1533 zajął Cuzco, które w trzy lata później zostało spalone podczas powstania Manko Kapaka, bezpośredniego potomka króla Huayny Kapaka. Na gruzach Cuzco Hiszpanie zbudowali nowe miasto, potem poważnie zniszczone w 1650 r. przez trzęsienie ziemi.

[94] Wilmowski się nie mylił, w 1911 r. Hiram Bingham odkrył w peruwiańskich Andach na północny zachód od Cuzco, wysoko nad wąwozami i przepaściami rzeki Urubamba, ruiny starożytnej fortecy Inków - Machu Picchu (Wysoka Góra), której nie zdołali znaleźć zaborczy konkwistadorzy. Zapewne była to forteca, gdzie ukryli się pozostali przy życiu Inkowie po zdobyciu Cuzco przez Hiszpanów. Rozległe ruiny Machu Picchu obejmują świątynie i twierdzę otoczoną ogrodami tarasowymi.

[95] Saltenas - specjalność argentyńska, pierożki napełnione farszem z mięsa wołowego lub kurzego, oliwkami, jajami gotowanymi na twardo i pikantnymi przyprawami.

[96] La Paz Ayacucho - faktyczna stolica Boliwii (oficjalną jest Sucre), siedziba rządu, ośrodek administracyjny departamentu La Paź, położona na wysokości od 3600 do 4100 m n.p.m. w głębokiej dolinie śródgórskiej rzeki La Paź, u podnóża pokrytego wiecznym śniegiem i lodem masywu wulkanicznego Illimani (6882 m n.p.m.). La Paź, największe miasto Boliwii, stanowi główny ośrodek gospodarczy i kulturalny, jest ważnym węzłem kolejowym i drogowym (ma połączenie z Drogą Panamerykańską), posiada port lotniczy. La Paź założył Alonso de Mendoza w 1548 r. pod nazwą Pueblo Nuevo de Nuestra Senora de la Paź (Miasto Matki Boskiej Pokoju), którą w 1827 r. przemianowano na La Paź de Ayacucho (Pokój w Ayacucho) dla uczczenia decydującej o niepodległości Boliwii bitwy, stoczonej w 1824 r. pod Ayacucho przez boliwijskiego generała A.J. Sucre z wojskami hiszpańskimi.

[97] W ciągu 161 lat od uzyskania w 1825 r. niepodległości w Boliwii miało miejsce 190 zamachów stanu, przewrotów bądź rewolucji.

[98] Gran Chaco - olbrzymia nizina rozpościerająca się od rzeki Paragwaj na wschodzie aż do stóp Andów Środkowych na zachodzie i od boliwijskich llanosów i Mato Grosso na północy po rzekę Salado na południu. Obszar ten, liczący około 700 tyś. km², geografowie podzielili na trzy części: Chaco Boreal (północne) ograniczone od południa rzeką Pilcomayo, Chaco Central (środkowe) między rzekami Pilcomayo i Beremejo oraz Chaco Austral (południowe) od Beremejo po rzekę Salado. Gran Chaco obejmuje północno-zachodnią część Argentyny, część środkowego Paragwaju i obecnie skrawek Boliwii. Podczas pobytu wyprawy Wilmowskich większa część terenów Chaco Boreal (tereny, na których później odkryto naftę) należała jeszcze do Boliwii. Dopiero w latach 1932-35 w wojnie z Paragwajem o Chaco Boreal Boliwia utraciła 2/3 spornego terytorium. Boliwia w trzech wojnach utraciła ogólnie 1/4 swego terytorium: w wojnie o saletrę z Chile pustynię Atakama i dostęp do Pacyfiku (1879-84), w 1903 r. straciła terytorium Acre na rzecz Brazylii, a w latach 1932-35 większą część swego Gran Chaco.

[99] Do lat trzydziestych XX wieku rzadko zaludnione Gran Chaco jeszcze nie było 'j zbadane. Obecnie również znaczna część tej krainy jest ostoją niezależnych plemion indiańskich.

[100] Sucre - konstytucyjna stolica Boliwii, leży na wysokości około 2700 m n.p.m. u stóp Kordyliery Centralnej. Przed podbojem hiszpańskim była to osada indiańska zwana Charcas, na której miejscu w 1538 r. konkwistador Pedro Anzures założył miasto Chuquisaca, przemianowane później na La Plata. Po stłumieniu powstania antyhiszpańskiego w 1809 r. miasto było głównym w tym regionie ośrodkiem militarnym Hiszpanów. W 1839 r. La Platę przemianowano na Sucre na cześć generała A.J. de Sucre, pierwszego prezydenta Boliwii. Odtąd też jest stolicą konstytucyjną.

[101] Cochabamba - stolica departamentu o tej samej nazwie w centralnej Boliwii, położona na wysokości około 2600 m n.p.m., ważny ośrodek rolniczy, centrum przemysłu spożywczego. Drugie pod względem wielkości miasto Boliwii, założone w 1574 r. jako Oropeza i przemianowane w 1786 r. na Cochabambę.

[102] Paragwaj - rzeka długości około 1500 km, wypływa z Mato Grosso w południowo-zachodniej Brazylii. Jej górne dopływy stanowią graniczne odcinki z Boliwią, dalej płynie przez Paragwaj i uchodzi do rzeki Parana.

[103] Corumba - przygraniczne miasto w zachodniej Boliwii w stanie Mato Grosso, port na rzece Paragwaj, założone w 1778 r. Przez Corumbę przebiega linia kolejowa łącząca boliwijskie Santa Cruz z brazylijskim portem morskim Santos. Odcinek drogi kolejowej łączący Corumbę z Santa Cruz w Boliwii oddany został do użytku dopiero w 1954 r. Santa Cruz de la Sierra w czasach kolonialnych leżało na tak zwanym srebrnym szlaku z Peru do Asunción; duże znaczenie dla dalszego rozwoju miasta ma wspomniana linia kolejowa.

[104] Gauczo (z hiszp. *gauchó*) - pastuch na pampasach argentyńskich i urugwajskich, zazwyczaj potomek indiańsko-hiszpański, odpowiednik północnoamerykańskiego kowboja.

[105] Chiriguano (Gwarano, Guarano) - grupa plemion w Argentynie, Paragwaju i Brazylii. W dawnych czasach kilka tysięcy Gwaranów podjęło długą wędrówkę na zachód (prawdopodobnie w poszukiwaniu Ziemi Praojców) i doszło aż do granic cesarstwa Inków. Jedna z grup dotarła do obecnego Santa Cruz w Boliwii. Po początkowych niepowodzeniach Inkowie rozgromili Gwaranów. Pięciuset jeńców wziętych do niewoli pozostawili skrupowanych na szczycie góry pokrytym wiecznym śniegiem. Jeńcy przez noc zmarzli. Odtąd też Gwaranów nazywano Chirihuanos, co w keczua znaczy Ukarani Mrozem. Niedobitki Gwaranów osiedliły się nad górną Pilcomayo. Występowali zbrojnie przeciwko Hiszpanom aż do 1832 r., to jest do bitwy pod Curuyugiu, gdzie Boliwijczycy urządzili rzeź, mordując wojowników, kobiety i dzieci.

[106] Tak zwana po angielsku *bull-boat* (bizonia łódka) jest okrągłą jak balia łódką ze skór bizonich naciągniętych na drewnianą ramę. Tego typu łódki używali Indianie Mandan i Hidatsa znad rzeki Missouri w Ameryce Północnej. Po wytępieniu bizonów robiono także łodzie ze skór krowich. Podobne łódki spotykano również w starożytności u

Bretonów, a współcześnie w Walii, Irlandii i Tybecie. Wynalezienie tego typu łódki było tak proste, że występowało niezależnie od siebie na różnych kontynentach.

[107] Istniały pewne podobieństwa i różnice pomiędzy dwiema kulturami indiańskimi, które rozwinęły się po wprowadzeniu koni tak w Ameryce Północnej, jak i w Południowej. Zimne, wietrzne stepy Patagonii oraz trawiaste równiny pampasów i otwarte, zaroślowe lasy Chaco przypominały swym charakterem prerie północnoamerykańskie. Obydwie kultury na tych obszarach rozwinęły się w tym samym czasie i upadły niemal jednocześnie wskutek ekspansji europejskiej. W obydwóch regionach nie udało się białym zapobiec zdobyciu koni przez Indian, którzy z nomadów pieszych stali się nomadami konnymi. Tak w Ameryce Północnej, jak i w Południowej, niezależnie od siebie, Indianie wynaleźli pemmikan (suszone mięso z tłuszczem w formie koncentratu), tak samo szukali wskazań w snach i wizjach, samotorturowali się podczas obrzędów pogrzebowych. Rozwój podobnych do siebie zwyczajów w obydwóch kulturach jest intrygujący, nie można go bowiem przypisać podobnym warunkom geograficznym ani przeniesieniu przez ludzi z jednego obszaru do drugiego poprzez dzielące je tysiące kilometrów pierwotnych dżungli. Były także widoczne różnice między obydwoma kulturami. W przeciwieństwie do Indian Ameryki Północnej, południowoamerykańscy Indianie przyjęli od Hiszpanów przynależność do konia: siodła, uzdę, strzemiona i arkan, wynaleźli własny typ strzemienia palcowego i zamiast lassa białych woleli używać własne bołą. Wobec braku ogromnych stad zwierzyny łownej, jak na przykład bizona w Ameryce Północnej, gdzie rozwinęła się słynna ekonomia bizona, Indianie Chaco nie gromadzili stad koni, lecz w razie potrzeby kradli je Hiszpanom. Wielu konnych nomadów południowoamerykańskich stało się znanymi gauczami.

[108] Izabelowata maść - tułów koloru kawy z mlekiem przy jasnej lub białej grzywie i ogonie.

[109] *Velus i Cereus*.

[110] Niezmiernie twarde drzewa, znane pod nazwą żelaznych, pochodzą z Ameryki Południowej i Afryki. Najpospolitsze z tej grupy jest kebraczo, drzewo z gatunku *Sobinopsis*, którego bardzo twarde, ciężkie i odporne na wodę drewno o barwie ciemnoczerwonej dostarcza doskonałego materiału budulcowego i jednego z najlepszych garbników.

[111] *Prosopis alba*.

[112] *Cavanillesia* - inne drzewa należące do tej samej rodziny (*Bombacaceae*) również często mają pnie beczkowate.

[113] Napój z ostrokrzewu paragwajskiego pity był przez Indian jeszcze w czasach przedkolumbijskich. Krzew (*Ilexparaguayensis*) uprawiany jest od XVII w., obecnie głównie w Brazylii, Paragwaju i północnej Argentynie.

[114] *Polyboms tharus* - dość duży ptak drapieżny zadomowiony na znacznych obszarach Ameryki Południowej. Żywi się przede wszystkim myszami, płazami i owadami, porywa również kury i jaja, niepokoi większe zwierzęta. Na wybrzeżach morskich łupem

jego stają się zwierzęta wyrzucane przez fale. Karakary są znienawidzone przez Indian, ponieważ często porywają mięso wywieszane do suszenia na słońcu. W niewoli bardzo łatwo się oswajają.

[115] Nieliczne osoby miały okazję to widzieć.

[116] Mimo ważnej roli, jaką rybołówstwo odgrywało w życiu Indian Chaco, tylko kilka plemion posiadało środki transportu wodnego - prymitywne tratwy lub skórzane "balie". Jedynie Payaguanie, zamieszkujący okolice zlewu rzek Paragwaj i Parana, mieli łodzie i stali się groźnymi piratami rzecznyymi.

[117] Mbayowie po zdobyciu koni rozwinęli plemienny podział na klasy społeczne, które tworzyli: wodzowie, mniejsi dziedziczni dostojnicy, niedziedziczni dożywotni dostojnicy, wojownicy, słudzy, dziedziczni schwytani i kupieni niewolnicy. Mbayowie byli niezwykle pobłażliwi dla swoich dzieci, spełniali nawet najdziwniejsze ich kaprysy. Rozpieszczanie chłopców, przy rozbudowanej kastowości i zdolnościach do wojaczki, doprowadziło młodzieńców Mbaya do mniemania, że są doskonalsi od innych Indian i białych ludzi.

[118] Indianie Mura, doskonali żeglarze rzeczni, mieszkali i spali na swoich łodziach. Pływali po olbrzymich obszarach tropikalnego lasu zalewanego wodą podczas powodzi, w suchej porze roku zakładali czasowe osady na brzegach rzek. Łowili ryby strzałami z łuków bądź harpunami. Chwyтали żółwie, wydry i różną zwierzynę wodną, dla zdobycia innego pokarmu napadali na łodziach poletka osiadłych sąsiadów. Wywołali tym wrogość Indian Mundurucu i Brazylijczyków, którzy siłą zmusili ich wreszcie do bardziej pokojowego trybu życia. Obecnie Murowie są na wymarciu.

[119] Emil Behring (1854-1917) - niemiecki lekarz bakteriolog, organizator jednej z największych w Europie wytwórni surowic i szczepionek (Behring-Werke, Marburg). W 1890 r. uzyskał antytoksykcyjną surowicę przeciwbłoniczną oraz razem z uczonym japońskim S. Kitasato - przeciwtężcową. Za osiągnięcia w serologii otrzymał w 1901 r. nagrodę Nobla, pierwszą w ogóle w dziedzinie medycyny.

[120] Stępa - prymitywny rodzaj moździerza w kształcie kamiennej misy lub drewnianego naczynia wydrążonego w klocku drzewnym, z ubijakiem zwanym stęporem, używany do obluskiwania i kruszenia ziaren.

[121] Wartość poncza równała się cenie konia.

[122] Bororo - Indianie mieszkający w stanie Mato Grosso w zachodniej Brazylii, najwyżsi wzrostem i najlepiej zbudowani spośród Indian brazylijskich. Malowali swe ciała od stóp do głów na czerwono, używając ziaren urucu (*Bixa orellana*) tłuczonych razem z tłuszczem. Dawniej byli wędrownymi myśliwymi i rybakami, obecnie uprawiają rolę.

[123] Mato Grosso (Wielka Gęstwina) - płaskowyż na zachodnim krańcu Wyżyny Brazylijskiej, stanowi dział wodny między dorzeczami Amazonki i Parany. Jest to kraina pocięta dolinami licznych rzek na stoliwa, zwane chapadas. Klimat ma podrównikowy, na południowych krańcach zwrotnikowy. Występują tam suche lasy kolczaste typu caatinga i

roślinność sawannowa typu campos, a miejscami bujne lasy monsunowe, wzdłuż rzek galeriowe. Zabagnione równiny w dorzeczu Paragwaju porasta roślinność trawiasta i bagienna, a północne pogranicze wilgotne lasy równikowe. Mato Grosso jest jednym z najsłabiej zagospodarowanych stanów Brazylii. Główne miasta: Corumba i Cuiaba, stolica stanu. Bogactwa naturalne: złoto, diamenty i rudy manganu.

[124] Guapore (hiszp. *Itenez*) - rzeka długości około 1150 km. Wypływa ze stoków gór Serra dos Parecis w Mato Grosso, płynie na północny zachód i częściowo stanowi granicę boliwijsko-brazylijską. Uchodzi jako prawy dopływ do rzeki Mamore, która z kolei z rzeką Beni tworzy rzekę Madeira uchodzącą do Amazonki. Guapore jest żeglowna powyżej miasta Mato Grosso.

[125] Madeira-Mamore - linia kolejowa łącząca miejscowość Guajara Mirim nad rzeką Mamore z Puerto Velho nad Madeirą. Omija porohy i wodospady na Madeirze, które uniemożliwiały przekopanie kanałów. W 1843 r. rząd boliwijski wyznaczył dużą nagrodę za znalezienie dogodnej drogi spławnej, która poprzez Amazonkę połączyłaby Boliwię ze światem. Powstały różne projekty, ale okazało się, że jedynym rozwiązaniem może być zbudowanie linii kolejowej. Rząd boliwijski dał koncesję na jej budowę znanemu fachowcowi w tej dziedzinie, pułkownikowi inżynierowi Churchowi. Przez wiele lat zawiązywano różne spółki, towarzystwa i szukano kredytów, powstawały nawet spory sądowe. Wreszcie w 1904 r. Brazylia, również zainteresowana ułatwieniem transportu z Mato Grosso, podjęła konkretną inicjatywę. Church rozpoczął budowę linii kolejowej, którą ukończył w 1913 r. W rok później, to jest w 1914 r., został również oddany do użytku Kanał Panamski.

[126] Ara błękitna (*Ara araraund*) osiąga długość do 97 cm. Żyje w Brazylii.